



CARL HIAASEN

szantaż z za

grobu

Carl Hiaasen

Szantaż z za grobu

Z języka angielskiego przełożyła Dorota Kaczor

Tytuł oryginału: Skinny Dip

Wydanie oryginalne 2004

Wydanie polskie 2010

Z okazji drugiej rocznicy ślubu biolog morski Chaz Perrone, materialista, cwaniak, tchórz i kobieciarz, zabiera swą piękną żonę Joey na rejs luksusowym wycieczkowcem. Pewnej nocy, tuż przed powrotem do portu, podstępnie zwabia ją na pokład i wypycha za burtę. Jest przekonany, że popełnił morderstwo doskonale, ale nie wie, że Joey, świetnej pływaczce, udaje się uratować. Wściekła i zarazem zaskoczona niecznym czynem męża postanawia nie zgłaszać sprawy policji, lecz dokonać wyrafinowanej zemsty.

Trzymający w napięciu satyryczny kryminał, pełen humoru sytuacyjnego, z galerią barwnych postaci. Tłem akcji jest ukochana przez autora Floryda i zagrożone zniszczeniem rozlewiska Everglades.

Podziękowania.

Najbardziej jestem wdzięczny za rady, entuzjazm i talent Esther Newberg, Liz Donovan z „Miami Herald”, Bobowi Roe ze „Sports Illustrated”, Burlowi George’owi, Nathanielowi Reedowi, Seanowi Savage’owi, kpt. Mike’owi Collinsowi, tajemniczemu Sonny’emu Mehcie, mojej nieustępliwej siostrze Barb, fantastycznej żonie Fenii oraz dr. Jerry’emu Lorenzowi, jednemu z wielu niedocenionych bohaterów Everglades.

Ta książka to fikcja literacka. Wszystkie postacie zostały wymyślane, a opisane zdarzenia nigdy nie miały miejsca. Wyjątkiem jest degradacja środowiska naturalnego Parku Narodowego Everglades, a także przyjęcie ośmiomiliardowego planu ratowania tego, co pozostało.

Rozdział 1.

Pewnego chłodnego kwietniowego wieczoru, punktualnie o jedenastej, kobieta nazwiskiem Joey Perrone wypadła za burzę luksusowego statku wycieczkowego „Księżna Słońca”. Lecąc w mroczną otchłań Atlantyku, była w zbyt wielkim szoku, żeby poczuć strach.

Wyszłam za sukinsyna, pomyślała, nurkując w fale oceanu. Siła uderzenia zdarła z niej jedwabną spódnicę, bluzkę, majtki, zegarek oraz sandały, ale Joey nie straciła przytomności. Jakżeby inaczej, na studiach była przecież kapitanem reprezentacji pływackiej.

Ten drobny szczegół jej życiorysu najwyraźniej umknął pamięci męża.

Kołysząc się na spienionym kilwaterze, patrzyła, jak wesoło rozświetlona „Księżna Słońca” odplywa z prędkością dwudziestu mil morskich na godzinę. Było jasne, że tylko jeden z dwóch tysięcy czterdziestu dziewięciu pasażerów wiedział, co się stało, ale nie zamierzał nikogo o tym informować.

Drań, pomyślała Joey.

Zauważyła, że biustonosz zsunął się jej do pasa. Wyplątała się z niego. Na zachodzie okryte bursztynową poświatą majaczyło wybrzeże Florydy. Joey zaczęła płynąć.

Wody Prądu Zatokowego miały temperaturę nieco wyższą niż powietrze, ale rześki północno-wschodni wiatr tworzył nieprzyjemne fale. Joey płynęła powoli, równym rytmem.

Żeby nie myśleć o rekinach, przywoływała z pamięci co ciekawsze momenty tygodniowego rejsu, którego początek był również mało obiecujący.

„Księżna Słońca” opuściła Port Everglades z trzygodzinnym opóźnieniem, ponieważ w kuchni znaleziono wściekłego szopa. Jeden z kucharzy zdołał wepchnąć toczące pianę stworzenie do dwustulitrowej puszkii z sosem z guawy, ale szop podrapał go w twarz i z garbem na grzbiecie czmychnął, warcząc, w czeluście statku. Na pomoc przybyły miejscowe służby weterynaryjne, inspektorzy sanitarni oraz pogotowie. Ewakuowanych pasażerów uspokajano rumem i przekąskami.

Kiedy po wszystkim wracano na pokład, Joey minęła na trapie idących z pustymi rękami weterynarzy.

- Założę się, że im uciekł - szepnęła do męża. Kibicowała w duchu temu biednemu zwierzakowi, mimo kłopotów, jakie spowodował.

- Wścieklizna - rzekł mąż ze znawstwem. - Niech mnie tylko to cholerstwo dziabnie, a ta cała firma będzie moja.

- Daj spokój, Chaz.

- Będiesz mi mówiła „panie Onassis”. Myślisz, że żartuję?

„Księżna Słońca” miała 260 metrów długości, a wyporności niewiele ponad 70 tysięcy ton.

Joey wyczytała to w folderze, który znalazła w kabinie. Plan podróży obejmował wizytę w Puerto Rico, Nassau i na prywatnej wyspie na Bahamach, którą linia żeglugowa (jak głosiła plotka) kupiła od wdowy po brutalnie zamordowanym przemytniku heroiny. Ostatnim przystankiem przed powrotem do Fort Lauderdale miała być Key West.

Chaz sam wybrał ten rejs, mówiąc, że to prezent z okazji rocznicy ślubu. Pierwszy wieczór spędził na rufie, wybijając piłki golfowe do oceanu. Z początku Joey była zła, że na pokładzie statku jest driving range, nie mówiąc o sztucznej ścianie wspinaczkowej i kortach do squasha. To samo mogli robić w Boca Raton, nie ruszając się z domu.

Podobnym absurdem było solarium, które jednak cieszyło się dużym wzięciem, ilekroć niebo pokryły chmury. Właścicielowi zależało, żeby każdy pasażer wrócił do domu albo opalony na brąz, albo spieczony na raka. Dowód tygodniowego pobytu w tropikach.

Jak się wkrótce okazało, Joey z zapalem wspinała się po ścianie i w pełni korzystała z pozostałych atrakcji, w tym dwutorowej kręgielni. Poza tym mogła jeszcze zająć się i zapić na śmierć, gdyż obzarstwo to główna rozrywka na takich statkach. „Księżna Słońca” słynęła z dobrze zaopatrzonych, czynnych całą dobę bufetów, i mąż Joey właśnie tam spędzał czas między kolejnymi portami.

Bydlak, pomyślała, zanurzając się w wodzie, żeby spłukać wodorost, który jej się owinął wokół szyi niczym świąteczna girlanda.

Każdy poranek ukazywał migotliwe wody nowej zatoki, lecz miasta, które odwiedzali, a zwłaszcza sklepy z pamiątkami wyglądały nużąco podobnie, jakby działały w ramach jednej sieci. Joey szczerze próbowała się zachwycać lokalnymi wyrobami, choć wiele z nich wyglądało, jakby zostały wyprodukowane w Korei bądź Singapurze. Poza tym, na co komu muszla przyłbicy nieudolnie podrasowana lakierem do paznokci? Albo skorupa kokosa z ręcznie malowaną podobizną księcia Harry’ego?

Rola turysty była tak męcząca, że Joey z niecierpliwością oczekiwała wizyty statku na „dziewiczej prywatnej wyspie”, jak zachwalano w folderze. Ale i ta przyniosła rozczarowanie. Armator kłamliwie zmienił jej nazwę na Rapture¹ Key, ale uczynił niewiele, żeby ją zrekultywować. Dominującą faunę stanowiły kury, kozy i zdziczałe świny, które przeżyły swego gospodarza, przemytnika. Równiny wyspy pokrywały wraki zatopionych

¹ Rapture - zachwyty; uniesienie (przyp. tłum.).

samolotów używanych przez gangi narkotykowe, a na plaży można było znaleźć najwyżej łuski po nabojach.

- Idę wypożyczyć skuter wodny - oświadczył Chaz.

- A ja poszukam jakiegoś cienia i dokończę książkę - odparła Joey.

Ciągle dzielił ich ogromny dystans. Do czasu gdy „Księżna Słońca” przybiła do Key West, Joey i Chaz spędzali wspólnie zaledwie około godziny dziennie, zwykle kochając się lub kłócąc. Mniej więcej tak jak w domu.

I tyle z romantycznego wypadu, myślała Joey, żałując, że tak mało ją to smuci.

Kiedy mąż się wymknął do miasta, przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie uwieść jednego ze stewardów, przystojnego Peruwiańczyka imieniem Tico. W końcu jednak straciła ochotę i odprawiła zawiedzionego młodzieńca cmoknięciem w policzek i pięćdziesięciodolarowym napiwkiem. Nie czuła się na siłach zdradzić Chaza, nawet przez złośliwość, choć podejrzewała, że on zdradzają często (prawdopodobnie też podczas rejsu).

Po powrocie na pokład Chaz zrobił się gadatliwy jak papuga.

- Widzisz te chmury? Będzie padać - stwierdził radośnie.

- To chyba dzisiaj nici z golfa - odrzekła Joey.

- Wiesz co, na Duval Street naliczyłem dwadzieścia sześć sklepów z T-shirtami. Nie dziwię się, że Hemingway strzelił sobie w łeb.

- To nie było tutaj - uświadomiła go - tylko w Idaho.

- Może coś przekąsimy? Jestem głodny jak wilk.

Przy kolacji regularnie dolewał Joey wina, mimo jej protestów. Teraz wiedziała dlaczego.

I czuła to alkoholowe zmęczenie i odwodnienie. Mocno pracowała rękami i nogami, żeby pokonać fale, zmieniała style, lecz powoli zaczynała tracić i siły, i rytm. W końcu to nie był podgrzewany basen olimpijski na UCLA, tylko ocean. Zaciśnęła powieki, żeby złagodzić pieczenie oczu wywołane słońcą wodą.

Czułam, że już mnie nie kocha, pomyślała, ale to jest jakiś absurd.

* * *

Chaz Perrone nasłuchiwał plusku wody, ale jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał jego uszu, było stłumione, uspokajające dudnienie silników statku. Stał samotnie przy relingu z lekko przechyloną głową, nieruchomy jak czapla.

Nie planował tego zrobić w tym miejscu. Liczył, że uda mu się wypchnąć Joey za burtę wcześniej, gdzieś między Nassau a San Juan, w nadziei że prądy zanoszą jej ciało na wody kubańskie, z dala od amerykańskiej jurysdykcji.

O ile wcześniej nie znajdą jej rekiny.

Niestety, w tej wczesnej fazie rejsu była wyśmienita pogoda i co wieczór wszystkie pokłady wypełniały zakochane pary o maślanych spojrzeniach. Plan Chaza wymagał odosobnienia. Już prawie tracił nadzieję, gdy nagle trzy godziny po wypłynięciu z Key West zaczęło padać. Wprawdzie tylko siąpiło, ale i tak wypłoszy to pasażerów - hurmem ruszą na sałatkę z homarów lub rzucą się na automaty do gry.

Drugim ważnym elementem planu było zaskoczenie, ponieważ Joey to kobieta silna i wysportowana, w przeciwieństwie do Chaza. Zanim ją wywabił na rufę pod pretekstem spaceru pod rozgwieżdżonym niebem, przypilnował, żeby wypila sporo czerwonego wina.

Cztery i pół kieliszka, jeśli dobrze policzył. Zwykle tyle jej wystarczyło, żeby się wstawić.

- Chaz, przecież kropi - zauważyła, gdy podchodzili do relingu.

Trochę się zdziwiła, bo wiedziała, jak mąż nie znosi moknąć. Ten człowiek posiadał aż siedem parasoli.

Chaz udał, że jej nie słyszy, i poprowadził ją pod rękę przed siebie.

- Mam rewolucję w żołądku - powiedział. - Powinni już wywalić to sevice, nie sądzisz?

- Wracajmy do środka.

Chaz ukradkiem wyjął z kieszeni marynarki klucz od kabiny i upuścił go na deski pokładu.

- Ups.

- Chaz, naprawdę robi się chłodno.

- Czekaj, chyba zgubiłem klucz. - Schylił się, żeby go poszukać.

Tak przynajmniej sądziła Joey.

Mógł się tylko domyślać, co przebiegło przez głowę żony, kiedy poczuła, jak chwyta ją za kostki. Pewnie pomyślała, że się wygłupia.

Przerzucenie jej przez reling nie było trudne. Ot, prosta zasada dźwigni. Stało się to tak szybko, że Joey nawet nie pisnęła.

Jeżeli chodzi o plusk, Chaz jednak wolałby go usłyszeć. Byłby to symboliczny sygnał obwieszczający koniec jego małżeństwa. Ale do wody było bardzo daleko.

Pozwolił sobie raz rzucić okiem, lecz zobaczył tylko spienione fale oświetlone rozedrganym blaskiem świateł statku. „Księżna Słońca” płynęła spokojnie dalej. Na szczęście. Nie odezwały się żadne syreny.

Chaz podniósł klucz, pośpiesznie wrócił do kabiny i zaryglował drzwi. Powiesił marynarkę, otworzył kolejną butelkę wina, napełnił dwa kieliszki i z obu upił połowę.

Na łóżku leżała otwarta walizka Joey - wcześniej ją przepakowywała. Chaz przeniósł ją na podłogę. Rozłożył swoją i zaczął szukać leku na nadkwasotę. Pod stosem starannie złożonych bokserek - musiał przyznać, że Joey była mistrzynią w pakowaniu - natknął się na pudełko zawinięte w kolorowy papier w szkocką kratę i przewiązane zieloną wstążką.

W środku znajdował się przepiękny komplet skórzanych pokrowców na kije golfowe oznaczonych jego inicjałami: C.R.P. Do tego była dołączona kartka:

„Wszystkiego najlepszego z okazji drugiej rocznicy! Kochająca Joey”.

Podziwiając jedwabistą gładkość cielejącej skóry, Chaz poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Przeszło równie szybko jak zgaga.

Jego żona bez wątpienia miała klasę. Gdyby tylko nie była tak cholernie... spostrzegawcza.

Dokładnie za sześć godzin zgłosi jej zaginięcie.

Rozebrał się do bielizny, a ubranie rzucił w ką. W torbie podręcznej miał egzemplarz *Pani Bovary*. Otworzył go na pierwszej lepszej stronie i położył na nocnym stoliku po stronie Joey. Następnie nastawił budzik, przyłożył głowę do poduszki i zasnął.

* * *

Prąd Zatokowy znosił Joey na północ z prędkością prawie czterech węzłów.

Wiedziała, że musi się bardziej wysilić, jeśli nie chce, aby znaleziono jej spuchnięte zwłoki gdzieś na mieliźnie w Karolinie Północnej.

Była jednak potwornie zmęczona.

Na pewno przez to wino. Chaz wiedział, że ma słabą głowę, i najwyraźniej z góry wszystko zaplanował. Niechybnie liczył, że wypadając ze statku, złamie nogę lub straci przytomność. A nawet jeśli nie, to i tak będzie bez szans - sama na środku oceanu, w ciemną noc, z dala od jakiegokolwiek lądu, śmiertelnie przerażona. Nawet gdyby wszczęto poszukiwania, nikt jej nie zauważy, a przed świtem straci siły i utonie.

Przypuszczalnie tak rozumował.

Joey sobie uświadomiła, że wcale nie zapomniał o jej dawnych sukcesach pływackich.

Wiedział, że jeśli przeżyje upadek, zacznie płynąć. Wręcz na to liczył. Był przekonany, że jego zawzięta i ambitna żona zajędzie się na śmierć. Tymczasem powinna leżeć na wodzie, oszczędzać siłę, żeby utrzymać słaby choć cień szansy, że zostanie dostrzeżona przez załogę jakiegoś przepływającego statku.

Czasem sama siebie zadziwiam, pomyślała.

W pewnej chwili mijał ją tankowiec, tak blisko, że przesłonił księżyc. Jego zwarta i kanciasta sylwetka przypominała przewrócony wieżowiec. Joey machała i krzyczała, ale nie było szans, żeby w huku silników ktokolwiek ją usłyszał. Wielka rdzawa ściana hałasu i spalin popłynęła dalej i Joey od nowa podjęła wysiłek.

Wkrótce zaczęły jej cierpnąć nogi, czuła „mrówki” wędrujące od stóp w górę. Skurcze mięśni by jej nie zdziwiły, ale powolne słabnięcie owszem. Coraz więcej wysiłku ją kosztowało utrzymanie głowy nad wodą, aż w końcu poczuła, że dolna

połowa ciała całkiem przestała się poruszać. Joey zaczęła płynąć na plecach, a nogi ciągnęła za sobą niczym dwie zerwane liny.

Byliśmy małżeństwem dopiero dwa lata, myślała. Czym sobie zasłużyłam na coś takiego?

Żeby nie myśleć o śmierci, zaczęła wyliczać w głowie rzeczy, które się Chazowi w niej nie podobały:

1. Miała skłonność do rozgotowywania drobiu, zwłaszcza kurczaków, bo całe życie się bała salmonelli.

2. Krem nawilżający, którego używała na noc, śmierdział jak płyn na owady.

3. Zdarzało jej się zasypiać w trakcie transmisji meczów hokeja, nawet play-offów.

4. Nie chciała mu robić laski w czasie jazdy autostradą 95, Sunshine State Parkway ani żadną inną drogą, na której wolno było jechać szybciej niż osiemdziesiąt na godzinę.

5. Z łatwością mogła go ograć w tenisa.

6. Nie zawsze odkładała na miejsce płyty jego ukochanego George'a Thorogooda.

7. Bez entuzjazmu przyjęła propozycję zaproszenia jego fryzjerki do łóżkowego trójkąta.

8. Należała do weekendowego klubu czytelniczego.

9. Miała więcej pieniędzy od niego.

10. Zęby zamiast pastą myła sodą oczyszczoną.

Nie, to bez sensu, myślała. Facet nie decyduje się nagle zamordować żony tylko dlatego, że podała mu gumowatą potrawkę z kury.

Może chodzi o inną kobietę? Ale wtedy wystarczyłoby poprosić o rozwód.

Nie miała siły tego analizować. Wyszła za podłego dziwkarza, który podczas rejsu z okazji rocznicy ślubu wypchnął ją za burtę, i teraz ona się utopi i pożrą ją rekiny. A w tych wodach pływają same największe: rafowe, tygrysie, młoty, mako, żarłacze żółte, tępogłowe...

Boże, błagam, nie pozwól, żeby mnie zjadły żywcem, rozpaczała Joey.

W opuszkach palców poczuła to samo mrowienie. Wiedziała, że za chwilę ręce staną się równie bezużyteczne jak nogi. Usta jej spierzchły od soli, język spuchł jak parówka, a powieki były obrzmiałe i zaskorupiałe. A jednak, ilekroć wynurzała się ponad fale, w oddali migotały kusząco światła Florydy.

Walczyła więc dalej, wierząc, że wciąż istnieje cień szansy na przeżycie. Jeżeli pokona Gofsztröm, będzie mogła wreszcie odpocząć; zwinąć się w kłębek i dryfując, przeczekać do świtu.

Na chwilę zapomniała o rekinach, gdy nagle coś ciężkiego i szorstkiego otarło się o jej lewą pierś. Zaczęła się rzucać i okładać to coś pięściami, aż zupełnie opadła z sił.

Tracąc przytomność, doznała wizji, w której Chaz pieprzy w ich kabinie na statku jakąś blond krupierkę, a następnie udaje się na pokład wybić jeszcze jedno wiadro piłek.

Świnia, pomyślała.

Potem ekran w jej głowie zgasł.

Rozdział 2.

W głębi duszy Chaz Perrone był bez wątpienia oszustem i kanalią, ale przemocą się brzydził. Nikt, kto go znał, nie podejrzewałby, że jest zdolny do zabójstwa. On sam był zdumiony, że się na to zdobył.

Gdy zadzwonił budzik, ocknął się z przekonaniem, że wszystko sobie wyobraził. Potem zobaczył puste miejsce obok siebie na łóżku. Wyrzwał przez bulaj, dostrzegł pirsy wyznaczające wejście do Port Everglades i już wiedział, że to nie sen. Naprawdę zamordował żonę.

Zdumiało go, jak bardzo jest opanowany. Sięgnął po telefon, odbył rozmowę, którą wcześniej ćwiczył, i przygotował się na to, co miało nadejść. Przepłukał gardło, ale zrezygnował z porannej toalety. Szalejący z niepokoju mąż nawet powinien być trochę rozchełstany.

Gdy tylko „Księżna Słońca” zawinęła do portu, zaczęły się przesłuchania. Najpierw się zjawiał zatroskany szef ochrony statku, potem dwóch młokosów ze straży przybrzeżnej i wreszcie posępny detektyw z biura szeryfa okręgu Broward. W tym czasie przeczesywano statek, pewnie po to, aby wykluczyć kłopotliwą ewentualność, że pani Perrone zaszyła się gdzieś z innym pasażerem lub, co gorsza, członkiem załogi.

- Kiedy dokładnie pańska żona wyszła z kabiny? - zapytał detektyw.

- O wpół do trzeciej nad ranem - odparł Chaz.

Taka precyzja w kłamstwie była konieczna, żeby akcję poszukiwawczą rozpoczęto od innego rejonu oceanu. O tej porze statek powinien był się znajdować mniej więcej siedemdziesiąt mil na północ od miejsca, gdzie Joey wpadła do wody.

- I mówi pan, że poszła „się pogapić” na księżyc, tak? - spytał detektyw.

- Tak mi powiedziała. - Chaz potarł wcześniej oczy, żeby były stosownie przekrwione. - Musiałem przysnąć. Kiedy się obudziłem, świeciło słońce, statek wpływał do portu, a Joey dalej nie było. No to zadzwoniłem po pomoc.

Detektyw, błąd osobnik w typie nordyckim, zapisał jedno zdanie w swoim notesie.

Wskazał na kieliszki stojące przy łóżku.

- Nie dopiła wina.

- Nie - westchnął Chaz.

- Ani nie wzięła ze sobą. Ciekawe dlaczego.

- Wcześniej, przy kolacji, wypiliśmy już całą butelkę.

- A jednak większość kobiet, idąc na pokład podziwiać księżyc, zabrałyby kieliszek ze sobą. Niektóre zabrałyby też męża.

Chaz ostrożnie ważył odpowiedź. Nie spodziewał się, że tak wcześnie zostanie przyparty do muru.

- Joey mówiła, że bym do niej dołączył, a ja powiedziałem, że przyniosę ze sobą wino. Niestety, zasnąłem. No dobrze, niech będzie, że urwał mi się film. Naprawdę sporo wypiliśmy.

- Czyli więcej niż jedną butelkę?

- Tak.

- Pana zdaniem żona była nietrzeźwa?

Chaz wzruszył ramionami.

- Pokłóciliście się tego wieczoru? - spytał detektyw.

- Skąd. - Tylko to było prawdą w wersji przedstawionej przez Chaza.

- To dlaczego nie wyszliście razem?

- Ojej, no, utknąłem w ubikacji. - Chaz udał zażenowanie. - Sevicehe, które podali na kolację, smakowało jak kocie rzygi, więc powiedziałem do Joey: „Idź sama, przyjdę za parę minut”.

- I wezmę ze sobą wino.

- Tak. Ale widocznie musiałem się położyć i zasnąć. Więc w zasadzie wszystko przeze mnie.

- Co pan ma na myśli?

Chaz poczuł chwilowy ucisk w piersiach.

- No, jeżeli coś się stało Joey. Kogo będę winił, jeśli nie siebie?

- Dlaczego?

- Bo nie powinienem jej puszczać samej o tej porze. Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Że nie czuję się w stu procentach odpowiedzialny?

Detektyw zamknął notes i wstał.

- Być może nic się nie stało, panie Perrone. Może pańska żona się znajdzie cała i zdrowa.

- Jezu, mam nadzieję.

Detektyw uśmiechnął się obojętnie.

- To duży statek.

I jeszcze większy ocean, pomyślał Chaz.

- Aha, jeszcze jedno: czy pani Perrone nie wykazywała ostatnio objawów depresji?

Chaz zaśmiał się nerwowo i uniósł ręce.

- Niech pan nawet nie zaczyna! Joey nie mogła popełnić samobójstwa. To nie ten typ. Może pan spytać wszystkich, którzy ją znali...

- Znają, chciał pan powiedzieć - poprawił go detektyw.

- No tak. Nie widziałem w życiu większej optymistki. - Taka stanowcza reakcja miała wzmocnić pozycję Chaza w oczach

stróżów prawa. Czytał, że krewni samobójców najczęściej zaprzeczają, jakoby mieli oni wcześniej objawy depresji.

- Niektórzy pod wpływem alkoholu... - zaczął detektyw.

- Wiem, ale nie ona - przerwał mu Chaz. - Joey upijała się... upija się na wesoło.

Chaz złapał się na tym, że bez przerwy przygryza dolną wargę. To w gruncie rzeczy dawało korzystne wrażenie, że jest bardzo zaniepokojony losem żony.

Detektyw wziął do ręki *Panią Bovary*.

- Pańska czy żony?

- Żony. - Chaz się ucieszył, że przynęta została połknięta.

- Tutaj raczej nie ma nic do śmiechu - zauważył detektyw, zerkając na otwarte strony.

- Nie wiem, nie czytałem - odparł zgodnie z prawdą Chaz. W księgarni poprosił sprzedawcę o coś romantycznego, ale z tragicznym finałem.

- To jest o kobiecie, której nikt nie rozumiał, nawet ona sama - wyjaśnił detektyw. - Na końcu łyka arsenik.

Idealnie, pomyślał Chaz.

- Joey naprawdę była wczoraj w świetnym humorze - zapewnił, ale już mniej stanowczo. - Niby czemu zachciało jej się tańczyć na pokładzie o wpół do trzeciej w nocy?

- Przy świetle księżycy.

- Właśnie.

- Kapitan mówił, że kropiło.

- To wcześniej, gdzieś koło jedenastej. Kiedy Joey wychodziła, pogoda była piękna.

Zanim „Księżna Słońca” wypłynęła z Key West, Chaz w słynnym barze „Sloppy Joe’s” sprawdził prognozę w telewizji.

Wiedział, że o trzeciej trzydzieści, czyli w rzekomej porze zniknięcia jego żony, niebo miało być bezchmurne.

- Księżyc był w pełni - dodał, aby stworzyć fałszywe wrażenie, że widział to na własne oczy.

- A tak, chyba tak - odparł detektyw.

Zamilkł wyczekująco, jakby się spodziewał, że Chaz coś jeszcze doda.

I rzeczywiście.

- Właśnie o czymś sobie przypomniałem: po statku biegał szop, podobno wściekły.

- Aha.

- Poważnie. Niech pan spyta kapitana. W niedzielę z tego powodu trzymali nas kilka godzin w Fort Lauderdale.

- No i?

- Nie rozumie pan? A jeśli on zaatakował Joey? Jeśli to oszalałe stworzenie zaczęło ją gonić i przypadkiem wypadła za burtę?

- Niezła teoria.

- Widział pan kiedyś zwierzę chore na wściekliznę? One są nieobliczalne.

- Wiem o szopie - powiedział detektyw. - Według dziennika okrętowego został złapany w pralni i usunięty ze statku w San Juan.

- Ach tak. Cóż, dobrze, że pan to sprawdził.

- Staramy się być dokładni. - Kąśliwy ton detektywa wydał się Chazowi trochę niestosowny wobec roztrzęsionego męża denerwującego się losem żony. Ucieszył się, gdy detektyw w końcu sobie poszedł, a jeszcze bardziej, gdy się dowiedział, że może się pakować.

Należało szybko zwolnić kabinę, bo „Księżnę Słońca” szykowano do następnego rejsu.

Później, kiedy prowadzony przez stewarda schodził po trapie, zobaczył dwa pomarańczowe śmigłowce startujące z lądowiska w bazie straży przybrzeżnej po drugiej stronie portu. Wzbiły się w powietrze, przechyliły i odleciały w kierunku Atlantyku, gdzie okręt i dwie mniejsze jednostki ratownicze już podjęły poszukiwania Joey. Jak zapewniono Chaza, planowano też wysłać do akcji samolot Falcon.

Chaz spojrział na zegarek i pomyślał: trzynaście godzin w wodzie, już po niej.

Mogą szukać do woli.

* * *

Hank i Lana Wheeler mieszkali w Elko w stanie Nevada i posiadali dobrze prosperujące centrum rozrywkowe z kasynem, gdzie jedną z atrakcji były występy tańczących niedźwiedzi z Rosji. Hodowlą i tresurą misiów zajmowała się na wpół emerytowana domina występująca pod pseudonimem Ursa Major. Z czasem państwo Wheelerowie tak polubili Ursę, że traktowali ją jak członka rodziny. Gdy jeden z jej głównych podopiecznych, dwustukilogramowy wykastrowany niedźwiedź himalajski o imieniu Boris, miał problemy z zębem, Wheelerowie wynajęli prywatny odrzutowiec, żeby przetransportować zwierzę do słynnego weterynarza w Lake Tahoe. Sami też polecili, trochę dla wsparcia, a trochę po to, żeby ukraść kilka godzin na stoku.

W drodze powrotnej coś poszło nie tak i samolot rozbił się w górach Corteza. Śledczy federalni później ustalili, że z niewiadomych przyczyn niedźwiedź w chwili katastrofy znajdował się na siedzeniu drugiego pilota. Na kliszy z

odzyskanego aparatu fotograficznego Wheelerów było kilka zdjęć Borisa wciśniętego w fotel za sterami. Na jednym z ujęć Ursula Major zwijała się ze śmiechu na kolanach zwierzęcia, przykładając mu do pyska butelkę Bailey's. Na następnym Boris pozował ze słuchawkami na uszach i w ciemnych okularach.

Zapisy rozmów z wieżami kontrolnymi potwierdziły, że na pokładzie odrzutowca Wheelerów panowała wybitnie wesoła atmosfera, która mogła rozpraszać uwagę pilota. Nadal nie wiadomo, dlaczego samolot nagle spadł, choć asystentka Ursy przypuszcza, że pogodny nastrój niedźwiedzia mógł się raptownie ulotnić, jak tylko przestała działać ksylokaina. Gdy samolot spadał korkociągiem ku skałom, kontrolerzy usiłujący nawiązać łączność z załogą usłyszeli w odpowiedzi tylko dziwne prychnięcia i powarkiwania.

Państwo Wheelerowie zostawili spory majątek, który po zatwierdzeniu testamentu podzielono równo między ich dwoje małych dzieci. Joey Wheeler (nazwana tak na cześć aktorki i piosenkarki Joey Heatherton) w dniu śmierci rodziców miała zaledwie cztery lata, a jej brat Corbett (to po komiku Corbettcie Monice) sześć. Każde z nich stało się nagle właścicielem około czterech milionów dolarów, a na dodatek mieli gwarantowane udziały w zyskach z działalności kasyna rodziców.

Joey i Corbett wychowywali się w południowej Kalifornii pod opieką bliźniaczej siostry Lany Wheeler, która zawzięcie, lecz bezskutecznie kombinowała, jak się dostać do funduszu powierniczego, w którym ulokowano spadek. I tak, choć osierocone dzieci Wheelerów, wkraczając w dorosłość, zachowały majątek, ich niewinność doznała uszczerbku.

Corbett przeprowadził się do Nowej Zelandii, a Joey na Florydę. Tam nikomu nie przyznała się do swego bogactwa, nawet maklerowi giełdowemu, który został jej pierwszym mężem. Z Benjaminem Middenbockiem spotykała się pięć lat, po ślubie

byli razem jeszcze cztery, aż w ich życie wtargnął okrutny los pod postacią spadochroniarza, który pewnego słonecznego popołudnia zwałił się niczym worek cementu prosto na głowę Benny'ego wypróbującego akurat w ogrodzie nową wędkę. Po tej tragedii Joey została sama, otępieła i bogatsza niż kiedykolwiek dzięki siedmiocyfrowej sumie odszkodowania wypłaconej przez ubezpieczyciela nieszczęsnego skoczka.

Po raz drugi w swym młodym życiu niechęć zarobiła na śmierci kogoś bliskiego i trudno jej było nawet myśleć o pieniądzach, a co dopiero je tknąć. Nieuzasadnione wyrzuty sumienia skłoniły ją do zaangażowania się w działalność charytatywną i prowadzenia skromnego życia, choć pozostała jej słabość do włoskich butów. Miała nadzieję, że kiedyś będzie normalnie żyć wśród normalnych ludzi, a przynajmniej sprawdzi, czy to w ogóle możliwe.

Chaza Perrone'a poznała pewnego styczniowego popołudnia na parkingu przed Królestwem Zwierząt w Disneyworldzie. Właśnie dopadła nastolatka, który chwilę wcześniej gwizdnął torebkę belgijskiej turystce. Chłopak był uczestnikiem wycieczki młodzieżowej, którą Joey się opiekowała. Podobno miał chroniczne problemy ze skupieniem uwagi. Dziwne, że w gęstym tłumie turystów potrafił z łatwością skupić się na oryginalnej torebce Prady i ani na chwilę nie odwrócił uwagi od jej właścicielki, starszej pani - śledził ją od wybiegu mrówkojada aż do DinoLandu, gdzie porwał łup.

Joey ruszyła w pościg za przyszczatym złodziejem, dogoniła go za bramkami biletowymi i z całą siłą powaliła na rozgrzany chodnik. Czekaając na ochroniarzy, wytrząsnęła z jego kieszeni jeszcze breloczek od Gucciego i zapalniczkę od Tiffany'ego. To wzbudziło dodatkowe wątpliwości co do natury jego upośledzenia.

Chaz Perrone, który obserwował całe zdarzenie z wagonika odjeżdżającej właśnie kolejki, wyskoczył, żeby pogratulować Joey odwagi. Wydał jej się niesamowicie przystojny, więc nie broniła się przed flirtem. Chaz się pochwalił, że jest biologiem i przyjechał na kongres wybitnych naukowców, którzy pracują nad ratowaniem mokradł Everglades. Potem wyznał, że powinien być teraz na specjalnej wycieczce dla VIP-ów po Królestwie Zwierząt, ale się wymknął, żeby pograć w golfa na Bay Hill, ulubionym polu samego Tigera Woodsa.

Chaz pociągał Joey nie tylko swoim wyglądem, ale przede wszystkim zaangażowaniem w tak szlachetną ideę, jak ratowanie zagrożonej przyrody Florydy przed chciwymi trucicielami. Wtedy wydał się jej idealną partią, dopiero z perspektywy czasu zrozumiała, że jej osąd zniekształcały złe doświadczenia z przeszłości. Zanim poznała Chaza, była kolejno porzucana przez profesjonalnego tenisistę, ratownika i wreszcie zawieszono go w zawodzie farmaceutę. Ta ponura seria zachwiała jej samooceną i obniżyła standardy.

Z zapałem, żeby nie powiedzieć na oślep, rzuciła się zatem w nowy związek. Okres narzeczeństwa upłynął pod znakiem kolacji przy świecach, listów miłosnych, obsypywania kwiatami i szeptania czułości do ucha. Chaz miał nieodparty urok, więc Joey z łatwością mu ulegała. Najbardziej wyrazistym wspomnieniem z pierwszego roku małżeństwa stały się dla niej sceny namiętnego seksu. Jak się okazało, to był jedyny prawdziwy talent Chaza. A także jego obsesja. W drugim roku małżeństwa, kiedy nieco otworzyły jej się oczy, zdała sobie sprawę, że niez mordowaną chęć męża do spółkowania mylnie brała za wielką miłość, gdy tymczasem on traktował to bezosobowo, jak gimnastykę. Przekonała się też boleśnie, że Chaz nie uważa małżeństwa za jedyny możliwy układ seksualny.

Inne żony pewnie dawno by uciekły, ale Joey była zbyt ambitna i dumna. Postanowiła całkowicie zanurzyć się w świecie męża i zostać tym, co w poradnikach psychologicznych nazywają „prawdziwym partnerem życiowym”. Chciała stać się mu potrzebna do tego stopnia, że skończyłby z wybrykami i zmienił swoje zachowanie.

Rocznicowy rejs wydawał się dobrą okazją, by wcielić w życie ten plan, więc Joey przyjęła zaproszenie z dużymi nadziejami. Cieszyła się, że na nowo zbliżą się do siebie; tak radzą specjaliści od związków. Największe wyzwanie stanowiło wciągnięcie Chaza w choć jedną intymną rozmowę, która nie będzie dotyczyła nieźrównanej długości jego erekcji.

Niestety, odkąd wypłynęli, odpowiedni moment jakoś nie chciał nadejść. A może i nadszedł, ale Joey zabrakło motywacji. Pomijając seks, Chaz był po prostu niezbyt fascynującym facetem. Im dłużej Joey się wsłuchiwała w to, co mówi, tym większą pustkę czuła w środku. Jak na naukowca był zanadto beztroski, samolubny i skupiony na rzeczach materialnych. Rzadko opowiadał o swojej pracy w Everglades i sprawiał wrażenie, jakby los naszej planety niewiele go obchodził. Nie oburzały go plany prowadzenia odwiertów ropy w dzikich rejonach Alaski, za to potrafił złorzeczyć przez bitą godzinę (plując przy tym na wpeł przezutymi kawałkami małżów), kiedy usłyszał od innego pasażera, że Titleist podnosi ceny piłek golfowych.

Joey zdała sobie sprawę, że może do końca życia udawać entuzjazm dla zainteresowań męża, a jego i tak niewiele to obejdzie. Po jakiego więc diabła się z nią ożenił? Miała zamiar zadać mu to pytanie podczas nocnego spaceru po pokładzie, ale potem zmieniła zdanie.

Ołowiane chmury na niebie i mżawka przygnębiły ją i pragnęła tylko wrócić do kabiny i paść na łóżko.

Wpatrywała się w dal, w kierunku wybrzeży Afryki, zajęta myślami, gdy nagle Chaz upuścił coś na pokład i schylił się, żeby to podnieść. Mówił, że klucze. Kiedy poczuła wilgotne dłonie zaciskające się wokół jej kostek, trochę się przestraszyła, ale pomyślała, że Chaz chce jej rozsunąć nogi, aby skutecznie szybki numerek na świeżym powietrzu. Lubił takie akcje. Na pewno jednak nie spodziewała się, że ją wyrzuci za burtę.

Co za bydlak.

Przez niego tu jestem, myślała. Skrajnie wyczerpana, na wpół ślepa, i trzymam się kurczowo tego samego rekina, który chciał mnie pożreć.

Co jest zupełnie niedorzeczne, więc albo już umarłam, albo jestem blisko...

Chaz wiedział, że nie ma szans na położenie łapy na moich pieniądzech, nawet jeśli coś mi się stanie. Wiedział od samego początku, że mój spadek jest nienaruszalny. Czemu więc to zrobił?

Joey Perrone nic nie rozumiała. To wszystko nie miało żadnego sensu: Chaz, ten nieruchawy rekin o szorstkiej skórze i słodkawym zapachu, oszalałe mewy drące się nad głową - czy człowiek nawet umrzeć nie może w spokoju?

A już zupełnie niezrozumiały był narastający warkot silnika, plusk fal uderzających o... czyżby burtę łodzi? Joey, nie wierz swoim uszom, pomyślała. Skąd by się tu wzięła łódź?

Nie, to niemożliwe. Niemożliwe, żeby słyszała z oddali męski głos, który wołał:

„Wytrzymaj, mała. Jeszcze chwilkę!”

I potem ten sam głos mówiący: „Już dobrze, mam cię. Teraz możesz się puścić, nie bój się”.

Coś ją uniosło do góry, jakby nic nie ważyła. Kiedy wynurzała się z wody, lśniące krople spłynęły jej po nogach, a czubki palców musnęły pianę fal.

Później było już tylko rozkoszne ciepło, zapach świeżej pościeli i sen głęboki prawie jak śmierć.

Rozdział 3.

- Proszę się nie ruszać - powiedział nieznany mężczyzna.
 - Gdzie ja jestem?
 - W bezpiecznym miejscu. Niech pani spróbuje leżeć spokojnie.
 - Co z rekinem? Pogryzł mnie?
 - Jakim rekinem?
 - Tym, którego się trzymałam, kiedy mnie pan znalazł.
- Mężczyzna się roześmiał.
- To była bela marihuany.
 - Pan żartuje.
 - Najlepszej, jamajskiej. Całe trzydzieści kilo.
 - Pięknie. - W swoich majakach wzięła jutowy worek za skórę rekina. - Gdzie jestem? - spytała powtórnie. - Nic nie widzę. Co się stało z moimi oczami?
 - Są opuchnięte.
 - Od soli? Niech mi pan powie, że to...
 - I jadu meduz.
- Joey delikatnie dotknęła piekących powiek. Pewne jakaś aretuza otarła się o jej twarz, kiedy dryfowała na wodzie.
- Za dzień, dwa wszystko wróci do normy - powiedział mężczyzna.
- Joey wsunęła rękę pod koldrę; miała na sobie bluzę z polaru i spodnie od dresu.
- Dziękuję za ubranie - powiedziała. - Pewnie powinnam podziękować żonie?
 - To rzeczy mojej przyjaciółki.
 - Jest tutaj?

- Nie zaglądała od lat.

A więc byli zupełnie sami: Joey i nieznajomy wybawiciel.

- Ciągłe słyszę w głowie szum oceanu - powiedziała.

- Ma go pani za oknem. Jesteśmy na wyspie.

Joey była zbyt zmęczona, żeby się bać. Spodobał się jej głos tego człowieka. Nie sprawiał wrażenia psychopaty ani przestępcy seksualnego. Z drugiej strony nieraz się przekonała, że pierwsze odczucia bywają mylące.

- Proszę usiąść - usłyszała.

Poczuła zapach cytryny i smak mocnej gorącej herbaty. Wypiła cały kubek. Potem była zupa jarzynowa, którą też zjadła do końca.

- Szkoda, że nie mogę zobaczyć, jak pan wygląda - powiedziała
- skoro pan widział mnie w całej okazałości.

- Przepraszam, ale tak panią znalazłem.

Kompletnie gołą, obejmującą wór trawki, pomyślała z zażenowaniem Joey. Ciepło zupy rozlewające się po całym ciele przyprawiło ją o dreszcze. Przez chwilę się bała, że zwymiotuje. Mężczyzna zabrał kubek i ułożył jej głowę na poduszce.

- Teraz można spać - powiedział.

- Zdaje mi się, że czuję zapach mokrego psa.

- Zgadza się. Strasznie upierdliwy, ale kobiet raczej nie gryzie.

Bolało, kiedy się uśmiechała, tak bardzo miała suchą i napiętą skórę na twarzy.

- A co to za pies? - zdołała tylko zapytać.

Mężczyzna gwizdnął i zaraz się rozległ energiczny tupot łap po drewnianej podłodze. Wilgotny nosek dotknął szyi Joey. Pogłaskała zwierzaka po głowie, po czym mężczyzna przywołał go z powrotem.

- Duży - stwierdziła Joey.

- Doberman - odparł mężczyzna. - Za diabła nie mogę go nauczyć pływać. Joey, czy czujesz się na siłach opowiedzieć mi, co się stało?

- Skąd pan zna moje imię?

- Jest wygrawerowane na obrączce. Musiałem ją zdjąć, kiedy cię wsadzałem do wanny.

- Pan mnie kąpał?

- Wybacz, ale nie pachniałaś fiołkami.

Joey dotknęła kciukiem palca serdecznego lewej dłoni - platynowa ślubna obrączka była na swoim miejscu. Ten człowiek z łatwością mógł ją ukraść, ale tego nie zrobił. Mógł wmówić Joey, że zgubiła ją w morzu, a jednak włożył ją z powrotem na palec. Teraz już była gotowa uwierzyć, że to porządny facet. Pierwsze sygnały były obiecujące.

- Wypadłam za burtę - powiedziała.

- Jak to się stało?

- Płynęliśmy „Księżną Słońca”.

- Żeby wypaść z wycieczkowca, trzeba by co najmniej pięciometrowych fal. Wczorajsza pogoda nie była aż tak zła. - W głosie mężczyzny Joey usłyszała powątpiewanie.

- To nie fala mnie wyrzuciła, ale osobisty mąż.

- Aha.

- Nie wierzy mi pan?

W pokoju zapanowała trudna do zinterpretowania cisza. Joey uniosła głowę i obróciła ją w stronę, gdzie jak sądziła, siedzi mężczyzna.

- Nie wypadłam tak po prostu. Ten łajdak mnie wypchnął.

- Paskudna historia.

Joey opowiedziała wszystko ze szczegółami.

- Ale czemu to zrobił?

- Nie wiem. Przysięgam, że nie mam pojęcia.

Usłyszała, że mężczyzna wstaje i odsuwa krzesło od łóżka. Spytała, dokąd idzie.

- W domu nie ma telefonu - odparł. - Moja komórka ładuje się na łodzi.

- Chwileczkę. Do kogo chce pan dzwonić?

- Najpierw na posterunek straży, a potem na policję.

- Nie, błagam.

- Dlaczego?

- Jak panu na imię?

- Mick.

- Mick, proszę cię, nie dzwoń nigdzie. Przynajmniej na razie, dobrze? Muszę to sobie wszystko poukładać w głowie.

- Chcę ci pomóc. To, co zrobił twój mąż, to usiłowanie zabójstwa, i z tego co pamiętam, wciąż jest karalne.

- Wstrzymaj się jeszcze.

- Dobrze, jak chcesz.

Jego głos dobiegał teraz z większej odległości; Joey wiedziała, że stoi w drzwiach i mówi tak tylko, żeby ją zbyć.

- I tak zadzwonisz, prawda? Jak tylko zasnę, wymkniesz się i zawiadomisz policję.

- Obiecuję, że nie.

- Uhm, to dokąd w takim razie idziesz?

- Wysikać się. Mogę?

Z uśmiechem opadła na poduszkę. Boże, jestem okropna, pomyślała.

Straż przybrzeżna rozszerzyła obszar poszukiwań do prawie ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych, choć przede wszystkim koncentrowała się na trapezoidalnym sektorze na północ od linii brzegowej okręgu Miami-Dade, kierując się fałszywymi wskazówkami Chaza Perrone'a. On sam nadal był przekonany, że ratownikom nie uda się odnaleźć Joey, ale trochę się obawiał, że jeśli rekiny się nie spisały, jej poszarpane zwłoki mogą wypłynąć na brzeg gdzieś w okolicach Keys. To by oznaczało sporą lukę w jego fikcyjnej chronologii i wzbudziło podejrzliwość irytującego detektywa z Broward.

Zaledwie w godzinę od zejścia ze statku Chaz przeżył chwilę grozy. W swoim pokoju w hotelu Harbor Beach Marriott miał włączony telewizor i nagle usłyszał zapowiedzi wieczornych wiadomości: załoga statku rybackiego niedaleko Ocean Reef zahaczyła podczas trollingu o ludzkie zwłoki - szczegóły po przerwie!

Chaz bez tchu wybiegł z łazienki, gdzie bezskutecznie próbował się onanizować nad stertą duńskich świerszczyków. Przez trzy minuty reklam środków przeczyszczających trząsł się ze strachu, czy to nie jego żonę wyłowili zaskoczeni wędkarze.

Relację rozpoczęto od szarpanego ujęcia z helikoptera pokazującego zakotwiczony jacht. Potem było zbliżenie na ciało przykryte żółtą płachtą, wciągane na noszach na pokład kutra straży przybrzeżnej. Następnie, już w porcie, zapytany przez reportera mat z pechowej łodzi, młody blondyn, powiedział o ponurym znalezisku: „Od razu wiedzieliśmy, że to nie żaglica, bo się nie szarpała”.

W końcu prezydent oznajmił posępnym głosem, że ofiarą jest turysta z Newport, którego od trzech dni poszukiwano, po tym jak

się rozbił wypożyczonym skuterem wodnym, wjeżdżając w parę kopulujących żółwi kareta.

Chaz opadł na łóżko z głośnym westchnieniem ulgi - jego żona nadal była uznawana za zaginioną na morzu.

Chaz postanowił spędzić noc w Marriotcie, bo znajdował się blisko portu i posterunku straży przybrzeżnej. Mógł wrócić do domu, to tylko pół godziny jazdy stamtąd, ale uznał, że jeśli pozostanie pod ręką i do dyspozycji policji oraz służb ratowniczych, zwiększy swoją wiarygodność. Niech widzą, że chce pomóc.

Był zaskoczony, kiedy namierzyła go dziennikarka z „Sun Sentinel”, ale nie stracił zimnej krwi. Kobieta zadzwoniła do niego i wyjaśniła, że przeglądając raporty policji, natrafiła na zgłoszenie o zaginięciu kobiety, a tam jako kontakt do jej męża podano telefon do hotelu.

- Zna pani szczegóły? - spytał Chaz.

Odparła, że nie.

- Kiedy po raz ostatni widział pan żonę, panie Perrone?

- Doktorze Perrone - poprawił ją.

- O, a w czym się pan specjalizuje?

- Ekologia obszarów podmokłych.

- Aha, czyli nie jest pan lekarzem.

- Nie. Biologiem. - Chaz miał nadzieję, że kobieta po drugiej stronie linii nie usłyszała, jak zgrzytnął zębami. Nie cierpiał, gdy ludzie reagowali na to lekceważeniem.

- To kiedy ostatni raz widział pan panią Perrone?

Chaz opowiedział dziennikarce to samo co detektywowi, tylko w skróconej wersji.

Nie wydawała się szczególnie zainteresowana. To dobrze, bo Chaz najmniej pragnął teraz szumu medialnego.

- Podejrzewa pan, co się mogło stać?

- Nie mam pojęcia. Słyszała pani kiedyś o czymś takim?

- Oczywiście. Zdarzają się przypadki, że ludzie nie wracają z rejsów, ale zwykle się okazuje, że...

- Że co? - przerwał jej, choć znał odpowiedź: zwykle to są wypadki po alkoholu lub samobójstwa. Oj, dobrze się przygotował. - Oni niewiele mówią, to frustrujące.

- Zadzwoń do pana, jeśli się czegoś dowiem. Jak długo pan będzie pod tym numerem?

- Aż ją znajdą - odparł ze stoickim spokojem.

Kiedy skończył rozmowę, pobiegł do holu i z automatu telefonicznego zadzwonił do Ricci.

- Stało się coś strasznego - powiedział. - Joey wypadła ze statku.

- Co? Jak to: wypadła?

- W każdym razie na to wygląda. Nigdzie nie mogą jej znaleźć.

- Boże...

- Nie mieści mi się to w głowie.

- Myślisz, że wyskoczyła?

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Może się o nas dowiedziała?

- Wykluczone.

- Całe szczęście.

Po drugiej stronie zapadła cisza, którą Chaz natychmiast rozszyfrował.

- A może dowiedziała się o czymś innym? - powiedziała Ricca.

- Błagam, nie zaczynaj. Nie teraz. - Ricca za grosz nie miała do niego zaufania.

- Albo o kimś innym? Na przykład innej kochance.

- Nie bądź niemądra. Nie ma nikogo innego.

- Akurat.

- Ricca, nie odgrywaj mi tu teraz Glenn Close, ja naprawdę nie mam na to czasu. Pół straży przybrzeżnej szuka w tej chwili mojej żony. Wszystko poszło w ruch: kutry, motorówki, śmigłowce.

- Nie spotykasz się z innymi kobietami? Naprawdę?

- Naprawdę. Słuchaj, muszę kończyć...

- Mogłabym wpaść wieczorem - zaproponowała. - Oderwać cię na chwilę od tych smutnych spraw.

Korciło go, żeby się zgodzić, ale Ricca była dość głośną kochanką. Co najmniej trzykrotnie jej orgazmiczne jęki i krzyki były powodem interwencji hotelowych ochroniarzy, którzy wpadali do pokoju przekonani, że ktoś kogoś morduje za pomocą szpikulca do lodu.

Dziś Chaz nie mógł ryzykować takiego zamieszania. Nie wygląda to dobrze, kiedy mąż zostaje przyłapany na bzykaniu kochanki w niespełna dobę po zaginięciu żony.

- Jutro zadzwonię - obiecał.

- Skarbie, strasznie mi przykro z powodu Joey.

- Dzięki. Cześć, Ricca.

- Czekaj, kto to jest Glenn Close?

Chaz wstąpił do baru i zamówił martini. Tam go zastał Karl Rolvaag, detektyw okręgu Broward.

- Napije się pan czegoś? - spytał Chaz.

- Chodźmy się przejść.

Chaz przelał drink do plastikowego kubka i razem z Rolvaagiem wyszli na zewnątrz.

Słońce już zachodziło, było wietrznie i dość ciepło. Pogoda identyczna jak poprzedniego wieczoru. W hotelu odbywało się

wesele, na dziedzińcu przy bujnie kwitnących bugenwillach panna młoda pozowała do zdjęć. To była ponętna, dziewiętnasto-, może dwudziestoletnia Kubanka. Chaz złapał się na tym, że snuje nieprzyzwoite fantazje o czekającym ją miodowym miesiącu.

- Nadal ani śladu - odezwał się detektyw.

- Słucham?

- Pańskiej żony.

- Aha.

- Prawdopodobnie jutro zwiną manatki.

- Pan żartuje! Myślałem, że takie akcje trwają co najmniej tydzień.

- Nie wiem, jak wygląda standardowa procedura. Musiałby pan spytać kogoś ze straży.

- Ale oni nie mogą tak szybko zrezygnować! - krzyknął Chaz, myśląc: To zbyt piękne.

Przestraszył się, kiedy rozszerzono obszar poszukiwań na południe, bo wiedział, że to oznacza skierowanie helikopterów niebezpiecznie blisko miejsca zbrodni.

- Mam do pana jeszcze kilka pytań - powiedział detektyw. - Rutynowe sprawy, choć niekoniecznie przyjemne.

- Nie możemy tego załatwić kiedy indziej?

- To nie zajmie wiele czasu.

- Chryste Panie. No dobrze, załatwmy to. - Chaz miał nadzieję, że wydał się dostatecznie zniecierpliwiony.

- Czy kiedykolwiek wykupywał pan żonie polisę na życie? - spytał Rolvaag.

- Nie.

- A ona sobie?

- Że niby za moją namową?

- Wszystko jedno.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- To łatwo sprawdzić, panie Perrone.
- I nie wątpię, że pan to zrobi. Tak na marginesie, doktorze Perrone.

Detektyw spojrział na niego z pewnym zaciekawieniem, po czym drążył dalej.

- Prowadzicie państwo wspólne interesy? Inwestycje, papiery wartościowe, nieruchomości...?

Chaz mu przerwał.

- Oszczędzę panu czasu. Joey ma własne pieniądze, i to mnóstwo. - Pogratulował sobie w duchu, że nie zapomniał użyć czasu teraźniejszego. - W razie jej śmierci nie dostaję ani centa. Wszystko idzie na cele charytatywne.

- Kto jest beneficjentem?

- World Wildlife Mission. Słyszał pan o nich?

- Nie - odparł Rolvaag.

- Organizują kampanie na rzecz ratowania zagrożonych pingwinów czy pand. Takie tam.

- I nie ma pan nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. Przecież jestem biologiem. Jestem całym sercem za ochroną przyrody.

- Mam na myśli to, że nie dostanie pan ani centa z majątku żony.

- Wie pan, to nie są moje pieniądze, to spadek rodzinny. Żona może z nim zrobić, co zechce.

- Niewielu mężów tak do tego podchodzi.

Chaz się uśmiechnął.

- Cóż, gdyby nagle zmieniła zdanie i postanowiła przepisać wszystko na mnie, oczywiście nie podrę czeku. Ale ona ma inne plany.

- Czy bywało to źródłem konfliktów między wami?

- Ależ skąd. Wyłożyła karty na stół, jeszcze zanim się zaręczyliśmy. Jej rodzice zginęli w wypadku lotniczym i zostawili jej kupę forsy. Co miałem powiedzieć: „Odpal mi połowę, kochanie”?

Detektyw zapytał o wartość majątku Joey. Chaz zgodnie z prawdą odpowiedział, że dokładnie jej nie zna.

- Może to być kilka milionów dolarów?

- Może. W intercyzie nie umieszczono konkretnej kwoty.

Zapomniał dodać, że podpisał tę intercyzę w przekonaniu, że po jakimś czasie zostanie unieważniona. W swej niezachwianej próżności sądził, że jego urok osobisty skłoni w końcu świeżo poślubioną małżonkę do podzielenia się ogromnym spadkiem. Wyobrażał sobie, że ta intymna uroczystość odbędzie się w sypialni (jakżeby inaczej) po nocy pełnej szalonego seksu. Wciąż promieniejąca Joey rozłoży intercyzę i zbliży ją do płomienia pachnącej świecy. Nic takiego jednak nie nastąpiło i prawie po dwóch latach oczekiwania Chaz porzucił nadzieję. Nawet nie chodziło o to, że Joey jest skąpa, ona po prostu nie przykładła wagi do swego majątku. Chaz uważał to za przestępstwo przeciw naturze. Jaki sens, pytał sam siebie, ma życie u boku bogatej kobiety, skoro ona nie potrafi i nie chce korzystać ze swojego majątku? Odpowiedź brzmiała: żadnego.

- A po ślubie - ciągnął Rolvaag - jak się umówiliście co do kwestii finansowych?

- Zwyczajnie: osobne konta, opłaty dzielone na pół.

- Rozumiem.

- Czemu pan nic nie notuje?

- To zbędne - odparł detektyw. - Ma pan adwokata, panie Perrone?

- A będzie mi potrzebny? - Do tej pory rozmowa toczyła się dokładnie po myśli Chaza. - Czyżby pan nie mówił mi wszystkiego? Znalaziono jakieś ślady sugerujące popełnienie przestępstwa?

- Nie. Zauważyłem, że pan dzwonił z automatu w hotelu. Ciekawi mnie, czemu pan nie skorzystał z telefonu w po ojcu? Cisza, spokój...

- Cóż...

- I przyszło mi do głowy, że mógł pan się kontaktować adwokatem, bo niektórzy prawnicy tak robią: każą klientom dzwonić z automatów.

- Dlaczego?

- Wtedy taka rozmowa nie zostaje odnotowana w rejestrze połączeń wychodzących. Musieli się naoglądać kiepskich filmów.

- Ja nawet nie znam żadnego prawnika - oznajmił Chaz.

- W porządku.

- Dzwoniłem do naszej gosposi. Musiałem jej podać kod alarmu, bo kiedy w poniedziałek przyjdzie do pracy, nikogo nie zastanie w domu. Przypomniałem sobie o tym, będąc już w windzie.

- No tak, ma pan teraz tyle na głowie - przyznał Rolraag.

- Na imię jej Ricca, gdyby pan chciał sprawdzić.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ricca... kurczę, jak ona ma na nazwisko? - mruknął Chaz jakby do siebie.

Tymczasem dotarli do plaży i brnęli po piasku w stronę pirsów. Chaz był zadowolony ze sposobu, w jaki wybrnął ze sprawy telefonu. Detektyw chyba to kupił.

Nagle Rolvaag stanął i oparł rękę na ramieniu Chaza.

- Niech pan spojrzy, panie Perrone.

Przez jedną straszną chwilę Chaz bał się podnieść wzrok. A więc nie była to niewinna przechadzka - detektyw w okrutny sposób go wystawił. Kolana się pod nim ugięły.

Okazało się jednak, że Rolvaag nie pokazywał spuchniętych zwłok Joey wyrzuconych na plażę, czego obawiał się Chaz. Wskazywał na migotliwą sylwetkę statku wypływającego z portu.

- "Księżna Słońca" - powiedział. - Trzymali ją w porcie dwie godziny dłużej, żeby dokończyć przeszukiwanie.

Chaz powoli wypuścił powietrze z płuc, starając się ukryć dziką radość i nieopisaną ulgę, jaką poczuł w tej chwili.

- I nic nie znaleźli? Ani śladu? - powiedział.

- Obawiam się, że nie.

- Więc na pewno wpadła do wody.

- Tak należałoby przypuszczać.

- Ale Joey świetnie pływa, jak zawodowiec. Nie można tak po prostu przerwać akcji po dwóch dniach.

- Wiem, co pan czuje - rzekł Rolvaag.

- To co ja mam teraz zrobić? - spytał Chaz łamiącym się głosem.

Całkiem nieźle mu to wyszło. Opłacało się trenować.

- Co, do cholery, mam teraz robić?

Poszli z powrotem w stronę hotelu.

- Może ma pan jakiegoś znajomego księdza, z którym mógłby pan porozmawiać? - zasugerował detektyw. - Kogoś zaprzyjaźnionego z rodziną?

- Niech pomyślę - odparł Chaz.

W środku aż dusił się ze śmiechu.

Rozdział 4.

Mick Stranahan stanął na pomoście, przymocował do żyłki sztuczną muchę i zarzucił wędkę. Była to dla niego swego rodzaju terapia, a przy okazji świeża ryba przyda się na kolację. Trochę czasu minęło, odkąd na wyspie mieszkała kobieta i Stranahan nie bardzo widział, co zrobić z Joey Perrone.

Nie miał powodu, żeby wątpić w jej opowieść, ale też nie miał powodu, by w nią wierzyć. Z całą pewnością nie powinien się w to mieszać, bo to by się odbiło na jego zdrowiu. Przede wszystkim oznaczałoby częstsze wizyty na lądzie, a dla Stranahana każda minuta spędzona w mieście to męczarnia. Zawsze stamtąd wracał z takim bólem głowy, jakby ktoś mu ścisnął czaszkę w imadle.

Obecnie jeździł do Miami tylko po to, żeby uzupełnić zapasy i odebrać rentę inwalidzką, przyznaną mu za zabicie skorumpowanego sędziego, który strzelił do niego pierwszy podczas jego aresztowania. Mick Stranahan w żadnym razie nie był inwalidą, lecz biuro prokuratora stanowego potrzebowało przekonującego pretekstu, by go odesłać na emeryturę w sędziwym wieku trzydziestu dziewięciu lat. Rana postrzałowa świetnie się do tego nadawała.

Stranahan nie chciał rezygnować z pracy, ale dyskretnie mu wytłumaczono, że ze względów politycznych prokurator nie może utrzymywać na stanowisku oficera śledczego (choćby i skutecznego), który zabił legalnie wybranego sędziego (choćby i nieuczciwego).

Stranahan zgodził się więc na ten śmiechu warty układ, kupił stary drewniany dom na palach nad zatoką Biscayne i żył tam sobie w spokoju wiele lat, aż przyszedł huragan Andrew i rozwalił wszystko w drzazgi.

Tamtego dnia przebywał w Coconut Grove u swojej siostry, ponieważ jej beznadziejny mąż był zbyt zajęty imprezowaniem na kongresie prawników w Bostonie, żeby przylecieć do domu i zamontować okiennice. Dwa dni później, gdy wszystko ucichło, Stranahan odpalił motorówkę i wśród dryfujących śmieci i szczap drewna popłynął do Stiltsville. Tam, gdzie kiedyś stał jego dom, ujrzał tylko osiem gołych pali sterujących z wody. Okrążył je raz, po czym skierował łódź na południe.

Zatrzymał się przy jakiejś wysepce, właściwie fragmencie rafy koralowej, niewiele większej od stojącego na niej skromnego piętrowego domu w kształcie litery L. Betonowa konstrukcja świetnie zniosła atak huraganu, lecz napór fal wybił szyby i zmiotł wszystko, co było w środku, łącznie z lokatorem, opiekunem nieruchomości. Mick z chęcią najął się na jego miejsce.

Właścicielem był ceniony meksykański pisarz, którego skomplikowane życie osobiste zmuszało od czasu do czasu do szukania schronienia poza granicami kraju. W ciągu ośmiu lat pokazał się na wyspie tylko cztery razy i nigdy nie zostawał dłużej niż kilka dni. Podczas ostatniej wizyty Stranahan zauważył u niego dziwną bladość i wryte na twarzy zmęczenie.

Kiedy go spytał, czy na coś choruje, pisarz się roześmiał i postawił milion pesos, że pokona Micka na rękę.

Mimo to Stranahan przewidywał, że pewnego dnia przyplynie strażnik z pismem, że stary pisarz zmarł i wyspa zostanie sprzedana Służbie Parków Narodowych. Ale na razie zamierzał pozostać w betonowym domu, dopóki go oficjalnie nie eksmitują.

Jedynym jego stałym towarzyszem był doberman, którego dwa lata temu w październiku znalazł na brzegu po przejściu cyklonu. Podejrzewał, że wypadł komuś z łodzi, ale nikt się nie zgłosił. Stranahan dał mu na imię Strom. Pies okazał się uparty i głupi jak but, ale w końcu zdołał się nauczyć dwóch rzeczy, do których

doberman są genetycznie predysponowane - szczekania i toczenia piany z pyska. I byłby z niego całkiem przyzwoity stróż, gdyby nie słaby wzrok i ogólna niezdarność. Stranahan często przywiązywał go do palmy, bo ten cymbał się rzucał na widok każdej przepływającej łodzi i łatwo mógłby się ześliznąć z nabrzeża.

Mick zerknął z sympatią na psa drzemiącego w skrawku cienia pod drzewem. W wiadrze trzepotały się trzy tłuste lucjany szare, ale doberman nawet nie drgnął. Wykazywał godny pochwały brak zainteresowania większością poczynań Stranahana, w tym łowieniem ryb i okazjonalnymi romansami. Gości płci żeńskiej witał pobieżnym obwąchaniem, a potem zazwyczaj ignorował. Zupełnie jakby wiedział, że są tu tylko na krótko i nie warto się przywiązywać.

Wbrew opinii psa Mick Stranahan nie uważał się za ekscentryka ani pustelnika, mimo że w wieku pięćdziesięciu trzech lat mieszkał samotnie na wyspie na skraju Atlantyku, bez telefonu, telewizji i komputera. To jednak smutna prawda, że przybywające tu kobiety rzadko wytrzymały dłużej niż kilka miesięcy. Potem nieustanny spokój i cisza doprowadzały je do szału. Stranahan żegnał je z przykrością, ale tak było dla nich lepiej, niż gdyby się z nimi żenił, co miał w zwyczaju, gdy jeszcze mieszkał na półwyspie.

O Joey Perrone nie wiedział nic, ale był pod wrażeniem jej siły i psychiki. Niejeden pływak po takiej nocy spędzonej na oceanie byłby w stanie katatonii lub bełkotałby od rzeczy, a ona zachowała pełną jasność umysłu. Stranahan postanowił dać jej trochę czasu. Wiedział, jak to jest ledwo ująć z życiem. O ile to, co mówiła, jest prawdą.

Korciło go, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, zadać jej szereg pytań, powęszyć jak za dawnych lat, ale mądrzejszy wewnętrzny głos radził, żeby tego nie robić. Pani Perrone i jej problemy

mażeńskie wkrótce znikną z jego życia, a potem sprawą zajmie się policja. W końcu jestem na emeryturze, pomyślał, zdejmując z haczyka następną rybę.

Emeryt.

Minęło parę lat, a to wciąż brzmiało jak żart.

- Co ty właściwie tam robiłeś? - zapytała Joey.

- Gdzie?

- Na oceanie w tej swojej łupince.

Stranahan kolejno zanurzał filety w roztrzepanym jajku.

- Po pierwsze, to niezupełnie było na oceanie. Raptem kilometr od Elliott Key. Polowałem na tarpony.

- Chcesz powiedzieć, że i tak wylądowałabym na brzegu?

- Prędzej czy później, owszem.

- Czyli zasadniczo nie można powiedzieć, że mnie uratowałeś? - odparła.

- Uważaj na kuchenkę.

Każdy filet wędrował do miski z bułką tartą, a potem na patelnię. Joey słyszała skwierczenie, kiedy lądowały w gorącym tłuszczu - naliczyła ich osiem i zastanawiała się, czy wystarczy dla nich obojga. W życiu nie była tak głodna.

- Mick, opowiedz mi o sobie. Obiecuję, że najmroczniejsze sekrety zachowam dla siebie.

- Jak się czujesz? Z oczami lepiej?

- Nie wiem. Powiem, kiedy pozwolisz mi zdjąć tę cholerną opaskę.

- Możesz ją zdjąć w każdej chwili.

Stranahan zrobił ją z ręcznika. Odciął pasek, zamoczył go w chłodnej wodzie z wyciągiem z aloesu i delikatnie zawiązał Joey wokół oczu. Godzinę wcześniej, kiedy uparcie próbowała się

samodzielnie poruszać po domu, potknęła się o worek z psią karmą i mało nie skręciła nogi.

- Nawet nie wiem, jakie nosisz nazwisko.

- Stranahan.

- I czym się pan, panie Stranahan, zajmuje poza wyławianiem kobiet z morskich głębin?

- Tam wcale nie było głęboko. Może z sześć metrów.

- No nie. Uparłeś się, żeby mi do reszty zepsuć tę przygodę - powiedziała Joey. - Już i tak jestem załamana, że zawdzięczam życie jakimś przemytnikom. Teraz jeszcze mówisz, że byłam właściwie pięć minut od plaży.

- A poczujesz się lepiej, kiedy ci powiem, że tydzień temu w tym samym miejscu widziałem czterometrowego rekina młota?

- Żartujesz.

Stranahan pokręcił głową.

- Naprawdę. Wcinał płaszczkę na obiad.

- Niemożliwe!

- Wolisz limonki czy sos tatarski? - spytał.

- Jedno i drugie. - Joey aż podskoczyła, kiedy nagle chwycił ją za rękę.

- Nie bój się. - Zaprowadził ją do stołu na drewnianym tarasie.

Skrzywiła się pod wpływem blasku słońca, więc poradził jej nie odsłaniać oczu. Nie miała problemów z odszukaniem talerza. Pochłonęła cztery panierowane filety oraz dwie porcje fasolki z ryżem. Potem Mick przyniósł jej kawałek ciasta cytrynowego i zimne piwo.

- Najlepszy posiłek, jaki w życiu jadłam - oświadczyła, szukając po omacku serwetki.

- Coś mi się zdaje, że szybko dojdiesz do siebie.

- Co to za dźwięk, śmigłowiec?
 - Tak. Straż przybrzeżna. - Stranahan spojrział na pomarańczowy punkt przemieszczający się w powietrzu po drugiej stronie zatoki.
 - Ciekawe, czy to mnie szukają.
 - Możliwe.
- Joey poruszyła się niespokojnie.
- Chcesz już wracać do środka? - spytała.
 - A co?
 - Czyżby słońce zaczynało się chować? Poznają, bo zrobiło się chłodniej. Ładny jest dzisiaj zachód?
 - Nigdy nie widziałem brzydkiego.
 - Jutro ściągam opaskę i wreszcie się dowiem, jak wyglądasz. Stawiam na Clintę Eastwooda w średnim wieku.
 - To się mocno rozczarujesz.
 - Ale jesteś wysoki, prawda? Pod pięćdziesiątkę?
 - Tuż po.
 - Szpakowaty?
 - Chcesz jeszcze piwa?
 - Na razie dziękuję. Podaj mi jeszcze raz swoje dłonie.
- Stranahan się roześmiał.
- O, nie. Śmierdzą rybą.
 - Jesz rękami? Fajnie!
 - Kiedyś miałem lepsze maniery, ale tak to jest, jak się długo mieszka samemu.
 - Ile razy byłeś żonaty? Wiem, że niegrzecznie o to pytać, ale mam dziwne przeczucia.
 - Sześć - odparł Stranahan. - Sześć razy. - Wstał i zaczął zbierać talerze ze stołu.

- Jezus, miałam powiedzieć trzy.
 - Jak widzisz, jestem pełen niespodzianek.
 - Co się stało? - zapytała, lecz w odpowiedzi usłyszała tylko stuknięcie siatkowych drzwi. Po chwili z kuchni dobiegł odgłos lejącej się wody i brzęk naczyń. Gdy Stranahan wrócił na taras, zaczęła go przeproszać.
 - Za co? - zdziwił się.
 - Że jestem taka wścibska. Pomyślałam, że się wkurzyłeś, bo trzasnąłeś drzwiami.
 - Nie, one tak mają. Zawiasy całkiem zardzewiały. - Włożył jej do ręki schłodzoną butelkę. - Ale fakt, że sześć byłych żon to żaden powód do chwały.
 - Przynajmniej żadna nie próbowała cię zamordować - powiedziała Joey.
 - Jedna była blisko.
 - Naprawdę? Poszła siedzieć?
 - Nie, umarła.
- Joey zatkało. Napiła się piwa.
- Spokojnie, nie zabiłem jej.
 - Kim była?
 - Kiedy się poznaliśmy? Kelnerką, jak wszystkie pozostałe.
- Joey zachichotała.
- Ożeniłeś się z sześcioma kelnerkami?
 - Pięcioma. Ostatnia żona była producentką telewizyjną.
 - Och, Mick.
 - I wszystkie na początku były cudowne. To, że się potem psuło, to zazwyczaj była moja wina.
 - Ale co ty sobie myślałeś? Przecież zanim doszedłeś do numeru szóstego...

- W ogóle nie myślałem - odparł Stranahan. - W miłości nie ma miejsca na rozum. Powinnaś o tym wiedzieć.

Joey Perrone oparła się na krześle i zwróciła twarz ku słabnącemu światłu.

- Założę się, że niebo jest teraz pełne odcieni złota i różu. Boże, muszę wyglądać koszmarnie w tej opasce.

- Czy Chaz to twój pierwszy mąż?

- Drugi. Pierwszy zginął. W wypadku - dodała szybko.

- Fatalnie.

- Był maklerem. Chaz jest biologiem.

- Zaraz zjedzą cię komary. Chodźmy do środka.

- Ciekawe, oczy mnie pieką tylko wtedy, kiedy płacę. Żebym tylko mogła przestać.

- No już, weź mnie za rękę.

- Nie, tu jest fajnie. Owady mi nie przeszkadzają. I wiesz co? Wcale nie ryczę z powodu tego sukinsyna Chaza Perrone'a. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że już go nawet nie kochałam.

Stranahan milczał. Był ekspertem od wypalonych związków. Ta dojmująca pustka, która zalega między dwojgiem ludzi, dopóki któreś nie zrobi pierwszego ruchu.

- Ale to, co mi zrobił tam - pokazała na ocean - wkurzyło mnie tak, że nie masz pojęcia...

Chyba mam, pomyślał Stranahan. Pytanie wisiało w powietrzu, więc je zadał:

- To czemu płaczesz?

- Chyba sobie zdałam sprawę, że moje życie sprowadza się do tej jednej chwili, tego jednego miejsca i tej - ze złością machnęła ręką - okropnej, beznadziejnej sytuacji. Nie obraż się, Mick, ale

niekoniecznie marzyłam, żeby wylądować na jakiejś odludnej wyspie z obcym facetem, do tego na wpół ślepa. Nie spodziewałam się, że w wieku trzydziestu paru lat znajdę się w takim położeniu.

- Słuchaj, pozbierasz się i jeszcze wszystko się ułoży.

- Jasne. Po tym, jak mnie skurwysyn mąż wyrzucił za burtę w czasie rejsu z okazji rocznicy ślubu! Niby jak kobieta ma się po czymś takim pozbierać? Jak można przejść obok tego rodzaju osobistej porażki?

- Widok Chaza w kajdankach mógłby ci przynieść pewną ulgę. Czemu nie pozwolisz mi zadzwonić na policję?

Joey potrząsnęła głową tak gwałtownie, że o mało nie spadła jej opaska.

- Mick, proces byłby koszmarem, moje słowo przeciwko jego. Twierdziłby na pewno, że się schlałam, za mocno wychyliłam za reling i wypadłam. Mogę się założyć, że już to rozpowiada. Cztery lata temu w Daytona Beach głupio dałam się złapać na jeździe po alkoholu, więc prawnicy Chaza wyciągną w sekundę. „Pani Perrone, proszę stanąć na miejscu dla świadków i opowiedzieć sądowi, jak narzeczony, zawodowy tenisista, rzucił panią dla modelki, a potem pani wypić całą butelkę caberneta, zaparkowała samochód na środku autostrady i zasnęła za kierownicą...”

- No dobrze, uspokój się.

- Ale mam rację, prawda? Moje słowo przeciwko jego.

Stranahan przyznał, że w sądzie mogłoby się zrobić nieprzyjemnie.

- To wprawdzie nie moja sprawa, ale czy nie wchodzi tu w grę pieniądze? Czy Chaz by się wzbogacił po twojej śmierci?

- Nie.

- A ubezpieczenie?

- Z tego co wiem, nie. Teraz widzisz, czemu jestem taka skołowana. Nie widzę żadnego sensu w tym, co zrobił. Jeśli chciał rozwodu, wystarczyło powiedzieć.

Zapytała Micka, co by zrobił na jej miejscu.

- Na początek zdjąłbym obrączkę.

Zmieszana Joey zsunęła platynowy krążek z palca i schowała go w dłoni.

- Co teraz?

- Ja bym poszedł prosto na policję. - Stranahan się zastanawiał, jakie inne kroki może rozważać Joey. Postanowił nie pytać, bo wzmógł się wiatr i chyba zaczął rozwiewać gdzieś jej gniew.

- Uśmiechasz się. To dobrze - zauważył.

- Bo coś mokrego mnie łaskocze.

- Co?

- Mick, powiedz, że to pies.

Stranahan zajrzał pod stół.

- Strom, ty łobuzie. - Pociągnął dobermana za obrozę.

- Chyba mnie lubi - zaśmiała się Joey. - Ale oni wszyscy na początku tak się zachowują.

* * *

Detektyw Karl Rolvaag doszedł do wniosku, że jego miejsce jest jednak na Środkowym Zachodzie. Zawsze to czuł i każdy kolejny dzień w pracy go w tym utwierdzał.

Właściwie wszędzie indziej byłoby dobrze, w Michigan, w Wisconsin, w Minnesocie czy nawet w którejś z Dakot. Tam przestępstwa są proste i oczywiste. Ich motorem jest chciwość,

pożądanie lub alkohol. Floryda jest bardziej skomplikowana i radykalna, tu racjonalne hipotezy zawodzą. Każdy bandzior w Ameryce prędzej czy później tu trafia, tyle jest okazji do popełnienia przestępstw.

- Nie podoba mi się ten Perrone - oświadczył Rolvaag swojemu przełożonemu.

- Już? Tak szybko?

Kapitan nazywał się Galio. Lubił Rolvaaga, bo ten poprawiał wyniki wydziału - detektyw rozwiązywał wiele trudnych spraw. Prywatnie był raczej mrukiem.

- Myślisz, że ją wypchnął? - spytał Galio. - Nawet jeśli, nie będziemy w stanie mu tego udowodnić.

Rolvaag wzruszył ramionami.

- Nie wiem, po prostu nie podoba mi się ten typ i tyle.

Pili kawę w barze na stacji benzynowej przy drodze numer 84. Zbliżała się północ, Rolvaagowi się śpieszyło, bał się, że szczury się rozpierzną po całym samochodzie.

- A ta żona - ciągnął Galio - mówiłeś, że ile jest warta?

- Plus minus trzysta tysięcy. Zarządcy majątku jeszcze liczą.

- Ale mężulek nie dostanie ani grosza? Nawet z ubezpieczenia?

- Z tego co dotąd ustaliłem, nie, ale to dopiero początek.

- Głupio by zrobił, kłamiąc w tej sprawie.

- Zgadzam się. - Rolvaag zerknął na zegarek. Minęło sześć godzin, odkąd wyszedł ze sklepu zoologicznego. Oby szczury nie wygryzły dziury w pudełku po butach.

- Co mówią o nim jej krewni?

- Rodzice pani Perrone nie żyją, a jedyny brat mieszka na farmie owiec gdzieś w Nowej Zelandii.

Galio zmarszczył brwi.

- Oj, to będzie kosztowny telefon. Postaraj się streszczać.

- Dobra, dobra. - Rolvaag nie znosił, kiedy szef czepiał się go o byle głupstwa.

Detektyw przeprowadził się do Fort Lauderdale z St. Paul, ponieważ jego żona z niewiadomych przyczyn zapragnęła pomieszkać w tropikach. Dziesięć lat później się rozwiedli, ona wróciła do Minnesoty, a on nadal tkwił na Florydzie, pocąc się jak mysz przez jedenaście i pół miesiąca w roku.

W teczce chował jednak bilet do wolności. Był to list od szefa policji w Edinie, uroczym miasteczku na przedmieciach Minneapolis. Proponowano mu pracę w wydziale najcięższych przestępstw, których wiele tam nie ma. Rolvaag zamierzał wręczyć Galio wypowiedzenie, gdy tylko przyjdzie odpowiednia chwila.

- I nie sądzę, żeby któryś z pasażerów cokolwiek widział lub słyszał - powiedział Galio. - Ładna laska wypada za burtę, a wszyscy smacznie śpią.

Rolvaag wyjaśnił bez cienia sarkazmu, że nie miał czasu przesłuchać wszystkich dwóch tysięcy czterdziestu ośmiu pasażerów ani członków załogi.

- Ale też nikt nic nie zgłaszał - przyznał.

Galio kręcił na palcu kluczykami od samochodu.

- A straż przybrzeżna już zakończyła poszukiwania?

- Oficjalnie kończą jutro w południe. Do wieczora będzie jeszcze latał śmigłowiec, ale to bardziej na pokaz.

- Ten mąż robi wrażenie wstrząśniętego?

- Mówi wszystko, co trzeba, ale jakby recytował wyuczoną rolę.

Galio uśmiechnął się krzywo.

- Karl, nawet jeśli jej ciało gdzieś wypłynie...

- Wiem.

-...jeśli nie będzie nosiło śladów uduszenia albo pobicia...

-...niczego mu nie udowodnimy.

- Ma jakąś laskę na boku?

- Sprawdzam to.

- Ale założmy, że ma...

- Wiem. To automatycznie nie znaczy, że zabił żonę.

Rolvaag był świadom, że Galio, który sam ma kilka kochanek, może być trochę nieobiektywny w temacie cudzołóstwa.

- Widzę jednak, że ty mu nie wierzysz.

- Nie wierzę, że mówi nam wszystko o swoim małżeństwie.

Galio się roześmiał.

- Karl, całej prawdy nigdy się nie dowiesz. Na pewno nie od mężów, łącznie ze mną.

- Twoja żona nie zaginęła na morzu.

- Nurtuje cię ta sprawa, co? Widzę, bo masz tę minę norweskiego księcia ciemności.

Rolvaag wykrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

- Taka sama jak inne - odparł, choć wcale tak nie czuł.

- Trzymasz jeszcze te swoje wielgachne węże? - zapytał Galio.

- Dwa. One mają tylko dwa metry.

- I ciągle musisz je karmić szczurami?

- Niestety, warzyw jeść nie chcą.

- Aż dziwne, że sąsiedzi cię jeszcze nie eksmitowali.

- Nie ustają w wysiłkach.

Większość mieszkańców bloku miała małe psy i bardzo się bała, że pytony Rolvaaga uciekną. Sprawy sądowe kosztowały go już przeszło sześć tysięcy dolarów.

- Chryste, Karl, przecież to gady. Czemu się tego cholerstwa nie pozbędziesz?

- Lubię je.

- Ważniejsze, czy one ciebie lubią.

- Dogadujemy się. W zamian za jedzenie i schronienie dają mi bezwarunkową obojętność.

Galio powiedział, że zna pewną tancerkę topless z Oakland Park, która zawsze chciała występować na scenie z węzami.

- Ona też może im zapewnić dobry dom. Taki, o jakim wszyscy marzymy.

- Dzięki, ale nie skorzystam. - Rolvaag wstał. - Będę się zbierał, zanim te cholerne gryzonie zeżrą mi kable.

- Pokręcony z ciebie gość - stwierdził kapitan Galio bez złośliwości. - Zakończmy sprawę pani Perrone do piątku, dobra?

- Do piątku?

- Karl, nie wszystkie sprawy da się rozwiązać. Wyżej tyłka nie podskoczysz.

Zwłaszcza w sześć dni, pomyślał z irytacją Rolvaag.

- Jej mąż powiedział mi jedną ciekawą rzecz: na studiach pływała wyczynowo.

- No tak, ale wątpię, żeby trenowała skoki do wody ze statków wycieczkowych albo nurkowanie z rekinami. Daj sobie czas do piątku, Karl. Nie musisz zamykać śledztwa, ale odłóż je na dno szuflady.

- W porządku.

Jadąc do domu z pudłem pełnym szczurów, przypomniał sobie o liście w teczce. Wkurzył się na siebie, że nie wspomniał o nim szefowi. Galio mógłby już zacząć przygotowywać niezbędne dokumenty.

Obiecał sobie, że to zrobi w poniedziałek z samego rana. Nie mógł się wprost doczekać, żeby uciec z tego parującego ścieku i wrócić do Minnesoty.

Rozdział 5.

Charles Regis Perrone został biologiem przez zaniedbanie.

Pierwotnym celem była medycyna, a dokładniej radiologia, po której, jak sobie wyobrażał, nie będzie się musiał przepracowywać. Służbą zdrowia zainteresował się, licząc na dostatnie życie, ale ponieważ był okropnym hipochondrykiem, odstręczała go perspektywa bezpośredniego kontaktu z chorymi ludźmi. Co innego przeglądanie klisz rentgenowskich w zaciszu laboratorium we względnie higienicznych warunkach. To znacznie atrakcyjniejsze rozwiązanie, no i pozostawia dużo wolnego czasu na rozrywki.

Niestety, wielki plan się nie powiódł. Chaza zgubiło zamiłowanie do uciech cielesnych. Podczas studiów przygotowawczych na Uniwersytecie Florydzkim więcej czasu spędzał w kondomach niż w książkach. W rezultacie z trudem ledwie ukończył z mało imponującą średnią ocen. Niewiele akademii medycznych przyjmuje trójkowych studentów, lecz Chaz wcale się nie załamał. Już wcześniej doszedł do wniosku, że praca lekarza może w zbyt dużym stopniu przeszkadzać w życiu towarzyskim i powinien wymyślić inny sposób na wzbogacenie się.

Tymczasem wypłynął w świat uzbrojony w urodę Kena, męski urok oraz dyplom licencjacki z przedmiotu, którego nienawidził - biologii. Trzy miesiące po skończeniu studiów niechętnie wrócił do domu, do matki, której nowy mąż, lekko stuknięty były pilot RAF-u imieniem Roger, z upodobaniem dręczył Chaza osobliwymi psikusami. Ilekroć ten zamykał się w łazience, żeby się onanizować (czyli kilka razy dziennie), Roger puszczał na cały regulator płytę Irish Rovers, szarpał za kłamkę i śpiewał upiornym falsetem: „Bad Monkey! Bad Monkey!”.

Chaz cierpiał, mieszkając pod jednym dachem z matką, ale jako bezrobotny nie miał innego wyjścia. Tylko jeden pracodawca wykazał cię zainteresowania jego kwalifikacjami - Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt okręgu Bay. Szukali osoby, która dwa razy dziennie zmyje szlauchem klatki.

Chaz zrozumiał, że dopóki nie zdobędzie tytułu magistra, jest skazany na kiepsko płatne posady, więc wykupił kurs korespondencyjny w jednej z popularnych fabryk magistrów w Kolorado. Ośmiotygodniowy kurs gwarantował zdobycie dyplomu (z wyróżnieniem) za jedyne 999 dolarów. Sumę tę bez skrupułów wycygał od matki. Tematem pracy mogło być cokolwiek, byle w jakiś sposób związane z biologią. Jedyny wymóg formalny to podwójne odstępy między wierszami. Dzieło Chaza, oparte na badaniach wykonanych w jedno popołudnie na stoisku warzywnym lokalnego supermarketu, nosiło tytuł *Analiza porównawcza późnych odmian pomarańczy, różowych grapefruitów i owoców tangelo*.

Po dziesięciu dniach od wysłania ukończonego rękopisu (z załączonym czekiem) otrzymał list polecony z informacją, że uczelnię zamknięto, pozbawiono ją uprawnień do kształcenia i wyrzucono z centrum handlowego, gdzie miała „siedzibę”.

Chaz, rad nierad, pogodził się z faktem, że aby zdobyć tego magistra, będzie musiał jednak fizycznie uczestniczyć w zajęciach. Matka, natknąwszy się na co bardziej niesmaczne egzemplarze kolekcji pism pornograficznych syna, przyspieszyła jego wyprowadzkę, podrzucając go krewnemu, który wykładał w Instytucie Oceanografii i Klimatologii Uniwersytetu w Miami. Mimo że wyniki egzaminu wstępnego miał nie lepsze od średniej ocen z college'u, nepotyzm wziął górę i przyjęto go na studia magisterskie.

Do kampusu uczelni na Virginia Key przybył student pełen zapału i energii. Wyobrażał sobie, że będzie pływał szkunerem po

tropikalnych morzach i śledził stada delfinów butlonosych. Widział sobie z lornetką w jednej ręce i kieliszkiem margarity w drugiej.

Gdyby mu się zachciało wcześniej przejrzeć program studiów, nie dobiłaby go tak strasznie nudna rzeczywistość badań terenowych. Jego pierwszym zadaniem było asystowanie doktorantowi w badaniach nad przybrzeżnymi koloniami tak zwanych wszy morskich. To doświadczenie na nowo obudziło w nim wstręt do przyrody i wszystkich stworzeń.

Do jego obowiązków należało między innymi zbieranie oślizgłych kęp wodorostów, w których chronią się owe maleńkie organizmy. To nie są prawdziwe wszy, lecz larwy meduzy z gatunku *Linuche unguiculata*. Początkowa awersja Chaza do przedmiotu badań została ugruntowana drugiego dnia, kiedy to robactwo zdołało się jakoś przedostać pod piankę i skolonizowało mu tors, wywołując swędzącą wysypię. Była to bolesna dolegliwość, którą jeszcze pogarszał nietrafny dobór wody kolońskiej. Nie minęła połowa pierwszego semestru, a Chaz wyglądał, jakby go wydobyto z płonącej platformy wiertniczej. Chłodnym tonem oświadczył opiekunowi roku, że jedynym sensownym celem prowadzenia badań nad wszami morskimi jest wyizolowanie toksyny, która je wszystkie zetrze z powierzchni ziemi.

Widać było, że brakuje mu odporności i dystansu koniecznych w pracy naukowca. Co gorsza, stworzenia niższe w ogóle go nie interesowały. Z teorią jakoś sobie radził, wkuwając na pamięć tylko tyle, żeby zdać egzaminy. W terenie nie szło mu tak łatwo. Praca była żmudna i monotonna, często w upale. Za każdym razem gdy pytał, czy może się pobawić z delfinami, wysyłano go po następne wiadro brunatnic.

Dzięki koneksjom rodzinnym oszczędzono mu hańby wyrzucenia z uczelni. Za to tak mu dobrano ścieżkę programową,

żeby nie musiał za często wychodzić w teren. Zajął się cyklem rozrodczym hodowlanej odmiany gambuzji pospolitej. Po dwóch latach opieki nad akwariami z trudem uzyskał tytuł magistra biologii morskiej. Kiedy w dniu rozdania dyplomów wchodził na podium, cały instytut na stojąco bił brawo. Tak się cieszyli, że odchodzi.

Ku własnemu zdziwieniu dostał propozycję pracy, zanim jeszcze zdążył oprawić dyplom. Była to słynna wytwórnia kosmetyków, której na szczęście wiedza z zakresu oceanografii nie była do niczego potrzebna i nie martwiły jej kiepskie wyniki Chaza. Szukali tylko osoby z odpowiednią prezencją, która posłusznie zaświadczy, że perfumy przez nich produkowane zawierają tylko pomijalne ilości toksyn, acetonów i substancji rakotwórczych.

Agencja rekrutacyjna pracująca dla owej firmy była pod wrażeniem urody Chaza i jego drobiazgowej dbałości o wygląd. Uznała, że to zwiększy jego wiarygodność jako eksperta zwłaszcza w oczach kobiet.

Skierowano go do zakładu produkcyjnego w Jacksonville. Dostał własne biuro, małe laboratorium i sto białych myszy na początek. Okresowo smarował je odrobiną perfum Blue Passion, Shiver czy co tam akurat testowano. Co jakiś czas u którejś z myszy rozwijał się guz wielkości kumkwatu. Wtedy Chaz wyjmował biedaczkę szczypcami do grilla i wyrzucał do kanału za budynkiem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby dokumentować naukowo te przypadki - Charles Regis Perrone nie będzie dotykał swymi wypielęgowanymi dłońmi chorych gryzoni. Nie za marne trzydzieści osiem tysięcy dolarów rocznie.

Pewnego ranka, kiedy darł gazety na wyściółkę do klatek, zauważył nagłówek, który mógł odmienić jego los: Kongres rozważa przeznaczenie ośmiu mld dolarów na ratowanie Everglades.

Chaz ujrzał swą szczęśliwą przyszłość w postaci magicznego błysku zielonego światła.

Z zapalem, który wprawiłby w osłupienie jego byłych profesorów, przystąpił do realizacji ambitnego projektu naukowego, co zaowocowało znajomością z człowiekiem o nazwisku Samuel Johnson Hammernut, znanym też jako „Red” zarówno wśród przyjaciół, jak i wrogów.

Chaz znał go z archiwalnych artykułów w prasie, gdzie był oskarżany o jakieś okropności wyrządzane bliźnim (konkretnie imigrantom pracującym na jego plantacjach) oraz całej naszej planecie.

Z początku Hammernut nieufnie odniósł się do śmiałej propozycji Chaza, ale szybko zmienił zdanie. To właśnie on dzwonił teraz do niego do Marriotta o trzeciej nad ranem.

- Co to się stało z tą twoją żoną? - rzucił do słuchawki, było go słychać jak z tunelu aerodynamicznego NASA.

Chaz zerknął na zegar.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- W Afryce, zapomniałeś?

Hammernut, uczestniczący w wyprawie w poszukiwaniu największego na świecie tarpona, dzwonił przez telefon satelitarny z pokładu statku pływającego gdzieś u wybrzeży Gabonu.

- To prawda, że zaginęła?

Chaz nagle oprzytomniał i usiadł na łóżku.

- Obawiam się, że tak. Płynęliśmy statkiem i... ona musiała chyba wypaść za burtę. Nigdzie nie mogą jej znaleźć.

- Cholera.

- Jak się dowiedziałeś?

- Pisali w gazecie w Fort Lauderdale. Lisbeth przefaksowała mi artykuł.

- Ale skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Zadzwoiłem do tej dziennikarki i przedstawiłem się jako twój wuj.

- Aha.

Chaz zrozumiał, że Hammernut nie dzwoni, by okazać troskę. Sentymenty są mu obce. On chciał uzyskać informacje oraz przypomnieć Chazowi, że ma ważniejsze obowiązki.

- Nie wiem, co się stało - powiedział ostrożnie Chaz, na wypadek gdyby Rolvaag podsłuchiwał hotelowy telefon. - Joey w środku nocy wyszła na pokład i nie wróciła. Nikt nie widział, jak wypadła za burtę, ale takie są przypuszczenia.

- No jasne. Co innego mogło się zdarzyć? - Głos Reda zanikał wśród zakłóceń. - To straszne. Powiedz mi, chłopcze, ciągle jej szukają? Straż przybrzeżna znaczy się...

- Tylko do jutra, do dwunastej. Potem zwijają sprzęt.

- A niech to.

Chaz niemal widział, jak niski grubawy Red byczy się w kabinie jachtu ze szklaneczką Jacka Danielsa w dłoni. Jego toczone piegowate nogi pewnie są całe czerwone od słońca, a morska bryza rozwiewa tę jego komiczną rudawą zaczeskę. Blade kręgi wokół przymrużonych oczu - skutek noszenia wielkich okularów przeciwsłonecznych - nadają mu wygląd napromieniowanego lemura.

- Chaz, jeśli tylko czegoś potrzebujesz, mów. Mogę załatwić na rano sześć prywatnych helikopterów. Sami zorganizujemy akcję poszukiwawczą!

Zaniepokojony Chaz zaczął się zastanawiać, ile szklanek whisky ma już za sobą Hammernut.

- Oni są bardzo pomocni, ale oblecieli teren z dziesięć razy. Nie sądzisz, że już by ją znaleźli? W wodzie jest pełno rekinów.

- O cholera. Słyszysz ten huk?
- No jasne - odparł Chaz.
- Pogoda się chrzani. Musi wiać ze trzydzieści węzłów.
- Uważajcie tam.
- Ej, nie zapytasz nawet o połów?
- No tak. Jak idzie? - Chaz wyczuł, że pora zakończyć rozmowę, zanim Red przestanie udawać szczere zatroskanie.

- Do dupy - poskarżył się Hammernut. - Cztery dni, my nie wyrwaliśmy ani jednego tarpona, który miałby więcej niż czterdzieści kilo. Ty się na tym znasz: o co tu, do diabła, chodzi? Gdzie moje ryby?

Chaz nie miał pojęcia.

- Może mają tarło - strzelił.

Śmiech Reda przywodził na myśl muła cierpiącego na zatwardzenie.

- Tarło, ha, ha! Nie mów, że musiałeś zrobić doktorat, żeby wpaść na coś takiego. Doktorat, za który zresztą ja zapłaciłem.

- To nie moja dziedzina - Chaz usilnie próbował ukryć irytację.

- Co nie twoje?

- Ryby wędrownne.

- Szkoda, bo przydałaby mi się teraz fachowa wiedza. Ta zabawa kosztuje mnie jakieś trzy patyki dziennie.

„To trzeba było zacząć od czegoś łatwiejszego” - miał ochotę powiedzieć Chaz - „na przykład okonia”. Hammernut uprawiał wędkarstwo sportowe dopiero od trzech miesięcy.

- Może jutro ci się poszczęści - pocieszył go, ale ten zrzęda nie chciał odpuścić.

- Mam nadzieję, że na rekinach znasz się lepiej niż na tarponach. Jeśli łapiesz, o czym mówię.

On jest niemożliwy, pomyślał Chaz. Robi sobie żarty i tego, co się stało Joey.

- Chyba tracisz zasięg! - zawołał do słuchawki. - Trzymaj się, pogadamy, jak wrócisz.

- Jasne - odparł Hammernut. - Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu twojej żony. Straszna szkoda.

Silił się na szczerość, ale Chaz nie dał się nabrać. Ten człowiek miał duszę skorpiona.

- A ty lepiej się pilnuj - dodał Hammernut wyraźnie ostrzegawczym tonem. - Serio mówię. Dobrze mnie słyszeć?

- Bardzo dobrze, Red.

* * *

Joey Perrone obudziła się przed wschodem słońca i zdjęła z oczu opaskę. Powieki miała jeszcze obolałe, ale widziała już wyraźnie. Po cichutku weszła do łazienki i starała się nie zwracać uwagi na tę opuchniętą i posiniaczoną kobietę w lustrze.

Spała w obszernej bluzie z logo Uniwersytetu Stanforda i białych sportowych spodenkach, które należały do jednej z byłych żon Micka Stranahana, tej producentki telewizyjnej. Była ciekawa, ile trwało to małżeństwo. Mick odpowiedział: „Zależy, kogo spytasz”.

Ostrożnie umyła twarz i przepłukała gardło. Potem znalazła w szafce gumkę recepturkę i ściągnęła nią włosy.

Stranahan spał na kanapie w salonie. Joey podeszła do niego na palcach i nachyliła się tak blisko, jak tylko się ośmieliła. W półmroku przyjrzała się jego rysom i uśmiechnęła się.

Niezły, pomyślała. Wiedziałam.

Wstąpiła do kuchni, wzięła sobie dwa jabłka i dojrzałego banana. Potem wysliznęła się tylnym wyjściem, uważając, żeby nie trzasnąć siatkowymi drzwiami. Kiedy weszła bosą na taras, Strom uniósł łeb. Joey pogłaskała go po pysku i szepnęła:

- Przystojniak z ciebie. Może kiedyś Mick znajdzie ci dziewczynę.

Wsiadając do łodzi, miała wyrzuty sumienia: nieładnie, powinnam mu chociaż zostawić kartkę.

Odwiązała cumy i łagodnie odbiła od brzegu. Siadła za kierownicą, obrała banana i czekała. Nie chciała odpalać silnika za blisko wyspy, żeby nie obudzić Stranahana - i tak czuła się winna, że ucieka w ten sposób.

We wnęce konsoli leżała komórka Micka podpięta do ładowarki. To znaczyło, że nie będzie mógł wezwać straży, kiedy odkryje zniknięcie łodzi. Joey znów poczuła się okropnie, ale tylko w ten sposób mogła zyskać trochę czasu na to, co zamierzała zrobić.

Kiedy łódź oddaliła się od brzegu, Joey dokończyła banana - skórkę wsunęła pod siedzenie. W schowku na rufie znalazła gruszkę pompy paliwa i mocno ją ścisnęła. Miała niejaki pojęcie o silnikach zaburtowych; wiele lat temu uczyła pierwszego męża jeździć na nartach wodnych, kupili wtedy aquasporta napędzanego 150-konnym silnikiem Yamahy.

Stary kanciasty silnik Envirude na łodzi Stranahana zapalił za trzecim podejściem.

Joey lekko pchnęła manetkę gazu obejrzała się. Nigdzie nie było widać Micka, ale na krańcu pomostu stał doberman. Postawił uszy i radośnie merdał ogonem. Pomachała mu i ruszyła w stronę Miami.

* * *

No nie, znowu to samo - mruknął Stranahan i kopnął orzech kokosowy, który spadł z drzewa.

Usiadł na tarasie z filiżanką kawy. Pies położył się u jego stóp. Joey to nie pierwsza kobieta, która ukradła mu łódź i uciekła, ale pierwsza, z którą wcześniej nie spał i nie dzielił życia. Kiedy już decydują się odejść, koniecznie musi być melodramatycznie.

Ostatnią, która próbowała tego samego numeru, była wzięta prawniczka Susan, specjalistka od prawa patentowego, twierdziła, że uwielbia spokojne życie na wyspie, lecz w rzeczywistości dostawała kręcka, bo nie mogła „uplinkować” swojego smartfonu (cokolwiek to znaczyło) z powodu bliżej nieokreślonych anomalii atmosferycznych. Później Stranahan doszedł do wniosku, że prawdopodobnie również inne czynniki przyczyniły się do jej zniecierpliwienia.

Pewnego dnia o zachodzie słońca Susan nie wytrzymała, dosypała Stranahanowi środka nasennego do drinka, spakowała rzeczy, wyprowadziła łódź i chwilę potem roztrzaskała się o podwodne skały w pobliżu Ragged Keys. Złamała nie tylko obojczyk, ale i kolumnę silnika, co szarpnęło Stranahana na tysiąc osiemset doliczów.

- Na litość boską, czemu nie powiedziałaś, żebym cię odwiózł? - spytał ją później na pogotowiu.

- Nie chciałam, żeby ci było przykro - odparła. - Wiem, jaki jesteś.

Wszystkie tak mówiły i zwykle były w błędzie. Wcale go dobrze nie znały. Ale ponieważ nie był najlepszy w ukazywaniu swego wrażliwego wnętrza, trudno je winić, że źle odczytywały sygnały. Po tej historii z Susan postanowił porządnie się nad sobą zastanowić, a tymczasem podjął pewne działania w celu zabezpieczenia delikatnej łodzi przed ewentualnymi przyszłymi porwaniami.

Przy użyciu myśliwskiej lunety bez kłopotu zlokalizował Joey Perrone; dryfowała około trzech kilometrów od wyspy.

- Płyniesz ze mną? - spytał Stroma, ale pies nad wyprawę z panem przedkładał lizanie własnych części intymnych.

Wyciągnął z szopy żółty kajak i wypchnął go na wodę. Zdjął koszulę, zrzucił klapki i wszedł do łódki. Wiosłował krótkimi mocnymi pociągnięciami. Czuł przyjemne zmęczenie ramion. Przy wietrze wiejącym w plecy dotarł do unieruchomionej łodzi w dwadzieścia minut.

Joey siedziała na dziobie i majtała nogami.

- Dwa razy w ciągu trzech dni - powiedziała. - Nieźle.

Stranahan wspiął się na pokład i przywiązał kajak do knagi.

- Głupio postąpiłaś.

- Mick, nie chciałam ukraść łodzi. Naprawdę.

Otworzył jeden z przednich luków i z pewnym trudem wcisnął tam głowę razem z ramionami.

- Miałam zamiar ją zostawić przy Dinner Key. Nie chciałam jej uszkodzić. Zapłacę za naprawę.

- Skąd wiesz, że jest zepsuta? - odezwał się spod pokładu Stranahan.

- A nie jest?

- Bynajmniej. - Podniósł się, wytarł ręce o spodnie podszedł do konsoli. Tylko przekręcił kluczyk, a silnik od razu zaskoczył.

- Jak to zrobiłeś?

- Na przewodzie paliwowym, zaraz przy zbiorniku, jest zainstalowany ręczny zawór. Wczorajem go zamknąłem. Chyba z przyzwyczajenia.

- Zawór odcinający paliwo.

- Właśnie. Płynęłaś na resztkach, które zostały w przewodzie, potem silnik stanął.

- Sprytne.

- Bo widzisz, już raz ktoś mi tę łódkę gwizdnął.

- Wcale mnie to nie dziwi.

Stranahan gestem poprosił, żeby się odsunęła od dziobu. Stanęła potulnie obok przenośnej lodówki i przyglądała się, jak Mick obraca kierownicą.

- Rozumiem twoje rozczarowanie - powiedział. - Spodziewałaś się jeźdźca na białym koniu, a tu tylko ja.

Joey przewróciła oczami.

W drodze powrotnej Stranahan się nie śpieszył. Przywiązany z tyłu kajak łagodnie się kołysał na fali.

- Przecieżbym cię odwiózł do miasta. Co ci strzeliło do głowy?

- Bałam się, że i tak zadzwonisz na policję, a tego nie chciałam.

- Dokąd się wybierałaś?

- Nastraszyć męża. Zobaczyć jego minę, kiedy się przekona, że żyję.

- A potem co, dać mu się zabić po raz drugi?

- No dobra, może to nie był mój najlepszy pomysł w życiu, ale jestem wściekła. Chciałam zaczekać, aż wejdzie pod prysznic, potem wśliznąć się do łazienki i odsunąć zasłonę. Może dostałby zawału?

- Świetna scena - ocenił Stranahan. - Ale kiepski plan.

- Wymyśliłam lepszy. Chcesz posłuchać?

- Nie.

- Olśniło mnie nagle, kiedy dryfowałam na tej twojej łódce. Powinien ci się spodobać.

- Wątpię - odparł Stranahan. - A tak na marginesie, ja dotrzymuję słowa. Nie musiałaś uciekać, nie miałem zamiaru dzwonić na policję, dopóki nie będziesz gotowa.

Joey rozpuściła włosy.

- A jeśli nigdy nie będę?

- To jest ten nowy plan? Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że nie żyjesz?

- Głównie ten śmierdzący drań, mój mąż.

- Wszystko po to, żebyś mogła się zaszyć gdzieś daleko, tak? Zmienić nazwisko, zacząć nowe życie?

- O nie - zaprzeczyła Joey. - Po to, żebym mogła zniszczyć życie Chazowi.

- Ach, słodka zemsta.

- Sprawiedliwość to lepsze słowo.

- Błagam cię - roześmiał się Stranahan.

Ta kobieta miała charakterek.

- Joey, a co z twoimi bliskimi, rodziną, przyjaciółmi? Naprawdę chcesz ich narazić na takie cierpienie?

Wyjaśniła mu, że rodzice nie żyją, a jedyny brat mieszka na drugim końcu świata.

- Jemu powiem. Nie będzie miał mi tego za złe.

- A szef? Ludzie w pracy?

- Nie pracuję, odkąd wyszłam za mąż. Poza tym mogę ci zdradzić, że mam pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Tyle że spokojnie wystarczy na to, co zamierzam zrobić Chazowi.

- Jezu, ty mówisz poważnie.

- Oczywiście. Dziwię się, że nie potrafisz tego zrozumieć. - Odwróciła się i osłoniła dłońią oczy przed słońcem.

Kiedy podpłynęli do pomostu, Strom z radości aż się posikał. Stranahan przycumował łódź, schował kajak i poszedł do domu smażyć omlety. Joey przebrała się w czyjąś żółtą sukienkę i za duży kapelusz słomkowy.

Śniadanie, na które składał się między innymi świeżo wyciśnięty sok z grapefruitów, jedli pod gołym niebem. Było częściowo zachmurzone. Stranahan poczekał, aż Joey skończy, i kontynuował swój wykład.

- Posłuchaj mnie. Nie możesz bezkarnie zabić męża tylko dlatego, że wszyscy uważają cię za zmarłą. Takie bzdury zdarzają się jedynie w filmach.

Z rozbawioną miną spojrzała na niego spod wielkiego ronda.

- Mick, ja wcale nie chcę zabić Chaza. Chcę się z nim tylko podrażnić, aż sam się wpędzi w obłąd. Nie widzisz, że o wspaniała okazja?

Stranahana tak ten pomysł zaintrygował, że aż sam się przestraszył. Miał nadzieję, że Joey tego nie zauważyła.

Nachyliła się i spojrzała mu w oczy.

- Próbował cię ktoś kiedyś zamordować? Powiedz prawdę.

- Tak.

- I co zrobiłeś?

- To była inna sytuacja. Pracowałem w policji.

Joey triumfalnie uderzyła dłońmi w stół.

- Wiedziała!

- To było bardzo dawno temu.

- Odpowiedz na pytanie. Co zrobiłeś facetowi, który chciał cię zamordować?

Stranahan powoli zaczerpnął powietrza i rzekł:

- Zabiłem ich.

Joey gwałtownie opadła na krzesło, jakby ktoś ją pchnął.

- Chcesz papają? - spytał Mick.

- Ich? Użyłeś liczby mnogiej.

- Byłem też w wojsku - odparł. - Zaraz wracam.

Wyszedł do kuchni i za chwilę przyniósł dwa rogaliki oraz półmisek pokrojonej w plastry świeżej papai.

- Opowiedz mi o tym - zaciekawiała się Joey. Oczy jej błyszczały.

- Nie ma mowy.

Dwa najbardziej nie lubiane przez niego tematy rozmów to kobiety, z którymi się ożenił, i mężczyźni, których zabił. W tej kolejności. Z tych drugich najbardziej znany był skorumpowany sędzia Raleigh Goomer, choć i przed nim, i po nim byli inni. Teoretycznie wszystkie przypadki były moralnie uzasadnione - od żołnierzy armii północnowietnamskiej, których zastrzelił podczas wymiany ognia, po tego ślamazarnego płatnego mordercę, którego nadział na miecz wypchanego marlina. Pewnie uzbierałoby się sporo barwnych opowieści, ale nie miał najmniejszej ochoty dzielić się nimi z młodą nieznajomą.

- Chyba powinnam się ciebie bać - stwierdziła Joey.

Pokręcił głową.

- Raczej odwrotnie.

- Mick, mówiłam ci, że nie chcę zabić Chaza. Ja nawet głupiego karalucha nie potrafię zdeptać bez wyrzutów sumienia. Ale on musi zapłacić za to, co zrobił.

- Więzienie nie wystarczy? Wierz mi, dziesięć lat w Raiford bardziej wstrząśnie jego światem niż cokolwiek innego.

Joey wsunęła do ust kawałek papai.

- Założmy, że go skażą - powiedziała - co nie jest takie oczywiste, skoro nie ma świadków ani motywu, prawda?

- Musiał mieć jakiś motyw, Joey. Każdy zabójca go ma.

- Jeszcze dokładnie wszystkiego nie przeanalizowałam, ale wierz mi, Chaz to spryciarz, jakich mało. Przeraza mnie perspektywa spotkania się z nim w sądzie. Nie mogę ryzykować.

Stranahan rozumiał obawy Joey. Nieprzewidywalność przebiegu procesów sądowych na Florydzie była powszechnie znana.

- Zanim go poznałam, pracował w firmie kosmetycznej. Był tam wielkim ekspertem naukowym, takim, co to się o zatrudnia, żeby zaświadczał, jakie to bezpieczne perfumy produkują. Pokazał mi kiedyś nagranie z procesu, w którym zeznawał jako biegły. I wiesz co? Był świetny. Potrafię sobie wyobrazić, że ława przysięgłych łyka w całości jego wersję.

Stranahan wiedział, że powinien ją przekonać, by zaufała systemowi, ale nie umiał wypowiedzieć tych słów z kamienną twarzą. Zbyt często widział, jak okrutni zbrodniarze wychodzą z sali sądowej uniewinnieni.

- To na czym stoimy? - zapytała. - Co zamierzasz ze mną zrobić?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, zauważył nadlatujący od strony oceanu pomarańczowy śmigłowiec. Strom też go zauważył, zaczął się kręcić w kółko i szczekać jak oszalały.

Joey aż spadł kapelusz, kiedy odchyliła głowę. Śmigłowiec przeleciał nad nimi i zawisł w powietrzu. Stranahan dojrzał w otwartych drzwiach obserwatora straży przybrzeżnej patrzącego przez lornetkę. Prawie na pewno wypatrywał zaginionej żony Charlesa Perrone'a.

Można to było zakończyć. Wystarczyło wstać, zamachać rękami i pokazać na kobietę w żółtej sukience - tę, która teraz pośpiesznie skryła się pod szerokim rondem kapelusza patrząca na Stranahana ze strachem w oczach.

Jakie to proste, pomyślał, i jakże kuszące. Czuł się za stary na takie zabawy.

A jednak tego nie zrobił. Chwytał lewą dłoń Joey i zbliżył do ust. Całował ją delikatnie i długo, tak długo, żeby strażnik w śmigłowcu to zauważył.

W ten sposób pomyśli - jak pomyślałby każdy przypadkowy obserwator - że kobieta w letniej sukience to nie poszukiwana topielica, lecz żona lub dziewczyna jakiegoś szczęściarza, który siedzi sobie z nią na tarasie i spożywa śniadanie.

I rzeczywiście śmigłowiec po chwili odleciał. Patrzyli za nim, aż zmienił się w kolorowy punkcik na horyzoncie. Strom, zadowolony, że wykonał swoją robotę, przestał szczekać i zwinął się w kłębek. Na niebie zebrało się stado zaniepokojonych mew.

- Dziękuję - odezwała się Joey. - Czy to znaczy, że mogę zostać?

- Ja chyba oszalałem - odparł Stranahan.

Rozdział 6.

Funkcjonariusz straży przybrzeżnej zadzwonił dokładnie w południe.

- Nie wierzę, że się poddajecie! - oburzył się Chaz. Walizki miał już spakowane od godziny. - Moja żona wciąż gdzieś tam jest, a wy... A jeżeli ona żyje?

- Szanse są znikome, panie Perrone. Bardzo mi przykro.

Chaz wymeldował się z Marriotta i pojechał do domu. Trochę mu ulżyło, czuł się pewniej. Popełnił morderstwo doskonałe. Odkąd wypchnął Joey za burtę, minęło trzydzieści siedem godzin i dotąd nie znaleziono nawet pojedynczego włoska. Ocean się sprawił.

Kiedy wszedł do domu, ogarnęła go fala - co to mogło być? - nie wyrzutów sumienia, raczej fizycznej tęsknoty. Wszystko było delikatnie przesiąknięte zapachem ulubionych perfum Joey, które zawsze działały na niego podniecająco. Są znacznie subtelniejsze niż ta kwiatowa tandeta, której używa Ricca, pomyślał. Może zdołam ją namówić na zmianę marki.

Przesłuchał serię wiadomości na sekretarce pozostawionych przez wstrząśniętych przyjaciół Joey, którzy o wszystkim dowiedzieli się z gazet. Chaz miał szczęście, że ożenił się z kobietą, która właściwie nie miała rodziny, nawet dalszej. Dzięki temu nikt nie narobi szumu. Nigdy nawet nie poznał jej jedyne go brata.

Ciekawe, czy wieść o śmierci siostry skłoni tego odludka Corbetta Wheelera do opuszczenia ukochanej Nowej Zelandii.

W pierwszej chwili widok wiszących w szafie ubrań Joey wytrącił Chaza z równowagi. Poczul się lepiej, gdy opróżnił wieszaki, a jeszcze lepiej, gdy usunął z łazienki wszystkie jej

mydełka, kremy, peelingi, balsamy i odżywki. Chodził po domu i metodycznie zbierał przedmioty należące do żony, po czym odkładał je na łóżko w sypialni. Zabrał wszystko z wyjątkiem intrygującego kompletu koronkowej bielizny, który na oko mógłby pasować na Riccę, gdyby zrzuciła parę kilo. Pozostawił też biżuterię wartą co najmniej dziesięć, może dwanaście tysięcy.

Chaz nie miał w co tego spakować, więc pojechał na zaplecze pobliskiego supermarketu i wziął kilka dużych kartonowych pudeł. Po powrocie zastał na podjeździe szarego forda, a przed drzwiami czekającego detektywa Rolvaaga.

Powinien właściwie zostawić pudła w samochodzie, żeby Rolvaag nie odniósł wrażenia, iż już się szykuje do roli wdowca, ale postanowił nie dać się zastraszyć ani zbić z tropu.

- Co widzę - odezwał się detektyw. - Czy to nowy model hummera?

Chaz bez słowa otworzył drzwi domu i wtarabanił się z pudłami do środka. Skierował się prosto do sypialni. Detektyw podążył za nim w stosownej odległości.

- Nie mogę znieść widoku jej rzeczy. To zbyt bolesne - powiedział Chaz. Zaczął wrzucać bluzki Joey do pudła po czterdziestocalowym telewizorze Sanyo. - Gdzie się nie obejrzę, wszędzie ją widzę - dodał smutno. - Nie mogę się nawet przemóc, żeby rozpakować jej walizkę z rejsu.

Rolvaag przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Każdy inaczej reaguje na taki wstrząs. Są ludzie, którzy niczego w domu nie tkną. Każda rzecz ma zostać dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Dosłownie każda: obrusy, brudna bielizna w koszu. Zdziwiłby się pan. Nie chcą nawet wyrzucić szczoteczki do zębów, która stoi w kubku na umywalce. Czasem trwa to latami.

Chaz nadal napełniał pudło.

- Ja jestem inny. Te wszystkie pamiątki wpędzałyby mnie tylko w depresję. Nie mógłbym rano wstać z łóżka.

- Co pan zamierza z nimi zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Może oddam biednym.

Detektyw sięgnął do pudła i wyjął szylkretową szczotkę do włosów.

- Mogę to zabrać?

- Bardzo proszę - odparł odruchowo Chaz. Po chwili się reflektował: - A można wiedzieć po co?

- Na wszelki wypadek.

- Hm?

- Gdyby w przyszłości coś się pojawiło.

- Ach, rozumiem. Chce pan pobrać DNA Joey.

- Tak. Włosy na szczotce powinny wystarczyć, żeby w razie potrzeby porównać próbki. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Nie tracąc rezonu, Chaz wziął z łóżka kilka torebek i wrzucił je do pudła.

Rolvaag wsunął szczotkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mieliśmy tu na Florydzie takie przypadki, że wędkarz wyławiał wielkiego rekina, ten się szarpał, rzucał po pokładzie, i nagle wymiotował ludzkimi szczątkami. I to się może zdarzyć wiele tygodni po wypadku. W tym czasie rekin może przepłynąć trzysta, czterysta kilometrów...

- Dobrze, dobrze. Rozumiem - przerwał mu Chaz. Minę miał niewyraźną.

- Przepraszam, panie Perrone. Na pewno badaliście podobne przypadki w instytucie.

Chaz spojrzał na detektywa.

- Owszem. - Usłyszał nerwowość we własnym głosie. Rolvaag go sprawdzał. - Może pan wziąć, co tylko chce. - Wskazał ręką na stertę rzeczy Joey. - Zrobię wszystko, jeśli tylko to pomoże cokolwiek wyjaśnić.

Na twarzy detektywa pojawił się uśmiech, który Chaz wolał zinterpretować jako współczujący.

- Dobrze by było. Trzeba przecież dalej żyć. To bywa bolesne, ale życie toczy się naprzód. Przepraszam, że pana niepokoiłem.

Chaz odprowadził go do drzwi.

- Dzwonili ze straży. Kończą akcję w południe.

- Tak, wiem.

- Osiem tysięcy kilometrów kwadratowych i żeby niczego nie znaleźć... - dodał Chaz z udawanym rozgoryczeniem.

- Coś tam znaleźli - powiedział Rolvaag.

Chaz zamarł z ręką na klamce.

- Cztery beły marihuany, nic więcej.

Chaz poczekał, aż fala mdłości minie.

- Ho, ho. W Kolumbii pewnie trzęsą się ze strachu.

- Ten towar akurat pochodzi z Jamajki. Ale ma pan rację, oni nigdy się nie dowiedzą, kto to wyrzucił ani nawet w którym miejscu. Prawdopodobnie przemieściły się wraz z Prądem Zatokowym.

- To raczej z Bermudów, nie z Jamajki - powiedział Chaz.

- Nie rozumiem.

- Gólsztrom? Płynie z północy na południe.

Blond brwi Rolvaaga drgnęły.

- O ile pamiętam, odwrotnie. Jestem tego prawie pewny, panie Perrone.

Chaz dostał nagłego ataku kaszlu. A jeżeli ten głupi glina się nie myli? - zastanawiał się gorączkowo. To by znaczyło, że prądy oceaniczne przeniosły ciało Joey z odległych krańców obszaru poszukiwań w sam jego środek.

- Psiakość, możliwe - chrząknął Chaz. - Mój mózg dziś nie pracuje jak trzeba. Nie odróżniłbym słońca od księżyca.

- Doskonale pana rozumiem. Niech pan odpocznie - powiedział Rolvaag i ruszył w stronę samochodu.

Chaz zamknął drzwi i oparł się o nie. Pośród milionów osób, które nie wiedzą, w jakim kierunku przemieszcza się Prąd Zatokowy, on był chyba jedynym posiadającym stopień naukowy w dziedzinie biologii morza. Przez chwilę go kusilo, by zadzwonić do któregoś z dawnych profesorów i spytać, żeby go przecież wyśmiali, a tego nie miał ochoty ani siły teraz znieść. To był jeden z rzadkich momentów, kiedy żałował,; nie przykładał się w szkole do nauki.

Wrócił do sprzątnięcia rzeczy po Joey. Pocieszał się świadomością, że rekiny u wybrzeży Miami Beach są równie niewybredne jak te przy Florida Keys. Joey bez wątpienia została pożarta, a dowodem jest brak ciała.

Ale gdy zadzwoniła Ricca, Chaz nie mógł się powstrzymać:

- Skarbie, nie wiesz, w którą stronę płynie Prąd Zatokowy?
- Co to, teleturniej? Jakie mam odpowiedzi do wyboru?
- Północ albo południe.
- Nie mam pojęcia.
- Cholera.
- Ej, to ty podobno jesteś wielkim naukowcem.

* * *

Dokładnie to samo myślał detektyw Karl Rolvaag w drodze na posterunek straży przybrzeżnej.

* * *

Corbett Wheeler przeprowadził się do Nowej Zelandii w wieku - dwudziestu dwóch lat. Uważał, że jeśli zostanie w Ameryce, cały czas będzie musiał ukrywać odziedziczony majątek przed chciwą ciotką. Błagał siostrę, żeby uciekła razem z nim, ale Joey upodobała sobie Florydę. Nie zdziwił się, kiedy wyszła za mąż za Benjamina Middenbocka, ale był zdumiony, kiedy się okazało, że makler jest prawym, uczciwym facetem, który nie interesuje się nadmiernie pieniędzmi żony. Dopiero później, po jego tragicznej śmierci, Corbett się dowiedział, że siostra nigdy nie poinformowała kochającego męża o rodzinnej fortunie. Nabrał przekonania, że Joey jednak potrafi o siebie zadbać.

Sam zdążył tymczasem pokochać Nową Zelandię, która była równie rozległa i piękna jak Kalifornia, ale bez hord samochodów. Zainteresował się poważnie hodowlą owiec, kiedy akurat sprowadzano ze Szwecji rasę wschodniofryzyjską. To najpłodniejsza mleczna rasa na świecie. Krzyżując ją z odmianami nowozelandzkimi, szybko uzyskiwano liczne stada dorodnych puszystych jagniąt. Corbettowi powodziło się bardzo dobrze, choć robił to z pasji, nigdy z chęci zysku. Nic nie sprawiało mu większej radości niż to, kiedy mógł usiąść na ganku, zapalić jointa i patrzeć na zielone wzgórza upstrzone białymi punkcikami pasących się owieczek, baranków i jagniątek.

Pewnego wieczoru zadzwoniła do niego podniecona Joey z wiadomością, że bliźniacza siostra ich zmarłej matki - chciwa jędza, która ich wychowywała - trafiła do więzienia za oszustwa ubezpieczeniowe. Dottie Babcock pracowała w Los Angeles jako

zawodowa ofiara wypadków, załatwiając do spółki z nieuczciwym lekarzem ze dwie, trzy fikcyjne kolizje na miesiąc. Na każdy używany przez Dottie pseudonim przypadał jeden zmiażdżony kręgosłup, połamane biodro lub odklejona siatkówka. Dziennikarze miejscowej gazety ją namierzyli i wstawili na pierwszej stronie wielkie zdjęcie, na którym jeździ na rolkach w Santa Monica ze swoją instruktorką pilatesa. Władze musiały podjąć jakieś działania. Sędzia skazał Dottie na osiem do dwunastu lat więzienia. Joey przekazała bratu tę wieść w nadziei, że zdecyduje się na powrót do Stanów, ale Corbett odmówił. Z daleka (w dodatku przefiltrowana przez krytyczne spojrzenie BBC) kultura amerykańska wydawała mu się coraz bardziej odstręczająca. Poza tym nie wyobrażał już sobie życia bez swojej farmy.

Przyjechał tylko raz, na pogrzeb Benjamina, i wytrzymał dwa dni. Oślepiający blichtr południowej Florydy był dla niego nie do zniesienia: totalne przeciążenie zmysłów. Corbett wrócił do domu, do Christchurch, zdeterminowały, by zaszyć się na farmie i zająć inwentarzem. Utrzymywał siostrą regularny kontakt i dzięki temu poznał jej rosnące wątpliwości co do wierności i uczciwości drugiego męża, doktora Charlesa Perrone'a. Jednak w żadnej z tych rozmów nie padło nic, co by sugerowało, że Joey się obawia o własne bezpieczeństwo.

* * *

- Po prostu wypchnął cię za burtę? - Corbettowi trzęsły się ręce, kiedy trzymał słuchawkę. - Ale dlaczego, na miłość boską?

Joey opowiedziała mu dokładnie, co się wydarzyło tamtej nocy. Nawet się zaśmiał, kiedy doszła do fragmentu z marihuaną.

- Kto cię znalazł? Wydział narkotykowy?

- Gdzie tam.

- Ale poszłaś na policję?

- To nie miałyby sensu: moje słowo przeciwko jego, a Chaz jest świetnym aktorem. Lepszym ode mnie.

Corbett chwilę się nad tym zastanawiał.

- Masz jakiś plan? - spytał.

- Mam, ale chyba będę potrzebowała twojej pomocy.

- Co tylko chcesz. Gdzie teraz jesteś?

- Na jakiejś wyspie.

- To super. Sama?

- Mieszkam u faceta, który mnie wyratował.

- Joey...

- Jest w porządku. Ufam mu.

- Chazowi też ufałaś. Jutro z samego rana czarteruję samolot.

- Proszę cię, jeszcze nie teraz.

Corbett wiedział, że jego mała siostrzyczka miewa chwile słabości, ale w gruncie rzeczy jest twardzielką.

- To mów, co kombinujesz?

Gdy Joey skończyła rozmawiać, wyszła przed dom i zobaczyła Stranahana łowiącego ryby na nabrzeżu. Obok niego drzemał Strom.

- Kiedy najwcześniej Chaz może dostać oficjalne potwierdzenie mojego zgonu? - zapytała. - To kwestia tygodni czy może miesięcy? No wiesz, w związku z tym, że nie znaleziono ciała?

- Prawo stanowe mówi o pięciu latach - odparł Stranahan.

Joey ucieszyła ta informacja, choć nie miała zamiaru aż tak długo nękać męża. Zależało jej na czymś szybkim i bolesnym.

- Corbett ma się skontaktować z biurem szeryfa i powiedzieć im, że to nie był wypadek ani samobójstwo.

- Tak szybko chcesz nasłać na niego gliny?

- Będzie lepsza zabawa. Poza tym sam mówiłeś, że nie mogą mu nic udowodnić.
- Bez twoich zeznań raczej nie.
- Więc tylko będą mu zadawali mnóstwo pytań, aż w końcu doprowadzą go do załamania nerwowego. Nie mam nic przeciwko temu.
- Nie będzie sypiał po nocach, zastanawiając się, co dalej - dorzucił Stranahan.
- Otóż to. Będzie leżał i gapił się w sufit.
- Ale jak zamierzasz to zakończyć?
- Jeszcze nie wiem. Masz jakiś pomysł? Założę się, że tak. Stranahan wyciągnął z wody lucjana i wrzucił do wiadra.
- Masz prawo się wściekać. W końcu facet próbował cię zabić.
- Przede wszystkim muszę się dowiedzieć dlaczego. Cokolwiek się z nim potem stanie, nie spocznę, dopóki nie poznam powodu. Wspominałam, że jest młodszy ode mnie?
- Nie.
- Prawie o pięć lat. To wielki błąd wychodzić za mąż za duże dziecko. - Zreflektowała się, że to mogło zostać niewłaściwie zinterpretowane. - Co nie znaczy, że nagle zacznę się umawiać ze starszymi - dodała szybko.
- Kurczę, a to pech. - Stranahan nawet nie oderwał oczu od powierzchni wody.
- Joey zmarszczyła brwi.
- Sarkazm jest mało atrakcyjny. Chaz się w nim specjalizował.
- Mnie też nie kręci kradzież.
- No co!
- Buchnęłaś mi łódź, pamiętasz?
- Zlituj się - westchnęła Joey.

Próbowała tylko ustalić kilka zasad, nic więcej. Nie chciała, aby Stranahan nabrał błędnego przekonania co do charakteru ich relacji. Kamieniami węgielnymi jej nowego podejścia do mężczyzn mają być szczerłość i otwartość, a Stranahan będzie królikiem doświadczalnym.

- Mick, chcę ci zapłacić za pomoc. Oczywiście także za nocleg, wyżywienie i inne koszty.

- I tak nie mogę obiecać, że nie spróbuję się z tobą przespać - odparł. - Tak zwykle robię, kiedy poznaję atrakcyjną kobietę. Woląłem uprzedzić.

- Doceniam szczerłość.

- Ale nie martw się, wyczujesz to na kilometr. Nie jestem klasycznym podrywaczem.

- Nie?

- Francuskie wino, blask księżycy i Neil Young, koniecznie akustycznie. Nie śmiej się, wiem, że to banał.

- To zależy od wina - powiedziała Joey.

Przypomniała sobie, w jaki sposób pocałował jej dłoń, kiedy obserwowano ich z helikoptera. Ciekawe, czy to było tylko udawane...

- Gdybyś była moją siostrą...

- Albo córką...

- Jezu, aż taki stary nie jestem.

- Mów dalej.

- Gdybyś była moją siostrą, kazałbym ci brać tyłek w troki i zwiewać z tej wyspy jak najszybciej.

- Bo?

- Bo skąd wiesz, czy nie jestem prezesem fanklubu Teda Bundy'ego? Może masz do czynienia z seryjnym mordercą i gwałcicielem?

- E, tak tylko bajerujesz - zażartowała Joey.

Stranahan wyłowił jeszcze jednego lucjana i stwierdził, że na kolację wystarczy.

Wstał, podszedł do stołu do oprawiania ryb i gwizdnął na psa.

- Uwielbia ganiać mewy - wyjaśnił.

- Codziennie jadasz ryby na kolację?

- Nie, czasem jest to homar, czasem kraby.

- Nie czujesz się tu samotny?

- Nadrabiam zaległości po wielu latach spędzonych w głupim towarzystwie.

Wyjął wąski zakrzywiony nóż i przystąpił do dzieła. To było delikatne przedsięwzięcie, bo lucjany były nieduże, ale ostrze w jego wielkich spracowanych dłoniach poruszało się pewnie i precyzyjnie. Joey złapała się na tym, że przygląda się temu z nabożnym podziwem, jakby patroszenie ryby stanowiło jakiś mistyczny rytuał.

- Może któregoś dnia wybierzemy się do Key Biscayne, jest tam kilka przyzwoitych restauracji...

- Mick, czy ty masz broń?

- Moja droga, jesteśmy na Florydzie.

- Pytam poważnie.

- A ja poważnie odpowiadam. Szefowa Izby Handlowej w Miami trzymała kiedyś pod łóżkiem naładowane uzi. Tak, mam broń.

- Nauczysz mnie z niej korzystać?

- Nie sądzę.

- Na wszelki wypadek, gdyby Chaz coś wywęszył?
- To zbyt niebezpieczne.
- Trudno. - A w duchu pomyślała: nawet półgłówek nauczyłyby się strzelać.
- Czym się właściwie zajmuje twój mąż? - spytał Stranahan.
- Mówiłam ci, jest biologiem.
- Ale co konkretnie robi?
- Pracuje dla zarządu gospodarki wodnej przy projekcie ochrony Everglades.
- Dobry jest?
- Skąd mam wiedzieć. Nauki ścisłe to dla mnie inny świat. Zawsze bardziej ciągnęło mnie do sportu.
- Ile mu płacą? - Stranahan wyrzucił do wody garść rybich wnętrzności. Natychmiast zanurkowała po nie mewa, nie zważając na wściekłe szczekanie Stroma.
- Chaz zarabia sześćdziesiąt dwa tysiące rocznie. Wiem to tylko dlatego, że miał kontrolę z urzędu podatkowego.
- Czy ma dostęp do twoich pieniędzy? To ważne. Joey go zapewniła, że spadek jest bezpieczny.
- Poza tym podpisał intercyzę. Raz na jakiś czas wspominał, że może powinnam ją podrzeć, ale w końcu dał sobie spokój.
- Nie wydaje ci się to dziwne?
- Nie, bo miał swoje zaskórniaki. Nie wtrącałam się, bo i on się nie wtrącał. Pieniądze nie odgrywały aż takiej roli w naszym małżeństwie, jeśli do tego zmierzasz. Rachunki dzieliliśmy po połowie. Z podatków rozliczaliśmy się osobno.
- Joey, w każdym małżeństwie pieniądze są ważne. Spytaj pierwszego lepszego prawnika od rozwodów. - Stranahan wrzucił

do wody lśniący szkielet ryby, który powoli zatonął w smudze purpury. - A jego rodzice są bogaci?

- Ojciec pracował jako ogrodnik w klubie golfowym w Panama City. Chaz mówił, że rozchorował się od tych wszystkich pestycydów i postradał zmysły. Obudził się pewnego dnia i stwierdził, że jest generałem Williamem Westmorelandem. Pojechał do portu i grabiami do piasku oraz putterem zaatakował łódź do połowu krewetek. Kapitan i załoga to byli wietnamscy imigranci...

- Czekaj, Chaz ci to opowiadał?

Joey kiwnęła głową.

- Zachował wycinki z gazet. W każdym razie ojciec podobno przebywa w zakładzie zamkniętym. A jego matka pracuje w supermarkecie, wyszła drugi raz za mąż za emerytowanego pilota myśliwców z Anglii.

- To skąd on miał te, jak mówiłaś, „zaskórniaki”? - Stranahan skończył sprzątać ryby i zabrał się za splukiwanie stołu. - Lubi szastać forszą?

- Raczej nie - odparła Joey. - Ale jakieś trzy miesiące temu kupił nowiutkiego hummera H2. Za gotówkę. W dodatku złotego. Stwierdził, że do pracy na bagnach potrzebna mu terenówka.

- Cudne - parsknął śmiechem Stranahan.

- Kiedy zapytałam, ile kosztował, naskoczył na mnie. A ja po prostu byłam ciekawa. Tak samo jak on, kiedy przychodzę do domu w nowych butach albo sukience. Ale tym razem wyrwał mnie od wścibskich małp i kazał pilnować własnego nosa.

- I co zrobiłaś?

- Zagroziłam, że jeśli jeszcze raz tak się do mnie odezwie, wyrwę mu jaja przez gardło. No co, czasem puszczają mi nerwy.

Stranahan obiecał, że będzie to miał na uwadze.

- No i tego samego wieczoru leżymy w łóżku - ciągnęła Joey - a Chaz nagle przeprosza, że tak go poniosło. Jednocześnie próbuje się do mnie dobierać. Mówi, że dostał kasę, bo zawarł korzystną ugodę w sprawie wypadku drogowego, którego kiedyś był ofiarą.

- Kiedy?

- Dawno, zanim się poznaliśmy. W Tampie jakiś pijany facet wjechał w bok jego auta i poważnie uszkodził mu kręgosłup. Mówił, że przez pół roku chodził o kulach.

- I dopiero po dwóch latach małżeństwa wspomina o tak traumatycznym przeżyciu - mruknął Stranahan.

- Może myślał, że... nie wiem. - Joey pokręciła głową. - Może było mu wstyd, bo uzyskał te pieniądze na drodze sądowej?

- Na pewno. Wolał, żebyś myślała, że dostał Nagrodę Nobla albo grant fundacji MacArthura.

Joey zrobiło się głupio.

- Innymi słowy...

- Możesz być pewna, że wszystko, co ci kiedykolwiek naopowiadał twój mąż, to wierutne bzdury - powiedział Stranahan. - Twoim zdaniem ile mógł kosztować ten hummer?

- Z takim wyposażeniem prawie sześćdziesiąt patyków. Sprawdzałam w Internecie.

Nagle usłyszeli skowyt. Nieszczęsny Strom miotał się w wodzie, a nad nim krążyły złośliwe ptaszyska. Stranahan spokojnie wskoczył do wody i wyniósł psa na rękach. Joey pobiegła po ręcznik.

Później, kiedy ryby się smażyły na patelni, Stranahan otworzył butelkę wina.

- Spokojnie - powiedział. - To kalifornijskie, nie francuskie.

- A więc to jeszcze nie ten moment?

- Nie trać nadziei.

- A czy to czasem nie leci Neil Young?
- Tak, z Buffalo Springfield. Bystra jesteś jak na swój wiek. - Napelnił jej kieliszek. - Może jutro gdzieś wyskoczmy?
- Dobry pomysł. Poczekaj, aż zobaczysz tego hummera.
- Najbardziej chciałbym zobaczyć człowieka, który pracując na państwowej posiadce, jest w stanie kupić za gotówkę auto warte sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

* * *

Funkcjonariuszka straży przybrzeżnej nazywała się Yancy.

- O tym właśnie mówiłam - powiedziała do Rolvaaga.

Cztery bele marihuany leżały w rzędzie na posadzce pustej celi. Zamknięte ziele wydzielало silną słodkomiłą woń. Yancy pokazywała na trzecią belę. Karl Rolvaag kucnął, żeby się przyjrzeć.

- Ciekawe, prawda? - rzekła.

Płótno było w dwóch miejscach uszkodzone - widniały tam wąskie podłużne bruzdy, niektóre na tyle głębokie, że przedziurawiły materiał. Rolvaag ostrożnie dotknął tkaniny czubkiem długopisu.

- Mogę panią prosić na chwilę?

Yancy podeszła, Rolvaag chwycił jej lewą dłoń i przyłożył do bruzdy, potem chwycił prawą i przyłożył w drugie miejsce. Pasowało niemal idealnie - każdy palec odpowiadał wyłobieniu w tkaninie.

- I co pani na to?

Yancy natychmiast się wyprostowała.

- Proszę pana, to nie ja. Daję słowo. Tak już było, kiedy je znaleźliśmy.

- Spokojnie - powiedział detektyw. - Wierzę pani.

- Prosił pan, żebyśmy meldowali, jeśli tylko znajdziemy coś niezwykłego.

- Tak, i właśnie mi pani pomogła. Stokrotne dzięki.

- Nie ma za co. Cieszę się.

- A gdzie konkretnie to znaleźliście?

- W przesmyku Angelfish Creek.

- Poważnie? To kawał drogi. - To znaczyło, że Joey Perrone znalazła się w wodzie znacznie wcześniej, niż twierdzi jej małżonek. - Mam dwie małe prośby. Zwykle towar pochodzący z konfiskaty przekazujecie do spalania, prawda?

- Tak jest. Całą kontrabandę oddajemy służbom federalnym. Oni to niszczą.

- Proszę im przekazać, żeby tę jedną belę na razie zostawili. Oznaczcie ją jako materiał dowodowy i umieśćcie w bezpiecznym miejscu.

- Rozumiem. Materiał dowodowy.

- I jeszcze jedno: ma pani pięsetę i zamykany woreczek?

- Sprawdzę w apteczce.

Kiedy wyszła, Rolvaag usiadł na drugiej beli i energicznie wysiąkał nos. Miał uczulenie na wiele roślin, a mokra marihuana była z tego wszystkiego najgorsza.

Na ścianie celi ktoś wyskrobał słowo „Libertad!”. Detektyw zastanawiał się, kto był autorem napisu i kiedy biedaka deportowano. Jak nie lubił południowej Florydy, tak nie zapominał, że całkiem niedaleko znajdują się o wiele gorsze miejsca. Takie, przy których Hialeah jawi się jak Szmaragdowe Miasto z krainy Oz.

Wróciła funkcjonariuszka z rzeczami, o które prosił. Za pomocą pęsety zaczął skrupulatnie badać każdą bruzdę na jutowym worku. Bardzo szybko znalazł to, czego szukał.

- Może mi pani otworzyć woreczek? - poprosił.

- Oczywiście. Co pan znalazł?

Detektyw podniósł do góry pęsetę, żeby Yancy mogła się przyjrzeć.

- Czy to czubek paznokcia? - spytała.

- Na to wygląda. Jestem niemal pewien, że damskiego.

- Ktoś próbował rękami rozdrzeć worek?

- Nie. - Rolvaag wrzucił fragment paznokcia do woreczka. - Trzymał się go kurczowo, żeby nie utonąć.

Rolvaag miał wrażenie, że Yancy się wzdrygnęła.

- Myśli pan, że... Czy to możliwe, że te ślady należą do kobiety, której szukaliśmy? Tej ze statku?

Detektyw potwierdził.

- Bardzo dziwna sprawa - powiedziała cicho Yancy. - straszna.

- Owszem. - Rolvaag pochylił się nad namokniętą belą. - Sprawdźmy, czy nie ma czegoś jeszcze.

Rozdział 7.

- Osiedle nosiło nazwę West Boca Dunes Phase II.

- Dunes²? - zdziwił się Mick. - Jesteśmy dziesięć kilometrów od plaży.

- Chaz próbował kupić dom w tej części, która stoi na polu golfowym, ale były już wyprzedane.

- Każdy wygląda tak samo.

- O tak, są identyczne. Wszystkie trzysta siedem. Tylko że w niektórych główna sypialnia wychodzi na wschód, a w pozostałych na zachód. Można też było zamówić basen.

Stranahan zsunął okulary.

- Ale wy go nie macie.

- Chaz nie znosi pływać.

- Za to ty lubisz. Uprawiałaś pływanie w college'u, prawda?

- Stare dzieje.

- A jednak miło by było mieć basen dla siebie.

- No cóż.

- Chcesz jeszcze jedną figę?

Zatrzymali się przy targu spożywczym w Pompano Beach, gdzie Stranahan nakupił mnóstwo świeżych warzyw i owoców. Samochód pachniał teraz jak sałatka śródziemnomorska.

- Całe szczęście, że masz tę swoją wyspę, Mick, bo tym... - Joey poklepała deskę rozdzielczą - raczej laskom nie zaimponujesz.

- No wiesz?! Chrysler cordoba to klasyk motoryzacji. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale twój tyłek ma zaszczyt spoczywać na najwyższej jakości naturalnej skórze.

- Czasy świetności ma dawno za sobą.

² Dune - wydma (przyp. tłum.).

Stranahan od lat trzymał rdzewiejące auto pod cienistym figowcem w pobliżu mariny Dinner Key, gdzie cumował łódź, kiedy przypląwał z wyspy. Właściwie nic w starym chryslerze nie działało jak trzeba, z wyjątkiem ogromnego silnika. Chodził jak marzenie.

- Jeśli jeszcze chwilę tu postoiemy, ktoś w końcu wezwie policję - powiedziała Joey.

Mick przyznał, że cordoba jednak trochę się wyróżnia wśród najnowszych lśniących SUV-ów zaparkowanych przed domami. Joey kazała mu się zabrać do roboty, a sama postanowiła poszukać miejsca, gdzie można by ukryć auto.

- Chyba będę musiał wybić szybę - powiedział Stranahan.

- W ogrodzie w karmniku znajdziesz zapasowy klucz.

- A alarm?

- Zepsuty. Widzimy się za dziesięć minut.

Stranahan miał na sobie koszulkę z logo elektrowni i biały kask. Podeszedł do frontowych drzwi i nacisnął dzwonek. Po chwili okrążył dom i tak długo „sprawdzał” licznik w ogrodzie, aż stwierdził, że nawet najbardziej wścibscy sąsiedzi przestali się nim interesować.

Karmnik wisiał na jedynym drzewie w ogródku, mizernej oliwce. Stranahan wytarł klucz o trawę, bo cały był w ptasich odchodach. Jak tylko wszedł do domu, wyszorował ręce i założył gumowe kuchenne rękawice. Gdy zapukała Joey, czekał już przy drzwiach.

- No i co myślisz o moim nowym image'u?

- Jestem za - odparł Stranahan.

Joey miała na sobie przystrzyżoną ciemną perukę i szarą podomkę do kolan, a w ręku trzymała sfatygowany egzemplarz

Biblii. Kupiła to wszystko w sklepie z używanymi rzeczami, który znaleźli niedaleko targu.

Stranahan wpuścił ją do środka i zamknął drzwi. Joey znieruchomiała i przez kilka chwil stała w korytarzu, nic nie mówiąc.

Stranahan chwycił ją pod rękę i powiedział:

- Zaraz ci przejdzie, nie przejmuj się.
- Czy jest coś, czego nie powinnam zobaczyć?
- Nie obszedłem jeszcze wszystkiego, ale to znalazłem w kuchni.

Było to gazeta „Sun Sentinel” otwarta na środkowych stronach.

Joey głośno odczytała nagłówek:

- „Straż przybrzeżna przerywa akcję poszukiwania zaginionej pasażerki statku wycieczkowego”. Boże, to o mnie! „Kobieta prawdopodobnie nie żyje”. Coś takiego!

Odłożyła Biblię i chwyciła gazetę w obie ręce.

- Wiedziała. Chaz twierdzi, że się upiłam i wypadłam ta burtę!
- Tego nie napisali.
- Ale samo się nasuwa. „Perrone przyznał, że wcześniej wypili z żoną kilka butelek wina. Para świętowała drugą rocznicę ślubu”. A to łajdak!

Joey zmiała gazetę i cisnęła ją do kosza.

- Dzwonię do Rose - oświadczyła.
- Kto to?
- Moja dobra przyjaciółka. Spotykamy się w klubie czytelniczym.

* * *

Mick Stranahan czekał w salonie, próbując odgadnąć, kto urządzał wnętrza. Wygodna i elegancka kanapa z dwoma fotelami do czytania to pewnie ręka Joey. Telewizor plazmowy i czarny rozkładany fotel Natuzzi bardziej pasował do Chaza. Zapuszczone akwarium mogło być wymysłem obojga. Stranahana uderzył zupełny brak książek i jednocześnie zatrzęsienie czasopism golfowych. Nigdzie nie było rodzinnych fotografii, nawet ślubnego zdjęcia.

Joey weszła do salonu, niosąc dwa zimne piwa. Jedno podała Mickowi.

- Rose o mało nie dostała zawału. Myślała, że dzwonię z za grobu. A propos, co tu tak śmierdzi?

- Obawiam się, że akwarium.

Joey aż jęknęła, podchodząc do zbiornika.

- Ten idiota zapomniał nakarmić rybki!

Kołysząc się w mętnej wodzie, wyglądały jak błyszczące ozdóbki na choinkę.

Wściekła Joey odwróciła się ze wstrętem. Poszła ze Stranahanem rozejrzeć się po domu. Zaglądali kolejno do wszystkich pokoi. Nie odzywali się do siebie, dopóki nie weszli do głównej łazienki.

- No pięknie. Moje rzeczy zniknęły.

- Wszystkie?

- Pasta do zębów, kosmetyki. - Joey przetrząsała szafki i szuflady. - Wszystkie balsamy, kremy, nawet tampony. Niewiarygodne.

Pobiegła do sypialni, odsunęła drzwi garderoby i zawołała:

- Ciuchy też!

Stranahan wysunął górną szufladę staroświeckiego biurka.

- O, bielizna - ożywił się. - To sobie zostawił.

- Dupek. - Joey z całej siły szurnęła drzwiami, aż wyskoczyły z prowadnic.

- Sugerowałbym, żeby nie urządzać masowej destrukcji. Spryt i przebiegłość są skuteczniejsze.

Naprostował drzwi i wsunął je z powrotem w prowadnice. Joey wyjęła z biurka majtki i biustonosz i klapnęła na łóżko.

- Uwaga, teraz będę płakać i nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa. Masz milczeć.

- Płacz nie jest zabroniony. Nie krępuj się.

- I nie waż się mnie przytulać, głaskać po głowie ani udzielać ojcowskich rad. Dopiero kiedy ci powiem.

- Zgoda - odparł Stranahan.

- Mick, to był mój dom, moje życie, a on tak po prostu wymiata mnie za drzwi jak śmieci.

Zamknęła oczy i nie wiadomo czemu nagle przypomniała sobie pewną noc, kiedy Chaz ją ubłagał, żeby pozwoliła mu się przywiązać do poręczy łóżka. Użył w tym celu apaszek, ale tak mocno zacisnął węzły, że zaraz zdrętwiały jej palce u rąk i nóg. Wtedy jedyny raz musiała udawać orgazm. Ale nie tylko z tego powodu ta noc zapadła jej w pamięć: po wszystkim Chaz zasnął na niej w jakimś upiornym seksualnym otępieniu. Leżał prawie godzinę z twarzą wtuloną w jej biust, chrapiąc i śliniąc się jak bernardyn, i przez cały ten czas miał pełny wzwód. Joey czuła się bezsilna jak motyl przybity szpilką w gablotce.

Teraz sobie uświadomiła, że to zdarzenie wiele mówi o jej mężu. Na jawie czy we śnie, jego fiut ma nad nim pełną kontrolę.

- Ten człowiek to zwierzę, a ja tego nie dostrzegałam - skonstatowała ze smutkiem. - Prymityw z tytułem doktora. Ależ byłam głupia, że za niego wyszłam.

- Joey? - Stranahan stał w drzwiach sypialni i bawił się kaskiem.

- Co?

- Jeśli masz zamiar płakać, to płacz. Zaraz musimy iść.

- Zostaw mnie samą na pięć minut.

- Jasne.

- Pięć minut. Potem przyjdź, przytul mnie i powiedz, że wszystko będzie dobrze.

- Jesteś pewna?

- Tak, co nam szkodzi spróbować. Ale wcześniej zdejmij te komiczne rękawiczki.

Później znaleźli resztę rzeczy Joey upchniętych w trzech tekturowych pudłach. Leżały w garażu obok jej toyoty. Kiedy Joey zaczęła przeglądać ich przygnębiającą zawartość, Stranahan ją ostrzegł, że jeżeli cokolwiek zniknie, Chaz może nabrać podejrzeń.

- I nawet niech ci do głowy nie przyjdzie, żeby zabrać auto - dodał.

Z ponurą miną uniosła pomarańczową torebkę.

- Tę miałam ze sobą na rejsie.

Chaz najwyraźniej przeoczył jej portfel, w którym było 650 dolarów i karta kredytowa American Express.

- Kartę zabieram, będzie nam potrzebna - zapowiedziała.

- Gotówka też.

- Chodź tu i pomóż mi. - Wskazała na drugie z pudeł.

- A czego właściwie szukamy?

- Czegoś seksownego - odparła. - Co zwróci uwagę tego troglodyty.

* * *

Świt przyniósł grzmoty za oknem i piski szczurów. Pytony Rolvaaga obudziły się głodne.

Detektyw stał przez dziesięć minut pod zimnym prysznicem. Rytuał ten miał służyć zagęszczeniu krwi. Stosował go w ramach przygotowań do powrotu do Minnesoty, bo doszedł do wniosku, że mieszkając tyle lat na Florydzie, stał się nieodporny na złą pogodę.

Kapitan Galio kazał mu wziąć wolny dzień w zamian za nadgodziny, lecz Rolvaag poza pracą nie miał nic innego do roboty. Kiedy się ubrał i ogolił, węże były już po śniadaniu, a do drzwi dobijała się pani Shulman. To sąsiadka z naprzeciwka, spod numeru 7-G, wiceprzewodnicząca wspólnoty mieszkaniowej osiedla Sawgrass Grove. Obecnie jej głównym celem było doprowadzenie do eksmisji Karla Rolvaaga.

- Dzień dobry, Nellie - przywitał ją detektyw.

- Ty zboczeńcu, znowu słyszałam te okropne piski!

- One też muszą coś jeść. Tak samo jak ty czy ja.

- Gdybyś nie był gliną, wsadziliby cię do pudła za znęcanie się nad zwierzętami! - Pani Shulman, kobieta o wadze około czterdziestu kilogramów, przyjęła postawę bokerską. Zaciśnięte kościste pięści aż się trzęsły.

- Ile zapłaciliście w zeszłym roku za deratyzację? Ze trzy, cztery tysiące, prawda?

Pani Shulman uśmiechnęła się drwiąco.

- Nie bądź taki cwany.

- W regulaminie nigdzie nie jest napisane, że nie mogę trzymać w mieszkaniu gadów.

- Jest mowa o zwierzętach niebezpiecznych. Strona sto dziewiętnasta.

- Twój pies pogryzł czworo ludzi - zauważył Rolvaag. - Moje węże jeszcze nikomu nie wyrządziły krzywdy.

- W takim razie oskarżę cię o zakłócanie spokoju. Te przeraźliwe piski, kwilenie biednych myszek, kiedy śmierć zagłęda im w oczy... koszmar. Przez ciebie musiałam podwoić dawkę xanaksu.

- Nellie, to są wielkie tłuste szczury, nie Stuart Malutki. A przy okazji, wiesz jak działa ta trutka, której używa wasz deratyzator? Rozdyma im brzuszki, aż pękną.

Pani Shulman cofnęła się z odrazą.

- Zostawmy to prawnikom - powiedział Rolvaag.

- Jesteś chory, powinieneś się leczyć! Nie dziwię się, że twoja żona odeszła.

- A ja się nie dziwię, że twój mąż ogłuchł.

Szczeliny oczu na pergaminowej twarzy pani Shulman jeszcze bardziej się zwężyły.

- Do lipca już cię tu nie będzie, zobaczysz.

- Trzymaj Petunię na smyczy, a niczego nie musisz się obawiać - poradził Rolvaag.

Zjadł późne śniadanie i pojechał do biura. Pokazał kapitanowi Galio list od szefa policji z Minnesoty.

- Bardzo zabawne - powiedział Galio. - Gdzie, u licha, leży Edina?

- Przedmieścia Minneapolis.

- Nie było czasem o tym piosenki? „Nothing could be finer than to be in your Edina in the mornning!”³.

- Mam zamiar przyjąć tę posadę.

³ W rzeczywistości słowa piosenki (Carolina in the Morning) brzmią: „Nothing could be finer than to be in Carolina in the morning” (przyp. tłum.).

- Daj spokój.
 - Chcę żyć gdzieś, gdzie jest normalnie.
 - I umrzeć z nudów. Jasne. - Galio wręczył mu jakiś świstek. - Dzwonił facet nazwiskiem Corbett Wheeler. To jego numer.
 - Brat pani Perrone.
 - Wpół do drugiej w nocy ichniejszego czasu, a facet zamiast spać, koniecznie chce z kimś gadać. Mówi, że to ważne.
- Rolvaag od sobotniego popołudnia próbował namierzyć Wheelera.
- Zaraz do niego zadzwonię - powiedział.
 - Tylko na jego koszt.
 - Chyba żartujesz.
- Galio wzruszył ramionami.
- Sam tak powiedział: „Koniecznie zadzwonieć na rachunek odbiorcy”.

* * *

Gdzieś daleko, na nowozelandzkich wzgórzach, brat Joey Perrone odebrał telefon po pierwszym dzwonku. Karl Rolvaag poniekąd spodziewał się usłyszeć kogoś w stylu tego ekscentrycznego Australijczyka, który w telewizji mocuje się z krokodylami, ale Corbett Wheeler nic nie stracił ze swego gładkiego amerykańskiego akcentu.

- Czy to pan prowadzi sprawę Joey?
- Tak - odparł detektyw.
- To niech pan słucha. Moja siostra wcale się nie upiła i nie wypadła przypadkiem za burtę, bez względu na to co twierdzi jej mąż. Ani też nie popełniła samobójstwa.

Połączenie było kiepskie i Rolvaag słyszał w słuchawce echo własnego głosu.

- Rozumiem, jakie to dla pana trudne. Czy mogę zadać kilka pytań?

- Pisali o tym w gazecie w Boca Raton. Tak się właśnie dowiedziałem, koleżanka Joey powiedziała mi przez telefon.

- Od soboty próbowaliśmy się z panem skontaktować. Pański szwagier podał nam kilka numerów, ale okazały się błędne.

- Cały on - powiedział Wheeler. - To kretyn i erotoman.

- Kiedy się ostatnio widzieliście?

- Nigdy go nie poznałem, nawet ze sobą nie rozmawialiśmy, ale dość się nasłuchałem od Joey. Nie zostawiłbym gościa samego nawet z kulą od kręgli, taka z niego świnia. Pieprzyłby wszystko, co się rusza.

Rolvaag słyszał podobne opinie od koleżanek Joey, chociaż nie wynikało z nich, żeby Charles Perrone był zainteresowany kimkolwiek poza sobą.

- Sugeruje pan, że pan Perrone miał coś wspólnego ze zniknięciem pańskiej siostry?

- Stawiam swoją farmę.

- Od cudzołóstwa do zabójstwa daleka droga.

- Z tego co mi opowiadała Joey, ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Rolvaag usłyszał w tle beczenie owcy.

- Może powinniśmy się spotkać? - zaproponował.

- Szczerze mówiąc, rzadko się stąd ruszam - odparł Wheeler - ale mógłbym lecieć choćby całą noc, żeby tylko zobaczyć tego dziwkarza na krześle elektrycznym, rozjarzonego jak stadion Dodgersów.

- W dzisiejszych czasach większość wybiera raczej zastrzyk z trucizną.

- Chce mi pan powiedzieć, że oni mają wybór?

- Obawiam się, że tak. Co to za hałas?

- Jedna z moich owiec próbuje urodzić trojaczki.

- Mogę zadzwonić później.

- Nie, ja do pana zadzwonię - powiedział Wheeler i w słuchawce zapadła cisza.

Kretyn, erotoman, świnią, dziwkarz - imponująca litania pogardy dla Chaza Perrone'a.

Rolvaag przekazał podejrzenia Wheelera szefowi. Galio wzruszył ramionami i rzeki:

- Kto by chciał uwierzyć, że jego ukochana siostrzyczka to niezdarna pijaczka. Wiedział, że była notowana za jazdę po alkoholu?

- Nie pytałem. - Rolvaag mógłby wymienić wielu znajomych, których przyłapano na jeździe na gazie, ale żaden nigdy nie wypadł za burtę wycieczkowca. - A jeżeli Wheeler ma rację co do Perrone'a?

- No to rozwikłasz sprawę i wszyscy wyjdziemy na geniuszy - odparł Galio. - Miejmy nadzieję, że do piątku.

Rolvaag celowo nie wspomniał szefowi o śladach paznokci na beli marihuany. Najpierw musi mieć wyniki badań DNA. Nie są tanie, a poza tym Galio by się wkurzył, że detektyw zlecił je bez jego zgody.

Kapitan oddał mu pismo od szefa policji z Edyny. Rolvaag je złożył i schował do koperty.

- Trzy tygodnie wystarczą? - zapytał.

- Nie słyszałeś, co powiedziałem? Do piątku, Karl, potem umarzamy sprawę.

- Ja nie o tym - odparł detektyw. - Składam wypowiedzenie. Trzy tygodnie to nie za krótko?

Galio z szerokim uśmiechem rozparł się na krześle.

- Udam, że tego nie słyszałem.

* * *

Chaz Perrone zaparkował hummera na szczycie wału, niecały kilometr od przepustu.

Zostawił włączoną klimatyzację i popijając kawę, gapił się na ciągnące się po horyzont mokradła Everglades. Bryza poruszała żdźbłami traw i marszczyła ciemne lustro wody. Między liliami i hiacyntami przemykały łyski, młoda czapla na płyciźnie łowiła płotki, a mały okoń wyskoczył nad wodę, żeby schwytać ważkę. Miejsce aż tętniło życiem. Chaz Perrone czuł się bardzo nieszczęśliwy. Natura nigdy nie budziła w nim podziwu ani pokory, nie znajdował w niej ukojenia. Nie pociągała go ta samotność, ogrom przestrzeni czy odwieczny rytm życia i śmierci. Kojarzyła mu się tylko z upałem, robalami i czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem. Byłby o wiele szczęśliwszy, grając teraz w golfa w Eagle Trace.

To Red nalegał, by Chaz trzymał się planu na wypadek, gdyby przełożeni w pracy postanowili go sprawdzić. I to on kupił mu hummera, bo Chaz od miesięcy narzekał, że wyboiste drogi niszczą zawieszenie jego chevroleta.

Chaz wybrał kolor żółty, bo sądził, że to odstraszy pumy, które ewentualnie mogłyby się czaić w rejonie, który obsługiwał. Panicznie się bał, że zostanie zaatakowany przez drapieżnego kota, chociaż nigdy dotąd nie zanotowano takiego przypadku. Poza tym te zwierzęta są właściwie na wymarcu, na wolności zostało może sześćdziesiąt, siedemdziesiąt osobników.

Kiedy znajomy biolog przypomniał mu, że prawdopodobieństwo ataku pumy jest z grubsza takie samo jak oberwania w głowę meteorytem, Chaz stwierdził, że woli nie ryzykować. A gdy mu uświadomiono, że pumy nie rozróżniają kolorów i w związku z tym i tak nie zauważą wścieklej żółci hummera, nie przejął się tym zbytnio. Przecież wiadomo, że dziewczyny lecą na ten kolor.

Wysiadł z auta i natychmiast otoczyły go komary. Zaczął się od nich opędzać i klnąc pod nosem, usiłował się wbić w ciężkie gumowe wodery, które kupił z katalogu ekskluzywnego sklepu dla myśliwych. Zamieszanie spłoszyło żółwia, który odpoczywał na kamieniu. Słyszając plusk, Chaz się odwrócił i spojrzał ze złością na świeże kręgi na wodzie.

Gdy miał siedem lat, matka podarowała mu malutkiego żółwia błotnego. Nazwał go Timmy, ale potem spuścił w klozecie, bo nie podobały mu się jego zbyt swobodne obyczaje toaletowe.

Chaz niechętnie zanurzył nogi w bagnie. Żółwi się nie bał, one nie mają zębów. Bał się zuchwałych aligatorów, których jest tam mnóstwo. Wprawdzie jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś naukowiec prowadzący badania na terenie Everglades został przez nie zaatakowany, ale zdaniem Chaza była to tylko kwestia czasu. Wziąłby ze sobą porządną strzelbę, ale to było zabronione, a nie mógł ryzykować, że go zwolnią, zdegradują lub przeniosą w inny rejon. To byłby koniec wszystkiego, zwłaszcza intratnego układu z Hammernutem.

W związku z tym jego jedynym narzędziem obrony był kij do golfa (żelazo dwójka z trzonkiem wzmocnionym włóknami boru), który w jego rękach był o wiele skuteczniejszy w odstraszaniu gadów niż w trafianiu piłką do dołka. Chaz używał go jako maczety, torując sobie drogę wśród trzciny. Machał nim na prawo i lewo, wydając przy tym dzikie odgłosy.

Młócił wodę, wzbijając w powietrze kępki alg, połamane gałązki i poszarpane liście lilii wodnych. W niewygodnych woderach stąpał niezdarnie i kołysał się na boki jak Frankenstein.

Osiągał jednak zamierzony skutek: każde żywe stworzenie w promieniu stu metrów od razu zwiewało gdzie pieprz rośnie. Tylko komary i końskie muchy zostały, aby zatruwać mu życie. Ich monotonne bzyczenie to był jedyny dźwięk, jaki słyszał, kiedy dotarł do stawu, gdzie usytuowano pierwszą stację monitoringową. Poza tym na bagnach panowała cisza. Wolał, kiedy tak było. Stał na granicy głębszej wody, wstrzymał oddech i czekał, aż uspokoją się drobne fale, które wywołał.

W tym miejscu musiał się zanurzyć po pachy, całkowicie tracąc i tak ograniczoną mobilność. Sztywne gumowe „śpiochy”, które tak dobrze chroniły przed ostrymi jak brzytwa żdźbłami kłoci i śmiertelnymi ukąszeniami węży mokasynów, nie sprawdzały się jako strój pływacki. Jeśli nie będzie uważał, napęlnię się wodą i ściągną go na dno jak worek cementu.

Czekał więc, aż woda się uspokoi, i uważnie obserwował powierzchnię w poszukiwaniu złowrogich paszczy przypominających kłody drewna. W sennych koszmarach to właśnie tam, w stawie, zawsze atakowały go aligatory, kiedy był dobrze widoczny i bezbronny. Łatwy cel. Chaz niejednokrotnie uciekał ze stacji w panicznym strachu, przekonany, że goni go jeden, a nawet kilka mięsożernych gadów. Dzisiaj zauważył tylko jednego osobnika: jaskrawo ubarwionego oseska, który zmieściłby się w pudełku po butach.

Chaz odważnie postąpił naprzód i zaczął wymachiwać kijem, jak zwykle nie trafiając w cel.

Aligatorek uciekł - dopiero wtedy Chaz ruszył przed siebie.

Trzymając kij nad głową, powoli przesuwiał stopy po zamulonym dnie. Był gotów zatłuc wszystko, co wypłynie na

powierzchnię, nieważne jak małe i bezbronne. Jednak żadne stworzenie się nie odważyło. Po drodze co jakiś czas przystawał i starannie usuwał świeżo urosłe pędy pałki wodnej. To ważne, żeby być dokładnym. Od tego zależy jego przyszłe dostatnie życie.

Pobranie próbki wody zajęło mu tylko trzy minuty. Musiał zachowywać wszelkie pozory, choć był raczej pewien, że w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma nikogo z zarządu. Hammernut mówił, że czasami wysyłają helikoptery, żeby szpiegować biologów pracujących w terenie, ale Chaz w to wątpił. Odgrywał tę farsę tylko dlatego, że Red sobie tego życzył, a to ostatnia osoba, z którą chciałby zdrzeć.

Trzymając się świeżo wyciętej ścieżki, bez dalszych przygód wrócił na wał. Postawił litrowy pojemnik z wodą na skrzyni auta i spróbował się wydostać z woderów. Cuchnęły potem i stęchlizną. Później wyjął z turystycznej lodówki butelkę Gatorade o smaku mango i usiadł na zderzaku. Kij do golfa oparł obok siebie. Otarł brudnym rękawem pot z czoła i pomyślał: Co za pieprzony grajdoł. I pomyśleć, że amerykańscy podatnicy płacą osiem miliardów dolców na jego ochronę.

Idioci. Gdyby tylko wiedzieli.

Przyłożył do oczu lornetkę i rozejrzał się, czy nikt nie nadjeżdża. Wał był pusty. Potem zadarł głowę do góry i zobaczył krążące po niebie myszołowy. Samolotów ani śmigłowców nie zauważył.

Zadowolony dopił Gatorade i cisnął butelkę w trawę. Potem odkręcił pojemnik z wodą i całą mętną brązową zawartość wylał na ziemię.

Rzeka traw⁴, jasne, pomyślał.

⁴ Potoczna nazwa rozlewisk Everglades (przyp. tłum.).

Rozdział 8.

Chaz siedział w wannie i zmywał z siebie bagienny brud, gdy nagle do łazienki weszła Ricca.

- Oszalałaś? - powiedział.

- Nie, tylko czułam się samotna. - Zrzuciła czerwone szpilki.

- Widział ktoś, jak podjeżdżałaś? Gdzie stoisz?

Ricca zdjęła kolczyki i położyła na półce obok dezodorantu Chaza.

- Coś taki nerwowy? Myślałam, że się ucieszysz.

W sekundę była rozebrana i dosiadła go w wannie.

- Czekaj, jeszcze nie skończyłem.

- Wiem.

Położyła mu dłonie na piersi i lekko pchnęła. Chaz nabrał powietrza i zacisnąwszy powieki, zanurzył się. Będąc maniakiem na punkcie czystości, trochę się bał uprawiać ostry seks w brudnej wodzie. Kto wie, jakie groźne tropikalne mikroby przywlókł na sobie z tych bagien.

Na protest było jednak za późno. Poczul się, jakby go wrzucono do miksera razem z żywym kojotem. Dzikie odgłosy i jęki wydawane przez Riccę niosły się echem po pustej łazience. Hałas jeszcze się wzmaczał w jego uszach, ilekroć się wynurzał zaczerpnąć powietrza. Dziewczyna napierała biodrami z takim wigorem, jakby rytmicznymi uderzeniami chciała wywołać trzęsienie ziemi. Chaz się bał, że pod wodą pękną mu bębenki.

Oślonił głowę rękami nie tylko po to, żeby zachować słuch, ale także by jej nie roztrzaskać o mosiężny odpływ w wannie. Ricca kochała się głośno i szybko dochodziła. Chaz wiedział, że zdoła ją przetrzymać. O ile wcześniej się nie utopi.

I rzeczywiście, w niespełna cztery minuty Ricca miała już dość. Chaz wyplątał się z jej objęć i wyszedł z wanny, z której zdążyła się wylać prawie cała woda. Chwytał kilka ręczników i zaczął wycierać podłogę oraz ściany.

- Jesteś niesamowity - wysapała Ricca.

Leżała rozwalona w wannie niczym połamana lalka: jedna noga na mydelniczce, druga oparta o kran. Mokre czarne loki oblepiały jej twarz.

- Jezu, Chaz, było fantastycznie.

- Tak, o mało mnie nie utopiłaś.

- Ej, ciągle ci stoi. Co jest grane?

- Nic. - Złapał za szlafrok, który wisiał na drzwiach.

- Nie miałaś orgazmu?

- Jasne, że miałem - skłamał.

- To znaczy, że... - pokazała palcem - znowu możesz? Tak szybko?

Wzruszył ramionami.

- Chodźmy gdzieś na kolację.

- Naprawdę jesteś niesamowity. - Wstała i wykręciła włosy. - Chcesz, żebym ci obciągnęła?

Chaz spojrział zdumiony na jej wzgórek łonowy.

- Coś ty sobie zrobiła?

- To jest koniczynka. Podoba ci się?

- Koniczynka - powtórzył. Wcześniej tego nie zauważył.

- Na szczęście. Chciałam czterolistną, ale nie starczyło miejsca.

Chaz usilnie starał się sobie przypomnieć, czy Ricca pochodzi z Irlandii.

- Trwało to chyba z godzinę. Przy użyciu dwóch lusterek.

- To oni robią teraz zieloną farbę do włosów?

- Pewnie.

- Cóż, jestem pod wrażeniem.

- No to jesteście kwita. Chodź tu, zajmę się tobą.

Chaz z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie jest w nastroju do seksu. Spojrzał w dół i pomyślał: Co się ze mną dzieje, do licha?

- Zdaje się, że dzwoni telefon - rzucił i szybko poszedł się ubrać.

Kilka chwil później Ricca zastała go w sypialni. Siedział zgarbiony na brzegu łóżka, w jednej skarpetce i niedopiętej koszuli, wpatrując się tępo w otwartą szafę.

- Co się stało? - zapytała Ricca, delikatnie dotykając jego ramienia.

Odrzucił ją niecierpliwym gestem.

- Kochanie - powiedziała. - Tak się zastanawiam, czy nie powinieneś zorganizować Joey jakiegoś pożegnania?

- Nie cierpię pogrzebów. Poza tym nie ma czego chować.

- Myślałam o nabożeństwie żałobnym. Robi się takie rzeczy, kiedy samolot się rozbija albo statek zatoni...

Chaz powtórzył, że to nie ma sensu.

- Jediną rodziną Joey jest jej brat, który mieszka na końcu świata.

- A znajomi, koleżanki?

- Dam zawiadomienie do gazety. Niech wpłacą datki na World Wildlife Mission. Poratują jakieś biedne jaki czy coś tam innego.

Ricca wygładziła spódnice i usiadła obok niego.

- A co potem? Chyba będziesz musiał ją formalnie uznać za... no wiesz.

- Zmarłą?

- Tak.

- Jezu, Ricca, minęło dopiero kilka dni.

- Wiem, ale w końcu będzie trzeba.

- Nie ma pośpiechu - odparł.

Ten cholerny detektyw jeszcze przez jakiś czas będzie mu siedział na głowie. Chaz nie chciał sprawiać wrażenia, że mu śpieszno do wolności.

- Więc ile to potrwa?

- A co za różnica? I tak nie dostanę ani centa z jej majątku, a głupie jaki mogą poczekać.

- A jeżeli ja nie mogę?

Udał, że tego nie usłyszał. Podszedł do szafy i jeszcze raz uważnie obejrzał czarną prześwitującą sukienkę z marszczonym dekoltem i seksownym rozcięciem z boku.

Wyjął ją i pokazał Ricce.

- Ty to dzisiaj przyniosłaś? Bo Joey miała dokładnie taką samą.

Ricca się zdenerwowała.

- To nie moja, Chaz. Chyba że urosłam dziesięć centymetrów i schudłam pięć kilo.

- Ej, kręcisz.

- No naprawdę!

- Dobrze, już dobrze. - Zerwał sukienkę z wieszaka, zwinął i schował do szuflady. - Przysiągłbym, że ją wczoraj pakowałem.

Ricca rozejrzała się nerwowo po sypialni.

- Szczerze mówiąc, trochę się tu czuję nieswojo teraz, kiedy twoja żona umarła.

- A co, kiedy żyła, było łatwiej?

- Nie, po prostu to straszne, co jej się przydarzyło. Możemy już iść?

Chaz podszedł do komody i przejrzał kolejno wszystkie szuflady. Nigdzie nie było majtek i biustonosza Joey, które zostawił dla Ricci. Zaczął się zastanawiać, czy to nie początki choroby psychicznej.

- Szukasz drugiej skarpetki? Leży na podłodze, pod szafką.

- Faktycznie. Dzięki.

Gdy tylko Ricca wyszła poprawić makijaż, wymknął się kuchennymi drzwiami do garażu. Kartonowe pudła z rzeczami Joey leżały dokładnie tak, jak je zostawił, obok toyoty.

Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś je ruszał, więc Chaz doszedł w wniosku, że widocznie jednak przeoczył tę czarną sukienkę podczas pakowania. Co do bielizny, pewnie ją przełożył w inne miejsce.

Wrócił do domu, poszedł do salonu i z ulgą spostrzegł, że zdechłe rybki, które wylał do kanalizacji, na szczęście nie zmaterializowały się z powrotem w akwarium. Zrobił sobie drinka i zaczął przerzucać płyty na półce, żeby wybrać coś fajnego do samochodu. Wszystkie były ułożone alfabetycznie. Kiedy doszedł do litery „T”, oblał się zimnym potem. Brakowało *Bad to the Bone*, *Move It on Over*, zniknęła nawet *Anthology*.

Wróciła Ricca. Wyglądała oszałamiająco.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz - powiedziała - ale pożyczyłam sobie szminkę Joey.

Chazowi zjeżyły się włosy na karku.

- Jak to?

- Swoją zostawiłam w samochodzie. Przepraszam.

- Nie rozumiesz. Wszystkie szminki Joey wyrzuciłem. Kosmetyki też. Przetrzęsnałem całą łazienkę.

- Ale słowo daję, leżała w szafce.

- To niemożliwe!

Chaz poczuł strużki potu pod pachami. Podeszedł do Ricci, chwycił ją za podbródek i obrócił do światła, żeby dokładnie zobaczyć kolor szminki.

- Psiakrew - mruknął. To był z całą pewnością Coral Tease, ulubiony odcień Joey. A właściwie jego. Podobnie jak ta czarna sukienka z rozcięciem. Joey założyła ją na jego prośbę, gdy w rocznicę ślubu wybierali się do restauracji Mark's na Las Olas.

Puścił Riccę i powiedział:

- Coś tu nie gra.

- Myślisz, że kłamię? Po co miałabym to robić? - Ricca była skonsternowana i zła.

- Słusznie. Przepraszam.

- To co, idziemy stąd wreszcie?

- Oczywiście. Tylko zadzwonię.

- Świetnie. Będę w łazience. - Trzasnęła za sobą drzwiami i chwilę się dąsała.

- Gdzie masz maszynkę? - zawołała, ale Chaz już był zajęty rozmową przez telefon.

* * *

Joey i Mick obserwowali dom ukryci w samochodzie zaparkowanym kilkadziesiąt metrów dalej na podjeździe sąsiadów. Joey zapewniła, że nie ma się czego obawiać, bo właściciele wyjechali na północ na miesiąc, a może i dłużej.

- Uciekają przed sądem - wyjaśniła. - Prowadzą firmę telemarketingową i naciągają emerytów na kupno kontraktów terminowych na biopaliwa. Za każdym razem kiedy FBI zamyka im biuro, zaszywają się w letnim domu w górach Adirondack.

- Piękne okolice - stwierdził Stranahan.

- Co ty robisz?

- Próbuję rozpracować ten cholerny odtwarzacz.

Dla celów obserwacyjnych Joey wynajęła ciemnozielonego chevroleta suburbana z przyciemnianymi szybami.

- Mick, nie, proszę - powiedziała.

Przeglądał płyty George'a Thorogooda, które ukradła z kolekcji męża.

- Nie lubisz go?

- Nie lubię wspomnień z nim związanych.

Joey chciała zamknąć temat, ale nagle jej się wyrwało:

- Zawsze kiedy jechaliśmy samochodem i Chaz włączał *Bad to the Bone*, to był sygnał, że mam mu zrobić... no wiesz.

- Rozumiem. - Stranahan rzucił płyty na tylne siedzenie. - Czyli pan Charles Perrone nie tylko ma się za intelektualistę, ale i ogiera.

Joey wymieniła dziesięć rzeczy, których Chaz najbardziej u niej nie znosił, w tym - na pozycji szóstej - ruszanie płyt Thorogooda.

- Ale nie dlatego chciał cię zabić, uwierz mi.

- Widzisz? Właśnie to mi nie daje spokoju. Ja zwariuję. Nie mogę pojąć, czemu to zrobił.

- Stawiałbym na forszę.

- Przecież ci mówiłam, że po mojej śmierci nie dostałby ani centa.

Stranahan dalej manipulował przy radiu.

- Motywami zabójstw są najczęściej seks, nienawiść albo pieniądze. Jeżeli nie chodziło o twoje pieniądze, to może kogoś innego?

Joey właściwie chciałaby, żeby to była prawda.

- Nie zniosłabym, gdyby się okazało, że wypchnął mnie za burte tylko po to, żeby być z nią. - Spojrzała wściekle w stronę domu.

- Mało prawdopodobne.

- Szkoda, że nie znalazłeś mojego pierwszego męża, Benny'ego - rzekła z czułością. - To był kochany facet. Może bez fajerwerków w pewnych kwestiach, ale szczerzy i prostolinijny.

Stranahan skierował lornetkę na okno wykuszowe. Ktoś zapalił światła, ale zasłony nadal były zasunięte. Ta brunetka siedziała tam już od godziny. Przyjechała małym niebieskim fordem, którego postawiła obok hummera Chaza.

- Nie znasz jej?

- Nie. To żałosne. On ma tyle panienek, że powinien im zamontować obroże z nadajnikami.

Stranahan cieszył się w duchu, że Perrone znalazł sobie damskie towarzystwo zaledwie trzy dni po tym, jak został wdowcem. Tak szokująca lekkomyślność otwiera nieskończenie wiele możliwości osobie, która chce mu namieszać w głowie.

- Skończmy na dzisiaj - zasugerował.

- Powiedz szczerze, czy ona naprawdę jest taka seksowna?

- Jeżeli postoiemy tu dłużej, zrobi się niebezpiecznie.

- Takimi chevroletami jeździ Secret Service.

- Joey, my nie jesteśmy Secret Service. Ja teoretycznie jestem na emeryturze, a ty teoretycznie nie żyjesz.

- Ty, trzeba zapisać jej numer rejestracyjny!

- Fakt. - Zbyt zmęczony, żeby ufać swojej pamięci, Stranahan nagryzmołił numer na wewnętrznej stronie dłoni.

- Jeszcze piętnaście minut - powiedziała Joey. - Potem możemy jechać.

- Dziękuję.

Wcześniej, zaraz po opuszczeniu wypożyczalni samochodów, mimo protestów Stranahana zatrzymali się przy centrum wyprzedażowym. Joey stwierdziła, że nie może dłużej nosić ubrań po jego byłych żonach i dziewczynach, i dla przykładu zwróciła uwagę, że wszystkie biustonosze są na nią za duże. A więc, chcąc nie chcąc, Stranahan włókł się za nią między regałami, a ona tymczasem nakupowała koszulek, spodni, spódnic, butów, kosmetyków i innych drobiazgów za sumę 2400 dolarów. W życiu nie widział, żeby ktoś robił zakupy tak sprawnie i zdecydowanie. Mimo to był tym tak wyczerpany, że jego wrażliwość zupełnie stępsiała. A może wszyscy zaczynają się tak czuć, kiedy trafiają do West Boca Dunes Phase II.

- Nawet nie zapytałeś o tę czarną sukienkę - odezwała się Joey. - Wiąże się z nią kilka pikantnych historii.

- Puściłem wodze wyobraźni.

- Gwarantuję ci, że cokolwiek Chaz robi teraz z tą kobietą, myśli o mnie. A poczekaj, jak znajdzie szminkę!

Stranahan oparł głowę o szybę i zamknął oczy.

- Ani się waż zasypiać - powiedziała Joey.

- Stęskniłem się za psem. Chcę wracać na wyspę.

Szturchnęła go w ramię.

- Są!

Z domu Perrone'ow wyszły pośpiesznie dwie postacie, mężczyzny i kobiety. Po ciemku Stranahan nie potrafił rozpoznać ich twarzy, ale to bez wątpienia był mąż Joey i jego znajoma. Gdy wsiedli do niebieskiego forda, wewnętrzna lampka na moment oświetliła ich twarze. Oboje mieli zaaferowane miny.

- Chaz usiadł za kierownicą - zauważyła Joey. - Wiesz, co to oznacza?

- Nie, co?

- On ją posuwa. Facet nie pyta, czy może poprowadzić twój samochód, dopóki się z tobą co najmniej dwa razy nie prześpi. Tak mówi Rose, a ona miała w życiu ze czterdziestu dziewięciu mężczyzn.

- To chyba pora zmienić olej.

- Pojedźmy za nimi, co?

- Nie ma sensu. Możemy przyjąć, że ją przeleciał, teraz zabiera na kolację, a potem odeśle do domu.

- Wejdę jeszcze raz do środka.

- Kiepski pomysł. Napędziłaś mu dzisiaj dosyć strachu.

- Daj mi dziesięć minut. Muszę skorzystać z toalety.

Joey wyskoczyła z samochodu i przebiegła przez ulicę.

Kiedy wróciła, z głośników leciało na cały regulator *Move it on Over*.

Spojrzała na Micka z wyrzutem.

- Jesteś okrutny.

- To nie płyta, to radio. - Ściszył głośniki. - Trafiłem na stację z klasycznym rockiem.

- Co cię tak bawi?

- Nic, nic. Uwielbiam takie zbiegi okoliczności. Zapnij pasy.

Joey całą drogę milczała. Odezwała się dopiero, gdy wjechali na autostradę międzystanową.

- Chaz na pewno zauważył sukienkę, bo nie było jej w szafie.

- Doskonale.

- Ale w umywalce znalazłam coś bardzo dziwnego.

- Co? - Stranahan przypuszczał, że resztki galaretki albo bitej śmietany.

- Włosy łonowe - dodała z oburzeniem Joey. - Zielone. Ta wstrętna baba goliła się w mojej łazience.

Mick ścisnął ją za rękę.

- Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

* * *

Tool mieszkał w przyczepie kempingowej na obrzeżach miasteczka LaBelle, niedaleko jeziora Okeechobee. Razem z przyczepą kupił dwudziestoarową działkę, na której poprzedni właściciel uprawiał pomidory. Tool nienawidził pomidorów od czasu, gdy pracował jako nadzorca na plantacji. W dniu, kiedy się wprowadził, przymocował do swojego pick-upu blok silnika od starego pontiaka i kilka razy „przeorał” poletko, aż została tylko goła ziemia.

W miejsce warzyw „zasadził” kolekcję przydrożnych krzyży znaczących miejsca wypadków. Zgromadził je, jeżdżąc po całej południowo-zachodniej Florydzie. Małe, ręcznie zbijane krzyże często zdobiły kolorowe bukiety, które uważał za szczególnie miłe dla oka. Ilekroć zauważył na poboczu taki krzyż, wyciągał go z ziemi i wrzucał na skrzynię auta.

Bywało, że widzieli go przy tym inni kierowcy, ale nikt nigdy nie próbował się wtrącać.

Tool miał metr dziewięćdziesiąt, ważył sto trzydzieści kilo i posiadał głowę wielkości dyni. Z powodu obficie owłosionych górnych partii ciała intensywnie się pocił, nawet w chłodniejsze dni. Dlatego najczęściej chodził bez koszuli. Już prawie rok minął, jak w biały dzień został postrzelony przez kłusownika, który go wziął za niedźwiedzia. Na ciele nie było widocznej rany, ponieważ kula jakimś cudem trafiła prosto w „przedziałek” na tyłku i utknęła między pośladkami. Prawie nie krwawił, więc postanowił nie iść do lekarza. Ta decyzja miała się na nim potem zemścić.

Wkrótce ból stał się tak nieznośny, że musiał zrezygnować z pracy, bo fizycznie nie był już w stanie przez dwanaście godzin dziennie nękać i maltretować pracujących na farmie imigrantów. Cierpiał tak bardzo, że rozważał wzięcie fentanylu, który mu polecił znajomy ćpun. To silny środek przeciwbólowy używany podczas operacji, ale dostępny także w formie wygodnych plastrów.

Tool nie miał recepty, ale miał wytrych. Raz w tygodniu udawał się do Fort Myers, włamywał się do hospicjum i starannie odklejał plastry z ciał pacjentów chorych na raka, będących pod wpływem środków uspokajających. Bardzo szybko się uzależnił, doszedł do dawki, która co bardziej rozwinięte ewolucyjnie organizmy mogłaby zabić. Jedynym kłopotem było gęste owłosienie, przez co plastry nie chciały się trzymać. Musiał codziennie się golić, często w szachownicę, żeby zrobić dla nich miejsce.

I właśnie przy tej czynności zastał go pewnego dnia Red Hammernut. Tool leżał kompletnie goły w zardzewiałej wannie na tyłach przyczepy i brutalnie haratał maszynką po plecach.

- Cześć - przywitał gościa. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Byłem w Afryce na rybach. - Hammernut ciężko sapnął i przysiadł na zdezelowanym składanym stołku. - Dziś rano przyleciałem do Tamy i jeszcze mi łeb pęka. Mogę spytać, co ty, u diabła, wyprawiasz?

- Masz dla mnie robotę?

To jedno Red w nim podziwiał: ten sukinsyn umiał od razu przejść do rzeczy.

- Wykąp się spokojnie, pogadamy później. A tymczasem powiedz, gdzie mój stary przyjaciel, pan Daniel's?

- Gdzieś w sypialni jest butelka.

Sypialnia Toola to było ostatnie miejsce, do którego Red pragnęłyby zaglądać, więc wyjął sobie zamiast tego piwo z

lodówki. Gdy wyszedł z przyczepy, Tool splukiwał ciało szlauchem.

Red pokazał na las białych krzyży za przyczepą.

- Ile ich już masz?

- Sześćdziesiąt parę, może siedemdziesiąt. - Tool otrząsnął się z wody niczym zmoknięty bizon. - Red, podaj mi ręcznik.

Pokazał na wymięty kawałek szmaty poplamiony czymś, co wyglądało na olej silnikowy. Hammernut rzucił ręcznik Toolowi, a ten zamotał go sobie wokół głowy.

- Ciągłe nie rozumiem, po co je trzymasz. To cholernie przygnębiające - powiedział Red.

Tool spojrział z dumą na równe rządki krzyży. Miał gdzieś ofiary wypadków, ale podobała mu się wizualna symetria kompozycji, którą stworzył.

- Trochę jak ten słynny cmentarz wojskowy w Waszyngtonie. Jak on się nazywa?

- Arlington.

- No. Taki mini-Arlington!

- O Boże.

- No co, lepsze to niż jakieś pieprzone pomidory.

- Tu masz rację - roześmiał się Hammernut.

Obaj panowie poznali się cztery lata wcześniej, kiedy Red kupił duże gospodarstwo warzywne, w którym Tool kierował brygadami zbieraczy i pakowaczy. Przyjrząwszy się jego wyspecjalizowanym technikom zarządzania, zaczął mu powierzać dodatkowe zlecenia, które wymagały siły mięśni i braku sumienia. Przekonał się, że może na nim polegać, choć nie jest tak ślepo zaangażowany jak jego poprzednik Crow Beacham. To właśnie Crow zgłosił się na ochotnika, żeby zlikwidować tego głupiego młodego Meksykanina, który wiecznie narzekał na zapchane

ubikacje i brązową wodę w kranach baraków pracowniczych. Dziewiętnastoletni gówniarz złożył skargę u tych komunistycznych ciot z biura obsługi imigrantów. Ci zamierzali donieść o sprawie sędziemu federalnemu, ale kluczowy świadek nagle zniknął.

Dopiero po dwóch latach odnaleziono szkielet Meksykanina w kopalni fosforytów sto kilometrów dalej, ale Crow Beacham już wtedy nie żył - miał tasiemca i syfilis. Hammernut zauważył, że Tool lepiej dba o siebie, choć też niewystarczająco.

- Co to za robota i za ile? - zapytał Tool.

- Pięć stów dziennie.

Tool zrobił duże oczy i spojrzał na niego nieufnie:

- Mam kogoś kropnąć czy co?

- To chyba nie będzie konieczne.

- Nie rób sobie ze mnie jaj, Red, nie jestem w nastroju. Dupa mnie boli.

Poczłapał do przyczepy i tłukł się tam przez kilka minut. Wyszedł ubrany w czarne drelichowe ogrodniczki, w rękę trzymał zamrożoną na kamień pizzę. Kiedy ją ugryzł, rozległ się trzask jak przy wystrzale z dwudziestki dwójki.

Red postanowił nie pytać o kwadratowe plastry w cielistym kolorze, które Tool przykleił sobie w trzech wygolonych miejscach na plecach. Lepiej nie wiedzieć za dużo o prywatnych zwyczajach tego człowieka.

- Mów, o co chodzi - powiedział Tool.

- No więc tak: pewien gość, który dla mnie pracuje, stracił parę dni temu żonę. Jest w związku z tym trochę roztrzęsiony i chciałbym, żebyś miał na niego oko.

- Co się jej stało? - Z ust Toola kapłała krew z poranionych dziąseł.

- Wypadła z wycieczkowca na środku oceanu.
- Pieprzysz. Co ona, niedorozwinięta jakaś czy co?
- Bynajmniej. - Red wiedział z doświadczenia, że lepiej nie wprowadzać zamętu w umyśle Toola nadmiarem informacji. - W każdym razie chłopak ma nerwy w strzępach, bo w dodatku czepiają się go gliny. Dziś rano zostawił mi wiadomość na sekretarce: myśli, że ktoś się włamuje do jego domu, grzebie w rzeczach żony i w ogóle próbuje go nastraszyć. Ja uważam, że to urojenia, ale tak czy owak przyda mu się anioł stróż. I to będziesz ty.

Tool skinął głową, energicznie poruszając szczękami.

- Mówisz, że pracuje na plantacji?

Hammernut uniósł rękę, żeby osłonić twarz przed lecącym w jego kierunku kawałkiem pepperoni.

- Nie. On mieszka w Boca Raton.

- Kurwa, Red.

- Wiem, stary. Dlatego proponuję ci pięć stów dziennie.

Tool znowu splunął, tym razem celowo, i poszedł do przyczepy. Wrócił z paczką suszonej wołowiny.

- Daj kawałek - powiedział Red, częstując się.

- Boca Raton! Tylko nie to.

- Przykro mi, stary.

- Co on dla ciebie robi, ten gość?

- Nic, co chciałbym rozgłaszać, rozumiesz? Jak tylko zauważysz, że coś kombinuje, masz do mnie dzwonić.

- Rozumie się - odparł Tool.

- I nie rób nikomu krzywdy - dodał Hammernut - chyba że ci powiem.

Kiedyś, kiedy FBI sprawdzało potencjalnie groźne dla Reda (choć w pełni uzasadnione) oskarżenia, jakoby zatrudniał niewolników kontraktowych, ten wysłał Toola, żeby zniechęcił pokrzywdzonych pracowników do współpracy z organami ścigania. Choć nikt nie zginął ani nie zniknął, tych kilku pracowników, którzy ośmielili się zeznawać, jednogłośnie sportretowało Hammernuta jako dobrotliwego wujaszka, który ich wyrwał z bezsensownej egzystencji i zapewnił świetlaną przyszłość w nowoczesnym rolnictwie.

Red na podstawie tego, co zaobserwował w obozach pracy w Immokalee i Belle Glade, był pewien, że Tool bez kłopotu poradzi sobie z takim tchórzliwym, rozpieszczonym białasem jak Chaz Perrone.

Przeciągnął się, sapnął i oznajmił, że jedzie do domu i zamierza spać co najmniej cztery dni. Tool odprowadził go na drogę, gdzie czekał szary cadillac. Kierowca Reda jak zwykle trzymał włączony silnik i klimatyzację nastawioną na 20 stopni.

- Ładna była? - spytał Tool.

- Kto, ta żona? Ładna.

Tool podrapał się po karku.

- Może ją zabił.

- Nie interesuje mnie to - odparł Red Hammernut - i ciebie też nie powinno.

Rozdział 9.

Pewnego wieczoru wiosną 1896 roku szacowny obywatel stanu Pensylwania nazwiskiem Hamilton Disston, siedząc w wannie, strzelił sobie w głowę. Wpadł w głęboką depresję po tym, jak utopił cały majątek w monumentalnym przedsięwzięciu mającym na celu osuszenie ponad półtora miliona hektarów mokradeł na Florydzie, znanych jako Everglades.

Chociaż Disston zmarł w przekonaniu, że poniósł porażkę, później się okazało, że był pionierem i źródłem inspiracji dla innych. W następnych latach jego zachłanną fantazję w takiej czy innej formie próbowały wcielić w życie rzesze żądnych zysku spekulantów - handlarzy gruntami, bankierów, magnatów kolejowych, inwestorów nieruchomości, hodowców cytrusów, hodowców bydła, potentatów branży cukrowniczej i wreszcie polityków, którzy siedzieli u nich w kieszeniach.

Na terenach, których nie dało się osuszyć, zbudować ani obsiać, Korpus Inżynierów Sił Lądowych armii Stanów Zjednoczonych wybudował system tam i zbiorników. Miliardy litrów słodkiej wody, które przez wieki w postaci szerokiej bagnistej rzeki spływały swobodnie w stronę Zatoki Florydzkiej, teraz skanalizowano i zaczęto używać do nawadniania pól oraz w przemyśle i szybko rozwijających się miastach. Powstała pierwsza autostrada biegnąca wzdłuż całego stanu, a potem druga, która przecinała w poprzek jego południową część, fatalnie blokując odpływ wód z jeziora Okeechobee. To, co zdołało się przedostać do rozlewisk, często było zanieczyszczone pestycydami, nawozami i rtęcią.

W celu ochrony gospodarstw i osiedli mieszkaniowych przed powodzią (oczywistym następstwem zajmowania terenów zalewowych) wykopano setki kilometrów kanałów, które w letnie

deszczowe miesiące miały odprowadzać nadmiar wody do oceanu.

Inżynierowie za pomocą stacji pomp mogli dowolnie regulować poziom wód, nie bacząc na naturalne cykle pływów. W konsekwencji bujna flora i fauna Everglades zaczęła ginąć, ale nikt, kto miał władzę i mógł temu zapobiec, nawet nie kiwnął palcem. W końcu to tylko jedno wielkie bagno.

W drugiej połowie XX wieku seria susz zachwiała zarozumiałym przekonaniem, że źródła wody są niewyczerpalne. Ci, których fortuny zależały od tego, czy uda im się przyciągnąć na południową Florydę jak najwięcej turystów i potencjalnych nabywców nieruchomości, musieli teraz wziąć pod uwagę straszną możliwość, że ci przekłęci obrońcy środowiska mieli jednak rację. Gdyby Everglades wyschły lub uległy skażeniu, mogłaby też zniknąć ogromna warstwa wodonośna dostarczająca wodę pitną dla Palm Beach i całego archipelagu Florida Keys. Rozwój regionu nagle by się zatrzymał, a zarobione przy tej okazji nielegalne fortuny ulotniłyby się szybciej niż eter.

Przedstawiono tę apokaliptyczną wizję politykom i wkrótce nawet ci najbardziej dotąd opieszali zaczęli nazywać Everglades skarbem narodowym, który należy za wszelką cenę chronić. Urzędnicy, którzy przez dziesiątki lat przykładali rękę do niszczenia mokradł, teraz drżącym głosem lamentowali nad ich zagładą. W czasie kampanii wyborczych bezczelnie kazali się fotografować, jak opływają kajakami Przylądek Wschodni lub przemierzają pieszo Dolinę Rekinów.

Koniecznym było w tle widać aligatory i czaple śnieżne. Ratowanie Everglades stało się dla obu największych partii sprawą najwyższej wagi. Wyborcy zareagowali entuzjazmem.

Niestety, już prawie nie było co chronić. Dziewięćdziesiąt procent pierwotnych obszarów rozlewisk zostało

zagospodarowane, przekształcone w pola uprawne lub w inny sposób niszczone. Jediną niezadeptaną resztką był park narodowy, którego stopień czystości wody pozostawiał wiele do życzenia, mimo to pod koniec lat dziewięćdziesiątych Kongres Stanów Zjednoczonych i władze Florydy przeznaczyły oszałamiającą kwotę ośmiu miliardów dolarów na odtworzenie naturalnego i wolnego od zanieczyszczeń przepływu wód do sławnej „rzeki traw”. Wielu przyzwoitych, myślących ludzi uznało to a swój moralny obowiązek.

Ale byli też tacy jak Samuel Johnson Hammernut, któremu na zachowaniu Everglades zależało tylko dlatego, że bagna stanowiły stałe źródło taniej wody dla jego pięciu tysięcy hektarów kapusty, sałaty, kukurydzy, pomidorów, rzodkiewki i pietruszki. Zagrożona przyroda tego obszaru obchodziła go tylko trochę mniej niż los nieszczęśników, którzy za grosze harowali na jego plantacji, związani umowami o spłatę fikcyjnych długów, którymi ich obciążali bezwzględni nadzorcy.

Jeśli zaś chodzi o kwestię zatrufania środowiska, Red nie zamierzał rezygnować z używania mokradeł jako ścieku, miał gdzie przepisy prawa. Jako człowiek pragmatyczny, uważnie obserwował rozwój biurokracji wokół programu rewitalizacji Everglades i w porę podjął odpowiednie kroki, żeby zabezpieczyć swoje interesy. Osiem miliardów dolarów to straszna masa pieniędzy i Red liczył, że co najmniej jedną trzecią zgarną lobbyści, prawnicy, konsultanci i ustawiacze przetargów popierani przez odpowiednich polityków. Resztę tego prezentu rozdysponuje mniej lub bardziej rzetelnie i sprawnie mnóstwo miejskich, stanowych i federalnych instytucji, które rzadko będą się między sobą kontaktowały.

Jedną z najważniejszych był Zarząd Gospodarki Wodnej Południowej Florydy, który zatrudnia biologów do badania

zawartości szkodliwych substancji w spływach z pól uprawnych. To potencjalnie mogło skomplikować życie Hammernutowi.

Tak się szczęśliwie złożyło, że członków zarządu mianował gubernator, na którego kampanię Red przekazał pokaźne sumy pieniędzy i użyczył prywatnej cesseny. Nie był więc zaskoczony, że tak mile przyjęto jego telefon w zarządzie i że tak szybko znalazł się etat dla młodego obiecującego biologa, którego im osobiście polecił.

Potem już było prosto załatwić, by ten biolog został wysłany w ten rejon badań, który przypadkiem sąsiaduje z pewnym dużym gospodarstwem warzywnym.

Na papierze doktor Charles R. Perrone prezentował się bardzo wiarygodnie.

Red Hammernut miał na miejscu swoją wtyczkę.

* * *

- To dobrze, że ma pan zajęcie - rzekł Rolvaag.

Chaz Perrone ze spokojem pokiwał głową.

- Pańska szefowa mówi, że chciała dać panu tydzień wolnego, a nawet więcej, jeśli trzeba.

Chaz zmarszczył brwi.

- Rozmawiał pan z Martą? Po co?

- To rutynowe postępowanie. Powiedziała, że sam pan nalegał, aby wrócić do pracy, a ja wtedy stwierdziłem, że to właściwie może panu dobrze zrobić.

- A co innego mi pozostało? Snuć się po domu z kąta w kąt i popadać w coraz większą depresję? Nie, dziękuję.

Stali w kuchni, Chaz trzymał w ręku butelkę budweisera, a Rolvaag popijał sprite'a.

Detektyw zjawił się u Perrone'a niecałe pięć minut po jego powrocie z pracy.

- Jestem wykończony - powiedział po raz trzeci Chaz.

- Tak, dzisiaj był niezły upał. - Rolvaag widział w wiadomościach, że Minneapolis nawiedziła wczesnowiosenna burza śnieżna. A on w tym czasie siedział w klimatyzowanym pokoju. Zdumiewające. - Marta mi wytłumaczyła, na czym polega pańska praca. To bardzo interesujące. Założę się, że napotyka pan tam mnóstwo węży.

- Mnóstwo ich przejeżdżam moim samochodem. Wie pan co, nie chciałbym być niegrzeczny, ale naprawdę padam z nóg.

- Oczywiście, rozumiem. - Detektyw dopił napój i uniósł pustą butelkę. - Segreguje pan śmieci?

Chaz machnął ręką w kierunku kosza.

- Zostawiam to Panu Bogu - odparł.

Rolvaag odstawił butelkę na ladę.

- Jeszcze tylko jedną rzecz chciałbym ustalić w sprawie tego wieczoru na statku.

- Wie pan, kogo mi przypomina? Tego detektywa z serialu, Columbo. On zawsze musiał zadać ostatnie pytanie. To pewnie pana ulubiony serial, co?

- Szczerze mówiąc, nigdy nie oglądałem.

- Ale na pewno ludzie panu mówią, że jest pan do niego podobny. Nie chodzi o wygląd, tylko tak samo pan nie odpuszcza. Chociaż w sympatyczny sposób.

- Kiedy to leci? Chciałbym obejrzeć?

Chaz pokręcił głową. Co za ciołek.

- Już dawno tego nie ma, leciało ze sto lat temu. O co chciał mnie pan spytać?

Widać było, że detektyw z ulgą wraca do tematu.

- Tylko o jedno: jest pan pewien co do tego, o której godzinie małżonka opuściłaabinę?

Chaz poczuł nieprzyjemny skurcz w odbycie.

- O trzeciej trzydzięci, przecież mówiłem. Pamiętam, że spojrzałem na zegarek.

- I nie ma możliwości, że pański zegarek źle chodził? - Ton głosu Rolvaaga był nieznośnie obojętny. - Pytam, bo znaleźliśmy pewne ślady, które wskazywałyby, że pani Perrone wpadła do wody kilka godzin wcześniej, niż pan twierdzi.

Detektyw stał oparty o blat i trzymał ręce w kieszeniach.

- To niemożliwe - powiedział Chaz.

- Na pewno da się to wytłumaczyć.

- Co to za ślady?

Rolvaag uśmiechnął się przepraszająco.

- Obawiam się, że nie wolno mi o tym rozmawiać.

W zamkniętej na klucz szufladzie jego biurka leżały wyniki badań potwierdzające, że fragmenty paznokci pobrane z beli marihuany należały do Joey Perrone.

- Tu chodzi o moją żonę - zdenerwował się Chaz - a pan mi mówi, że nie może nic powiedzieć? - Czuł, jak czerwienieje na twarzy. To akurat dobrze, powinien wyglądać na wzburzonego. - Znaleźliście ciało czy co? Do cholery, mam prawo wiedzieć!

- Nie, ciała nie znaleźliśmy, o tym mogę zapewnić. Ani części ciała.

- To co to jest?

Chaz gorączkowo „przeczesywał” umysł. Joey nie miała przy sobie torebki, więc to musi być strzępek ubrania, który morze wyrzuciło na brzeg nie tam, gdzie według obliczeń komputera powinno się znajdować ciało, biorąc pod uwagę pogodę i prądy morskie.

- To po to była panu potrzebna próbka DNA? - spytał Chaz.

- Śledztwo jest w toku. Pewne aspekty muszą na razie pozostać utajnione. Przykro mi, Chaz.

Detektyw pierwszy raz tak się do niego zwrócił i tylko wzmógł tym jego zdenerwowanie. Perrone naoglądał się dosyć filmów policyjnych, aby wiedzieć, że kiedy glina zaczyna się zachowywać jak twój kumpel, znaczy, że masz duże kłopoty.

- Straciłem żonę, a pan mnie tu zadręcza. - Chaz udawał urażonego i zawiedzionego. - Śmiało, niech mi pan powie prosto w oczy, że skłamałem.

- Ludzie po prostu czasem się mylą.

- Nie tym razem.

- Ale sam pan mówił, że wypiliście wtedy sporo wina. To nie zawsze dobrze wpływa na pamięć.

Chaz otworzył kolejne piwo i zaczął je powoli sączyć. Grał na zwłokę, żeby uspokoić nerwy. Detektyw niechętnie poddał mu pomysł, jak wybrnąć z sytuacji. Straż przybrzeżna zakończyła poszukiwania Joey, więc po co rozważać, o której wpadła do wody? Gdyby cokolwiek z niej zostało, co po czterech dniach w oceanie jest mało prawdopodobne, naprawdę nie miałyby znaczenia, gdzie ją znaleziono. Zawsze można stwierdzić, że to rekin albo inny morski padlinożerca wywłókł szczątki daleko poza obszar poszukiwań.

Chaz zwiesił głowę.

- To prawda, byłem wtedy mocno nawalony. Może faktycznie coś pokręciłem. Albo źle spojrzełem na zegarek. - Popukał palcem w szkiełko taniego timeksa, który zakładał tylko wtedy, kiedy musiał jechać na bagna po próbki.

Z twarzy Rolvaaga jak zwykle nie można było nic wyczytać.

- To mamy dwie możliwości - powiedział detektyw. - W każdym razie jest się nad czym zastanawiać. Dzięki za lemoniadę. Aha, ktoś obserwuje pana dom. Taki wielki owłosiony facet w minivanie zaparkowanym za rogiem. Tablice wskazują, że auto pochodzi z wypożyczalni.

- Tak?

Niech tylko się Red dowie, pomyślał Chaz.

- Domyśla się pan, kto to?

Chaz wysunął głowę przez drzwi i wyrztał na ulicę.

- Nie mam zielonego pojęcia - skłamał. - Skąd pan wie, że to mnie obserwuje?

- Strzelam - uśmiechnął się Rolvaag. - Ma pan moją wizytówkę. W razie potrzeby proszę dzwonić.

- Oczywiście - odparł Chaz. „Już się rozpędziłem”.

Stanął przy oknie i patrzył, jak wścibski detektyw odjeżdża. Gdy zadzwonił telefon, prawie go wyrwał ze ściany.

Co jest grane, do cholery? - zastanawiał się. Przecież miało już być po wszystkim. Tymczasem ten cholerny glina ciągle węszy, jakiś zboczony sadysta wchodzi mi do domu i grzebie w rzeczach Joey. A teraz na dodatek muszę się użerać z jakimś ochroniarzem troglodytą, którego Red wytrzasnął Bóg wie skąd.

Kiedy odebrał telefon, w słuchawce odezwał się Tool.

- Ten gość, który od ciebie wyszedł...

- No?

- Mam za nim jechać?

- I co zrobisz?

- Bo ja wiem - mruknął Tool. - Odbiję mu śledzionę.

Chaz westchnął.

- To gliniarz.

- No i...?

Niewiarygodne.

- Proszę cię, zostaw go w spokoju.

- Twoja sprawa - odparł Tool. - Ty, muszę się wysrać, zostawię cię na chwilę, co?

- Jakoś to przeżyję.

Chaz się rozebrał i dwadzieścia minut stał pod gorącym prysznicem. Choć się starał, nadal nie umiał dostrzec, gdzie popełnił błąd, w którym miejscu wykonał fałszywy ruch w tak dopracowanym przeciw planie. Zbrodnia była doskonała, to z resztą świata jest coś nie tak.

* * *

- Okłamałam cię - oświadczyła Joey.

Przez cały dzień w zasadzie nic nie robiła. Trochę popływała, poopalała się, poczytała kryminał Johna D. MacDonalda, który znalazła w skrzynce na przynęty Micka.

- Okłamałam cię, Mick - powtórzyła.

Stranahan nie podniósł wzroku. Był zajęty roztlukiwaniem szczypców krabów za pomocą trzonka od łyżki. Twierdził, że wszystko zależy od pracy nadgarstka. Kawałki skorupki fruwały wkoło niczym szrapnele.

- W sprawie?

- Mówiąc, że niczego nie dotykałam, kiedy poszłam do domu się wysikać. W szafie w przedpokoju znalazłam oprawione zdjęcia.

- Jakie?

- Nasze wspólne. Z wesela, z podróży poślubnej, z wakacji. Z czasów kiedy byliśmy szczęśliwi.

- Czemu były w szafie?

- Bo ten skunks pozdejmował je ze ścian. Zapewne w pięć minut po powrocie do domu. Domyślałam się, że nie mógł nawet znieść widoku mojej twarzy.

Stranahan strzepnął jej z policzka okruch pomarańczowej skorupki.

- Mów, co zrobiłaś?

- Poproszę jeszcze jeden kieliszek wina.

- Co zrobiłaś ze zdjęciami?

- Nie ze wszystkimi, tylko z jednym. Wyjęłam je z ramki i wsunęłam Chazowi pod poduszkę.

- Rany boskie... - jęknął Stranahan.

- Ale wcześniej wzięłam nożyczki do paznokci i...

- I wycięłaś ze zdjęcia swoją twarz.

- Skąd wiesz?

- Bez komentarza.

- Żona czy dziewczyna?

- Małżonka numer trzy, o ile pamiętam.

Joey westchnęła.

- Następnym razem postaram się być bardziej oryginalna.

Jedli w domu, Strom stał za siatkowymi drzwiami i głośno domagał się poczęstunku.

Stranahan milczał i Joey zaczęła się martwić, że zrobiła coś lekkomyślnego, co może zniszczyć ich plan, jakikolwiek by był.

Odstawiła kieliszek.

- Jeśli masz ochotę mnie opieprzyć, zrób to. Tylko pamiętaj, to jest także mój dom. I moje rzeczy wyrzuca Chaz.

- Nie było w Tampie żadnego wypadku z udziałem Chaza i pijanego kierowcy - powiedział Stranahan.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłem w drogówce. Sprawy w sądzie też nie było. A więc i ugody finansowej.

- Czyli nie miał zaskórniaków - odparła cicho Joey.

- Raczej nie. Chcesz usłyszeć, jaki jest nasz plan?

- Jeśli to mi poprawi humor.

- Zaszantażujemy twojego męża.

- Ach tak.

- To znaczy, on ma tylko myśleć, że jest szantażowany. - Stranahan zanurzył wielkie szczypce kraba w miseczkę ze sklarowanym masłem.

- Przez kogo?

- Kogoś, kto wie, że cię zamordował - uśmiechnął się i zjadł jeszcze jeden kawałek kraba. - Oczywiście musimy stworzyć tę postać.

Joey pomysł ogromnie się spodobał, choć nie do końca wszystko załapała.

- Podrzucimy mu fałszywy trop - wyjaśnił Mick. - Chaz pewnie umiera ze strachu, że go prześladuje jakiś tajemniczy intruz. Rozumiem, że nie chcesz, aby się domyślił, że to ty, przynajmniej na razie?

Joey energicznie potrząsnęła głową.

- Nie obraż się, ale te twoje subtelne komunikaty, które mu dotąd wysłałaś... sukienka w szafie, szminka w szufladzie, zdjęcie pod poduszką... to typowe zachowania porzuconej żony. Jeszcze trochę i facet się pokapuje.

- Masz rację.

- Dlatego trzeba sprawić, aby uwierzył, że to ktoś inny się na niego wziął.

- Może ktoś, kto widział, jak mnie wyrzuciła za burtę?

- No, wreszcie mówisz do rzeczy.

- Tajemniczy świadek, który nagle zrobił się pazerny - zapaliła się Joey. - Byłoby super. Ale kto by to miał być? I skąd miałyby wiedzieć, gdzie mieszka Chaz? Zaraz, a jak miałyby się dostać do domu, nie mając klucza?

- Spokojnie, powoli. Mam pomysł, jak to rozegrać.

- Nie wątpię. - Joey Perrone nie czuła się tak dobrze od wielu dni. I nie była to tylko zasługa wina.

- Najpierw jednak warto by się dowiedzieć, dlaczego Chaz chciał się ciebie pozbyć. Poznanie jego motywów otworzy nam całkiem nowe możliwości, jeśli chodzi o szantaż.

Joey bezradnie wzruszyła ramionami.

- Całymi dniami się nad tym zastanawiam.

- Nie martw się. Wszystkiego się dowiemy. - Mrugnął do niej. - Z tego może być nawet niezła zabawa.

Rozdział 10.

Chaz odkrył zdjęcie pod poduszką dopiero we wtorek wieczorem, bo poniedziałkową noc spędził u Ricci na seksterapii, którą sam sobie zaaplikował. Doszedł do wniosku, że to krążący wciąż duch Joey jest winien niefortunnego finału igraszek w wannie, lecz opuszczenie ich wspólnego domu wcale nie rozwiązało problemu. Nawet w pachnącej jaśminem sypialni Ricci Chaz nie potrafił wyrzucić z głowy obrazu seksownej czarnej sukienki w szafie ani erotycznych wspomnień, jakie wywoływała.

Ricca zajmowała się nim zręcznie niczym rzeźbiarka, ale efekt był niezadowolający. Pierwszy raz w historii ich związku - jakiegokolwiek związku - Chaz usłyszał słowa, przed którymi drży każdy mężczyzna:

- Nie przejmuj się, kochanie. Każdemu może się zdarzyć.

W panice zabrał Riccę do najbliższego sklepu muzycznego i kupił płytę z największymi przebojami George'a Thorogooda. Na próżno. *Bad to the Bone* nawet w zremasterowanej wersji nie było w stanie pobudzić penisa do działania. Smutek porażki towarzyszył Chazowi przez cały następny dzień, który spędził, jeżdżąc wte i wewte po groblach Everglades. Ciężył mu jeszcze po powrocie do domu, choć wizyta Rolvaaga, mimo że nieprzyjemna, pozwoliła na chwilę o nim zapomnieć.

Kiedy wieczorem padał na łóżko, nie był emocjonalnie przygotowany na kolejny szok. Gapił się na zdjęcie i bezmyślnie wtykał palec w otwór wycięty w miejscu, gdzie się znajdowała śliczna twarz jego żony.

Zbyt dobrze pamiętał okoliczności, w jakich to zdjęcie powstało. To było w ostatniego sylwestra w Steamboat Springs, dokąd się wybrali na narty. Właśnie wyszli z pokoju po godzinie i siedemnastu minutach żywiołowego seksu. To był jedyny raz,

kiedy Chaz musiał się poddać Joey. Ciężko dysząc, zasygnalizował kapitulację, układając dłonie w literę T, niczym futbolista przygwożdżony przez przeciwnika do murawy. Kiedy podawali aparat barmanowi, wciąż się z tego z Joey śmiali.

Chaz powinien się niepokoić, kto wygrzebał to zdjęcie z szafy i wyciął twarz jego żony. Powinien się zastanawiać, kiedy i jak sprawca zdołał się dostać do domu, nie wybijając szyby ani nie wylamując zamka. Powinien wezwać tego włochatego oprycha przysłanego przez Reda i spytać, czy nie kręcił się w pobliżu ktoś podejrzany.

Ale Charles Regis Perrone myślał tylko i wyłącznie o tamtym wieczorze w Kolorado zaledwie przed czterech miesięcy, kiedy kobieta, którą pieśczośliwie nazywał „swoim blond drapieżcą”, wysssała z niego wszystkie siły. Przeżywał go na nowo ze wszystkimi szczegółami. Wkrótce doznał imponującej erekcji, więc z nieuzasadnionym optymizmem pognął do łazienki. Tam czerwony z wysiłku mordował się zawzięcie przez dłuższy czas, aż ścierpła mu jedna, a potem też druga ręka. Nie było mu dane zaznać ulgi.

Spojrzał na siebie ze wstrętem i zaklął.

Kiedy Joey żyła, mój kutas nigdy nie był jej wierny, pomyślał. Czemu nagle teraz? To straszne, że te mizerne resztki sumienia, jeżeli takowe posiadał, potrafią się objawić w tak upokarzający sposób.

- Nie chciałem jej zabić! - krzyknął do swego zmaltretowanego, więdnącego prześladowcy. - Nie dała mi wyboru!

Podarł zdjęcie na strzępy i wyrzucił do muszli. Sprawdził okna i drzwi, zażył kilka tabletek maaloksu i położył się na sofie w salonie. Jutro wymieni zamki, wezwie serwisanta od alarmu, a biżuterię Joey zdeponuje w swojej skrytce bankowej. Później jeszcze raz przeczesze cały dom, żeby nie zostało po żonie

absolutnie nic, ani jedna blond rżesa, która mogłaby go podniecić wbrew jego woli. A później, wracając z miejskiego wysypiska, wstąpi do Wal-Martu i kupi sobie pistolet.

* * *

- Pewnie nie mam co liczyć na ziołową herbatę?

- Mogę najwyżej zaproponować kawę - odpowiedział Karl Rolvaag.

Rose Jewell zmarszczyła brwi.

- Dziękuję. Trucizna.

Rose miała około czterdziestki i była onieśmielająco atrakcyjna. Gdy stanęła w drzwiach ubrana w biały sweterek, obcisłe wytarte dżinsy i wysokie szpilki, całe biuro zastygło w bezruchu. Jej włosy miały odcień blondu nieznanego w Minnesocie, krainie blondynów. Nawet Rolvaag odczuł lekkie zdenerwowanie.

- Jestem bliską przyjaciółką Joey. Byłam - poprawiła się. - I chciałam powiedzieć, że ona nigdy, ale to nigdy nie popełniłaby samobójstwa, jeżeli to jedna z waszych hipotez.

- Za wcześnie na hipotezy - odparł Rolvaag, co nie było prawdą. Był pewien, że to Chaz Perrone wypchnął żonę za burtę statku. Był również pewien, że bez ciała ani świadków udowodnienie tego będzie niemożliwe.

Kapitan Galio uznał fakt znalezienia paznokci pani Perrone na beli marihuany za interesujący, ale stwierdził, że dowodzi tylko, iż przeżyła upadek. Zgodził się, że podanie przez męża fałszywej godziny jest podejrzane, ale to zbyt mało, by wniesć oskarżenie.

- Na pewno też przyczyną nie był alkohol - dodała Rose. - Czytałam w gazecie o tym winie, którego rzekomo dużo wypila.

Co za nonsens! W życiu nie widziałam Joey pijanej, ani nawet wstawionej. Przynajmniej nie od czasu, gdy dostała ten mandat.

- Jak wyglądało jej małżeństwo?

- Chaz Perrone to dziwkarz. Zdradzał ją na prawo i lewo.

- Z panią też próbował? - Rolvaag sam był zaskoczony własną zuchwałością. Być może bezpośredniość Rose była zaraźliwa.

Rose się uśmiechnęła i skrzyżowała nogi w taki sposób, że detektyw poczuł się jak zakłopotany nastolatek.

- Gdyby mnie choć raz dotknął - wycodziła słodko - skopałabym mu klejnoty. Na szczęście nie miałam okazji go poznać.

Zdaniem kapitana Galio plotki o licznych zdradach Perrone'a nie czynią z niego automatycznie osoby podejrzanej o morderstwo. Rolvaag za trzy tygodnie miał wyjechać do Minnesoty i przygnębiała go świadomość, że ostatnia sprawa, którą prowadzi na Florydzie, zakończy się fiaskiem. Bezдушny zabójca ujdzie sprawiedliwości. Szef dał jasno do zrozumienia, że uważa badanie tej sprawy za drogę donikąd i nit da mu ani więcej czasu, ani ludzi.

Detektyw często wyobrażał sobie panią Perrone, jak w desperacji trzyma się kurczowo pływającej beli i aż łamie sobie paznokcie. Wizja była nader realistyczna, ponieważ Chaz dostarczył policji i służbom ratowniczym zdjęcie żony. Stoi na nim na jakiejś plaży, świeżo po wyjściu z wody. Perrone w przeciwieństwie do Rolvaaga nie dostrzegł w tym upiornej ironii losu. Teraz detektyw umiał sobie wyobrazić, jak wyglądała ofiara Chaza, kiedy wynurzyła się na powierzchnię po tym długim przerażającym locie w dół: mokre blond włosy przyklepione do głowy, na policzkach lśniące krople wody.

Tyle że bez uśmiechu. Joey Perrone na pewno się nie uśmiechała, kiedy jej własny mąż wyrzucił ją za burzę.

- A pani zdaniem, pani Jewell, co się wydarzyło podczas tego rejsu?

- Wiem, co się nie wydarzyło. Moja przyjaciółka na pewno sama nie wyskoczyła. To nie był wypadek. - Rose wstała i zarzuciła torbę na ramię. - Chciałam tylko, żeby ktoś o tym wiedział, to wszystko. Żeby to się znalazło na papierze i trafiło do akt.

- Trafi. Obiecuję.

Rose dotknęła jego ręki.

- Proszę nie porzucać tej sprawy. Przez wzgląd na Joey.

Rolvaag nie miał serca jej powiedzieć, że trzeba cudu, aby udało się przymknąć Charlesa Perrone'a.

Wracając z pracy, detektyw wstąpił do biblioteki, żeby poczytać coś niecoś o Everglades. Wydało mu się dziwne, że człowiek z tak otwarcie niechętnym stosunkiem do przyrody studiuje biologię, a potem podejmuje pracę w terenie, na tętniących życiem mokradłach. To, że Perrone nie wie, w którą stronę płynie Gofsztrom, zdradza pewne luki w jego wykształceniu. Poglądy też ma podejrzane. Rolvaaga szczególnie zaniepokoiła lekkość, z jaką przyznał, że zdarza mu się rozjechać węża swoim paliwożernym SUV-em oraz nonszalancja, z jaką skwitował kwestię segregacji śmieci. Czy to jest facet, który się przejmuje losem naszej planety?

Dość dziwne, że wybrał zawód związany z badaniem życia organicznego, skoro żadne inne poza własnym go nie interesuje. A jednak jeśli wskazówka tkwiła w smutnej i skomplikowanej historii Everglades, Rolvaag nie potrafił jej odnaleźć. Powiązania Perrone'a z tak nieprzyjaznym środowiskiem pozostawały zagadką, a czasu było coraz mniej.

Jadąc do domu, Rolvaag przypomniał sobie własne nieudane małżeństwo, ale nie potrafił sobie wyobrazić ani jednej sytuacji, w

której chciałby się uciec do morderstwa. Poczul się przy tym nieco upośledzony przez swoje pochodzenie - Norwegowie to urodzeni melancholicy, obce są im tego rodzaju wybuchowe emocje, które się wiążą z aktami przemocy w rodzinie. Z drugiej strony Rolvaag nie rozumiał większości morderców, których posyłał do więzienia, obojętnie, co zrobili. Zastrzelenie sprzedawcy lodów dla trzydziestu paru dolarów było dla niego równie niepojęte jak wypchnięcie własnej żony - pięknej i podobno wiernej - za burtę statku wycieczkowego.

Dlaczego Perrone to zrobił? Na pewno nie dla pieniędzy, bo nie dostał odszkodowania z ubezpieczenia. I nie z powodu innej kobiety. Gdyby chciał odejść od żony i uciec z którąś z kochanek, rozwód byłby względnie prosty i bezbolesny. Na Florydzie to zwykła formalność, tutejsze sądy rutynowo traktują bezdzielne małżeństwa z krótkim stażem. W dodatku nie musiał się bać alimentów, bo pani Perrone dysponuje znacznym osobistym majątkiem.

Galio ma rację, pomyślał. Brakuje motywu.

Kiedy wszedł do mieszkania, zobaczył wsunięty pod drzwi wycinek z gazety. To był artykuł o jakimś mężczyźnie z St. Louis, uduszonym, a następnie niemal w całości połkniętym przez olbrzymiego pytona, którego przez kilka miesięcy zapominał karmić. Makabryczną ucztę zwierzęcia przerwał zaniepokojony sąsiad i pobiegł po pomoc.

Przyjechali ratownicy i za pomocą nożyc hydraulicznych wydobyli potwornie wydłużone ciało nieszczęśnika, przy okazji zabijając sytego gada. Nad nagłówkiem ktoś nagryzmołił fioletowym atramentem: „Ciebie też to może spotkać”.

Rolvaag znał to pismo.

No to są już dwie osoby, które się ucieszą z mojego wyjazdu, pomyślał ze śmiechem. Charles Perrone i Nellie Shulman.

Jego dwa węże leżały zwinięte obok siebie w dużym szklanym terrarium stojącym w rogu pokoju. Nie były całkiem białe jak albinosy, raczej kremowe i pokryte cętkami w egzotycznym pomarańczowym odcieniu. W środowisku miejskim to nienaturalnie jasne ubarwienie stanowiłoby cechą zabójczą, ale w mieszkaniu Rolvaaga pytony były bezpieczne.

Nie okazywały mu za grosz wdzięczności. Nawet nie chciało im się ruszyć, chyba żeby coś zjeść albo się przesunąć do słońca. A jednak uwielbiał je obserwować. Sam był zdziwiony, że tak bardzo go rozzłościło, iż palant pokroju Perrone'a potrafi celowo zabić tak pierwotne i doskonale stworzenie.

Wrzucił do piekarnika mrożone lasagne i zaczął przerzucać papiery w teczce, aż znalazł szukaną kartkę. Zadzwoił do wypożyczalni Hertza w Boca Raton i się przedstawił.

Zastępca kierownika nocnej zmiany okazał się bardzo chętny do pomocy i wkrótce Rolvaag dysponował nazwiskiem owłosionego draba, który z minivana obserwował dom Perrone'a, oraz nazwą firmy, która płaciła za wynajem auta.

Red's Tomato Exchange, cokolwiek to jest.

* * *

Joey potrząsnęła Stranahanem, wyrywając go ze snu.

- Mick. Coś mi się przypomniało!

Stranahan usiadł na kanapie i przetarł oczy.

- Która godzina?

- Za kwadrans szósta.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego. - Sięgnął do lampy, ale Joey złapała go za rękę.

- Jestem nieubrana - powiedziała.

Nawet przy zgaszonym świetle w domu nie było aż tak ciemno. Joey miała na sobie kusy biały T-shirt i figi. Ten widok nieco złagodził irytację Stranahana.

- Co jest?

- Przypomniała mi się nasza kłótnia sprzed jakichś dwóch miesięcy. Miałam wtedy lecieć na wesele do Los Angeles, ale pogoda na lotnisku była fatalna, więc wsiadłam w samochód i wróciłam do domu. Za nic nie wsiądę do samolotu, jeśli na niebie jest choć jedna chmurka.

Joey powiedziała, że po wejściu zastała męża w kuchni. Siedział przy stole i wypełniał jakieś tabelki.

- Zerknęłam mu przez ramię i powiedziałam tylko: „Jak ty potrafisz spamiętać te wszystkie liczby?”. Bo nie korzystał z żadnych notatek, po prostu wpisywał cyfra po cyfrze. Zapytałam zupełnie niewinnie i życzliwie. A on zerwał się z krzesła i dostał furii.

- Tylko z tego powodu?

- No właśnie. Zaczął się rzucać, krzyczeć, wymachiwać rękami. Powiedział, żebym przestała go szpiegować i pilnowała własnego nosa. Tak samo było, kiedy go spytałam o hummera, ale tym razem użył pod moim adresem słowa na „k”. Więc go uderzyłam.

- I słusznie.

- Prawym sierpowym prosto w szczękę. Chaz to w gruncie rzeczy mięczak.

- Ale fakt, że go przyłapałaś, wyprowadził go z równowagi. Wiesz, co to były za tabelki?

- Rzadko o tym opowiadał, ale jego praca polega między innymi na tym, że bada próbki wody pod kątem jakichś tam zanieczyszczeń, więc pewnie o to chodziło.

- I naprawdę mu przyłożyłaś?

- Może nie powinnam. Może to było powodem?

- Że chciał cię zabić?

- Może uraziłam jego ego?

Stranahan poradził jej, aby nie myliła arogancji z dumą.

- Tacy ludzie jak Chaz potrafią poprawić swoje ego za pomocą paru ruchów ręką.

- A jednak nigdy dotąd nie widziałam go w takim stanie.

- To bardzo ważne. Dobrze, że mi o tym mówisz.

- Czy to oryginalny *Fruit of the Loom*? - Joey sięgnęła do jego bokserek i odwinęła gumkę.

Stranahan szybko zakrył się poduszką. Najwyraźniej pani Perrone zaczynała przełamywać swoją nieśmiałość.

- Słońce już prawie wstało - powiedziała. - Może pójdziemy popływać?

- Bardzo śmieszne.

- Trzy okrążenia wokół wyspy. Mówię poważnie.

- Myślałem, że boisz się rekinów.

- Nie, jeżeli oboje będziemy w wodzie.

- A jedno z nas jest stare i niedołężne. Rozumiem.

- Tchórzysz?

- Słucham?

Ale Joey już wybiegła na zewnątrz, bosa, w samej bieliźnie. Stranahan usłyszał trzaśnięcie drzwi, a potem plusk. Kiedy wszedł na pomost, nie pozostało mu nic innego, jak wskoczyć do wody i dogonić Joey. Strom przyglądał się im ze zdziwieniem, ale nie miał zamiaru dołączyć.

W połowie okrążania wyspy Joey powiedziała:

- Jak na staruszka jesteś w niezłej formie.

Stranahan nagle zatrzymał się w miejscu.

- Co się stało? - zawołała Joey.

Pokazał ostrzegawczo na fale za jej plecami. Joey zauważyła dwie szare płetwy wystające z wody i głośno wrzasnęła. Chciała zawrócić i wylądowała prosto w ramionach Micka.

- Nie bij mnie - szepnął po chwili - ale to tylko delfiny.

Joey powoli wypuściła powietrze z płuc i zamrugała oczami, żeby wymyć sól spod powiek.

- A więc to cię kręci - powiedziała.

- Jestem całkiem nieszkodliwy. Możesz popytać ludzi.

Delfiny odpłynęły, ale Joey nadal obejmowała Micka za szyję, co go trochę zaskoczyło.

- To było niezłe - stwierdziła. - Lepiej niż w oceanarium.

- Często je tu widuję. To co, kontynuujemy?

- Pływanie czy obmacywanie?

- Wcale cię nie obmacuję. Próbuję nas utrzymać na powierzchni.

- Trzymasz rękę na moim tyłku.

- Dokładniej na udzie. Bo tam mi najłatwiej uchwycić.

- No, ładnie. Twoim zdaniem ile mogę ważyć?

- Nie odpowiem, choćbyś mi przystawiła pistolet do głowy. - Wyzwolił się z jej objęć i odpłynął kawalek.

- Prawie sześćdziesiąt kilo - oznajmiła, wyciskając wodę z włosów. - Ale jestem wysoka. Prawie metr siedemdziesiąt osiem.

- Wyglądasz rewelacyjnie, więc przestań gadać i płynmy dalej. To był twój pomysł, pamiętasz?

Trzy kwadranse później byli już wysuszeni i ubrani. Stranahan piekł gofry, Joey parzyła kawę, a pies obszcze kiwał łódź rybacką przepływającą obok wyspy.

- Powiedz coś więcej o tym szantażu - zagadnęła Joey.

- A, właśnie. - Mick wyszedł na chwilę z kuchni i wrócił z komórką. - Zadzwoń do domu.

- Nie ma mowy!

- Nie musisz z nim gadać, po prostu wybierz numer i daj mi telefon.

- Mamy włączoną identyfikację dzwoniącego. Chaz zobaczy twoje nazwisko.

- To wciśnij gwiazdkę i sześćdziesiąt siedem, i zablokuj.

- Mick, co ty chcesz mu powiedzieć?

- Proszę cię, zrób to.

- Tak jest, szefie.

Stranahan, nie przerywając pracy w kuchni, przyłożył telefon do ucha i przytrzymał ramieniem. Odezwał się udawanym głosem. Joey musiała sobie zatykać usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Czy pan Charles Perrone? Chaz, wprawdzie jeszcze się nie znamy, ale niedługo będziesz mi wręczał sporą sumę pieniędzy. Nie, nie dzwonię z kablówki. Jestem facetem, który widział, jak w zeszły piątek wypchnąłeś swoją piękną żonę za burtę „Księżnej Słońca”... Zgadza się. Dokładnie o dwudziestej trzeciej, podczas deszczu. Chwyciłeś ją za kostki i przerzuciłeś przez reling. Chaz, jesteś tam? Cha-az...?

Kiedy się rozłączył, Joey zaczęła bić brawo.

- Parodiowałeś Charltona Hestona, prawda? Kiedyś na studiach upiliśmy się wieczorem i obejrzelśmy za jednym razem *Dziesięcioro przykazań* i *Planetę małp*.

- Chyba zepsułem twojemu mężowi poranek.

- Co powiedział?

- Najpierw myślał, że chcę mu wcisnąć płatną telewizję cyfrową, potem mnie posądził o to, że jestem jakimś Rolvadem

czy Rolvagiem, który mu robi okrutny kawał. Pod koniec to już prawie bełkotał. Jakby się napił lizolu.

- To, co przed chwilą zrobiłeś, jest legalne?

- Pewnie nie. Poruszę tę kwestię przy najbliższej spowiedzi.

- Widzę, że dobrze się bawisz.

- Chaz zasłużył, żeby mu dokopać.

- Cóż, podziwiam styl, w jakim to zrobiłeś.

- Powiedz mi jeszcze raz, czemu wyszłaś za takiego palanta?

Uśmiech zniknął z twarzy Joey.

- Nigdy tego nie zrozumiesz.

- No i to nie moja sprawa, fakt.

- Powiem ci. Bo trzech facetów z rzędu rzuciło mnie dla innej kobiety. Bo przez dwa tygodnie po pierwszej randce Chaz codziennie przysyłał mi do domu pojedynczą różową różę. Bo pisał do mnie słodkie liściki. Jeśli obiecał, zawsze dzwonił. Zabierał mnie na romantyczne kolacje. Czułam się samotna, a on był dobry w te klocki. Kiedy mi się oświadczał, zgodziłam się dopiero za drugim razem, bo bardzo nie chciałam przeżyć następnego rozczarowania. A w ogóle to strasznie krępujący temat.

- Na miłość boską, nie jesteś jedyną kobietą na świecie, która dała się uwieść. Ale potem, kiedy się zorientowałaś, że to błąd...

- Dlaczego nie odeszłam? Mick, to były tylko dwa lata. I nie zawsze było tak okropnie. Spróbuję ci to wytłumaczyć i jednocześnie nie wyjść na idiotkę: Chaz był świetny w łóżku i przyznaję, że chwilami to mi rekompensowało wszystkie jego wady.

- Doskonale rozumiem - odparł Stranahan. - Wypisz, wymaluj, moje życie. - Nałożył Joey na talerz stosik gofrów. - Kilka moich

najgorszych małżeństw opierało się na głupim pożądaniu i właściwie niczym więcej. Jesteś głodna?

Joey przytaknęła.

- Ja też. Syrop klonowy, masło czy jedno i drugie?

- Wszystko.

- Zuch dziewczyna.

Śniadanie przerwał im Strom, który nagle zaskowyczał z bólu. Stranahan wybiegi na zewnątrz, zaraz za nim Joey. Pies leżał na krańcu pomostu, skomlał i pocierał łapą zraniony pysk. Joey usiadła i wzięła go na kolana.

Na wodzie, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów, stała łódź z czterema wędkarzami, którzy udawali, że majstrują przy przynęcie, a w rzeczywistości ukradkiem chichotali. Stranahan zauważył na pomoście ołowianą kulkę. Powoli się schylił i ją podniósł.

- Co to? - zapytała Joey.

- Pięćdziesięciogramowy obciążnik do haczyka.

- O nie.

- To wyście tym rzucili w mojego psa? - zawołał do wędkarzy.

Ci spojrzeli po sobie, potem na niego, wreszcie najwyższy z nich zawołał:

- Ej, koleś, to cholerne zwierzę nie chciało się uciszyć.

Koleś? - pomyślał Mick. Aha, to już wiemy, z czym mamy do czynienia.

- Zapraszam bliżej - powiedział. - Musimy pogadać.

- Idź się pieprzyć! - krzyknął drugi z wędkarzy, mniejsza kopia tego pierwszego. - Masz tu niezłą dupcię! - Bezcelnie zamachnął się wędką i rzucił na deski pomostu haczyk z wielkim żółtym

obciążnikiem, który się odbił i z głuchym pluskiem wylądował w wodzie.

- Zabierz psa do domu - powiedział Mick do Joey.
- Czemu? Co chcesz zrobić?
- Idź.
- Nie ma mowy, nie zostawię cię samego z tymi kretykami.
- Nie będę sam.

Stranahan naliczył trzy przypadki naruszenia etykiety, za które wędkarzom należała się nauczka. Po pierwsze, bezceremonialnie zakłócili jego prywatność, podpływając za blisko wyspy. Po drugie, dopuścili się niegodziwego ataku na Bogu ducha winnego psa, który tylko robił, co do niego należy. I po trzecie, wulgarnie potraktowali Joey.

Z okna w kuchni Joey widziała, jak łódź podpływa do pomostu. Czterej wędkarze stali gotowi do konfrontacji. Stranahan na moment zniknął w szopie. Wyszedł, niosąc w ręku rugera mini-14 (jak się później dowiedziała), półautomatyczny karabinek sporego kalibru.

Łódź intruzów była wyposażona w silnik Mercury o mocy dziewięćdziesięciu koni. Stranahan precyzyjnie wpakował w niego trzy serie. Mężczyźni zaczęli rozpaczliwie podnosić ręce do góry, a ich błagalne prośby słyszalne były nawet w domu przez zamknięte okna. Joey nie wiedziała, co dokładnie Stranahan im powiedział, ale padli na kolana, wychylili się za burtę i zaczęli wiosłować rękami. Widok było komiczny: przerażona stonoga, która wpadła do muszli klozetowej.

Joey przywiązała Stroma do stołu i wybiegła. Stranahan przewiesił karabin przez ramię i patrzył, jak łódź pomalutku oddala się od wyspy.

- Więc to jest twoja broń - powiedziała Joey.

- Owszem, proszę pani.
 - Jestem pod wrażeniem.
 - Oni też.
 - Czy to, co zrobiłeś przed chwilą, jest legalne?
- Mick Stranahan spojrzał na nią.
- Proszę, nie zadawaj mi więcej tego pytania.

Rozdział 11.

Tool podkreślił klimatyzację do oporu, ale w minivanie nadal było gorąco nie do wytrzymania. Amerykańska produkcja. Wstyd. Gdzie jak gdzie, ale na Florydzie nie powinni wypożyczać samochodów z beznadziejną klimą.

Nie było jeszcze dziewiątej, a cały był spocony i odklejały mu się plastry z fentanylem. Żeby ochłonąć, zdjął buty i ogrodniczki, potem jednym haustem wypił litr Mountain Dew, w który się zaopatrzył po drodze. Pomajstrował trochę przy radiu i cudem znalazł przyzwoitą stację z muzyką country. Shania Twain śpiewała o tym, jak fajnie być kobietą, choć Tool tego nie pojmował. Prawie każda kobieta, z którą się w życiu zetknął, począwszy od matki, sprawiała wrażenie nieustannie wkurzonej na cały rodzaj ludzki. A może chodziło tylko o mnie? - pomyślał.

O wpół do dziesiątej mężczyzna, którego miał ochraniać, wyszedł z domu i szybkim krokiem zmierzał do mini-vana. Z bliska wyglądał świeżo i zadbane. O wiele za młody na wdowca, przeszło Toolowi przez myśl. Naprawdę ciekawe, co się stało z jego żoną.

Charles Perrone dał mu znak, żeby odsunął szybę.

- Nie kręcił się tu ktoś podejrzany?

- Dla mnie całe to miejsce jest podejrzane. Ale nie, nikogo nie widziałem.

- Na pewno? Bo chyba znów ktoś mi wlaźł do domu.

- Zauważyłbym.

Perrone wyglądał, jakby całą noc oka nie zmrużył.

- Zniszczył jedno z moich ulubionych zdjęć - dodał.

Tool miał wątpliwości.

- Jak chcesz, pojedę za tobą do pracy i cały dzień będę się trzymał blisko. Na wszelki wypadek.

Perrone odparł, że nie wybiera się dzisiaj do pracy.

- Czemu siedzisz goły? - spytał Toola.

- Bo w tym aucie można się usmażyć. Ty, Red mówił, że jesteś doktorem.

Chaz zrobił dumną minę.

- Owszem.

Tool obrócił swoje ogromne cielsko i pokazał ostatnie dwa plastry na plecach.

- Możesz mi załatwić więcej takich?

Chaz poczuł obrzydzenie na widok takiej masy spoconego ciała.

- To lekarstwo - wyjaśnił Tool.

- Wiem, ale...

- *Duragesic* się nazywa. Możesz mi wypisać receptę?

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Mam cholerne bóle. Oberwałem kiedyś w tyłek i kula mi utknęła w przedziałku. Serio.

Charles Perrone pobladł i zrobił krok w tył.

- Przykro mi, nie wystawiam recept.

- Jak to?

- Nie jestem takim doktorem, jak myślisz. - Obrócił się na pięcie i pośpiesznie odszedł w stronę domu.

- Co z niego za konował, jak nawet recepty wypisać nie umie - mruknął Tool.

Dwa domy dalej jakaś nie najmłodsza już kobieta w żółtym szlafroku wyprowadzała na spacer dwa małe zwierzątka. Tool się domyślał, że to psy, choć w życiu takich nie widział.

Miały okrągłe spłaszczone pyski, jakby z rozpędu zderzyły się z betoniarką. Właścicielka wyglądała nie lepiej, jakby założyła za ciasną maskę na Halloween, taką miała gładką i naciągniętą twarz. Tool miał okazję przyjrzeć się jej z bliska, kiedy przechodziła obok chodnikiem. Musiała nie zauważyć, że siedzi w samochodzie, bo nonszalancko pozwoliła swoim pupilom obsikać prawe przednie koło.

Reakcja Toola była natychmiastowa. Walnął pięścią w szybę, zasypując stopy kobiety rozbitym szkłem. Wrzasnęła przerażona, a Tool wychylił się przez okno i nie przebierając w słowach, kazał jej posprzątać ten syf.

- Co?! - Szarpnęła za smycze i wzięła pieski na ręce. - Za kogo pan się uważa?

- Jak nie umyjesz tych szczyń, wypierdolę te twoje pieski w dupę.

Uchylił drzwi na tyle, żeby kobieta zobaczyła tyle, ile trzeba. W sekundzie klęczała na ziemi i różową chusteczką gorączkowo wycierała mokre koło. Pieski w tym czasie obszczekiwały się nawzajem.

Kiedy skończyła, Tool powiedział:

- Nie usłyszałem przeprosin.

Kobieta burknęła coś pod nosem, oblała się rumieńcem, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Skóra od czoła do brody była tak napięta i lśniąca, że Tool miał obawy, czy nie pęknie jak przejrzałe mango.

- Zjeżdżaj - warknął.

Nie trzeba jej było tego powtarzać. Rozległ się tylko stukot sandałów na asfalcie. Psy z mordami w harmonijkę ledwo za nią nadążały.

Po kilku minutach znowu pojawił się doktor.

- Co zrobiłeś pani Raguso? - zapytał wzburzony.
- Pozwoliła kundlom obsikać mi koło! - bronił się Tool. - Mówili, że to porządna dzielnica, jak to mówią, „ekskluzywna”. Ja mieszkam w przyczepie, ale swojemu psu nigdy bym nie pozwolił szczać na czyjeś auto.
- Lepiej się stąd zmywaj - poradził mu Chaz. - Ona już pewnie dzwoni na policję.
- Za co? To ona zaczęła.
- Za ekshibicjonizm! Widziałem przez okno. - Perrone był mocno zdenerwowany - Nie trzeba mi tu więcej glin, kapujesz? A teraz się pośpiesz, zanim baba spisze numery.
- Ale kto będzie pilnował domu?
- Jedź i czekaj na telefon od Reda. On ci powie, co dalej.
- Niech to szlag - mruknął Tool i zaczął wycofywać samochód. Na rogu wykręcił, wcisnął gaz i ruszył przed siebie. Komórka odezwała się dopiero po godzinie. W tym czasie Tool zdążył zgarnąć dwa następne krzyże z pasa zieleni autostrady Sawgrass. Wyglądały na nowe, choć kwiaty dawno uschły. W związku z tym był znacznie przyjaźniej nastawiony do świata, kiedy zadzwonił Hammernut.
- Słuchaj, chłopcze - zaczął Red - dobry ochroniarz musi się wtopić w otoczenie. Na tym ta sztuka polega.
- Nigdy nie byłem w tym dobry.
- W porządku, spróbuję wymyślić coś innego.
- A mogę wymienić minivana? - spytał Tool.
- Jak najbardziej.
- Załatw mi coś z lepszą klimą.
- Robi się.
- Aha, ten twój doktorek to chyba jakiś lewy.

Red się roześmiał.

- Tylko nikomu o tym nie mów.

* * *

Mick i Joey byli zdziwieni, widząc na podjeździe żółtego hummera, kiedy o wpół do jedenastej rano podjechali w okolice domu Perrone'ów.

- Ktoś tu sobie wziął wolne - zauważyła Joey.

Stranahan tak jak ostatnio zaparkował chevroleta pod domem nieobecnych sąsiadów.

Po chwili zza rogu wyłoniła się furgonetka, minęła dom Perrone'ów, potem zahamowała, cofnęła się i stanęła obok hummera. Na karoserii widniał duży czerwony napis:

WARSZTAT ŚLUSARSKI

- Cholera, zmienia zamki - mruknął Stranahan.

- To co?

- Zapasowy klucz nie będzie pasował.

Joey uniosła brwi.

- Spokojnie, poczekaj.

Wkrótce nadjechała następna furgonetka. Ta była mniejsza, biała, a napis na drzwiach głosił:

SYSTEMY ALARMOWE GOLD COAST.

- A to co znowu? - jęknął Stranahan.

- Postanowił naprawić alarm.

- Super.

- Możesz łaskawie przestać zrzędzić?

- Dla jasności: nie przepadam za włamywaniem się do cudzych domów. Brudna robota, a poza tym trudno się wytłumaczyć glinom, kiedy cię nakryją. Czy moskitiery też macie podpięte do alarmu?

- Nie, ale w przedpokoju i w sypialniach są czujniki ruchu. Przypuszczam, że Chaz może zechcieć zainstalować więcej; zależy, jak bardzo się boi.

- Moim zdaniem bardzo, sądząc po tym, co tu widzimy.

- To przez ten twój telefon, Mick. Kiedy udawałeś Mojżesza.

- Nie zapominajmy o zdjęciu pod poduszką.

- No, tak. - Joey dałaby wszystko, żeby zobaczyć minę męża, kiedy je znalazł.

Do południa fachowcy uwinęli się z robotą i odjechali, ale Charles Perrone nadal nie wychodził z domu. Joey siedziała jak na szpilkach. Dziś schowała włosy pod czapkę z daszkiem, założyła drelichowe spodnie i luźną koszulę. Rekwizytem tym razem nie była Biblia, lecz skrzynka z narzędziami. Gdyby ktoś zobaczył Joey na ulicy, mógłby ją wziąć za mężczyźnię ze względu na wzrost i zamaszysty, sportowy chód.

- A jeśli on naprawdę jest chory i leży w łóżku? - zaniepokoiła się.

Stranahan obserwował okolicę przez lornetkę.

- Daj mu jeszcze godzinę.

Na ulicy pojawił się niebieski samochód i zajechał pod dom Perrone'ów. To był ten mały ford należący do kobiety z zielonymi włosami łonowymi.

- Chyba żartujesz... - jęknęła Joey.

- Tylko się nie denerwuj - powiedział Mick.

- Boże, on nawet do lunchu nie potrafi wytrzymać bez seksu?

- Ta pani chyba nie ma zamiaru wchodzić do środka - zauważył Stranahan.

Ford dwa razy zatrąbił. Otworzyły się drzwi frontowe i ukazał się w nich Charles Perrone z papierową torbą w ręku.

- Widzisz, co ma na sobie? - powiedziała Joey. - Tę koszulkę do golfa dostał ode mnie na urodziny. I nowy komplet kijów.

Chaz usiadł po stronie pasażera i niebieski ford odjechał. Joey spostrzegła, że kobieta za kierownicą miała wielgachne okulary słoneczne w stylu Jackie Onassis.

- Żeby jej przypadkiem nie rozpoznali z pornosów - wycedziła.

Stranahan poradził Joey, żeby skupiła się raczej na mężu.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

- Dostać się do domu. Mojego domu.

- Ale jak?

- Zaczekaj tutaj do momentu, aż się włączą zraszacze.

Stranahan dotknął jej nadgarstka.

- Jak tylko się włączy alarm, zapalam silnik. Pamiętaj, wyjdź frontowymi drzwiami, a potem bardzo spokojnie przejdź przez ulicę.

- Mick, nie waż się zostawiać mnie tu samej. To by było świństwo.

- Właściwie to jesteś mi coś winna.

- Ten znów o tej łódce - westchnęła Joey, wyskakując z chevroleta. - Ile razy mam cię przeproszać?

Stranahan nie doceniał kobiet od jakichś czterdziestu lat, więc nie osłupiał, widząc, jak na trawniku byłej rezydencji pani Perrone rozkwitają fontanny wody. Pogratulowałby Joey, gdyby tylko pokonała nowe zamki, ale to, że dała sobie radę z alarmem, naprawdę było imponujące.

Kiedy otworzyła mu drzwi, spytał:

- W poprzednim życiu byłaś włainywaczką?

- Nie, żoną - odparła. - Tak jak podejrzewałam, Chaz schował nowe klucze w tym samym miejscu, w karmniku.

- Bo...

- Bo to w ogóle był jego pomysł. Jaki był z siebie dumny, uważał, że jest taki sprytny. A ponieważ tylko ja wiedziałam o tej skrytce...

- A on myśli, że nie żyjesz...

- No właśnie. Czemu nie schować ich tam znowu? On pewnie myśli, że ten, kto się zakrada do domu, poprzednie klucze zdobył od naszej gosposi albo faceta, który się zajmuje akwarium.

- Dobrze, ale jak rozbroiłaś alarm?

- Mick, rusz głową.

Stranahan szeroko się uśmiechnął.

- Nie mów, że Chaz ustawił ten sam kod.

- Owszem. Dwa, dwadzieścia jeden, siedemdziesiąt dwa.

- Brzmi jak data urodzenia.

- Bingo. Wiedziałam, że nie będzie mu się chciało wymyślać nowego.

- Tak czy owak, sporo ryzykowałam.

- Nie. Za dobrze go znam.

Usiedli w jadalni. Na stole leżał ubłocony plecak Chaza. Joey powiedziała, że kupiła kiedyś mężowi skórzaną aktówkę, ale on stwierdził, że jest niepraktyczna przy pracy na bagnach. Stranahan poodpinał liczne sprzączki i suwaki i opróżnił zawartość kieszeń po kieszeni. Znalazł tam: foliową koszulkę, w której były luźne kartki z tabelami i wykresami, kilka mechanicznych ołówków, dwie puszki sprayu przeciw owadom, zestaw pierwszej pomocy

na wypadek ukąszenia węża, plastry, grube bawełniane skarpety, płócienne rękawiczki, rękawice podgumowane, chlor w tabletkach, tubka maści z antybiotykiem, zwinięty duński świerszczyk, kilka czerstwych pączków w czekoladzie, torebka mieszanki studenckiej i opakowanie maaloksu.

- Twój mąż ma kłopoty z żołądkiem. To nam może pomóc - powiedział Stranahan.

Joey wertowała papiery.

- To właśnie te tabelki, nad którymi pracował tego dnia, gdy na mnie naskoczył.

- Miałaś rację. Tu się wpisuje wyniki badań próbek wody. - Wyjął jeden pusty formularz, złożył i schował do kieszeni firmowej koszuli pracownika zakładu energetycznego.

- Nic więcej nie bierzemy? - zapytała Joey.

- Na razie nie.

Mick ostrożnie włożył wszystko z powrotem do plecaka.

- To był taki mały bonusik - powiedział. - A teraz powiedz, gdzie pan Perrone trzyma książeczkę czekową?

- Moment. - Joey wyszła do przedpokoju i wróciła, trzymając w wyciągniętej ręce brudnego, ubłoconego adidasa.

- Nigdy nieprany - skrzywiła się z obrzydzeniem.

Sprytny pomysł, przyznał w duchu Stranahan. Nawet najbardziej zdesperowany złodziej nie tknie śmierdzących butów. Joey wytrzepała ze środka książeczkę czekową.

Stranahan przejrzał rejestr operacji, ale nie znalazł żadnych podejrzanych transakcji. Jedyne odnotowane wpływy to państwowa pensja Chaza, która przychodzi na konto dwa razy w miesiącu.

- Mówiłaś, że kiedy kupił tego hummera?

- W połowie stycznia.

- Nic tu nie ma, nawet śladu zaliczki.

- Może ma drugie konto, o którym nie wiem?

A może to nie on zapłacił za samochód, pomyślał Stranahan.

- A te zaskórniaki, o których mówiłaś?

Joey pokręciła głową.

- Papiery wartościowe?

- Wtedy dostawałby pocztą wyciągi z rachunku maklerskiego.

Joey stwierdziła, że nigdy na coś takiego nie trafiła. Stranahan wstał i stwierdził, że pora iść, zanim wróci Chaz ze swoją przyjaciółką.

- Czekaj. Zostawmy mu jeszcze jeden prezent. - Joey przyglądała się stojącej w kącie parasolce.

- Nie ma mowy - zaprotestował Stranahan.

- Ależ Mick...

- Bądź spokojna, on już i tak jest kłębkim nerwów.

Joey z zawiedzioną miną posłusznie udała się za nim do wyjścia.

- Mogę chociaż zostawić włączone zraszacze?

- Skrzynka z programatorem jest na zewnątrz?

Kiwnęła głową.

- Z tyłu, za pralnię. Chaz nie będzie miał powodu podejrzewać, że ktoś był w domu.

- No dobrze. Jeśli to ma ci poprawić humor.

- Na razie mi wystarczy - odparła Joey i ponownie ustawiła alarm.

* * *

Ricca zwróciła Chazowi uwagę, że bardzo źle wygląda.

- Mało spałem - odburknął.

- Dlatego że mnie tam nie było i nie miał kto cię zmęczyć.

- Jakiś świr zadzwonił do mnie z samego rana.

- Zboczeniec? Do mnie ciągle dzwonią.

- Nie, po prostu szajbus. - Na wspomnienie tajemniczej rozmowy Chazowi zwilgotniały dłonie.

Ricca spytała, czy myślał o tej ceremonii pożegnalnej dla Joey.

- Co się tak uwzięłaś? - zirytował się. - Mówiłem, że nie znoszę pogrzebów. Zapal świeczkę, jeśli masz się poczuć lepiej.

- To nie musi być wielka uroczystość. Wynajmij kaplicę, poproś księdza, niech powie parę słów. Może przyjaciele Joey też chcieliby się podzielić swoimi odczuciami.

Chaz gapił się przez okno.

- To ważne, skarbie. Żeby móc iść do przodu.

Westchnął z niecierpliwością.

- Jeden rozdział twojego życia się zakończył, a zaczyna się nowy - dodała Ricca.

Boże, ona się nie odczepi, pomyślał Chaz.

- Poza tym źle by wyglądało, gdybyś nic nie zrobił. Ludzie pomyślą, że wcale się nie przejąłeś.

Ricca miała rację. W końcu trzeba będzie coś zorganizować, choćby dla pozorów. Aż dziwne, że Rolvaag jeszcze o to nie spytał. Pieprzony szantażysta. Ten głos w słuchawce to na pewno był on.

- Chaz, czy ty mnie słuchasz? - powiedziała Ricca.

- A mam inny wybór?

- Skarbie, ja tylko próbuję cię wspierać.

- Może później coś zorganizuję, za kilka tygodni. - Kiedy minie ten cały syf, dodał w myślach.

Ricca czekała w samochodzie, a Chaz poszedł do banku. Później, przy lunchu, zebrała się na odwagę i spytała, co miał w tej papierowej torbie.

- Biżuterię - odparł. - Chciałem ją zdeponować w sejfie.

- Jej biżuterię?

- Nie, Liz Taylor. Prosiła, żebym ją dla niej przechował.

- Nie musisz być złośliwy - obruszyła się.

Chaz wysilił się na przeprosiny:

- Wybacz, za dużo mam teraz na głowie.

- Może wstąpisz do mnie na mały pokaz mody? Właśnie dostałam nowe pudełko stringów prosto z Rio.

- Nie dzisiaj, myszko. Muszę wywieźć masę rzeczy na wysypisko.

Ricca zamarła z widelcem w połowie drogi do ust.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam: wolisz jechać na wysypisko, niż się kochać?

- Daj spokój, to nie takie proste.

Taką przynajmniej miał nadzieję.

Rozdział 12.

W drodze powrotnej do Miami Joey rozmyślała o swoim ostatnim razie w łóżku z mężem. To było w kabinie na pokładzie „Księżnej Słońca”, niecałe pięć godzin przed tym, jak ją wypchnął za burtę. Nie przypominała sobie, aby Chaz zachowywał się jakoś szczególnie. Jak zwykle był nienasycony i niezmordowany. Wściekła się na myśl, że potrafił z takim zapamiętaniem oddać się seksualnym igraszkom, wiedząc, że nim minie północ, zamorduje partnerkę.

- Nie rozumiem u facetów jednej rzeczy - powiedziała do Micka. - Oświeć mnie.

- Pytaj.

- Chaz i ja zrobiliśmy to raz na statku, w trakcie przebierania się do kolacji. Tej samej nocy, kiedy próbował mnie zabić!

- I zachowywał się, jak gdyby nigdy nic.

- No właśnie. Jakim cudem w ogóle mu stanął?

- Bo faceci mają w mózgu szufladki.

- Ty też masz takie doświadczenia?

- Znalazłoby się.

- Przykłady, proszę.

Mick się zawahał.

- Raz kochałem się z kobietą czterdzieści pięć minut przed tym, jak się wyprowadziłem.

- I wiedziałeś, że odchodzisz?

- Tak. Miałem już wynajęte mieszkanie.

- A ona niczego się nie domyślała? Nic a nic?

- Najwyraźniej nie - odparł Stranahan. - Sądząc po reakcji.

Joey spojrzała na niego.

- No i...? Nie przerywaj w takim momencie. Pójdźcie do łóżka to był twój czy jej pomysł?

- Mówią, że to pomaga na stres, a ja byłem wtedy strasznie zestresowany.

- Jasne. Chciałeś skorzystać ten ostatni raz.

- Możliwe.

- Faceci to jednak świnie.

Stranahan nie odrywał wzroku od drogi.

- Mów, co chcesz, ale ja bym nigdy nie wyrzucił kobiety ze statku po tym, jak uprawialiśmy namiętny seks. Zresztą jakikolwiek.

- Słowa godne dżentelmena.

- Pragnę zwrócić uwagę, że twój mąż...

- Proszę, przestań go nazywać moim mężem.

- W porządku. Ale pozwól mi zwrócić uwagę, że pod względem bycia świnia Chaz o lata świetlne wyprzedza resztę mężczyzn. To bezduszny kawał drania, i nie zapominajmy o tym.

Zmęczona Joey osunęła się na siedzeniu.

- Jak to się nazywa, gdy zaczynasz czuć wstręt do samego siebie? - spytała.

- Marnowanie energii.

- Nie. Autoagresja. W kółko tłuką mi się po głowie te same pytania: „Joey, co cię opętało? Jak mogłaś nie poznać się na tym człowieku? Jakim cudem znosiłaś jego romanse?”. Mick, to chyba jakiś skrajny przypadek niskiej samooceny.

Poczuła dotyk jego dłoni na policzku. Sprawdzał, czy nie płacze.

- Bez obaw - powiedziała. - Już dawno mi przeszło.

- Czyli przynajmniej jedno z nas ma zdrowe ego. To powinno wystarczyć.

- Dlaczego mi pomagasz? - wyrwało się Joey.

- Bo się stęskniłem za ściganiem takich osobników jak Chaz. To było w mojej robocie najfajniejsze, posyłanie sukinsynów za kratki.

- Nie chodzi tylko o zaciągnięcie mnie do łóżka?

Stranahan zabębnił palcami o kierownicę.

- Wiesz co? Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wracała bez przerwy do tego tematu.

- Boże, ale jestem głodna. Stańmy gdzieś.

- Za godzinę będziemy w domu.

Joey nie nalegała. Wiedziała, jak bardzo Mick nie lubi miasta.

- Czasami mam ochotę go zatłuc. Naprawdę. Wczoraj mi się śniło, że go śmiertelnie pobiłam jedną z jego parasolek. Czy to nie chore?

Stranahan odparł, że chore byłoby, gdyby nie odczuwała złości.

- Ale to całkiem niezły sposób, żeby sobie z nią poradzić. Jak dobrze pójdzie, żadne z nas nie wyląduje w więzieniu albo u czubków.

- A dzisiaj, czy cokolwiek udało się nam osiągnąć? Poza podlaniem trawnika, oczywiście.

- Zdecydowanie tak. - Stranahan poklepał się po kieszeni. - Ta kartka z tabelką, którą zabrałem z plecaka Chaza, służy do zapisywania poziomu fosforu w stacjach monitoringu. To chyba właśnie ją wypełniał, kiedy na ciebie naskoczył.

- Fosfor ma coś wspólnego z fosfatem? Tym nawozem?

- Tak.

- Nie wpływa najlepiej na przyrodę?

- Z tego co czytałem, nie.

Joey próbowała poukładać w głowie wszystkie fakty.

- Czyli tak: Chaz olewa obowiązki i zamiast się tłuc na bagna, jedzie pograć w golfa. Potem, żeby oszukać szefa, sporządza fałszywy raport, wpisując dane wzięte z sufitu.

- Całkiem w jego stylu.

- Wtedy ja niespodziewanie wchodzę do domu i zadaję niewinne pytanie. A on w swej paranoi myśli, że odkryłam przekręt, że go złapałam na gorącym uczynku.

- I puszczają mu nerwy.

- Tak, ale... Naprawdę wierzysz, że za to chciał mnie zabić? Z powodu nawozów?

- Nie twierdzę, że to cała odpowiedź. To tylko element układanki.

Joey miała wątpliwości. Możliwe, że tamta awantura sprzed dwóch miesięcy nie miała nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu na statku. Nawet jeśli fałszował jakieś naukowe dane, nie chodziło przecież o zdradzanie tajemnic atomowych.

- Zanim to się skończy - powiedziała - chcę się z nim spotkać twarzą w twarz. Możesz to załatwić?

- To wszystko zależy, Joey.

Dotarli do Dinner Key, Stranahan zaparkował chevroleta pod figowcem obok swojej zdezelowanej cordoby. Kiedy szli do łódki, zaczął padać chłodny deszcz. Okryli się jedną peleryną i popłynęli do domu.

* * *

Karl Rolvaag jechał na północ autostradą numer 27. Lśniące połączenie trzęsawisk Everglades ustępowały miejsca ciągnącym się po horyzont polom kukurydzy. Przy jeziorze Okeechobee detektyw skręcił na zachód na stanową osiemdziesiątkę, kierując się w stronę miasta LaBelle. Droga była szeroka, wygodna, więc jechało się przyjemnie. Zielone szachownice pól przypominały mu zachodnią Minnesotę w porze lata.

Okazało się, że firma Red's Tomato Exchange mieści się pod tym samym adresem co Hammernut Farms. Rolvaag prawie kilometr jechał prostą zwirową drogą, na końcu której stał nowoczesny budynek z cegły, część podmiejskiego kompleksu biurowego.

Recepcjonistka zerknęła na odznakę, zatelefonowała, a potem zaproponowała kawę, wodę lub lemoniadę. Po chwili przyszła kobieta przedstawiająca się jako asystentka prezesa Hammernuta i zaprowadziła Rolvaaga do sali konferencyjnej z widokiem na idealnie okrągły staw. Ściany zdobiły fotografie gubernatorów, kongresmenów, Normana Schwarzkopfa, Nancy Reagan, Billa Clintona, rodziny Bushów, a nawet Jessego Helmsa - wszyscy pozowali w towarzystwie niewysokiego rudowłosego mężczyzny. Rolvaag domyślił się, że to Samuel Johnson Hammernut. Najwyraźniej te zdjęcia miały przypominać jego gościom, że mają do czynienia z grubą rybą. Rolvaag dowiedział się z internetu, że działalność Hammernuta sięga daleko poza Florydę: w Arkansas uprawia soję, w Georgii orzeszki ziemne, a w Karolinie Południowej bawełnę. Widać, że wszędzie, gdzie zaczyna prowadzić interesy, zaprzyjaźnia się z ważnymi osobami. Parę razy miał kłopoty z powodu zarzutów o brutalne traktowanie pracowników i lekceważenie przepisów ochrony środowiska. To, że się z tego wywinął, płacąc tylko śmieszne grzywny, zbytnio Rolvaaga nie zdziwiło - jego finansowe powiązania z obiema największymi partiami politycznymi nie były tajemnicą.

- Proszę do mnie mówić Red - zaproponował, przywitawszy się serią kichnięć. - Ta cholerna alergia dopada mnie każdej wiosny. Czym mogę służyć?

Detektyw opowiedział mu o tajemniczym mężczyźnie w minivanie, kręcącym się na terenie osiedla West Boca Dunes Phase II.

- Z numeru rejestracyjnego wynika, że pochodzi z jednej z wypożyczalni Hertza. Byłem tam, powiedziano mi, że za wynajem zapłacono firmową kartą kredytową Red's Tomato Exchange.

Hammernut kiwnął głową.

- Tak, to moja firma. Podobnie jak dziesiątki innych.

- I zna pan człowieka o nazwisku Earl Edward OToole?

- Nie kojarzę. Mówił, że u mnie pracuje?

- Nie rozmawiałem z nim osobiście, ale dobrze mu się przyjrzałem. Wygląda dość charakterystycznie.

- W jakim sensie?

- Gabarytów.

- Zatrudniamy tu sporo rostrych mężczyzn. Zapytam Lisbeth. - Hammernut pochylił się nad biurkiem i włączył głośnik w telefonie. - Lisbeth, czy my mamy na liście płac kogoś o nazwisku Earl Edward - spojrzał na Rolvaaga - jak mu było?

- O'Toole. Tak widniało na umowie.

- O'Toole - powtórzył Hammernut. - Lisbeth powiedziała, że sprawdzi.

Po niespełna minucie telefon zadzwonił. Tym razem Hammernut wyłączył głośnik i podniósł słuchawkę.

- Hmm. Aha. Tak, chyba sobie przypominam. Dzięki, moje dziecko.

Detektyw otworzył notes i czekał.

Hammernut odłożył słuchawkę.

- Ten człowiek był tu kiedyś nadzorcą, ale od jakiegoś czasu nie pracuje. Nie wiem, jak wszedł w posiadanie karty, ale zamierzam się dowiedzieć.

- Wie pan, gdzie teraz pracuje?

- Nie. Lisbeth mówi, że się zwolnił z powodu kłopotów ze zdrowiem. Kierowanie ludźmi to ciężka robota. Może poczuł się przemęczony i miał dość.

Rolvaag mechanicznie zapisywał wszystko w notesie.

- Nie przychodzi panu do głowy, dlaczego kręcił się akurat w tamtych okolicach? Nikomu nic złego nie zrobił, ale rozumie pan, niektórzy mieszkańcy są trochę zaniepokojeni.

- Jeżeli to ten sam człowiek, o którym myślę, może budzić strach.

- Mógłbym rzucić okiem na jego akta osobowe?

- Akta? Ha! - ryknął Hammernut. - Stosujemy tylko karty kontrolne. Zatrudniamy takich ludzi, że mamy szczęście, jeśli podadzą swoje prawdziwe nazwiska. Tak to jest z sezonową siłą roboczą.

Detektyw pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Rozumiem, że powiedziałby mi pan, gdyby ten O'Toole wykazywał w przeszłości zachowania agresywne czy objawy zaburzeń psychicznych?

Hammernut kichnął i zaczął szukać po kieszeniach chusteczki.

- W naszym biznesie z psycholi raczej nie ma pożytku. Taki długo tu miejsca nie zagrzeje.

- Ale założę się, że ma pan cały przekrój.

- Mówi pan, że on nikogo nie skrzywdził, tak? Ciekaw jestem, czemu chciało się panu tłuc aż z Broward, żeby go sprawdzić? Ma to związek z jakimś śledztwem?

Detektyw nie miał zamiaru mówić mu prawdy: że bada sprawę domniemanego zabójstwa, że nie ma nic lepszego do roboty niż rozpracowywać jakiegoś troglodytę, który - wszystko na to wskazuje - szpieguje jego głównego podejrzanego, oraz że i tak potrzebował pretekstu, aby uciec z biura, nim szef zwali mu na głowę kolejną sprawę.

- Nie, ale ma pan rację, zwykle wystarcza telefon. Albo nawet faks. Tylko że niektórzy z mieszkańców tego osiedla, gdzie widziano pana O'Toole'a, to... jak by to ująć? Lojalni zwolennicy naszego szeryfa...

- Znaczący wpłacają kupę forsy na jego kampanię - przerwał Hammernut - żeby potem w razie kłopotów mógł się odwdziaczyć. Mam rację?

- Cieszę się, że pan to rozumie. - Rolvaag z uznaniem powiódł wzrokiem po wiszących na ścianie fotografiach. - Czuję, że tak będzie.

Hammernut się uśmiechnął i z miną znawcy dodał:

- Wszędzie jest tak samo, prawda? Polityka.

Detektyw odwzajemnił uśmiech.

- W każdym razie mam się upewnić, że ten O'Toole to nie jakiś seryjny morderca, który czyha na życie niewinnych republikańskich gospodyń domowych.

Hammernut znów potężnie kichnął, po czym delikatnie wytarł zaczerwieniony nos.

- Niech pan wraca i powie szeryfowi, żeby się nie martwił. Już ja dopilnuję, żeby ten Earl Edward jakiś tam nie sprawiał nikomu kłopotu.

Rolvaag schował notes i wstał do wyjścia. Zastanawiał się, czy nie wspomnieć nazwiska Perrone'a, żeby zobaczyć, jaką wywoła reakcję, ale zrezygnował. Red Hammernut był zbyt przebiegły, żeby się przyznawać do znajomości z naukowcem, choćby marnym.

- Może pan pozwać pana O'Toole'a za bezprawne użycie karty - powiedział detektyw.

- Mógłbym to zrobić. Mógłbym mu też udzielić, jak by to nazwać, prywatnych konsultacji - mrugnął. - Mam tu paru takich zarośniętych drabów jak on. Nawet jeszcze większych i silniejszych. Wie pan, o czym mówię?

Detektyw nic nie wspominał o nadzwyczaj bujnym owłosieniu O'Toole'a, a to znaczy, że Hammernut doskonale wiedział, o kogo chodzi.

Przy wyjściu biznesmen położył Rolvaagowi dłoń na ramieniu i spytał, czy nie wzięłyby do domu skrzynki świeżo zebranej endywii. Rolvaag odparł, że po sałacie ma niestrawność, ale serdecznie podziękował.

W drodze do wjazdu na autostradę musiał w pewnym momencie gwałtownie skrócić kierownicą, żeby ominąć małego węża, który na środku drogi wygrzewał się w słońcu. Był to plamisty wąż królewski wielkości dziecięcego naszyjnika, paskudnie zdeformowany. Miał jedno oko, a na czarnym czubku nosa widniała narośl wielkości żołądka. Rolvaag wiedział, że zwierzę prawdopodobnie długo nie żyje, ale i tak je przeniósł w pobliskie zarośla.

Biedaczek, pomyślał, co za fatalny los wyciągnął na loterii życia.

* * *

Red Hammernut pamiętał dzień, w którym poznał Charlesa Perrone'a. Lisbeth wbiegła do biura i powiedziała, że jakiś młody człowiek chce się z nim zobaczyć w sprawie pracy. Uparł się i chce rozmawiać tylko z samym szefem. W pierwszym odruchu Hammernut chciał wezwać ochronę i wyrzucić zuchwałego gnojka za drzwi, ale potem spojrzął na jego CV i stwierdził, że co mu szkodzi dać mu pięć minut. Był ciekaw, dlaczego ktoś z tytułem magistra biologii morskiej tak pragnie pracować na farmie.

Chaz Perrone wszedł ubrany w koszulę z krawatem, beżowe spodnie i niebieską marynarkę. Potrząsnął dłonią Reda, usiadł po drugiej stronie biurka i zaczął nawijać niczym akwizytor. Był tak irytująco pewny siebie, że Hammernut nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu przerywał mu beknięciem. Jednak po jakimś czasie to, co mówił, zaczęło nabierać sensu.

Perrone otworzył teczkę i wyjął świeży wycinek z gazety. Red go rozpoznał.

Nagłówek głosił:

MIEJSCOWE GOSPODARSTWO ROLNE OSKARŻONE O ZATRUWANIE EVERGLADES.

Artykuł traktował o serii badań wody spływającej z plantacji warzywnej Reda Hammernuta. Stwierdzony poziom fosforu w zawiesinie wynosił 302 części na miliard, czyli prawie trzydzieści razy więcej, niż zezwala prawo. Samo przedsiębiorstwo Hammernut Farms wpuszczało do wód południowej Florydy więcej nawozów niż największa w Stanach Zjednoczonych farma bydła i plantacja trzciny cukrowej razem wzięte. Wobec takiej bezczelności nawet wpływowi kumple Reda z Waszyngtonu nie śmieli interweniować.

Charles Perrone był zdania, że Hammernut Farms będzie teraz ciągle pod ostrzałem zarówno agencji rządowych, jak i mediów,

dlatego oferuje swoje usługi jako konsultant do spraw ochrony środowiska. Kiedy Red zwrócił uwagę, że Chaz nie ma żadnych kwalifikacji w dziedzinie oczyszczania ścieków rolniczych, ten odparł, że szybko się uczy. Opisał swoje doświadczenia w obronie wizerunku obecnego pracodawcy, znanej firmy kosmetycznej, oskarżanego o umieszczanie w produktach substancji rakotwórczych oraz żrących. Z dumą przytoczył przypadek, gdy jego ekspertyza w sądzie niemal w całości podważyła zarzuty pewnej kobiety twierdzącej, że po zastosowaniu różu owej firmy skóra na policzkach zaczęła jej się łuszczyć. Chaz twierdził, że korporacje powinny mieć własnych ekspertów, którzy autorytatywnie odpieraliby ataki oskarżycieli w kwestiach naukowych. Albo przynajmniej zbijali ich z tropu.

Hammernutowi spodobała się jego postawa. Miło było spotkać młodego biologa, który nie jest skażony idealizmem i z takim zrozumieniem podchodzi do potrzeb sektora prywatnego. Poza tym Chaz nie był nudnym okularnikiem, jak niektórzy inni naukowcy, których w przeszłości zatrudniał. Był przystojny i wygadany, wiarygodnie wypadałby przed kamerą. Niestety, dyplom magistra specjalisty od wszy morskich to jednak trochę za mało.

- Przydałby ci się doktorat z bagien czy czegoś takiego - stwierdził Red. - Inaczej ci zieloni zjedzą cię na śniadanie.

I tak oto Charles Regis Perrone został słuchaczem studiów doktoranckich w Instytucie Ekologii Terenów Podmokłych Uniwersytetu Duke'a. Przyjęcie go do tak szacownej uczelni zbiegło się w czasie z pokaźną dotacją otrzymaną od niejakiego S. J. Hammernuta, który przypadkiem opłacał także czesne pana Perrone'a.

Red słusznie przypuszczał, że działający w sercu przemysłu tytoniowego Duke nie będzie miał oporów przed przyjęciem skażonych fosforem farmerskich dolarów.

Zupełnie inaczej niż podczas studiów na Uniwersytecie Miami, Chaz Perrone nie potrzebował bata, żeby się przykładać do nauki. Wybitnym studentem nie był, ale też nie miał się czego wstydić. Tym razem mu zależało. Tym razem czuł zapach czekających go w przyszłości prawdziwych pieniędzy. Po dyplomie spodziewał się otrzymać lukratywną posadę konsultanta w Hammernut Farms, ale Red miał inne plany. Uruchomił znajomości i załatwił Chazowi państwowy etat biologa badającego czystość wód w wybranym rejonie rolniczej części Everglades. Perrone był głęboko zawiedziony, ale Red go zapewnił, że jeśli się sprawdzi w terenie, posada z sześciocyfrową pensją (i klimatyzowane biuro) będzie na niego czekała.

Więc Chaz się starał. W niecałe sześć tygodni od chwili objęcia przez niego stanowiska poziom fosforu w spływach z plantacji Hammernuta spadł do 150 części na miliard, czyli o ponad połowę. Imponujący wynik. Dwa miesiące później wartość wynosiła już tylko 78 części na miliard. Po kolejnym pół roku badania terenowe wykazały, że emisja fosforu utrzymuje się na stałym poziomie 9 części na miliard. Dzięki temu urzędy kontrolne usunęły Hammernut Farms z listy największych trucicieli. Miejscowy oddział Sierra Club nawet odsłonił na cześć Reda tablicę pamiątkową i posadził drzewko cyprysowe.

Red był bardzo zadowolony z tak pozytywnej reklamy. Cieszył się, że ma z głowy tych cholernych ekologów. Ważniejsze jednak było to, że sfabrykowane wartości stężenia fosforu pozwalały mu unikać wydawania pieniędzy na kosztowne inwestycje, do jakich byli zmuszani jego sąsiedzi w ramach programu rewitalizacji rozlewisk. Na przykład, w przeciwieństwie do innych gospodarstw w tym rejonie, przedsiębiorstwo Reda nie musiało zmniejszać ilości stosowanych nawozów ani przeznaczać milionów dolarów na budowę zbiorników filtracyjnych. Dzięki

innowacyjnym metodom pracy doktora Charlesa Perrone'a Hammernut Farms mogło nadal używać Everglades jako szamba.

Oczywiście ten korupcyjny układ musiał bezwzględnie pozostać tajemnicą. Dlatego nałogowe romanse Chaza budziły u Hammernuta zrozumiałą niepokój. Red nieraz musiał mu przypominać, że jego sytuacja może się diametralnie zmienić, jeśli zdradzi którejs z swoich dziewczyn nazwisko prawdziwego chlebobdawcy. Jak na ironię kobietą, o którą się najmniej obawiał, była jego żona, ponieważ Chaz w ogóle niewiele jej mówił.

Aż tu nagle któregoś dnia zadzwonił i w wielkim zdenerwowaniu powiedział, że Joey właśnie go przyłapała na fabrykowaniu wyników.

- A ona na pewno wie, co to jest? - spytał kilka razy Red.

Chaz odpowiedział, że całkowitej pewności nie ma, bo po wszystkim Joey nie wracała do tego tematu. Jednak można było poznać po głosie, że ma wątpliwości, a już na pewno jest solidnie wystraszony. Red kazał mu zachować spokój:

- Nic nie zakładaj. Poczekaj na jej ruch.

A Joey Perrone o wszystkim zapomniała.

Mimo to Chaz się denerwował i Redowi też się to udzielało. A jeżeli żona odkryła przekręt i dlatego milczy, ponieważ czeka na dogodny moment? W najgorszych koszmarach Hammernut widział, jak Joey przyłapuje Chaza z interesem wetkniętym nie tam, gdzie trzeba, a potem z zazdrości donosi o wszystkim jego przełożonym. Kupowanie jej milczenia było bez sensu, bo ta kobieta nie potrzebowała pieniędzy. Z tego co mówił Chaz, majątek Joey był wart miliony dolarów.

W miarę upływu czasu Perrone zaczął się uspokajać. Coraz rzadziej wspominał o żonie i jej ewentualnych podejrzeniach, więc Hammernut przyjął, że sprawy na froncie domowym się ułożyły. Teraz nagle się okazuje, że Joey Perrone nie żyje, a do

tego ktoś próbuje Chaza szantażować. Przynajmniej on sam tak twierdzi. Red nie mógł wykluczyć możliwości, że młody człowiek próbuje go oskubać; to nawet do niego podobne.

- Jesteś pewien, że to ten detektyw? - spytał.

- A kto, do cholery? Tylko on mi zawraca głowę w sprawie Joey. - Wzburzony Chaz wymachiwał rękami. - Przez telefon próbował zmienić głos, naśladując Charltona Hestona!

Tool chrząknął pytająco.

- To ten od NRA⁵ - wyjaśnił Red. - Co miał potem Alzheimera.

- Grał też w filmach - dodał Chaz.

- Wiesz, kto świetnie parodiuje Hestona? Ten gość, Robin Williams...

- Red, słuchasz mnie?

- Słucham, słucham. Myślisz, że ten detektyw aktor to ten sam człowiek, który się zakradał do twojego domu?

- Z pewnością. Dla gliniarza to przecież bułka z masłem. Wiesz, co dzisiaj zrobił? Włączył zraszacze. Wracam do domu, deszcz leje, a tu pieprzona Niagara! Takie pierdoły, a człowieka z równowagi wyprowadzają.

Chyba czyta w moich myślach, przemknęło Redowi przez głowę.

Siedzieli ściśnięci na tylnej kanapie szarego cadillaca. Red śmierdział jak pudełko cygar, Tool jak spocony byk, a Chaz jak miejskie wysypisko, gdzie właśnie wyrzucił kilka pudeł rzeczy po żonie.

Hammernut wysłał kierowcę po pączki, na wypadek gdyby Chaz palnął coś głupiego albo się wygadał. Tę rozmowę należało poprowadzić ostrożnie, bo Red nie miał ochoty być obarczany

⁵ National Rifle Association - Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie (przyp. tłum.).

niepotrzebnymi szczegółami. Cokolwiek zaszło między Chazem i Joey Perrone na pokładzie statku, było ich prywatną sprawą, i tak powinno zostać. Gdy przyglądał się teraz Chazowi, trudno mu było sobie wyobrazić, że wyrzuca on kogoś za burtę. Zwłaszcza Joey, kobietę wysoką i silną. Tool by sobie poradził bez problemu, ale Chaz?

Może jest twardszy, niż wygląda.

- Chłopcze - powiedział - chcesz usłyszeć coś zabawnego? Ja go dzisiaj poznałem. Tego twojego glinę.

- Rolvaaga? - wykrzyknął Chaz. - Jezu, jak to?

- Przyjechał do firmy wypytać o wynajętego minivana. - Red zerknął na Toola, który bezmyślnie rozdrapywał strupek na karku.

- Mówił coś o mnie? - spytał z niepokojem Chaz.

- Nie. Zapodał jakąś zmyśloną historyjkę, w którą z początku uwierzyłem, że nasz tu obecny kolega Tool straszy przyjaciół szeryfa. Oczywiście nie wiedziałem wtedy, że to ten sam detektyw, który depta ci po piętach.

- Red, chciałem się nim zająć - odezwał się Tool - ale twój doktorek mi zabronił.

- I słusznie. Z gliniarzami nie można postępować jak z robotnikami na farmie.

Chaz westchnął ze smutkiem. Tool strzelił palcami i powiedział:

- Nie kapuję, czemu ktoś ma go szantażować, skoro nie popełnił żadnego przestępstwa.

Red zaśmiał się pod nosem. Znowu facet trafił w sedno.

- Ten człowiek w słuchawce mówi, że widział, jak wypchnąłem Joey za burtę. To nieprawda - powiedział Chaz.

Tool zmarszczył czoło.

- Co nieprawda? Nie zrobiłeś tego czy zrobiłeś, ale nikt cię nie widział?

Chaz otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale tylko coś bąknął.

Hammernut szybko zmienił temat.

- Ten Rolvaag nie zrobił na mnie wrażenia kogoś, kto chce coś ugrać dla siebie. Wystarczająco długo łączę po tym świecie, żeby na kilometr rozpoznać oszusta.

- Mówię ci, tylko on może to robić. - Chaz nie wydawał się aż tak przekonany, jak chciałby Red. Jeżeli rzeczywiście wyrzucił żonę za burzę, ktoś mógł to widzieć. Inny pasażer, może steward.

- Trzeba się dowiedzieć, kim jest ten szantażysta i ile sobie życzy - powiedział Red. - To może być jakiś cwaniak, który po prostu dowiedział się o sprawie z telewizji i wpadł na genialny pomysł, żeby cię oskubać. Z takim to sobie damy radę. - Skinął porozumiewawczo do Toola. - Ale jeśli to faktycznie gliniarz, musimy być szczególnie ostrożni. Może nam narobić problemów, nawet jeśli nic złego nie zrobiłeś.

- Nie zrobiłem, Red - wycedził Chaz przez zaciśnięte zęby. - Mówiłem, to był wypadek.

- Spokojnie, chłopcze. Wierzę ci.

Tool, który dłużył przy paznokciach zardzewiałym haczykiem wędkarskim, prychnął z powątpiewaniem.

- Kiedy ten sukinsyn znowu zadzwoni - powiedział Red - spróbuj się umówić na spotkanie.

- Tak twarzą w twarz? Jezu - jęknął Chaz. - Ale po co? Red, co my zrobimy?

- Grzecznie wysłuchaj, co ma do powiedzenia. Aha, i wyjaśnijmy coś sobie: nie ma żadnego „my”. Jesteś „ty”.

Rozdział 13.

Mick Stranahan zadzwonił do Charlesa Perrone'a o 5.42 rano.

- Cześć, dupku - powiedział, tym razem naśladując Jerry'ego Lewisa. Meksykański pisarz, właściciel wyspy, uwielbiał starą wersję *Grubego i chudszeego*, więc Stranahan często oglądał ten film na wideo. Są gorsze sposoby na przetrwanie depresji tropikalnej.

Mąż Joey potrzebował kilku chwil, żeby się dobudzić.

- To ty wczoraj dzwoniłeś? - spytał.

- A jak.

- Powinniśmy się spotkać.

- Po co?

- Porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy - odparł Stranahan. - Zepchnąłeś ukochaną do Atlantyku. Jestem ciekaw wyjaśnień.

- Nie zepchnąłem jej. Sama wypadła.

- Widziałem co innego.

- Posłuchaj... - zaczął Chaz, ale zaraz przerwał.

- Ju-hu? Chaz?

- Załatwmy to osobiście.

- Ale co? Masz na koncie tysiąc osiemset dolarów. To żalosne.

- Mogę mieć więcej - zapewnił pośpiesznie, po czym spytał podejrzliwie: - Skąd wiesz, ile mam na koncie?

- Ża-łos-ne.

- Proszę, nie odkładaj słuchawki!

- Skąd wytrzaśniesz forsy?

- Od ludzi, którzy są mi ją winni.

Stranahan wybuchnął śmiechem.

- Jesteś biologiem czy lichwiarzem?

- Dobra, Rolvaag. Mów, ile chcesz?

Znów ten Rolvaag, pomyślał Mick.

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- To kiedy się spotkamy? Mówię poważnie.

- Pa, pa, Chaz.

- Czekał. Muszę o to spytać: ten głos, który dzisiaj naśladujesz...

- No?

- To Jim Carrey, prawda?

- Chyba podniosę cenę.

* * *

Tool stanął w drzwiach sypialni i zapytał, co za kretyń dzwoni tak wcześnie rano.

Kiedy Chaz odparł, że szantażysta, Tool zaklął pod nosem i poczłapał z powrotem do łóżka.

Miał ciężką noc. Plastry z fentanylem wyschły i zaczęły się jeden po drugim odklejać. Ten doktor od siedmiu bóleści w ogóle nie chciał mu pomóc. Ewidentnie było mu nie w smak, że Tool nocuje w jego domu. Zresztą wzajemnie. Ale to Red był tu szefem i on nie chciał, żeby Tool czatował na ulicy i straszył sąsiadów. Miał siedzieć z doktorem i pilnować, żeby nikt się nie dostał do domu. Chaz Perrone niechętnie oddał mu do dyspozycji pokój gościnny. Później Tool chciał się wykąpać, ale po pięciu minutach jego grube gęste włosy zatkały odpływ pod prysznicem. Chaz musiał go udrażniać za pomocą drucianego wieszaka. Zrobił to bez słowa, ale Tool wyczuł, że jest wściekły.

Na śniadanie Tool usmażył sobie omlet z dziewięciu jaj. Użył do tego pół kostki masła, pół litra tłustej śmietany, ćwierć kilo żółtego sera, różnych rodzajów papryki, garści oliwek i pół szklanki sosu tabasco. Kiedy zaczął pochłaniać ten osobliwy wytwór kulinarny, Chaz z obrzydzeniem wycofał się z kuchni.

Po śniadaniu Tool oznajmił, że wychodzi po lekarstwa.

- Gdzie jest najbliższy szpital? - spytał.

- Zwariowałeś? Chcesz się włamać do szpitala po te plastry?

- Tam, gdzie jest szpital, musi być niedaleko taki dom opieki czy jak to się nazywa, gdzie wsadzają tych, co zaraz umrą.

- Masz na myśli hospicjum.

- Coś takiego. Oni są za słabi, żeby narobić szumu.

- No i co ty tam robisz?

- Chodzę po salach i patrzę, kto ma na sobie takie plastry.

- Jezu. - Chaz nagle zamilkł.

- To gdzie ten szpital? - powtórzył pytanie Tool.

- Czy Hammernut wie, że to robisz?

- Red nie wtrąca się w moje sprawy.

- Bardzo rozsądnie. - Perrone sięgnął po długopis. - Najbliższy szpital to Cypress Creek. Zaraz zapiszę ci adres.

- Wolałbym rysunek.

- To znaczy mapkę, tak?

Tool się uśmiechnął.

- Byłoby super.

* * *

Tool oddał minivana do Hertza i poszedł do konkurencyjnego Avisa odebrać czarnego mercury'ego grand marquisa. Auto miało o wiele więcej miejsca na nogi, a klimatyzacja działała idealnie. Gdy zlokalizował szpital, zaczął objeżdżać okolicę w poszukiwaniu odpowiedniego obiektu. Natrafił na ośrodek o nazwie Serenity Villas, ale okazało się, że to raczej dom spokojnej starości, czyli że starszankowie są jeszcze całkiem żwawi. A tacy, jak wiedział z doświadczenia, niechętnie się rozstają ze swoimi plastrami.

Następnym przystankiem był Elysian Manor, dom opieki prowadzony przez miejscowy kościół. Tool założył biały fartuch w rozmiarze XXXL, który zawsze woził ze sobą i tylnym wejściem wśliznął się do środka. Zważywszy na jego gabaryty, aż dziwne, że udawało mu się swobodnie poruszać po korytarzach, nie zwracając niczyjej uwagi. Zaglądał po kolei do każdego łóżka. Niektórzy pacjenci, słabi jak wróbelki, smacznie spali. Tych delikatnie obracał, żeby sprawdzić, czy mają plastry. Pacjenci, którzy nie spali, też nie stawiali oporu, choć jeden zaczął wygłaszać urywany monolog, z którego Tool niewiele rozumiał. Coś tam o zdrajcach z Jałty, cokolwiek to jest.

Nieobecność odwiedzających była głównym powodem, dla którego Tool wolał takie instytucje od szpitali. Nie miał pojęcia, dlaczego ludzie tak mało czasu spędzają z chorymi matkami i ojcami. Tylko w jednej sali spotkał krewnego, który siedział przy łóżku pacjenta.

Machnął ręką, przeprosił i poszedł dalej. Nikt z personelu nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jego obecnością. Zabiegane pielęgniarki pewnie myślały, że to nowy salowy, bo w takich instytucjach jest ogromna rotacja personelu.

Swój skarb znalazł w sali prywatnej pod numerem 33. Leżała tam wychudzona starszanka z siwą trwałą na głowie. Twarz miała odwróconą do ściany. Szpitalna koszula była z tyłu rozchylona i

ukazywała na papierowoszarej skórze pleców świeżutki plaster fentanylu. Tool podszedł bliżej i zaczął go powoli odrywać. Kobieta nagle się odwróciła i wbiła Toolowi kościsty łokieć prosto między oczy. Tool musiał złapać za poręcz łóżka, żeby nie upaść.

- Co pan wyprawia? - Zmierzyła go srogim spojrzeniem. Jej niebieskie oczy błyszcząły i były przytomne.

- Zmieniam plaster - mruknął Tool.

- Przecież godzinę temu dali mi nowy.

- Ja tylko wykonuję polecenia.

- A ja myślę, że to guzik prawda.

Niedobrze, pomyślał Tool. Za bardzo wojownicza.

- Dostanie pani znowu - powiedział. - No już, niech się pani obróci.

- Pan też jest chory, widzę to. Czy to rak?

Tool pomacał rosnącego guza na czole.

- Nie jestem chory - odparł, zerkając w stronę drzwi. Spodziewał się, że zaraz ktoś wpadnie do środka.

- Mam na imię Maureen. - Kobieta wskazała na krzesło stojące w kącie sali. - Niech pan przysunie i usiądzie. A pan jak się nazywa?

Maureen usiadła na łóżku i przetrzepała poduszkę.

- Pewnie okropnie wyglądam - powiedziała, dotykając włosów.

- W ogóle nie spałam. W moim stanie kto by mógł zasnąć? Proszę przysunąć to krzesło. Dam panu to, po co pan przyszedł.

W tym momencie Tool marzył tylko o tym, żeby poczuć wreszcie kojące działanie leku. Przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Pan cierpi, prawda? - spytała Maureen.

- Tak. Kula utkwiała mi w tyłku.

- Auć.

- Dlatego potrzebny mi ten lek. To co, da pani?

Nie chciał go odbierać siłą. Kobieta była krucha, a on musiałby być brutalny, może nawet ją udusić...

- Jak to się stało, że został pan postrzelony?

- Wypadek na polowaniu.

- I nie można tego usunąć chirurgicznie?

- Chyba nie - odparł Tool.

- Mój świętej pamięci mąż był policjantem w Chicago. Raz zastrzelił człowieka.

- Założę się, że nie trafił go w tyłek.

- Nie, w ramię - odparła Maureen. - To był zatwardziały przestępca. Okradł taksówkę. Pan też jest przestępcą?

- Ja tak nie uważam. - Tool cały się spocił pod fartuchem. Musiał się bardzo powstrzymywać, żeby nie zerwać plastra z ciała kobiety i uciec.

- No dobrze. Widzę, że panu bardziej jest ten lek potrzebny niż mnie. - Odwróciła się i pokazała nagie plecy. - Niech pan bierze, tylko ostrożnie. Ostatnio zdarza mi się krwawić bez powodu.

Tool chwycił prawy górny róg plastra i zaczął go odrywać delikatnie jak kalkomanię.

- Przyniosą pani nowy - pocieszał Maureen. - Wystarczy powiedzieć, że się odlepił w wannie.

- Jakiej wannie, młody człowieku? Oni mnie myją gąbką.

- W łóżku? Przecież wszystko się zamoczy.

- Bardzo mi brakuje prywatności - wyznała Maureen.

Kiedy Tool oderwał cały plaster, odwróciła się do niego.

- Mam osiemdziesiąt jeden lat, ale czuję się, jakbym miała sto dziesięć. Powiedz, jak ci na imię?

- Earl - Tool ledwo rozpoznał własny głos. Już nikt na świecie tak go nie nazywał.

- Twoja mama jeszcze żyje? - zapytała Maureen.

- Nie. Tato też nie.

- Przykro mi, Earl. Mam nadzieję, że to nie rak.

- Pani ma raka?

Maureen kiwnęła głową.

- Ale są dni, kiedy mam mnóstwo energii. Sama siebie zadziwiam.

Tool wpatrywał się w beżowy plaster, który trzymał w ręku, i myślał: „Czemu ona nie spała. Albo chociaż nie jest w śpiączce”.

- Nie, nie, możesz go sobie zatrzymać. - Maureen poklepała Toola po ramieniu. - Chcę, żebyś się lepiej poczuł.

- Dzięki.

Był trzy kroki od drzwi, kiedy usłyszał:

- Earl, mógłbyś mnie tu czasem odwiedzić?

Stanął i się odwrócił.

- Ale ja... Ja tu tak naprawdę nie pracuję.

- Przecież wiem. - W jej oczach zabłyśły iskierki. - Czy wyglądam na idiotkę?

* * *

Rolvaag pisał właśnie podanie o zwolnienie, gdy podszedł do niego kapitan Galio i powiedział:

- Jeszcze tylko jutro możesz tracić czas na zajmowanie się sprawą Perrone'a.

- Wiem, pamiętam - odparł detektyw.
- A mówię o tym dlatego, że dostałem telefon z góry.
- Co ty powiesz.
- Szeryf spytał, co robiłeś wczoraj w LaBelle, a ja zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć, zwłaszcza że mieszkam na Florydzie od trzydziestu lat i nigdy nie miałem powodu, żeby tam jechać.

Rolvaag wyjaśnił, że sprawdzał ślad związany ze śledztwem.

- I ten ślad cię zaprowadził do biura Samuela Johnsona Hammernuta? Chyba wiesz, kto to jest?

- Plantator - odparł detektyw.

- Nadziany i cholernie wpływowy plantator. Jak tylko wyszedłeś, Hammernut zadzwonił do swojego kumpla, szeryfa okręgu Hendry, a ten z kolei do szeryfa okręgu Broward, czyli mojego i twojego szefa, i pyta, co to za jeden ten Karl Rolvaag? Zaraz potem dostaję telefon z pretensjami, dlaczego nachodzisz porządnym obywateli. - Galio rozłożył ręce, jakby czekając na ukrzyżowanie. - I co ja na to, Karl? Poza tym, że się jąkam jak jakiś debil? No, co ja mu mogłem odpowiedzieć?

Rolvaag zamknął długopis i oparł się na krześle.

- To ciekawe, że Hammernut w ten sposób zareagował. Nie sądzisz?

- Jaja sobie robisz, Karl?

- Nie, szefie, próbuję tylko dokończyć papiery o zwolnienie.

- Ach, skończ już z tym.

- Ja poważnie myślę o tej posiadzie w Minnesocie.

- Dobra, dobra. Powiedz mi lepiej, co Red Hammernut może mieć wspólnego z twoim śledztwem, choć to za duże słowo.

Rolvaag opowiedział o mężczyźnie kręcącym się koło domu Perrone'a.

- Wypożyczył samochód, płacąc kartą kredytową Hammernuta.

- I to wszystko?

- Na razie tak. Ale przyznasz, że to dziwne. Po co ktoś miałby śledzić niedawno owdowiałego mężczyznę?

- Karl, w sędzie twoje zdziwienie nie wystarczy - powiedział Galio. - Cały ludzki gatunek jest dziwny. Ty i te twoje węże na przykład. Niektórzy powiedzieliby, że to nie jest do końca normalne.

- Dużo ludzi hoduje węże - bronił się Rolvaag.

- Powiem szeryfowi, że twoja wyprawa do LaBelle była niewypałem.

- Skoro to ma ci ułatwić życie.

- A co z tobą? Tylko mi nie pieprz znowu o wyjeździe na północ. Powiedz, czego chcesz, Karl. Podwyżki? Wolnych weekendów? Nie mogę niczego obiecać, ale czasem cuda się zdarzają.

- Uważam, że ten Perrone wypchnął żonę ze statku. Prawdopodobnie nie uda mi się tego udowodnić przed wyjazdem, ale takie jest moje zdanie. Mógłbyś mi dać dodatkowe kilka dni na zajęcie się tą sprawą?

Detektywa najbardziej dręczyły te połamane paznokcie, które znalazł na beli z marihuaną. Nie mógł przestać myśleć o Joey Perrone, która zdesperowana i przerażona próbowała się utrzymać na powierzchni, zachodząc w głowę, dlaczego jej mąż zrobił coś tak potwornego. Dryfowała po ciemku, w zimnej wodzie, aż jej ręce zdrętwiały i osunęła się do morza.

- Wybacz, Karl, ale nie ma mowy - odparł Galio. - Kończymy z tym.

- A gdybym znalazł motyw?
- W ciągu najbliższej doby?
- Dobra.
- Wtedy się zastanowię. Ale lepiej, żeby był wiarygodny.
- Może mi się uda. - Rolvaag nie był aż tak przekonany. Nie miał żadnej teorii, żadnego domysłu ani przeczucia, dlatego Chaz Perrone z taką zimną krwią zamordował swoją żonę.

* * *

Zanim Stranahan się zabrał za robienie śniadania, padł generator prądu. Kiedy Joey wstała i wyszła na taras, wciąż go naprawiał.

- Uroki życia na wyspie - mruknął.
- Stary dobry Neil miał rację: rdza nigdy nie śpi.

Stranahan był rozebrany do pasa, miał na sobie tylko dżinsy z obciętymi nogawkami.

Pot z niego ściekał, a twarz i tors pokrywały barwy wojenne ze smaru i farby. Joey zapytała, czy nie potrzebuje pomocy, a on odpowiedział, że najlepszy byłby dynamit.

- Aż tak źle?
- W końcu to naprawię - powiedział, obracając w rękę drewniany młotek. - Tymczasem proponuję zjeść płatki. Są w szafce.

Joey poprosiła o pożyczenie komórki. Mick pokazał na łódkę, gdzie podłączył telefon do ładowarki, i wrócił do walenia młotkiem w generator. Dwadzieścia minut później zjawiła się Joey z dzbankiem herbaty i miską owoców znalezionych w łódźce. Usiedli na pomoście.

Joey zanurzyła stopy w wodzie. Strom leżał w cieniu pod ulubioną palmą i zerkał na nich półprzymkniętymi oczami.

- Martwię się o moją kartę kredytową - powiedziała Joey.

Stranahan zapewnił, że American Express nie wie o jej zaginięciu i dopóki wpłaty będą regularne, nic więcej ich nie obchodzi.

- Oni nie czytają gazet. O ile ktoś nie zadzwoni i nie zastrzeże karty, cały czas jest aktywna.

- Zadłużenie jest automatycznie odciągane z prywatnego konta oszczędnościowego, ale co miesiąc przysyłają do domu wyciąg. Co będzie, jeżeli Chaz coś zauważy?

- Dlatego musimy działać szybko, zanim się skończy okres rozliczeniowy. Chaz pewnie wyrzuci kopertę do kosza, ale jeżeli ją otworzy, będziemy mieli problem. Zobacz, że dalej wydajesz pieniądze.

- Niezła sztuczka jak na trupa. - Joey wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy. - Ciągle mnie pieką.

- Minął dopiero tydzień. Kiedy następnym razem będziemy w mieście, kupimy ci jakieś fajne okulary słoneczne.

- Dzisiaj śnił mi się Chaz.

- Zabiłaś go?

- Gorzej - przewróciła oczami. - Czujesz to, Mick? Nawet po tym, co mi zrobił, w snach wciąż z nim sypiam.

- To objawy odstawienia. Tak samo się dzieje, kiedy próbujesz zrezygnować z kawy. Nagle cały świat pachnie ci neską.

Joey przygryzła wargę.

- Może ja do końca kochałam tego sukinsyna? Może to było coś więcej niż fizyczna fascynacja, a nie potrafię się do tego przyznać?

Stranahan wzruszył ramionami.

- Na mnie nie patrz, ja jestem typ dysfunkcyjny. Najważniejsze, żebyś zdała sobie sprawę, co czujesz do niego tu i teraz, zanim podejmiemy następne kroki.

Przyszedł pies i rozłożył się na rozgrzanych deskach obok Joey.

- Dzwoniłam do brata. Zarządcy mojego majątku skontaktowali się z nim, bo któryś przeczytał w gazecie, że zaginęłam na morzu. Corbett kazał im uzbroić się w cierpliwość. I tak nic nie zrobią bez aktu zgonu.

- Chaz nie dzwonił, żeby zagadnąć o fundusz?

- Nie. Corbett też był zdziwiony. - Joey uśmiechnęła się smutno.

- Właściwie wolałabym, żeby zrobił to dla pieniędzy. To mogłabym ewentualnie zrozumieć. Ale zabić kogoś tylko po to, żeby się od niego uwolnić? Trudno nie odbierać czegoś takiego osobiście.

- Nie dlatego to zrobił. Przekonasz się. - Stranahan objął Joey, a ona lekko oparła głowę na jego ramieniu. - A co ci radzi brat?

- Podoba mu się pomysł wpędzenia Chaza w chorobę psychiczną. Krąż, mówi, wokół niego jak duch, aż ten drań postrada zmysły.

- Da się zrobić.

- Aha, i wiesz, co jeszcze? - Joey podniosła głowę. - Jakiś detektyw wydzwaniania do Corbetta i wypytuje o Chaza. Ten sam, z którym rozmawiał w poniedziałek.

- No to robi się gorąco. Tak jak chciałaś.

- Fajnie by było.

Ale trzeba zachować szczególną ostrożność, pomyślał Stranahan. Najlepiej będzie wciągnąć detektywa do gry, nie ujawniając się.

- A podał ci nazwisko tego detektywa?

- Rolvaag. Karl Rolvaag. Przez „K”, nie przez „C”.

- Ale jaja.
- Zapisałam nawet numer telefonu. Szminką, na pokładzie twojej łódki. Przepraszam.
- Nie szkodzi - odparł rozbawiony Mick.
- Z czego się śmiejesz?
- Z Chaza. On myśli, że ten gliniarz jest szantażystą. Dziś rano przez telefon nawet zwrócił się do mnie jego nazwiskiem. Joey bardzo się z tego ucieszyła, ale zaraz dodała:
- Chwileczkę. Gadałeś z Chazem i nic mi nie powiedziałeś?
- Spałaś.
- To co?
- Byłaś nieprzytomna i do tego niekompletnie ubrana - dodał Stranahan. - Szczerze mówiąc, czułem się onieśmielony.
- Mick.
- Tak w ogóle to był komplement.
- Chrapałam?
- Raczej wzdychałaś. Gdybym wiedział, co ci się śni, zaciągnąłbym cię pod zimny prysznic.
- Joey żartem zamachnęła się na niego, ale Mick chwycił w powietrzu jej dłoń zwiniętą w pięść.
- Idź się umyć. Upaprałem cię smarem.
- Kolego, jeżeli nie będziesz uważał... - Joey spojrzała na niego wzrokiem, który mu przypomniał Andreę Krumholtz, jego pierwszą dziewczynę, kiedy pewnego wieczoru zdjęła biustonosz i wyrzuciła go przez okno samochodu jego ojca. Dla Micka, wówczas szesnastolatka, był to niezwykle pouczający moment.
- Lepiej się zabiorę do roboty.
- Chce ci się?

- W zamrażarce leży trzy kilo homarów. To byłby grzech śmiertelny pozwolić się im zepsuć.

- W porządku. Idź i naprawiaj ten swój głupi generator.

Stranahan uporał się z usterką po dwóch godzinach. Ręce go bolały, otarł skórę na kłykciach. Poszedł szukać Joey, żeby jej przekazać dobrą nowinę, ale nie mógł jej znaleźć.

Nie czytała w łóżku książki, nie opalała się na nabrzeżu ani nie bawiła się z psem na pomoście. W ogóle nie było jej na wyspie.

Strom tylko zamerdał ogonem, ale nie potrafił udzielić żadnej informacji. Łódź Stranahana, whaler, wciąż była zacumowana do słupka, więc Mick tak bardzo się nie zdziwił, kiedy otworzył szopę i zobaczył, że zniknął żółty kajak. Joey w tym momencie musiała być już tak daleko, że nie zdołałby jej wypatrzeć nawet przez lunetę. Wszedł na dach, żeby mieć lepszy widok na wodę, ale wszystkie jasne punkciki w oddali okazywały się żaglówkami, windsurferami albo rowerami wodnymi. Zastanawiał się, czy nie uruchomić łodzi i nie zacząć poszukiwań, ale z drugiej strony był taki zmęczony i brudny. I marzył o zimnym piwie.

Gdy tylko zeskoczył z dachu, doberman zaczął na niego szczekać z wyrzutem i podgryzać mu pięty.

- Cicho, głupi - powiedział do niego. - Ona wróci.

Rozdział 14.

Siostra Micka Stranahana była żoną prawnika nazwiskiem Kipper Garth, kompetentnego tylko w jednym aspekcie tej profesji - autopromocji. Był jednym z pierwszych na Florydzie „specjalistów” od odszkodowań powypadkowych, który się ogłaszał w telewizji i na billboardach, przyciągając tłumy łatwowiernych klientów. Ich sprawy rozdawał niczym karty do gry prawdziwym adwokatom w zamian za procent wywalczonej kwoty. Jak przyznali nawet jego konkurenci, Kipper Garth przyczynił się do upowszechnienia absurdalnego przekonania, że znaleźć dobrego prawnika jest równie łatwo jak wybrać hydraulika z książki telefonicznej.

Stranahana bolało, że jego siostra Katie zakochała się w takim krętaczu i trwała przy nim mimo jego częstych romansów, wiecznych kłopotów z urzędem skarbowym i kosztownego zamiłowania do hazardu. Uszkodzenie czaszki, jakiego doznał za sprawą pewnego zazdrosnego męża, zmusiło Kippera Gartha do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

W krótkim czasie roztrwonił rodzinne oszczędności, obstawiając rozgrywki krykieta, na którym nawet się nie znał. W obliczu bankructwa ponownie otworzył praktykę, wspomagając się nowoczesnymi środkami przeciwbólowymi oraz świeżym podejściem do marketingu. W nowej serii reklam telewizyjnych jeździł po bibliotece prawniczej w tym samym wózku inwalidzkim, do którego był przykuty podczas domowej rehabilitacji. Chciał się pokazać jako prawnik, ale także ofiara, która z racji empatii (jeśli nie fachowej wiedzy) kwalifikuje się na specjalistę od odszkodowań wypadkowych.

Zawsze lubił śledzić trendy. Pewnego razu natknął się w gazecie na artykuł opowiadający o parze prawników, którzy jeździli po

całej południowej Florydzie i sprawdzali, które sklepy, restauracje czy biurowce są przystosowane dla osób poruszających się na wózkach. Jeżeli gdzieś nie było odpowiednich ramp czy wind, prawnicy wynajmowali byle jakiego inwalidę - często kogoś z rodziny lub znajomego - aby wytoczył owej instytucji proces. Zwykle zanim do niego doszło, strony podpisywały ugodę. Właściciele budynku chcieli bowiem uniknąć nagłówków w prasie sugerujących, że są nieczuli na potrzeby osób niepełnosprawnych. To było coś na miarę talentu Kipperera Gartha, dlatego wkrótce znów był na fali. Zatrudniał sześciu ludzi, którzy przeczesywali obszar obejmujący trzy okręgi i polowali na wszystkich, którzy łamali przepisy o likwidacji barier architektonicznych.

Przez te wszystkie lata, chudsze i tłustsze, Mick Stranahan starał się unikać spotkań ze szwagrem i tak planował wizyty, żeby nie zastać Kipperera w domu. Kate zawsze się cieszyła z odwiedzin brata, ale wprowadziła ścisły zakaz dyskusowania o licznych wadach jej męża. Ich małżeństwo było dla Stranahana zupełnie niezrozumiałe, ale nauczył się akceptować fakt, że jest, trwa i trwać będzie. Teraz więc nie widział powodu, aby informować Kate, że potrzebna mu pomoc jej męża.

- Wybacz, Mick - powiedział Kipper. - Nie da rady.

Stranahan spojrzał sceptycznie na wózek inwalidzki, który stał w kącie przestronnego gabinetu z widokiem na zatokę.

- Wciąż go używam od czasu do czasu - uprzedził jego pytanie Kipper. - Miewam nawroty choroby.

O jedną z opon wózka stał oparty kij do golfa, a na dywanie leżały trzy nowiutkie białe piłeczki.

- Rada adwokacka wie, że możesz chodzić? Czy nie ma przepisu, który zabrania udawać kalekę w telewizji?

Kipper Garth się najeżył.

- To się nazywa „udramatyzowana rekonstrukcja”.
- A nie zwykłe oszustwo? - zadrwił Stranahan. - Co, pomożesz mi czy mam wykonać odpowiedni telefon?
- Katie nigdy by ci tego nie wybaczyła.
- Ostatnio nie miała z tym problemów.

Kipper Garth poczerwieniał na szyi. Wiele lat temu Stranahan dobrowolnie zeznawał przeciwko niemu w pewnej sprawie, która rozwinęła się dla prawnika niepomyślnie. Chodziło o rozpatrzenie skargi. Wyrzucenie z palestry wydawało się nieuniknione, ale wtedy zjawił się ów zazdrosny mąż rogacz i rozwalając mu głowę piłeczką do peloty, wyłączył go z gry, co oszczędziło florydzkiej radzie adwokackiej mnóstwa papierkowej roboty.

- Mick, to naprawdę nie dla mnie. - Kipper Garth wygładził krawat i strzepnął z kłapy niewidzialny pyłek. - Ale podam ci parę nazwisk. - Sięgnął po wizytownik.

Stranahan chwycił go za nadgarstek.

- To standardowy dokument. Student pierwszego roku zrobiłby to z zamkniętymi oczami.

Kipper wyrwał rękę, choć niezbyt stanowczo. Zbyt dobrze znał burzliwą przeszłość szwagra, żeby unikać fizycznej konfrontacji. Wiedział też, że przekręt z wózkiem to tylko jeden z jego grzeszków, o których Mick wiedział, lecz strategicznie zachowywał je dla siebie.

Stranahan rozłożył żółtą liniowaną kartkę i podsunął Kipperowi na biurko.

- Tu masz wszystkie potrzebne dane.

Informacje wyglądały na autentyczne i nieszkodliwe. Garth był pewien, że sekretarce uda się sformatować odpowiedni dokument przy użyciu biurowego oprogramowania.

- Dobrze, Mick, zrobię to. - Wskazał na drzwi. - Przyrowadź ją.

- Kogo? - spytał Stranahan.

- Klientkę.

- Nie ma jej tu.

Kipper Garth spojrzał na niego zdziwiony.

- Dlaczego?

- Bo zaginęła.

- Słucham?

- To znaczy, i tak, i nie.

Garth miał nadzieję, że szwagier żartuje.

- To bardzo skomplikowana sprawa.

- No, ale będę potrzebował podpisu.

- Zostaw na niego puste miejsce.

Garth poczuł ucisk w żołądku.

- Podpis musi być poświadczony.

- Liczyłem na ślepą lojalność twoich sekretarek. Aha, byłbym zapomniiał, datuj ten dokument na początek marca, dobra?

- Przyszłego roku?

- Nie, tego - odparł Stranahan. - Niech będzie data dokładnie sprzed miesiąca.

Głos Kipperera zmienił się w błagalny jęk.

- Mick, mogą mnie za to podać do sądu.

- Och, kto by śmiał to zrobić kalece na wózku.

- Ja nie żartuję! Jeśli sprawa się rypnie, wszystkiemu zaprzeczę.

- Wcale bym się nie zdziwił.

Kipper Garth potrząsnął żółtą kartką.

- O co tu chodzi, do diabła? W co się wpakowałaś?

Mick Stranahan niecierpliwie spojrzął na zegarek.

- Tracimy cenny czas. Pośpiesz się.

* * *

Drugi dzień z rzędu Charles Perrone wziął wolne w pracy. Wpadła Ricca i przyniosła mu lunch - kanapkę z szynką, chipsy i sałatkę z homara. Chaz chwilowo przestał się martwić, co sobie pomyślą sąsiedzi o jego seksownym gościu. Miał pilniejsze sprawy na głowie.

- Co się stało? - spytała Ricca.

- Wszystko.

- Chcesz pogadać?

- Nie.

Zaprowadził ją do sypialni i rozebrał. Dwadzieścia pięć minut później wyczerpana Ricca wstała z łóżka i założyła biustonosz.

- Wybacz, skarbie. Muszę wracać do pracy.

Chaz Perrone pomacał pod kołdrą sflaczałego penisa.

- Nie wierzę.

- Nie przejmuj się. Mówiłam ci, to się zdarza wielu facetom. - Ricca była w łazience, starała się tonem głosu nie okazać rozczarowania. Wyszła, energicznym ruchem rozczesując włosy. - Powiedziałbyś mi, gdybyś kogoś miał, prawda?

- Boże.

- Nie chcę się dowiedzieć ostatnia.

- Mów dalej, a będę musiał zacząć szukać w internecie implantów.

Ricca wzięła torebkę i pocałowała Chaza w czubek nosa.

- Wszystko minie, kochanie. Po prostu nie zakończyłeś pewnego etapu.

- Błagam, nie zaczynaj.

- Po ceremonii będziesz jak nowy. Kiedy pożegnasz się z Joey, wrócisz do dawnej formy.

Skrzywił się z niezadowoleniem.

- Już się pożegnałem.

- Nie wydaje mi się. Myślę, że w tym tkwi problem.

W chwilę po wyjściu Ricci Chaz usłyszał, że do domu wszedł Tool. Wetknął swój wielki łeb do sypialni i od niechcienia spytał, czy wszystko gra.

- Lepiej być nie może.

- Co to za dziewczyna? Nie widziałem jej wcześniej.

- Pani psycholog.

Tool spojrział na porzucone obok łóżka spodnie i bokserki doktora.

- Kiedy moja mama umarła, przysłali do domu pastora.

- Każdy sobie radzi, jak umie. Znalazłeś plastry?

- Na razie jeden, ale za to całkiem nowy. - Tool się obrócił, żeby pokazać wygolony fragment pleców, gdzie przykleił lekarstwo. - Idę się kimnąć.

- Miłych snów - machnął ręką Chaz.

Począł, aż Tool pójdzie do siebie, a potem wyjął z nocnej szafki swój nowy rewolwer. Przytłoczony wyborem, jaki oferował Wal-Mart, udał się do lombardu w Margate, gdzie oryginalnie wytatuowany neofaszysta sprzedał mu prostego kolta kaliber 38. Siedząc w łóżku, Chaz przekładał rewolwer z ręki do ręki i zastanawiał się nad jego mroczną przeszłością. Może użyto go podczas napadu albo nawet posłużył do zabicia człowieka.

W szufladzie leżała paczka naboju, ale Chaz się wahał, czy go naładować. Kiedyś usłyszał w CNN, że ludzie trzymający w domu broń dla ochrony mają pięćdziesiąt razy większe szanse, że się postrzelą lub zostaną postrzeleni, niż że obezwładnią złodzieja. Jako że Chaz nigdy nie strzelał z czegoś mocniejszego niż wiatrówka, załadował naboje z największą ostrożnością.

Potem odłożył kolta do szuflady i oddał się smutnym rozmyśleniom. A jeżeli Ricca ma rację? Usunął z domu wszystkie pozostałości po żonie, a mimo to jego interes uparcie strajkował. Nie przyznałby się do tego kochance, ale jedynymi momentami, kiedy czuł leciutki skurcz spontanicznego pożądania, były te, w których myślał o Joey. Na przykład dziś rano po prysznicem odtwarzał w głowie zbrodnię chwila po chwili. Sam nie wiedział dlaczego. Przypomniawszy sobie zapach oceanu, drobny deszczyk na twarzy, żółte latarnie wzdłuż relingu, jednostajny pomruk silników.

I kostki Joey. To była ta iskra. Kiedy sobie przypomniawszy, jakie były ciepłe i jedwabiste gładkie w dotyku. Boże, jakie ta kobieta miała nogi!

Poczuł znajome pulsowanie, spojrzał w dół na kapryśnego przyjaciela i z zapalem zabrał się do roboty. Włożył w to całe zaangażowanie, ale na próżno. Potem skończyła się gorąca woda i już w ogóle było po wszystkim.

Czyli Ricca może mieć rację: Joey wciąż tkwi w jego podświadomości, chociaż brakuje mu tylko seksualnego aspektu małżeństwa. Poza tym mam spokojne sumienie, pocieszał się w myślach. Zrobiłem to, co należało. Prędzej czy później żona przyłapałaby go na zdradzie i z czystej złośliwości doniosłaby pracodawcy o podrabianiu wyników badań. To byłby koniec. Koniec wiarygodności Chaza jako biologa, koniec potajemnego układu z Hammernutem, koniec marzeń o świetlanej przyszłości.

Bo Joey znała prawdę. Bez wątpienia. Czyż nie widziała na własne oczy, jak Chaz fałszuje tabele?

Zrobiłem tylko to, co było konieczne, pomyślał. I mógłbym to zrobić jeszcze raz.

Nagle coś mu się przypomniało. Chwycił za telefon i zadzwonił do swojego kumpla od golfa, znanego bywalca nocnych klubów.

- Chodzi o te pigułki, które chciałeś mi wcisnąć na wieczorze kawalerskim Richardsona. Mój znajomy byłby zainteresowany.

- Znajomy, jasne.

- Matko, to nie dla mnie! Jakbyś nie wiedział, dopiero co straciłem żonę. Masz mnie za bezdusznego drania?

- Wybacz, stary. Bardzo mi przykro. Ile by tego chciał?

- Nie wiem. Ile jest w zestawie startowym? Może być sześć?

- Żaden problem.

- I mówisz, że są silniejsze od tych, które przepisują lekarze?

- O, tak. W FDA⁶ by nie przeszły.

- Gdzie teraz jesteś? Masz je przy sobie?

- Gramy rundkę w Boca Pines North. Znajomemu się śpieszy, co?

- Tak, zdaje się, że poderwał jakąś laskę.

- To się spotkajmy w domku klubowym, za godzinę.

- Super - odparł Chaz. - Odwdzięczę się.

- O to się nie martw. - A po chwili zmieszany dodał: - To straszne, stary, co się stało z Joey. Musi ci być cholernie ciężko. Jak się trzymasz?

- Miewałem gorsze dni.

⁶ FDA (Food and Drug Administration) - Agencja ds. Żywności i Leków (przyp. tłum.).

Po wyjściu z biura Kipperera Gartha Stranahan wrócił na Dinner Key, żeby zobaczyć, czy Joey się nie pojawiła. Jednak na przystani nie było kajaka ani wypożyczonego chevrolata.

Nie chciało mu się jechać aż do Boca Raton, ale nie mógł całe popołudnie czekać w Coconut Grove. Ostatnio cierpliwości starczało mu tylko na wędkowanie. Wyjął z portfela kawałek kartki, na którym zapisał numer rejestracyjny niebieskiego forda należącego do aktualnej kochanki Perrone'a. Tylko dwóch detektywów w biurze prokuratora stanowego mogło wspominać Stranahana na tyle życzliwie, żeby zechcieli pomóc. Zadzwoił do jednego z nich, kierując się na północ autostradą międzystanową. Gdy mijał granicę okręgu, znał już nazwisko, wiek, adres, stan cywilny i zawód właścicielki auta.

Ricca Jane Spillman miała licencję kosmetologa wydaną przez stan Floryda, więc trzeba było tylko odnaleźć jej miejsce pracy. Stranahan zatrzymał się w Hallandale, znalazł budkę telefoniczną i wyrwał z książki kartkę z adresami wszystkich salonów piękności.

Poszukiwania zawęził do zachodnich obrzeży północnej części okręgu Broward. Zaczął dzwonić na chybił trafił i po pięćdziesięciu pięciu minutach zlokalizował dziewczynę Chaza. Pracowała jako starsza stylistka-kolorystka w salonie fryzjerskim Hair Jordan i przypadkiem o wpół do szóstej akurat miała okienko.

Ów salon, jak wiele podobnych obiektów w Boca Raton, mieścił się w minicentrum handlowym, wciśnięty między przeróżne sklepy. Mick zaparkował zardzewiałą cordobę na tyłach, żeby ludzie się nie gapili. Sam przyciągnął parę spojrzeń, kiedy wszedł do salonu w poplamionej smarem koszuli, splóviałych spodniach i zdartych butach żeglarskich. Usiadł na fotelu, schował się za czasopismem i próbował się skupić na artykule o trudnych przejściach Eminema, niegłupiego, ale bardzo

zagubionego młodego człowieka. Najwyraźniej bogactwo, sława i nieograniczony seks są fajne, ale prawdziwe duchowe szczęście musi pochodzić z wnętrza.

- Pan Smith? Witam.

To była Ricca. Kazała Mickowi iść za sobą.

- Może pan wziąć gazetę.

Trochę się wstydził tego, co miał na głowie. Włosy były lepkie od soli i dziwnie zaczesane na jedną stronę. To skutek pokonania zatoki Biscayne przy silnym wietrze. Ricca nic nie powiedziała na ich temat, za to w czasie mycia głowy skomplementowała głęboką opaleniznę Micka. Stranahan wyjaśnił, że jego praca wiąże się z całodziennym przebywaniem na słońcu.

- Tak? A gdzie pan pracuje? - spytała, delikatnie wycierając mu głowę ręcznikiem.

- Na statku wycieczkowym.

- O!

Stranahan uważnie obserwował w lustrze jej reakcję.

- Była pani kiedyś na rejsie?

- Ja? Nie.

- Te statki są jak miasta, takie ogromne.

Ricca wyjęła nożyczki ze sterylizatora.

- Jak dużo mam obciąć? Tuż nad uchem?

- Myślałem, żeby się ostrzyc na jeża. Jak Clint Eastwood w tym filmie o Grenadzie.

- Proszę bardzo.

- Żartowałem.

Przez chwilę pozwolił jej pracować w ciszy. Ricca była wyraźnie rozkojarzona. Potem znowu zaczął.

- Cierpi pani na chorobę morską? Mnóstwo ludzi to ma.

- Czasami - odparła. - Czym dokładnie pan się zajmuje na tym statku?

- Pracuję w ochronie.

- Nieźle.

Stranahan przechylił głowę, dostosowując się do ruchu nożyczek.

- Tak jak mówiłem, to jest jak miasto. Są dobrzy i źli obywatele.

- Ale zwykle chodzi o alkohol, prawda? Chyba nie macie tam poważniejszych przestępstw?

- Zdziwiłaby się pani. Całkiem niedawno jakiś facet wypchnął żonę za burtę.

Odgłos nożyczek ustał. Ricca wbiła wzrok w odbicie Stranahana w lustrze.

- To nie było zabawne, panie Smith.

- Ależ to prawda. Chwytał ją za nogi i przerzucił przez reling.

- Boże.

Stranahan uśmiechnął się przepaszająco.

- No, ładnie. Chcę panią namówić na rejs po morzach tropikalnych, a wyskakuję z jakąś makabryczną historią. Proszę mi wybaczyć.

- Nie. To ja niepotrzebnie spytałam.

Ręce jej się trzęsły tak bardzo, że odłożyła nożyczki. Wzięła grzebień i zaczęła mechanicznie przeczesać na wpół ostrzyżone włosy Micka.

Stranahanowi zrobiło się jej żal. Było mu żal wszystkich kobiet, które dały się złapać na lep Perrone'a.

- Co zrobili z tym człowiekiem? - spytała cicho.

- Niech pani sobie wyobrazi, upiekło mu się.

- Jak to?

- Przynajmniej myśli, że mu się upiekło - mrugnął okiem Stranahan. - Ten sukinsyn nie wie, że ktoś to wszystko widział. Ja.

W tym momencie Ricca nie była w stanie posługiwać się jakimkolwiek ostrym narzędziem, więc Stranahan zdjął z ramion pelerynę.

Ricca odsunęła się od fotela i spytała:

- Kim pan jest?

Mówiła cicho, żeby pan Jordan, właściciel salonu, nie pomyślał, że coś się stało.

Stranahan wyjął dwudziestodolarówkę i położył obok nożyczek.

- Chaz pani nie mówił, jak to było?

Ricca powoli pokręciła głową.

- Podobno wypadek.

- Nie, nie. Morderstwo. Dobrze zaplanowane.

- Czemu pan go... nie powstrzymał?

- To się stało błyskawicznie. W jednej chwili kobieta stoi na pokładzie, a zaraz potem jest przekąską dla rekinów. Ot tak! - Stranahan strzelił palcami.

Ricca aż podskoczyła.

- Niemożliwe. Chaz mówił, że wtedy spal.

- On cię okłamuje, Ricco. To wyjątkowo zły człowiek. Bezдушny zabójca. Radziłbym ci poszukać sobie innego chłopaka.

- Kim pan jest, do cholery?

- Jego przyszły partner w interesach. Proszę mu powiedzieć, że wpadłem.

- Jak mnie pan znalazł? Proszę natychmiast wyjść.

- Dobrze. Ale powinna pani wiedzieć, że życie doktora Perrone'a wkrótce znacznie się skomplikuje. Niech pani uważa.

- Wynoś się! - szepnęła.

Stranahan zjadł obiad w tajskiej knajpie na drugim końcu centrum handlowego. Kiedy wychodząc, mijał salon, niebieskiego fordą Ricci już nie było. Albo pojechała rozmówić się z Chazem, albo popędziła do domu. Zarygluje drzwi, zrobi sobie drinka i zacznie kontemplować przerażający fakt, że sypia z mordercą.

Pokonanie krótkiej drogi do osiedla West Boca Dunes Phase II z powodu korków zajęło mu prawie pół godziny. Kiedy wjeżdżał w ulicę, przy której mieszkał Perrone, był w takim nastroju, że mógłby kogoś zabić. Uśmiechnął się jednak na widok znajomego chevroleta suburba z żółtym kajakiem na dachu. Stał jak zwykle na podjeździe domu zbiegłych telemarketerów. Podjechał obok, odkręcił szybę i czekał, aż Joey zrobi to samo. A tu nic. Zerknął do środka przez przyciemniane szyby - w chevroletcie nikogo nie było. Serce mu stanęło.

- Niech to szlag - zaklął i spojrzał na dom Perrone'a. Joey znów się tam wkradła.

Sprawa była o tyle nieciekawa, że przed domem stał żółty hummer. A także jakaś ciemna limuzyna, grand marquis albo crown vic.

Stranahan wysiadł i szybkim krokiem zaczął iść w stronę domu, gdy nagle podjechał trzeci samochód. To była biała toyota albo może audi. Nie był pewien, bo zapadał zmrok.

Wsunął ręce do kieszeni i zwolnił do spaceru, patrząc, jak z auta wysiada ruda kobieta z kręconymi włosami i dzwoniącymi kolczykami w uszach.

Kiedy mijał dom Perrone'a, otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Chaz z czymś, co wyglądało na butelkę wina. Drugą ręką zapraszał kobietę do środka.

Widzę, że mamy imprezę, pomyślał Mick. Jak miło.

Rozdział 15.

Joey Perrone planowała tylko niewinne zakupy. Na Dinner Key wyciągnęła z wody kajak i załadowała go na dach chevroleta. Potem pojechała do Merrick Park, gdzie kupiła torbę na ramię, kostium kąpielowy, cztery pary włoskich butów, czapkę z daszkiem i zabawne okulary przeciwsłoneczne od Versacego. Kiedy wstąpiła do cukierni Andalusia w poszukiwaniu tarty cytrynowej, czuła się już prawie jak człowiek.

Wtedy ni stąd, ni zowąd znów ją to dopadło. Myśl, że własny mąż niemal ją zabił.

Gdyby nie umiała nurkować, nie cieszyłaby się dzisiaj tym pięknym słońcem, głosem Nory Jones płynącym z radia, zapachem nowej skórzanej torebki. A Chaz chciał, żeby wylądowała w brzuchu rekina albo została zjedzona przez kraby i makrelosze.

Co za łajdak, pomyślała i skierowała się prosto na autostradę międzystanową.

Pięćdziesiąt minut później wyjmowała zapasowy klucz z karmnika na tyłach swego domu. Weszła tylnymi drzwiami i wyłączyła alarm. Ciarki przechodziły jej po plecach, kiedy się skradała po znajomych pomieszczeniach. Nie został po niej żaden ślad.

Z poprzednich wypraw wiedziała, że Chaz pozbył się najbardziej widocznych pamiątek - zdjęć, ubrań, płyt. Teraz brakowało jeszcze więcej. Ze ścian zniknęły obrazy i szkice, które sama wybierała. Z kredensu cztery srebrne świeczniki, prezent ślubny od jej brata. Na regale nie było kryształowego delfinka, którego podarowała Chazowi na walentynki. Nigdzie nie było widać zabytkowej szkatułki na biżuterię.

Chaz usunął wszelkie ślady nawet w kuchni. Gdzie orchidea, która wisiała w oknie? Ulubiony kubek Joey? Miedziany rondel, który kupiła, żeby mu gotować jego pieprzone ukochane spaghetti? Zupełnie jakby Joey nigdy tu nie mieszkała, nigdy tu nie była, nigdy nie istniała.

Wyjęła z szuflady nóż do mięsa i zakradła się do sypialni z zamiarem pocięcia na strzępy nowej jedwabnej pościeli, która miała teraz taki zapach, jakby ją wyprano w tanim winie. Chaz, zawsze tak wybredny, jeśli chodziło o perfumy używane przez Joey, najwyraźniej pozwalał swoim panienkom zlewać się wszelkimi duszącymi świniństwami, które akurat są na wyprzedazy.

Joey uniosła nóż nad głową, ale tylko na tyle było ją stać. To jest żalosne, pomyślała. I mało oryginalne. Upuściła nóż i opadła na łóżko. Na swoją stronę łóżka. Gapiła się na sufit tak jak setki razy wcześniej, z tym że teraz czuła się jak intruz.

Bo nim była.

Trzeba przyznać, że Chazowi udało się całkowicie wymazać ją z domu, który kiedyś był ich wspólnym. Ramiona Joey zaczęły się trząść, odruchowo się skuliła i zdała sobie sprawę, że płacze. To ją strasznie rozzłościło. Bo jak może płakać z powodu faceta, który chciał jej śmierci?

Przestań! - upomniała się. Przestań natychmiast.

Tu nie chodziło o to, że straciła Chaza. Chodziło o poczucie godności, postrzeganie samej siebie i te wszystkie pierdoły, o których gadają psychologowie. Jak to możliwe, że mój własny mąż tak mnie znienawidził? Co ja mu takiego zrobiłam?

- Nic. - To powiedziała na głos, między jednym chlipnięciem a drugim. - Kompletnie nic.

Podniosła się i otarła oczy rogiem poszewki.

- Niech diabli wezmą Chaza Perrone'a.

Poszła do łazienki i skrzywiła się na widok swojej twarzy w lustrze: spuchnięte oczy, rozmazany tusz. Usiadła na muszli, żeby się wysikać i zastanowić, co dalej. Na szafce stało wielkie opakowanie maaloksu. Ten widok bardzo poprawił jej humor. Dla Chaza wrzód żołądka byłby idealny. Bolesny krwawiący wrzód wielkości tortilli.

Chaz zwykle nie wracał do domu przed szóstą, więc Joey pomyślała, że trzaśnięcie drzwi samochodu pochodzi z innej posesji. Kiedy usłyszała szcęk klucza w zamku, podciągnęła dżinsy, wyskoczyła z łazienki, podniosła nóż z podłogi i wśliznęła się pod łóżko.

Czyjeś kroki, które wydawały się zbyt ciężkie jak na Chaza, przemierzyły salon, a potem skierowały się do przedpokoju. Joey wstrzymała oddech. Cholera, pomyślała, nie spuściłam wody. Jeśli zauważy, to koniec.

Przełożyła nóż do prawej ręki i mocno ujęła rękojeść. Kroki zbliżyły się do łazienki. Żeby w taki głupi sposób dać się złapać, pomyślała Joey. Pierwszy raz w życiu nie spuściłam wody.

* * *

Życie było o wiele prostsze, kiedy się zajmował nadzorowaniem pracowników na plantacji. Kiedy się potrzebowało forsy, wystarczyło skubnąć z ich wypłat. Przeważnie żaden nawet nie pisał, tak się bali donosu do urzędu imigracyjnego. Bali się, że ich wyekspediują z powrotem na Haiti, na Dominikanę czy z jakiej tam innej dziury pochodzili.

Fentanyl złagodził ból, ale nie poczucie wyobcowania. Tool patrzył na krwawiące ślady po zębach na swoich dłoniach i myślał: nienawidzę miast.

Właściwie to trochę wina Reda, bo mu nie dał żadnej gotówki. Tool zapomniał, jak trudno jest wyciągnąć dolara od tego nadzianego białasa. Gdyby miał przy sobie chociaż dziesiątaka, ten kierowca przewożący napoje nie jechałby teraz na pogotowie z rozkwaszoną gębą.

Pokręcił głową z irytacją. Przecież grzecznie prosił. Ej, kolego, odpaliłbyś skrzynkę Mountain Dew.

Kierowca parsknął śmiechem i odparł, że nie może sprzedawać prosto z samochodu. W odczuciu Toola powiedział to tonem nieuprzejmym i lekceważącym. Potem uniósł brwi i zapytał: A ile to jest dla ciebie warte? Może mógłbym zrobić wyjątek.

Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo spragniony może być człowiek będący pod wpływem silnych środków przeciwbólowych.

Tool nie uznawał owijania w bawełnę, więc dał kierowcy do zrozumienia, że nie jest w stanie zapłacić za napój, ponieważ nie ma pieniędzy. Obiecał jednak, że ureguluje należność później, przy okazji następnej dostawy.

Wtedy kierowca tak się zaczął śmiać, że głowa mu się kiwała jak jakiejś cholernej papudze. Ale Tool miał to gdzieś. Na farmie nikt się z niego nie śmiał. Nikt nawet nie miał odwagi mieć wesołej miny, kiedy się zjawiał w pobliżu.

Kierowca był młodszy od Toola, dobrze zbudowany i bardzo pewny siebie. Większość mężczyzn zastanowiłaby się dwa razy, zanim zrobiłaby to co Tool, ale on od razu rozpoznał w nim zwykłego gogusia pakującego na siłowni. Zdradził go uśmiech, te białe zębki równiutkie jak kafelki w dworcowym kiblu. Zwracał się do Toola jak do niedorozwiniętego, a ten przyglądał się tym jego lśniącym zębom i myślał: Gość w życiu nie dostał porządnie w ryja.

No więc go uderzył prawym prostym i rozwalił ten hollywoodzki uśmiech. Oraz nos do kompletu. Kierowca upadł, a Tool się oddalił z całą paletą ciepłego Mountain Dew w dużych, dwulitrowych butelkach. Takich, które najbardziej lubił. Jedną wyżłopał od razu po drodze do domu Perrone'a, tak strasznie chciało mu się pić.

Teraz stał w przedpokoju, bekał i nie mógł się zdecydować, czy iść się odlać, walnąć do wyra, czy może zadzwonić do Reda i wydebić trochę forsy. Tacy ludzie, którzy ochraniają prezydentów czy sławnych aktorów, na pewno dostają pieniądze na własne potrzeby. Tool poszedł do pokoju, zdjął ogrodniczki i usiadł gołym tyłkiem na łóżku.

Komórka, którą pożyczył mu Red, miała zaprogramowany numer do jego biura w LaBelle. Odebrała Lisbeth, powiedziała, że szef jest na zebraniu, ale obiecała przekazać wiadomość, że pan O'Toole jak najszybciej potrzebuje gotówki.

Tool wytarł o koc zakrwawioną rękę. Ja tu nie pasuję, pomyślał. Miasto nie jest dla mnie.

Włączył telewizor i zobaczył Oprah, tę Murzynkę, która ma swój talk-show. Słyszał w chrześcijańskim radiu, że ma więcej pieniędzy niż niektórzy najbogatsi biali ludzie na świecie, więc postanowił chwilę pooglądać i przekonać się, o co ten cały szum. Oprah nawijała razem z trzema aktorkami, jaki to kłopot być sławnym, że trzeba znosić natrętnych fotografów, którzy wszędzie za tobą łażą i tak dalej. Tool ani trochę im nie współczuł.

Przecież one mają tyle forsy, że gdyby chciały, mogłyby sobie postawić sześciometrowe mury wokół swoich rezydencji. Mogą mieć kamerdynerów, ochroniarzy, wszystko, co najlepsze.

Przypomniał sobie Maureen, samotną staruszkę z Elysian Manor, która umiera na jakiegoś paskudnego raka. Pieprzone pielęgniarki nawet nie pozwolą jej wstać z łóżka, żeby mogła

wziąć prysznic albo pójść do kibla. Taka Maureen, pomyślał, chętnie by się zamieniła z każdą z tych aktorek. Ona na pewno by się uśmiechała i machała do tych fotografów, bo byłaby szczęśliwa, że jest zdrowa.

Wyłączył telewizor i powlókł się do kuchni. Opróżnił lodówkę i zaczął w niej upychać butelki Mountain Dew. Niedługo potem w drzwiach pojawił się doktor i spytał, co on wyprawia.

- A jak myślisz?

- Ale ja się spodziewam gości! - Charles Perrone wyjął butelkę wina z papierowej torby.

- Zmieści się - odparł Tool i pokazał mu pokiereszowaną rękę. - Sprawdź, czy nie ma jakiegoś zakażenia.

Perrone cofnął się gwałtownie, jakby ktoś mu rzucił w twarz tarantulę.

- Człowieku, mówiłem, że nie jestem lekarzem.

- To kim, do cholery? - Tool postąpił krok w przód i zabrał od niego wino.

- Jestem doktorem biologii, nie medycyny. Badam zanieczyszczenie wód. - Skrzywił się, gdy ochroniarz podstawił mu pod nos poranione kłykcie.

- Jeden taki nadział się dzisiaj na moją pięść. Nie będzie się ślimaczyć?

- Mam w plecaku bandaż i maść z antybiotykiem. Zaraz przyniosę.

- Dzięki.

Kiedy Tool robił w zamrażarce miejsce na wino, zastanawiał się, po co takiemu doktorowi od brudnej wody ochroniarz.

Perrone wrócił i już spokojniejszym głosem powiedział:

- Słuchaj, jest taka sprawa: za chwilę wpadnie tu moja znajoma.

Tool wzruszył ramionami.

- No i...?

- Nie mógłbyś czegoś na siebie założyć?

Tool spojrzął po sobie.

- Ale mi tak wygodnie. To raczej pójdę się położyć.

- Bardzo ci dziękuję.

Chaz wszedł do łazienki, zamknął drzwi i wyjął z kieszeni niebieskie pigułki. Kumpel od golfa mówił, że zaczynają działać po godzinie. Radził za pierwszym razem uważać, żeby sprawdzić reakcję organizmu. Chaz połknął dwie tabletki i popił je wodą z kranu. W lustrze zauważył, że Tool sikał do muszli przy opuszczonej desce i nie raczył spuścić wody.

- Wieprz - mruknął.

Owinał dłoń papierem toaletowym i szybko nacisnął spłuczkę.

Co on tu w ogóle robił? Pewnie w łazience gościnnej zatkał kibel tymi swoimi tłustymi kłakami.

Po szybkim prysznicu Chaz zadzwonił do Ricci i poprosił, żeby przyszła.

- Ale mam dla ciebie niespodziankę - zachęcał.

- Nie jestem w nastroju.

- No co ty.

- Źle się czuję. Chcę się wcześniej położyć.

Chaz Perrone nie był szczególnie bystry, jeśli chodzi o odczytywanie kobiecych nastrojów, ale zauważył, że Ricca jest czymś zdenerwowana.

- Porozmawiamy, kiedy przyjdiesz - powiedział. - Od razu poprawi ci się humor.

- Chaz, mówiłam ci, zostaję w domu.

- Ale nie dzisiaj, proszę. Nie rób mi tego.

- Zadzwoń w weekend.

- Ricca, poczekaj. Chodzi o to, co się dzisiaj stało? Wszystko wróciło do normy, właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Będzie jeszcze lepiej niż zwykle, obiecuję...

- Nie słuchasz mnie - ucięła. - Jestem wykończona. Miałam koszmarny dzień i zaraz idę spać. Dobranoc.

Cisza w słuchawce. Chaz zaklął pod nosem i usiadł na łóżku. To dla niej kupił te niebieskie pigułki. Chciał jej udowodnić (i sobie też), że jego problem był tymczasowy i łatwy do pokonania.

Nagle poczuł poruszenie w spodniach. Powolne i konsekwentne, tak jak się rozwija przebudzony wąż. Spodziewając się rekordowej erekcji, Chaz rozpaczał, że nie ma przy sobie nikogo, z kim mógłby się nią podzielić. Nieubłaganie zbliżał się czas gotowości, a szanse na partnerkę były marne. W przeciwieństwie do niektórych kolegów Chaz nie posiadał tak zwanego „pogotowia seksualnego”, czyli koleżanek, do których mógłby zadzwonić w razie nagłej potrzeby. Kobiety, z którymi sypiał, w większości przestawały się z nim kontaktować, jak tylko wychodził na jaw jego paskudny charakter, czyli zwykle po dwóch, trzech miesiącach od pierwszej randki. W związku z tym nazwiska w czarnym notesie Chaza dzieliły się na dwie kategorie: były dziewczyny, które go nienawidzą, oraz obecne dziewczyny, które znienawidzą go prędzej czy później.

Jako że Ricca z tajemniczych przyczyn była dziś niedostępna, pozostawała tylko postrzelona wyznawczyni New Age i specjalistka od refleksologii, niejaka Medea. Poznali się na polu golfowym Boca North, gdzie w barze między dziewiątym greenem a dziesiątym tee Medea oferowała masaże. Chaz spał z nią tylko trzy razy i miał mieszane uczucia. Choć w łóżku była aktywna i namiętna (przy okazji gibka jak małpka), posiadała kilka irytujących nawyków, jak na przykład skłonność do nucenia

podczas stosunku. Jej ulubioną melodią był Tribal Dream. Twierdziła, że niejaki Yanni napisał ją w tajemnicy specjalnie dla niej. Innym zwyczajem było rytualne nacieranie ciała (a siłą rzeczy także ciała Chaza) ciepłym olejkiem paczuli, którego miętowy zapach trwale przywierał do skóry, niczym terpentyna balsamiczna.

Ubierała się wyzywająco i krzykliwie. Chaz aż się wzdrygnął na wspomnienie nocy, kiedy kolczyki Medei (które mogłyby uchodzić za lotnie) zaczęły o włosy na jego piersiach, boleśnie wyrrywając sporą kępkę.

No i wreszcie ta jej obsesja na punkcie refleksologii. Przed każdym stosunkiem się upierała, żeby potrenować na Chazie. Brutalnie wyszarpywała mu kończyny i palce, wykręcała szyję. Potem przez wiele dni łykał ibuprom jak cukierki.

Taka właśnie była Medea.

Odebrawszy telefon, skakała z radości.

Kiedy przyjechała, Chaz czekał na nią w drzwiach z butelką wina i penisem stojącym na baczność.

* * *

Wspomnienia Joey związane z rodziną wyblakły z upływem czasu, ale wciąż nosiła w pamięci niezatarty obraz rodziców trzymających się pod rękę i uśmiechniętych. Tak wyglądali na większości zachowanych zdjęć: szczęśliwi, kochający się ludzie. Pamięta, że w domu ciągle było słycać śmiech. Szczególnie mama potrafiła dostrzegać humor w codziennych sytuacjach. Takie podejście do życia musiało się przydawać przy powadzeniu kasyna - fabryki ludzkiego szaleństwa.

Teraz Joey sobie wyobraziła, jak Hank i Lana Wheelerowie patrzą na nią z góry zdziwieni i zachodzą w głowę, czy ich jedyna córka przypadkiem nie zwariowała. Nie da się ukryć, że sytuacja była groteskowa: Joey ukrywała się pod łóżkiem, w czasie gdy jej mąż próbował sobie zorganizować gorący numer.

- Ale mam dla ciebie niespodziankę - mówił do słuchawki.

Widać niespuszczona woda w toalecie nie obudziła w nim czujności, nie obawiał się, że w domu może czaić się intruz. Joey patrzyła, jak jego blade, pokryte żyłkami stopy przemierzają niecierpliwie podłogę sypialni. Jak łatwo byłoby chwycić nóż i dźgnąć któryś z tych pulchnych nieowłosionych paluchów.

- No co ty - nalegał Chaz tonem dobrze znanym Joey. - Porozmawiamy, kiedy przyjdiesz. Od razu poprawi ci się humor.

Joey wpatrywała się w paznokcie u nóg męża, mając nadzieję, że rozwija się pod nimi jakiś egzotyczny grzyb z bagien Everglades.

- Ale nie dzisiaj, proszę. - Chaz zrobił się przymilny. - Nie rób mi tego.

Ha, dostał kosza, pomyślała Joey.

- Ricca, poczekaj. Chodzi o to, co się dzisiaj stało? Wszystko wróciło do normy, właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Będzie jeszcze lepiej niż zwykle, obiecuję...

Joey знаła już imię, teraz trzeba je było jeszcze dopasować do osoby. Ricca. Coś jej świtało w głowie. Czy nie tak się nazywa fryzjerka Chaza? Mimowolnie zacisnęła dłoń na rękójści noża.

- Szlag - mruknął Chaz. Najwyraźniej Ricca odłożyła słuchawkę. Chaz ciężko klapnął na łóżko, aż zaskrzypiała sprężyna.

Nadał się, stwierdziła Joey. Przyglądała się jego chudym różowym kostkom z odznaczającą się linią opalenizny. Na prawej

pięcie miał paskudny odcisk, pozostałość po źle dopasowanym bucie golfowym. Wyglądał na bolesny. Joey bezwiednie sprawdziła kciukiem ostrość czubka noża.

Miała okazję uciec, kiedy Chaz brał prysznic, a jego tajemniczy współlokator, ten o chodzie słonia, poszedł do pokoju gościnnego. Przez chwilę rozważała, czy się nie wymknąć tylnymi drzwiami. Tak byłoby rozsądniej, ale z drugiej strony, kiedy jej się trafi druga taka okazja, żeby zaobserwować w akcji swego męża zdrajcę i mordercę?

Usłyszała sekwencję dźwięków klawiszy telefonu. Chaz wybierał kolejny numer.

- Medea? - odezwał się.

Tu będą jaja, pomyślała Joey.

- Co robisz dziś wieczorem? Nie wpadłabyś do mnie posłuchać muzyki? Tak, do mnie...

Joey zauważyła, że Chaz nieświadomie stuka stopami o podłogę. Wróciła mu pewność siebie.

- Podyktuję ci adres. Masz coś do pisania?

Joey uważnie nasłuchiwała, kiedy Chaz się ubierał i przygotowywał do wizyty. Znała na pamięć odgłosy całego rytuału: pyk! - zatyczka od dezodorantu, bzz... - trymer do usuwania włosów w nosie, brzdęk! - rytmiczne szarpnięcia nici dentystycznych wyciąganych spomiędzy zębów, gul, gul, gul! - głośne płukanie gardła.

Zdając sobie sprawę, co się święci, Joey powinna wpaść w panikę, bo naprawdę nie miała ochoty wysłuchiwać jęków i stękań swego męża kochającego się z inną kobietą.

Pozostała jednak dziwnie spokojna i ciekawa rozwoju wypadków. Czy to nie byłaby idealna okazja, aby mu zwrócić ślubną obrączkę, którą nosiła przy sobie niczym zły amulet, odkąd

Mick Stranahan ją uratował? Najważniejsze to wybrać właściwy moment, żeby tak symboliczny gest zrobił odpowiednie wrażenie na Chazie i jego gościu.

Który, jak się okazało, naprawdę miał na imię Medea.

Joey usłyszała, jak mąż otwiera drzwi, potem nastąpiła serdeczna wymiana zdań w salonie, strzelił korek od szampana. Wreszcie rozległa się muzyka - ludowe pieśni celtyckie, niezbity dowód skrajnej desperacji Chaza.

Zaciągnięcie Medei do sypialni zajęło mu niecały kwadrans. Zapalili świece i kadzidełka; Joey musiała stłumić kichnięcie. Gdy Medea miotła się po pokoju, przygotowując gniazdko miłości, Joey mogła ocenić to, co zdołała dojrzeć spod łóżka: złotą bransoletkę na kostce, prosty tatuaż w formie róży, liliowe paznokcie, stopy ładnie opalone, choć niezbyt filigranowe.

- Mam coś ze sobą - oświadczyła Medea i po chwili ich ubrania zaczęły lądować na podłodze w dwóch stertach. Joey zerknęła na metkę kwiciastej sukienki (rozmiar 10) i była ciekawa, czy ta kobieta jest tak wysoka jak ona.

Kiedy Chaz zdjął spodnie, Medea powiedziała:

- Ho, ho, co ja widzę!

- Mówiłem, że się stęskniliśmy - odparł Chaz, nieznośnie zadowolony z siebie.

- Kładź się. - Medea poklepała łóżko. - Zrobię ci masaż.

- Nie trzeba. Jestem wystarczająco zrelaksowany.

- Nie marudź. Mamusia wie lepiej.

Joey zatkała usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Ale ja już jestem gotów - powiedział zniecierpliwiony Chaz.

- I nadal będziesz, kiedy skończymy rozciąganie. Wtedy i ja będę gotowa. A teraz bądź grzecznym chłopcem i połóż się, a ja rozgrzeję olejek.

- Kochanie, zlituj się. To jedwabna pościel.

- No już, cichutko.

Kiedy Chaz się kładł, sprężyny w łóżku wydały jakby ptasie piski. Ile ta Medea może ważyć, zastanawiała się Joey z niepokojem. Jej łydki nie wyglądały na grube, ale to o niczym nie świadczy. I kim jest ten wielki facet, który łązi po domu? Nie słyszała, o czym wcześniej rozmawiali w kuchni, ale nie mogła wykluczyć, że Chaz postanowił wreszcie zrealizować swoją odwieczną fantazję o trójkącie w łóżku.

Cóż to byłaby za żalosna ironia losu, pomyślała, gdyby łóżko się zapadło i zginęłabym przygnieciona przez odbywającą się na nim orgię.

- O kurczę - rzekła z podziwem Medea.

- Prawda? - zgodził się z dumą Chaz.

- To normalne?

- Chyba nie zamierzasz narzekać?

- Nie, ale... - zawahała się. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był taki...

- Zadowolony?

- Właśnie.

Ten drań jest pewnie w siódmym niebie, pomyślała Joey. Całą noc mógłby gadać o swoim penisie.

Kiedy Medea weszła na łóżko, Joey aż się skuliła, ale żaden wstrząs nie nastąpił. Jeszcze przez kilka minut toczyła się rozmowa, potem stopniowo ustała i nagle Chaz zawył z bólu.

- Jezu, wykończysz mnie!

- Czemu jesteś taki spięty? - powiedziała Medea opanowanym głosem instruktorki jogi. - Co cię gryzie, kochanie?

- Mam wrażenie, jakbyś mi zaraz miała odkręcić stopy. Nie możemy sobie darować tej części?

- Nie. Ćwiczenia rozciągające są konieczne.

Joey bardzo żałowała, że leżąca pozycja uniemożliwia jej podejrzenie tej scenki w lustrze.

- Tylko jedna część mojego ciała domaga się ćwiczeń. Inaczej za chwilę eksploduje.

- Dobrze, już dobrze. Wyluzuj.

Chaz i Medea stopniowo przestali się komunikować słownie i zamieszanie nad głową Joey przybrało znajomy wojskowy rytm. Jeżeli czuła jakkolwiek zazdrość lub odrazę, po chwili ustąpiły one miejsca obawie o własne bezpieczeństwo. Kiedy wysiłki Chaza przybrały na intensywności, Joey zapała się dłońmi i kolanami o stelaż łóżka. Wiedziała z doświadczenia, że ten etap potrwa dziesięć do dwudziestu minut, zależnie od tego, ile wina wypił jej mąż. Zamknęła oczy i starała się wyłączyć wyobraźnię. Jej plan wymagał zimnej kalkulacji. Zamierzała poczekać, aż Chaz będzie na granicy orgazmu i wtedy zrobić spektakularne wejście. Sygnałem miał być przeciągły wilczy pomruk, który zawsze poprzedzał kluczowy moment.

W pewnej chwili po sypialni rozniosła się cicha nieharmonijna melodia. To Medea nucila, a stęknienia Chaza stanowiły sekcję rytmiczną. Czy to była jakaś dziwna tantryczna mantra, czy po prostu fałszywe wykonanie i tak okropnej piosenki?

Nagle Joey usłyszała wystraszony głos męża:

- Boże, czemu ja nic nie czuję?

Medea umilkła.

- Hm?

- Mówię, że kompletnie nic nie czuję! - dyszał wściekle Chaz.

- Kochanie, nie waż się teraz przerywać.

Sprężyny smętnie zaskrzypiały; Chaz odsunął się na bok. Joey nie miała pojęcia, co się stało. Kiedy jej mąż już zaczął, tylko wybuch atomowy mógłby go zatrzymać.

- Nie wiem, co się dzieje - denerwował się.

- Ojej, wszystko w porządku. No, chodź - błagała Medea.

- Może dla ciebie.

- Daj, pomogę ci...

- Zostaw!

- Na litość boską. - Opanowana Medea zaczynała tracić cierpliwość.

Joey usłyszała głucho stąpienie i zobaczyła przed sobą gołe łydki Chaza. Podjął radykalny krok, wstał z łóżka.

- Co to za perfumy? - spytał.

- Nie używałam dziś perfum. To pewnie olejek albo świece.

- Żadne świece, do diabła. Wyczuwam perfumy. Takie same, jakich używała moja żona.

Lodowata cisza, a po chwili:

- Żona?

- Zmarła żona - poprawił szybko Chaz.

- Czemu nigdy nie wspomniałeś, że byłeś żonaty?

Joey zaczynała kibicować Medei. Powiedz jej prawdę, tchórze.

- To są bardzo bolesne wspomnienia.

- Kiedy odeszła?

Nastała innego rodzaju cisza, ale równie niezręczna jak poprzednia. Joey marzyła, żeby zobaczyć wyraz twarzy Chaza.

- Wolałbym o tym nie mówić - odparł. - To zbyt przygnębiające.

- Najwyraźniej nie aż tak - rzuciła zjadliwie Medea. - Widzę, że cały czas jesteś gotów do akcji.

- No cóż, on żyje własnym życiem.

Medei to nie bawiło.

- Jak mówiłam, nie używałam dziś żadnych perfum. Cokolwiek czujesz, pochodzi z twojej wyobraźni.

To Chanel, o mało nie szepnęła Joey.

Przed wyjazdem z wyspy wtarła kilka kropli za uszami. To wymowne, że Chaz potrafił wyczuć jej zapach wśród obrzydliwie słodkich woni tej obwoźnej drogerii.

- Muszę już iść - powiedziała nagle Medea.

- Nie, spróbujmy jeszcze raz.

- Wyczuwam tu złe wibracje.

- Zaczekaj, proszę.

W jego głosie brzmiała autentyczna desperacja. Słyszając, jak kobieta daje mu kosza, Joey odczuła dziką satysfakcję. Postanowiła odłożyć numer z wyskakiwaniem z obrączką, bo zrobiło się jej żal Medei. Która właśnie wstała z łóżka i zaczęła zbierać swoje rekwizyty.

- Nie możesz iść. Nie możesz! - błagał Chaz. - Spójrz na mnie!

- Imponujący. Powinieneś go odlać w brązie.

- Chcesz wziąć kąpiel? Możemy spróbować w wannie. - Chaz przyparł Medeę do ściany. Czubki ich stóp niemal się dotykały.

- Chaz, powiedziałam, nie.

- Daj spokój. Nie bądź taka.

Joey usłyszała gardłowy okrzyk, który się przerodził w przeciągły bolesny jęk.

- Przestań! - wydusił z siebie Chaz.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię.

- Sprawiasz mi ból!

- Na kursie refleksologii uczono nas specjalnych ćwiczeń wzmacniających dłonie. Czujesz to?

- O Jezu.

- Założę się, że mogłabym go złamać jak suchy patyk.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci o żonie. Przepraszam za wszystko.

- Nie rozrzewniaj mi się tu.

- Proszę, przestań. Twoje paznokcie...

- Urosły, prawda?

- Błagam cię. Błagam.

Joey świetnie się bawiła. Podobała jej się ta dziewczyna.

- Dobra - powiedziała Medea - puszczę, ale jeśli choć kiwniesz tym czymś w moją stronę, zanim wyjdę, zrobię ci taką krzywdę, że nigdy więcej nie zaznasz seksualnej przyjemności. Nawet sam ze sobą. Zrozumiałeś?

- Tak. Auć! Tak!

Ubierali się w milczeniu. Joey niemal widziała minę zbitego szczeniaka na twarzy Chaza. Taką samą miał w dniu, kiedy go uderzyła za to, że ją zwyzywał.

- Cóż, do widzenia - powiedziała Medea, stając w drzwiach.

Joey zauważyła, że ma na nogach japonki z konopnego sznurka.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro - kajał się Chaz. - Będę mógł do ciebie jeszcze kiedyś zadzwonić?

- Żartujesz sobie?

W tym momencie podłoga pod Joey się zatrzęsła. Jakby ktoś spuścił z dachu lodówkę.

Z głębi domu dobiegło nieludzkie wycie.

- Boże - jęknął Chaz. - Co znowu?

Medea wybiegła, a Chaz zaczął czegoś szukać po szufladach. Joey poczekała, aż wyjdzie do przedpokoju, po czym wysunęła się spod łóżka i wystawiła głowę za drzwi. Nóż w dłoni wydawał się śmiesznie mały i lichy, ale nie miała odwagi go odłożyć.

* * *

Wszystkie okna w pokoju oprócz jednego były zasłonięte.

Mick Stranahan zajrzał do środka i zobaczył mało zachęcający widok: kompletnie nagi mężczyzna potężnej postury siedział na łóżku i żłopał Mountain Dew prosto z dwulitrowej butli. Początkowo pomyślał, że mężczyzna ma na sobie sfatygowany sweter, ale po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że to nadzwyczaj bujnie owłosiona górna część ciała. Mężczyzna był sam i oglądał w telewizji kanał nadający muzykę country. Ani śladu Charlesa Perrone'a, kobiety z kręconymi włosami i Joey. Stranahan kucnął pod oknem i rozważył możliwości. Nie wyglądało to ciekawie. Jeżeli chciał przeszukać dom, konfrontacja z nieznanym wielkoludem wydawała się nieunikniona.

Joey zostawiła w tylnych drzwiach zapasowy klucz, więc Mick po prostu przekręcił gałkę i wśliznął się do środka. Ostrożnie przemierzył pustą kuchnię i wyszedł na ciemny korytarz. Stał pod drzwiami pokoju gościnnego, nadstawił ucha, a potem nacisnął klamkę.

Człowiek małpa spojrzał na niego ze zdumieniem. Po brodzie spływały mu strużki zielonkawego napoju.

Stranahan wyłączył telewizor.

- Muszę się rozejrzeć po domu - powiedział szeptem. - Będiesz mi robił problemy?

- Co za głupie pytanie. Jasne, że tak.

Od strony sypialni Chaza dobiegło jakieś upiorne, fałszywe kwilenie.

- Jesteś znajomym Perrone'a? - spytał Stranahan.

- Ochroniarzem. I od dawna na to czekałem.

Mężczyzna wstał i wywłókł Micka z pokoju.

- Czego tu szukasz? - spytał.

- Znajomej.

Małpolud w zamyśleniu podrapał się w krocze.

- Śmiało, możesz mnie walnąć - powiedział Mick. - Pewnie krzyknę, ale przynajmniej wszystkich wystraszę i zorientuję się, kto gdzie jest.

- Coś ty, wariat?

- To kiepski plan, ale nic lepszego w tak krótkim czasie nie wymyślę.

Ochroniarz złapał go za kołnierz i ruszył w stronę tylnych drzwi. Stranahan wykorzystał jego siłę rozpędu i pchnął go w kąt pokoju, a potem wbił mu łokieć w jabłko Adama. Potem jeszcze z całej siły dołożył mu prawym sierpowym. Mężczyzna się zachwiał i wymachując pięściami na oślep, upadł. Dom zadrżał w posadach.

Stranahan uciekł na zewnątrz, obiegł dom dookoła i przykucnął na podjeździe za hummerem. Tymczasem w środku ochroniarz odzyskał oddech i wydał z siebie piekielny ryk.

Kobieta z kręconymi włosami wybiegła pierwsza i stukając kłapkami po asfalcie, pobiegła do samochodu. Po jej odjeździe Stranahan odczekał całe dwie minuty. Nikt inny się nie pojawiał, więc wrócił za dom i przyczał się pod kuchennym oknem. W środku zobaczył nagiego Perrone'a stojącego w bezradnej pozie nad leżącym ochroniarzem. Z profilu widać było zarys broni

trzymanej w prawej ręce, a nieco niżej sterczący przejaw gotowości seksualnej.

Wtem Stranahan usłyszał trzask zamykanych drzwi, a zaraz potem dźwięk odpalanego silnika. Przeskoczył żywo płot i wybiegł na drogę. Serce waliło mu jak młotem. Chevrolet powoli odjeżdżał bez świateł. Stranahan pobiegł za nim, machając rękami i myśląc: Po tym, co się właśnie stało, ona na pewno spojrzy w lusterko. Każdy człowiek o zdrowych zmysłach sprawdziłby, czy nikt go nie goni. Wreszcie na wysokości następnej przecznicy samochód błysnął światłami i uchyliły się drzwi pasażera. Mick wskoczył do środka i bez słowa kazał Joey wcisnąć gaz do dechy.

Po piętnastu kilometrach, kiedy już skończył prawić kazanie na temat bezsensownego ryzykowania, Joey stwierdziła:

- Fajna fryzura.

- Przynajmniej nie czuć ode mnie jak ze śmietnika w Woodstock.

Joey szelmowsko się uśmiechnęła.

- Chaz był innego zdania.

Rozdział 16.

Tool stał się bardziej rozmowny, odkąd zahaczyli po drodze o dom opieki, gdzie chciał „wpaść” do niejkiej Maureen. To widocznie jego nowe źródło leków, zapewne któraś przekupna pielęgniarka. Do takiego wniosku doszedł Chaz, widząc, jak ochroniarz rozmieszcza na ogolonych ramionach świeżą porcję plastrów z fentanylem.

- Opowiedz coś o swojej żonie - zagadnął Tool, kiedy jechali na zachód w stronę bagien.

Chaza zamurowało.

- Ale co?

- Jaka była, zanim umarła?

- Piękna, inteligentna, dowcipna. Blondynka.

Tego fragmentu roli wdowca nie musiał się uczyć, ponieważ to była prawda. A jednak kiedy wypowiadał te słowa, czuł niepokój, jak gdyby przypominały jakiejś słabej, sentymentalnej stronie jego duszy, co stracił. Spojrzał z pogardą na uparte, bezużyteczne wyrzucenie w spodniach.

- To czemu nie jesteś smutny?

- Kto mówi, że nie jestem?

Tool zarechotał lubieżnie.

- Ile to minęło, tydzień? A ty już towarek sobie sprowadzasz.

- Jeśli chodzi ci o tę panią, która u mnie wczoraj była, to zawodowa masażystka.

- Jasne. A ja jestem astronautą. Przyznaj się, doktorzku, co tak naprawdę zaszło między tobą a twoją starą?

- Nie twój zaszraný interes.

- Ej, spokojnie - odparł Tool.

Chaza wkurzyło jego wścibstwo, ale zdawał sobie sprawę, że wrażliwość interpersonalna to rzadka cecha wśród nadzorców na plantacjach. To ostatnie pytanie mógł równie dobrze zadać któryś kumpel od golfa, a odpowiedź - choć nigdy nie będzie mogła zostać wypowiedziana - była prosta: Joey za dużo wiedział. A jeśli nie wiedział, to na pewno podejrzewała.

Cóż miał do wyboru? Tylko ją zabić. Gdyby przekręt z Everglades wyszedł na jaw, media by go ukrzyżowały. Sprzedajny biolog trafiłby na pierwsze strony gazet nawet w takim siedlisku korupcji jak południowa Floryda. Na pewno wylądowałby w więzieniu albo wykończyłby go Red Hammernut. Najpewniej jedno i drugie.

Cóż za ironia: gdyby prawda kiedykolwiek wyszła na jaw, to właśnie Tool najbardziej doceniłby cojones, których wymagało wyrzucenie Joey za burtę statku.

Drogą wiodącą koroną wału dojechali do stacji pomp, Chaz zatrzymał się na poboczu, ale nie wyłączał silnika. Mokradła lśniły pod lazurowym niebem sięgającym horyzontu, lecz Chaz byłby sto razy bardziej zrelaksowany, stojąc na ciasnym parkingu centrum handlowego.

Strach go ogarniał na myśl, że musi opuścić stalowe objęcia hummera i wyjść w tę znieawidzoną przestrzeń pełną niebezpieczeństw.

- Jak tu spokojnie - stwierdził Tool.
- No. Raj.
- Co, wolałbyś stać w korku? Chory jesteś?

Chaz nacisnął klakson, żeby przepłoszyć ewentualne czające się pumy. Zignorował zdziwioną minę Toola i powiedział:

- Dobra. Miejmy to za sobą.

Wysiadł z samochodu i zaczął się przebierać. Tool oglądał świeżą łątkę na lewej przedniej oponie hummera. Tak właśnie Chazowi zaczął się dzień - od przebitej opony. Nóż, który z niej wystawał, pochodził z jego własnej kuchni. Chaz uznał, że sprawcą jest ten sam człowiek, który się włamał do domu i zadarł z Toolem.

- Patrz, aligator! - zawołał Tool i pokazał na półtorametrowe cielsko ciekawsko wystawiające łeb spośród traw.

- Śliczny - mruknął Chaz.

- Kawał sukinsyna, nie?

- Trudno zaprzeczyć.

Jakbym umarł i obudził się w cholernym Discovery Channel, pomyślał Chaz.

W chwili gdy wyjmował z pokrowca kij do golfa, usłyszał wystrzał. Od razu wskoczył za samochód. Kiedy wyrzwał, zobaczył Toola, który wychodził z wody, ciągnąc za ogon bezwładnego aligatora. Z przedniej kieszeni ogrodniczek wystawała rękojeść rewolweru Chaza.

Pięknie, pomyślał Chaz. Już widział te nagłówki: „Biolog z Everglades przyłapany na kłusownictwie”.

- Próbowales kiedyś? - Tool z szerokim uśmiechem na twarzy zaprezentował zdobycz. - Najsmaczniejszy jest opanierowany i usmażony na oleju z orzeszków ziemnych.

Jeszcze niedawno bezgraniczna głupota, jaką jest zabicie aligatora, wywołałaby u Perrone'a oburzenie. Teraz ze znużeniem przyjmował takie incydenty jako kolejny dowód na to, że życie rozwija się poza jego kontrolą. Próbował tłumaczyć Toolowi - daremnie oczywiście - że zastrzelenie zwierzęcia będącego pod ochroną to przestępstwo zagrożone karą pozbawienia wolności oraz wysokiej grzywny. Tool tylko się roześmiał i powiedział, że nie ma obaw, bo dowód rzeczowy zniknie zaraz po kolacji.

Kiedy ładował martwego aligatora na skrzynię hummera, Chaz bez sprzeciwu odsunął się na bok. Już dawno przekroczył swój normalny próg szoku, obrzydzenia czy nawet złości. Wziął kij golfowy, przypiął do woderów pojemnik na próbki i zszedł do brązowawej wody.

- Pomóc ci? - zaoferował się Tool.

- Nie trzeba.

Zaufanie Chaza do jego kwalifikacji ochroniarskich nieco podkopała wczorajsza nieudana interwencja. A intruz, jak sam Tool z goryczą relacjonował, był od niego trzydzieści kilo lżejszy i dwadzieścia lat starszy. To, że udało mu się uciec bez szwanku, to jeszcze nic, ale fakt, że wynajęty przez Reda goryl leżał po tym wszystkim na ziemi, bełkocząc i wymiotując, nie wróżył najlepiej. Do rana Tool bardzo głośno dochodził do siebie. Szyję obłożył lodem zawiniętym w ręcznik. Opis napastnika z nikim się Chazowi nie kojarzył.

Pewnie Rolvaag wynajął jakiegoś bandziora w ramach swojej zabawy w szantaż. Kiedy Tool ogłosił zamiar poćwiartowania intruza, gdy ten znów wejdzie mu w drogę, Chaz musiał się powstrzymać od sarkazmu.

- Chcesz broń? - zapytał Tool.

- Nie trzeba - odburknął zirytowany Chaz.

Kijem torował sobie drogę wśród zarośli pałki wodnej. Bardzo zgęstniały od ostatniej wizyty w tym miejscu, a bujny rozrost to zły znak. Wskazuje na obfity i szkodliwy napływ fosforu pochodzącego z działalności rolniczej. Skutkiem tego jest coś, co prawdziwi biolodzy nazywają „zanikiem charakterystycznej wapiennej warstwy peryfitonu”. Mówiąc prościej, z plantacji Reda Hammernuta przedostaje się do wód tyle nawozu, że część Everglades się dusi.

Gdyby nadjechał teraz niespodziewanie ktoś ze współpracowników doktora Perrone'a i zauważył tę obfitość pałki wodnej, od razu by wiedział, że Chaz naciągał wyniki badań poziomu fosforu. Dlatego za każdym razem pracowicie wyrywał z korzeniami te zdradzieckie rośliny, ale dzisiaj było ich tak dużo... a on miał na głowie zbyt wiele spraw, żeby brodzić godzinami w bagnie.

Chaz pomacał się po kroczu przez gumowe wodery i pomyślał: Gdybym dzisiaj umarł, nie domknęliby trumny.

Szesnaście godzin po zażyciu niebieskich pigułek wciąż miał wzwód. Poza tym nie czuł tam zupełnie nic, tylko tę uporczywą sztywność, której nawet lodowata woda nie zdołała pokonać. Dla Chaza było to najokrutniejsze z cierpień: długotrwała erekcja bez szansy na zaspokojenie.

Szybko nabrał wody do pojemnika i ruszył z powrotem na wał. Tool stwierdził, że to najgłupsza robota, o jakiej słyszał: nabieranie do butelek wody z bagna.

- A dobrze płacą? - spytał. - Też chcę taką fuchę.

- Pomóż mi się wydostać z tych gumiaków - powiedział Chaz.

Dręczące go komary i muchy w ogóle nie interesowały się Toolem, którego wilgotny dywan włosów na ciele służył za naturalny odstraszacz owadów.

- Szybciej! - niecierpliwiał się Chaz, widząc, jak Tool bez przekonania ciągnie za ciężkie nogawice.

Pomny dręczącego go ostatnio pecha postanowił tym razem nie wylewać próbek na miejscu, jak czasem robił, żeby uniknąć ewentualnych wycieków na nowiutką tapicerkę hummera. Decyzja okazała się słuszna. Zakręcony pojemnik szczęśliwym trafem spoczywał na przednim siedzeniu, kiedy nagle spotkali Martę, szefową Chaza. Jechała z przeciwka służbowym pick-

upem. Przez swą galopującą paranoję Chaz nie dopuszczał myśli, że to zwykły rutynowy patrol.

- Już skończyłeś? - zapytała.

Chaz kiwnął głową i pokazał pojemnik.

- Zabrać ci go? - zaproponowała. - I tak jadę potem do biura.

- Nie, nie. Nie trzeba. - Chaz chwycił pojemnik obiema rękami na wypadek, gdyby Marta chciała go wyrwać. Jeśliby ona lub ktokolwiek z laboratorium przebadał próbkę na zawartość fosforu, Chaz byłby skończony. Podobnie jak Red Hammernut.

Martę oczywiście zaskoczył widok Toola siedzącego na fotelu pasażera.

- Magistrant - palnął Chaz. - Chciał się przyjrzeć pracy w terenie. Uznałem, że czemu nie.

Marta tak się na niego gapiła, jakby miał na sobie co najmniej wieczorową suknię z dekoltem.

- A gdzie studiujesz? - zapytała.

Tool spojrział pytająco na Perrone'a.

- Na uniwersytecie Florida Atlantic - palnął Chaz.

- Właśnie - mruknął Tool. - Floor Dilantic.

Marta dzielnie się uśmiechnęła.

- O, to dobry wydział, ale jeśli wyjeżdżasz w teren z pracownikiem państwowym, musisz podpisać oświadczenie o zrzeczeniu się roszczeń w razie wypadku. W razie gdyby coś się stało.

- Moja wina. Zapomniałem - powiedział Chaz, a w duchu dodał: Dzięki Bogu, że przykryłem aligatora woderami.

Marta zawróciła samochód i pomachała im na pożegnanie. Kiedy jechali za nią wałem w kierunku autostrady, Tool powiedział do Chaza:

- Ale ci się ręce trzęsą.
 - Masz pojęcie, co by było, gdyby zobaczyła to? - wskazał brodą na tył auta.
 - Miałem gotowe wytłumaczenie.
 - Jasne.
 - Można było powiedzieć, że znaleźliśmy biedaka postrzelonego na skarpie i właśnie go wieziemy do weterynarza.
- Super, pomyślał Chaz. Pogotowie dla aligatorów.
- Ale mnie brzuch boli - mruknął.
 - Do tego masz pijawkę na twarzy.
 - To wcale nie jest śmieszne.
 - Taką małą. - Tool chwycił pijawkę w dwa palce, oderwał i wyrzucił przez okno. - Stary, jesteś blady jak ściana. Może poszukaj innej roboty. Mówię serio.

Gdyby to tylko było takie proste, pomyślał Chaz. Dotknął obolałego policzka, zastanawiając się, czy śluz pijawki jest trujący. Zadzwoiła komórka, ale Chaz nawet się nie ruszył, żeby ją wziąć do ręki.

Tool spojrział na wyświetlacz i powiedział, że to numer zastrzeżony.

Chaz odebrał telefon.

- Masz rację, powinniśmy się spotkać - odezwał się szantażysta, znów głosem Hestona. Mniej działał na nerwy niż ten Jerry'ego Lewisa.
- Jestem do dyspozycji - odparł Chaz. - Powiedz, gdzie i kiedy.
- O północy. Przystań jachtowa we Flamingo.
- Zapomniałem, gdzie to jest.
- Zainwestuj w mapę. I nie próbuj zabierać ze sobą małpoluda.
- A więc to ty byłeś u mnie wczoraj.

- Tak. Jak tam nowa dziewczyna?
- Bardzo śmieszne.
- Mimo wszystko jestem pod wrażeniem, jak szybko skończyłeś żałobę.
- Do zobaczenia o północy.

* * *

Joey stanęła w łazience przed lustrem i powiedziała:

- No i zrobiłaś to, kobieto.

Próbowała wytrzymać, zachować się przyzwoicie. Zaczęła nawet sporządzać listę:

1. Jest dla mnie za stary.
2. Jestem dla niego za młoda.
3. Ma nieciekawą przeszłość.
4. Mam nieciekawą przeszłość.
5. Nigdy nie słyszał o Alicii Keyes.
6. Nigdy nie słyszałam o Karli Bonoff.
7. Mieszka na wyspie i strzela do obcych, którzy zaczepiają jego psa.
8. Mieszkam...

Tylko tyle zdołała wynotować z zamierzonych „Dziesięciu rozsądnych powodów, żeby nie iść do łóżka z Mickiem Stranahanem”. Na pewno było ich więcej niż siedem, lecz zamiast się zabrać za wkuwanie ich na pamięć, nie czekała i przespała się z Mickiem.

- Zgłupiałaś - powiedziała do siebie w lustrze.

Na domiar złego to był jej pomysł. Trzecia nad ranem, ona leży sama w łóżku przy otwartym oknie i czuje na języku smak

nadmorskiej bryzy. Za każdym razem gdy zamyka oczy, słyszy dziwne regularne skrzypienie, które znika, gdy tylko te oczy otworzy. A więc dźwięk musi się pojawiać w jej głowie, doprowadzając ją do szału. Nagle ją olśniewa: to sprężyny w łóżku. Ten skrzypiący dźwięk wewnątrz czaszki to odgłos, jaki wydawały sprężyny materaca, kiedy Chaz próbował bzykać tę hipiskę, a Joey chowała się pod łóżkiem.

Przypomniawszy sobie tę scenę, kiedy niczym intruz chowała się we własnej sypialni, słuchając lubieżnych odgłosów mężczyzny, który jeszcze tydzień wcześniej był jej mężem, Joey poczuła się upokorzona, samotna i godna współczucia. Wstała i szybko poszła do salonu, gdzie spał Mick. Delikatnie położyła się obok niego na kanapie, tłumacząc sobie, że potrzebuje tylko na chwilę do kogoś się przytulić.

Ale gdy tylko przyłgnęła do niego ciałem i wsłuchała w rytm jego oddechu, zrozumiała, że platoniczne przytulenie nie wystarczy. Chciała czegoś więcej.

- Idiotka ze mnie - powiedziała i ochlapała twarz zimną wodą.

Wyszła przed dom. Mick siedział na nabrzeżu i rozmawiał przez telefon. Kiedy skończył, poprosił, żeby usiadła obok.

- Wyglądasz dziś jak osiemnastolatka - orzekł.

- Dobra, dobra.

- Naprawdę. - Gwizdnął na Stroma, który się mierzył z rozzłoszczonym pelikanem.

- Musimy pogadać o ostatniej nocy - powiedziała Joey.

- Byłem wykończony. Staralem się, jak mogłem.

- Nie o to chodzi, byłeś cudowny, ale powinniśmy sobie wyjaśnić kilka spraw.

Poklepał ją po ręce.

- Wierz mi, to ostatnia rzecz, którą powinniśmy zrobić.

Joey się odsunęła.

- Nie kpij. Mówię poważnie.

- Ja też - odparł. - Przeżyłem więcej takich porannych rozmów niż ty i żadna niczego nie wyjaśniła, nie przyniosła wewnętrznego spokoju ani wzajemnego zrozumienia. Chodź, zjemy jakieś śniadanie.

- Ale ja się boję, że to był tylko seks z zemsty. Tak by powiedziała Rose.

- Aha, kolejna psychologiczna mądrość.

- A jeśli kochałam się z tobą tylko dlatego, że jestem wściekła na Chaza?

- No to ma u mnie piwo - odparł Stranahan. - Dzięki Bogu za jego paskudny charakter. Nie jesteś głodna?

- Nie!

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Strom muskał ją pyskiem po karku.

- Pamiętasz, jak wczoraj triumfowałaś, opowiadając, że Chazowi zacięła się maszyna, gdy tylko wyczuł twoje perfumy? Mówiłaś, że to było bezcenne. Świadomość, że sparaliżowała go sama myśl o tobie.

Joey musiała się uśmiechnąć.

- O tak. To było coś. Słyszałam, jak mówi, że nic nie czuje od pasa w dół.

- A więc widzisz - powiedział Stranahan. - To jest sto razy lepsze niż rutynowy seks z zemsty. Nawet seksowna Rose by się ze mną zgodziła. Słuchaj, jeżeli zaraz nie dostarczę organizmowi kofeiny...

- Mick, poczekaj...

- Ciii... - Przyłożył jej palec do ust. - Naprawdę nie potrzebuję wyjaśnień. Pozwól starymu człowiekowi mieć złudzenia, że powalił cię na kolana jego nieodparty męski urok.

Joey opuściła ramiona.

- Dobra, kowboju, poddam się.

- Zuch dziewczyna.

- Czy dzwoniłeś może do Chaza?

- Tak. Jesteśmy umówieni o północy.

- A czego właściwie żądamy?

- Dobre pytanie. Liczyłem na jedną z twoich słynnych list. Tymczasem spodziewam się, że niedługo złoży wizytę naszemu młodemu wdowcowi detektyw Rolvaag. W śledztwie w sprawie twojego zniknięcia pojawiły się zaskakujące nowe informacje.

- Mów.

- Powiedziałbym nawet, szokujące.

* * *

Karl Rolvaag przewrócił cały dom do góry nogami. Dwa dorosłe pytony, czterdzieści pięć metrów mięśni, licząc w linii prostej, zniknęły w jego malutkim mieszkanku, jakby były pchłami.

Coś podobnego, pomyślał. Gdzie one mogły się podziać?

Wieczorem, kiedy dolewał im wody do miski, zapomniał zasunąć zaczep pokrywy terrarium. Wcześniej zdarzyło mu się to dwukrotnie, ale ospałe zwierzęta się nie zorientowały. Teraz była wiosna, okres, kiedy węże się uaktywniają, więc pobudzone pytony wykorzystały lekkomyślność Rolvaaga.

Detektyw zajrzał pod meble, na regały, za lodówkę, do pralki - nic. Wszedł do sypialni i struchlał, bo zobaczył, że zostawił otwarte okno. Czyżby uciekły na zewnątrz?

Spojrzał sześć pięter w dół na boiska do gry shuffleboard, które stanowiły geograficzne i towarzyskie centrum osiedla Sawgrass Grove. Wzdłuż rzędu zabiedzonych krzewów ketmii spacerowała Nellie Shulman ze swą ukochaną Petunią, wrednym kundlem wyglądającym jak skrzyżowanie szynszyli z rosomakiem. Kilkoro sąsiadów odbywało ten sam rytuał, uwiązani kolebiącymi się smyczami do szalejących kulek futra. Rolvaag naliczył w sumie pięć psów, wszystkie w jadalnej dla pytona wielkości. Zrozumiał, że sprawa jest pilna, bo węże niedługo zrobią się znowu głodne.

Najpierw jednak musiał przyskrzynić Charlesa Perrone'a.

W drodze do pracy zadzwonił do swojego informatora z firmy telekomunikacyjnej, który bez większych problemów zgodził się pomóc. Czasu było mało. Rolvaag musiał złapać Perrone'a na kłamstwie, którego nie da się podciągnąć pod niewinną pomyłkę, na przykład błędne odczytanie godziny na zegarku. Człowiek Rolvaaga z firmy telekomunikacyjnej szybko oddzwonił z listą numerów i nazwisk. Detektywa interesowało tylko jedno.

Ricca Spillman otworzyła mu drzwi, jak tylko pokazał odznakę. Wyglądała, jakby spędziła noc w bagażniku samochodu.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Rolvaag.

- Muszę tylko napić się kawy.

Detektyw zauważył w koszu co najmniej sześć pustych butelek po piwie i ani śladu towarzystwa.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia pewnej osoby - wyjaśnił. - Pani chyba ją zna. To Joey Perrone.

Ricca aż się zachwiała. Rolvaag podprowadził ją do fotela.

- Mnie tam nawet nie było - wykrztusiła.

- Gdzie?

- Na statku.

- Wiem - odparł zdziwiony Rolvaag.

- Po co pan tu przyszedł? Rozwiesili plakaty z moim zdjęciem czy co? Nagle stałam się Miss Popularności.

Detektyw odparł, że widział, jak Charles Perrone dzwonił z automatu w hotelu w Fort Lauderdale.

- To był sobotni wieczór, dzień po zaginięciu pani Perrone. Numer, pod który dzwonił, należy do pani. Kiedy go zapytałam, z kim rozmawiał, podał imię Ricca.

- Co jeszcze mówił? Nie, chwileczkę, muszę się skontaktować z adwokatem.

Rolvaag przysunął drugi fotel.

- Nie potrzebuje pani adwokata, pani Spillman. Chciałbym tylko zadać kilka pytań na temat relacji pana Perrone'a z żoną. Chodzi o pani osobiste wrażenia i spostrzeżenia.

- Spostrzeżenia?

- Czy wyglądali na szczęśliwych? Często się kłócili?

Ricca przyglądała mu się posepnie.

- Nie rozmawialiśmy za często o pani Perrone.

- Ale może pani coś zauważyła... jakieś oznaki napięcia, kiedy przebywali ze sobą?

- Nigdy nie spotkaliśmy się we troje. Widywałam się tylko z Chazem.

- Joey nigdy nie było w domu, kiedy pani tam przychodziła?

Ricca wyglądała na autentycznie urażoną.

- Nie wiem, co panu naopowiadał Chaz, ale ja się nie bawię w trójkąty. To nie moja bajka.

Detektyw zmarszczył brwi.

- Proszę wybaczyć, ale pan Perrone chyba fałszywie przedstawił naturę państwa znajomości.

- Na to wygląda.

- Powiedział, że pani jest ich gosposią.

- Słucham?

- Wtedy w hotelu powiedział mi, że dzwonił, aby podać kod do alarmu, bo nie będzie się pani mogła dostać do domu.

- Gosposia... - powtórzyła ochryłym głosem Ricca.

Rolvaag przerzucił kilka kartek w notesie.

- O, jest: pan Perrone powiedział, że jest pani ich gosposią i że sam mogę to sprawdzić. Dodał, że ma pani na imię Ricca, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

Ricca głośno przełknęła ślinę.

- Więc wydobyłem dane z firmy telekomunikacyjnej.

Ricca wstała i przetarła oczy pogniecionym rękawem piżamy.

- Za chwilę muszę iść do pracy - powiedziała.

- Czy jest jeszcze coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć? - zapytał Rolvaag.

- Tak. Nie zajmuję się sprzątaniami domów. Jestem fryzjerką. A alarm Chaza był zepsuty, więc żaden kod nie był potrzebny. Może pan sprawdzić.

To jeszcze nie dowód, pomyślał Rolvaag, ale zawsze coś.

Wróciwszy do biura, od razu poszedł do szefa zrelacjonować mu wszystko, co usłyszał od Ricci Spillman. Galio wzruszył ramionami.

- Czyli Perrone skłamał.

- Nie pierwszy raz - zaznaczył Rolvaag.

- Miał łaskę na boku. Ale to nie świadczy o tym, że jest mordercą. Pewnie, że skłamał w sprawie telefonu. A co miał

powiedzieć? „Tak, proszę pana, właśnie rozmawiałem z kochanką. Była załamana, kiedy się dowiedziała, że moja żona wypadła za burtę i utonęła podczas rejsu z okazji rocznicy naszego ślubu”. Daj spokój, Karl. Czasami kłamstwo nic nie znaczy. To tylko odruch.

W tej kwestii Rolvaag nie śmiał z nim dyskutować. Poprosił go o kilka dodatkowych dni, żeby popracować nad Riccą.

- Strasznie jest cięta na Perrone'a, a to nam może bardzo pomóc.

Galio pokręcił głową.

- Jeżeli nie nosi pierścionka zaręczynowego od twojego głównego podejrzanego, to nie jestem zainteresowany. Potrzebny nam motyw, Karl. Coś bardziej wiarygodnego niż zeznanie nadaśanej panienki. Chyba że też była w to zamieszana.

- Mało prawdopodobne - rzekł Rolvaag.

Do biura wszedł kurier z szarą kopertą. Galio automatycznie po nią sięgnął, ale kurier powiedział, że jest adresowana do Rolvaaga. Zaskoczony detektyw otworzył kopertę i wyjął z niej dokument formatu A4.

- Co to, sprawa o ustalenie ojcostwa? - zarechotał Galio.

Rolvaag był tak pochłonięty treścią, że nawet nie słuchał.

- No co? - dopytywał się kapitan. - Tylko nie mów, że masz następną ofertę pracy.

Detektyw wciąż czytał, przewracając kolejne kartki.

- A niech mnie - mamrotał pod nosem.

Galio westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Karl, bo nadużyję stanowiska. Co to jest, do cholery?

Rolvaag podniósł na niego zdumiony wzrok.

- Testament Joey Perrone, w którym przekazuje trzynaście milionów dolarów swemu kochającemu i oddanemu mężowi.

Rozdział 17.

Kiedy nieoznakowany samochód Rolvaaga skręcał w osiedle West Boca Dunes Phase II, o mało nie stuknęła go laweta holująca przedziewiałego chryslera cordobę. Detektyw pomyślał, że pewnie jacyś gówniarze z biednej dzielnicy ukradli tego starego gruchota i porzucili go w okolicach, gdzie mieszka Charles Perrone. Tutejsi mieszkańcy prędzej by umarli, niż pokazali się za kierownicą takiego złomu.

Stanął obok żółtego hummera. Lśniąca chromowana osłona chłodnicy była cała oblepiona owadami. Kawałek dalej stał krzywo zaparkowany drugi samochód, nowiutki grand marquis. Naklejka z kodem kreskowym na bocznej szybie wskazywała, że auto pochodzi z wypożyczalni. Rolvaag dotknął maski; była zimna. Usłyszał jakiś hałas za domem, więc tam poszedł. Mężczyzna, w którym rozpoznał Earla Edwarda O'Toole'a, wbijał w trawę biały drewniany krzyż.

Detektyw postawił teczkę na ziemi, przedstawił się i spytał:

- Pan znał panią Perrone?

Earl Edward O'Toole wydał się zaskoczony tym pytaniem. Energicznie pokręcił głową i dalej wbijał krzyż.

- To dla niej? - spytał Rolvaag.

O'Toole bąknął coś niezrozumiałego. Detektyw podszedł bliżej i przeczytał ręcznie wyryty napis na krzyżu:

Randolph Claude Gunther

ur. 24.02.1957 17.08.2002

powrócił w ramiona naszego Pana i Zbawcy

Jezusa Chrystusa

Pamiętaj! Nigdy nie prowadź po alkoholu!

- Kolega?

- Mój pies - odparł O'Toole, uciekając wzrokiem.

- Ciekawe imię dla psa: Randolph Claude Gunther.

- W skrócie wołaliśmy na niego Rex.

- Nigdy nie słyszałem o psie, który żyłby czterdzieści pięć lat. Papugi, owszem. Żółwie też. Ale co do psów nie jestem taki pewien.

Earl Edward O'Toole kolejny raz zamachnął się młotkiem.

- Ten miał dobry rodowód.

- Co to takiego ma pan na plecach? - Rolvaag pokazał na plastry.

O'Toole się zawahał.

- Lekarstwo - odpowiedział ostrożnie.

- Na co?

- Na chorobę morską.

Detektyw naliczył pięć plastrów i gwizdnął.

- Wybieram się w rejs statkiem - wyjaśnił O'Toole.

- O, a dokąd?

Znów się zawahał.

- Na Haiti. Zabieram moją mamę.

- Wspaniały pomysł. Oderwie się pan od myśli o biednym Randolphie. - Rolvaag świetnie się bawił. Kiedy wróci do Minnesoty, już nie będzie tak często spotykał równie zabawnych osobników. - Czy mogę zapytać, dlaczego wbija pan krzyż akurat tutaj? Nie widzę nagrobka.

- Bo... on zginął w katastrofie lotniczej, więc nie było co chować.

- Ale tu jest napisane, żeby nie prowadzić po alkoholu.

- Dlatego że pilot był wtedy narąbany.

- Aha. A te pozostałe krzyże? - Detektyw wskazał na trzy inne leżące na ziemi. - Dla kogo one są, Earl?

- Dla szczeniaków Rekxa. Leciały razem z nim. Skąd pan wie, jak mam na imię?

- Miło się z panem rozmawiało. - Rolvaag wziął teczkę i poszedł w stronę domu, gdzie w tylnych drzwiach czekał już na niego z ponurą miną Charles Perrone.

* * *

Cztery białe krzyże postawiono przy szosie Glades Road na zachód od autostrady, dla upamiętnienia paskudnego wypadku. Chaz z obojętną rezygnacją przyglądał się, jak goryl Reda wykopuje je z ziemi. Nagle usłyszał pisk opon. Na poboczu zatrzymało się auto, wyskoczyli z niego dwaj mężczyźni podający się za braci Randolpha Claude'a Gunthera i rzucili się na Toola z pretensjami, że kradnie krzyż. Przywieźli ze sobą świeże kwiaty oraz księgę cytatów z Biblii. Ponieważ Tool zignorował ich protesty, mężczyźni zaczęli głośno prawić mu kazanie i przyrównywać go do szatana i innych biblijnych drani. Tool w odpowiedzi wrzucił obu braci do przydrożnego rowu, księgę podarł na strzępy, a kwiaty zjadł.

Chaz obserwował to z dreszczem na plecach.

Tool zarzucił krzyże na ramię i wrócił do samochodu.

- Przy domu mam ich całe pole - oznajmił radośnie.

- Hmm - tylko tyle zdołał wydusić Chaz.

- Ładnie wyglądają w trawie, a w dodatku nie trzeba ich przycinać jak drzewa czy krzaki.

- Słuszna uwaga - powiedział Chaz, notując w głowie, żeby z samego rana zadzwonić do Reda i poprosić o nowego ochroniarza.

Kiedy wrócili do domu Perrone'a, Tool pożyczył młotek i stwierdził, że tymczasowo wbije krzyże w ogrodzie. Chaz zaprotestowałby bardziej stanowczo, gdyby wiedział, że wpadnie Karl Rolvaag.

* * *

- Skąd pan zna pana O'Toole'a? - spytał jeszcze w drzwiach detektyw.

Wtedy Chaz pierwszy raz usłyszał prawdziwe nazwisko małpoluda.

- To znajomy znajomego.

- Pana Samuela Johnsona Hammernuta?

- Tak. Właściwie to był znajomy żony. Ja ledwo znam człowieka.

- Pana O'Toole'a czy pana Hammernuta?

- Obu.

Detektyw podrapał się po brodzie.

- To dziwne.

- Czemu „dziwne”? - Chaz był na krawędzi wybuchu. Ten gliniarz bawił się nim jak kot kłębkami wełny.

- Ten hummer... Z dokumentacji u dealera wynika, że kupiła go dla pana jedna z firm pana Hammernuta.

O cholera, pomyślał Chaz.

- Ledwo pan zna człowieka, a on panu podarowuje SUV-a wartego sześćdziesiąt tysięcy dolarów? - Tym razem Rolvaag drapał się w głowę, zupełnie jak ten dziwak Columbo z serialu.

Chaz w środku kipiał ze złości, lecz na zewnątrz zdołał zachować spokój.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię - powiedział do detektywa. - Ten hummer był prezentem urodzinowym od Joey. Red, to znaczy pan Hammernut, znał sprzedawcę osobiście, więc załatwił korzystny rabat. Później Joey zwróciła mu pieniądze.

- Czekiem czy przelewem? W sumie to nieważne, bank powinien mieć potwierdzenie.

Chaz Perrone wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak to zrobiła. To były jej pieniądze.

Siedzieli teraz w kuchni, Chaz z nietkniętym piwem, a gliniarz jak zwykle z butelką sprite'a. Chwile ciszy podczas rozmowy wypełniało skwierczenie dochodzące z patelni stojącej na kuchence.

Chaz nachylił się do przodu i ściszył głos:

- Możemy sobie darować te bzdury i przejść do rzeczy? Ile pan chce?

Rolvaag szczerze się zdumiał.

- Oszczędzi mi pan tej koszarnej wycieczki do Flamingo.

- Nie rozumiem.

Nie chcąc spłoszyć detektywa, Chaz wolał nie wyskakiwać ze słowem „szantaż”.

- Powinien pan wiedzieć, że już rozmawiałem z panem Hammernutem w LaBelle. Stwierdził, że pan O'Toole to były pracownik, nie użył słowa „znajomy”. Powiedział, że ledwie go sobie przypomina.

Chaz oparł się na krześle i skrzyżował ręce.

- Dobrze. Rozegrajmy to na pańskich zasadach.

Jakbym miał inne wyjście, dodał w myślach.

Do kuchni wszedł Tool, żeby skontrolować potrawę. Cały się świecił od potu.

- Jeszcze trzy minuty - orzekł i wyszedł.
- Mieszka u pana? - spytał Rolvaag.
- Tak, u niego w domu przeprowadzają teraz dezynfekcję.
- A o co chodzi z tymi krzyżami?
- Nie wiem, może o to, że ten facet to stuknięty socjopata.
- Ach tak.
- Twierdzi, że mu pocisk utkwiał w tyłku.
- Wszyscy mamy jakieś problemy.
- Pan tu przyszedł z jakiegoś konkretnego powodu? - zmienił temat Chaz. - Poza sadystyczną przyjemnością, którą pan ewidentnie czerpie z zatruwania mi życia.
- Tak - odparł detektyw.
- Czy możemy więc przejść do rzeczy? Przez pana czeka mnie trzygodzinna podróż na jakiś wygwizdów.

Rolvaag sięgnął po teczkę, ale w tym momencie znów pojawił się Tool, energicznie wycierając ręcznikiem spocony tors. Z niespotykanym zadowoleniem w głosie zapytał, czy ktoś jest głodny.

- Bo ja bym zeżarł konia z kopytami - dodał, przekładając chrupiące kawałki ogona aligatora z patelni na półmisek.

Wygląda na to, że Rolvaag zamierza zostać na kolacji, pomyślał Chaz, a ja nic nie mogę z tym zrobić. Perrone liczył, że Tool zdołał się skutecznie pozbyć ciała nielegalnie złowionego gada.

- Mam nadzieję, że lubi pan kurczaka - zwrócił się do detektywa.

Tool parsknął śmiechem.

- Wyjątkowo dużego kurczaka. Z bagien.

- Pachnie wspaniale, ale dziękuję - odparł Rolvaag. - W domu czekają na mnie lasagne.

- A ja znów mam problemy z żołądkiem - dodał Chaz, z trudem maskując ulgę.

Przeżuwanie smażonego ogona prehistorycznego jaszczura niekoniecznie odpowiadało jego wyobrażeniom o uczucie smakosza. Jedyne widmo głodu mogłoby go zmusić do zjedzenia czegokolwiek, co pochodzi ze skalanych wód Hammernut Farms.

- Tym więcej dla mnie - ucieszył się Tool.

Był to tak barbarzyński spektakl konsumpcyjny, że Chaz z detektywem wyszli do salonu. Rolvaag podziwiał odnowione akwarium.

- Te w niebieskie paski to wargacze?

- Nie mam pojęcia - odparł Chaz i dodał w duchu: Do cholery, czy ja wyglądam jak Jacques Cousteau? - Chciał mnie pan o coś zapytać, zanim nasz szef kuchni nam przerwał.

Rolvaag usiadł na sofie i otworzył teczkę.

- Tak. Potrzebna mi próbka pisma pańskiej żony.

- A na cóż, u licha? - Chaz wiedział, że to nie była wyważona reakcja, ale trochę się zdenerwował.

- Dla celów porównawczych.

Chaz prychnął i przewrócił oczami. To nie najlepszy odruch w kontakcie z władzą. W college'u też miewał z tego powodu kłopoty.

- Wystarczy mi dosłownie parę linijek długopisem bądź ołówkiem.

Chaz wstał i powiedział, że spróbuje coś znaleźć, choć dobrze wiedział, że to na nic.

Wyrzucił wszystko, co Joey kiedykolwiek do niego napisała - kartki, listy, notatki. Detektyw stał nad nim, a on udawał, że szuka.

- Większość jej rzeczy pochowałem - rzekł, grzebiąc w szufladzie toaletki w sypialni.

- Pamiętam. Gdzie są te pudła? - spytał Rolvaag.

- W przechowalni - odparł Chaz i dodał w myślach: przywalone pięcioma tysiącami ton śmieci.

- Wystarczyłyby nawet podpis.

- Chwileczkę, jeszcze szukam.

- A książeczka czekowa?

Chaz pokręcił głową i otworzył następną szufladę. Nie wiedział, co knuje detektyw, ale to nie mogło być nic dobrego.

- Potwierdzenia transakcji kartą kredytową?

- Gdybym wiedział, gdzie je chowała.

- Może miała zeszyt z przepisami kulinarnymi? Niektórzy zapisują ulubione.

- Joey była fantastyczną kobietą, ale niekoniecznie mistrzynią kuchni - rzekł Chaz z udawaną nostalgią. - Często jadalіśmy na mieście.

Rolvaag zasugerował, aby zajrzeć do jej samochodu.

- Może gdzieś się poniewiera kartka z listą zakupów.

- Dobry pomysł - zgodził się Chaz, doskonale wiedząc, że to bezsensowne. Zaczął jednak przeszukiwać toyotę, a Rolvaag tymczasem rozglądał się po garażu. Wnętrze auta Joey wciąż było przesiąknięte delikatnym zapachem jej zabójczych perfum. W obawie przed niepożądaną erekcją Chaz starał się oddychać przez usta.

Wreszcie usłyszał głos Rolvaaga:

- No nic, dziękuję za pomoc.

Cholernie dobry aktor z tego gliny, musiał to przyznać. Ani przez moment nie wypadł z roli. Chaz czekał na jakiś wymowny

sygnał - przeciągłe spojrzenie z ukosa, drwiący błysk w oku. Tymczasem Rolvaag niczym się nie zdradził, że wie o szantażu. Cały czas zachowywał się jak sumienny detektyw wytrwale tropiący ślady. Mniej wnikliwy przestępca mógłby porzucić hipotezę, że to on próbuje go zastraszyć, ale Chaz Perrone nie da się zmylić pozorom. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej wątpił, że ktoś rzeczywiście widział, jak wyrzuca Joey za burtę „Księżnej Słońca”. Pamięta, jak czekał, aż wszyscy co do jednego opuszczą pokłady. Potem stał chwilę sam oparty o reling i słyszał tylko dudnienie silników.

Żadnych głosów, żadnych kroków. Szantażysta na pewno blefuje. Nikt nie mógł widzieć zabójstwa Joey Perrone.

A teraz Karl Rolvaag, który jak widać wyraźnie, od początku nie wierzył w wersję Chaza, postanowił wobec braku dowodów zrobić wszystko, żeby ten zapłacił za zbrodnię w inny sposób.

Gdy wrócili do salonu, Chaz nieśmiało zapytał:

- Kto jest pana ulubioną gwiazdą filmową?

- Niech pomyślę. Frances McDormand.

- Kto?

- Grała w Fargo.

- Ale z mężczyzn.

- Bo ja wiem, chyba Jack Nicholson.

- Ja uwielbiam Charltona Hestona. - Chaz wypatrywał cienia rumieńca na twarzy detektywa.

- Tak, to też dobry aktor. Ben Hur to klasyka.

I tyle. Ani śladu zaskoczenia, ani cienia uśmiechu.

Perrone nie wytrzymał:

- Nikt panu nie mówił, że macie podobne głosy?

Detektywa to dosyć rozbawiło.

- Ja i Heston? Nie, nie słyszałem.

Twarda sztuka, pomyślał Chaz.

- Przepraszam, że nie mogłem pomóc z tą próbką pisma. Aż dziwne, że w domu nic się nie zachowało.

- Nie ma sprawy, zadzwonię do banku. Oni mają kopie wszystkich zrealizowanych czeków.

- Mogę spytać, o co chodzi?

- Oczywiście.

Detektyw wyjął z teczki dużą kopertę i wręczył mu. Perrone'owi trzęsły się ręce, gdy ją otwierał. Rzucił okiem na pierwszy akapit i spytał:

- Skąd pan to ma?

- Niech pan czyta dalej - poradził Rolvaag i wyszedł do kuchni.

Kiedy Chaz skończył, serce waliło mu jak młotem, w głowie huczało, a jego koszula była mokra od potu. Przed nim leżał kserokopia zdumiewającego dokumentu, „Testamentu i ostatniej woli Joey Christiny Perrone”. Dla Chaza była to jednocześnie dobra i zła wiadomość.

Dobra, bo zmarła żona zostawiła mu w spadku trzynaście milionów dolarów.

Zła, bo gliniarz, który uważa, że Chaz zamordował żonę, w końcu znalazł motyw.

Chaz położył papiery na kolanach i wytarł dłonie o kanapę. Jeszcze raz zajrzał na ostatnią stronę i przyjrzał się podpisowi.

- To jej? - Rolvaag stał w drzwiach i otwierał kolejnego sprite'a.

- Przysięgam, nic o tym nie wiedziałem - zarzekał się Chaz. - Możecie mnie podłączyć do wykrywacza kłamstw.

- Niech pan spojrzy na datę, zaledwie sprzed miesiąca.

- Joey ani słowem o tym nie wspomniała.

- To ciekawe.

- Nie sądzi pan, że gdybym wiedział, tobym się panu przyznał? Na miłość boską, przecież nie jestem idiotą. - Chaz czuł, że pali mu się grunt pod nogami. - To prawdziwy dokument czy tylko element gry? I niech pan przestanie się zachowywać, jakby nie wiedział, o czym mówię.

- Nie umiem stwierdzić, czy jest prawdziwy. Po to tu jestem. Po to była mi potrzebna próbka pisma pani Perrone.

- Słuchaj, pieprzony oszuście, mam dość tych gier! - ryknął Chaz. - Dość wciskania kitu! Dobrze wiem, kim jesteś i co knujesz. To nie jest testament Joey, tylko jakaś cholerna fałszywka! Nie mogłeś znaleźć na mnie haka, więc teraz mnie wrabiasz, a potem każesz mi się wykupić...

Tu Chaz planował podrzeć testament na strzępy dla dodatkowego efektu, ale jakiś nieśmiały głos w głowie przypomniał mu, że choć to mało prawdopodobne, może się jednak mylić co do Rolvaaga. Zdrętwiał na myśl, że testament mógłby się okazać prawdziwy. Złapał się na tym, że trzyma go mocno w obu rękach niczym Mojżesz tablice z przykazaniami (przynajmniej tak, jak to przedstawiał Chuck Heston).

Irytująco odporny na zniewagi Rolvaag odparł:

- Może go pan zatrzymać. Mam kopie.

Do salonu wszedł Tool z twarzą umazaną tłuszczem i spytał, co to za wrzaski.

- Pan Perrone troszkę się na mnie zdenerwował - wyjaśnił detektyw - ale już jest spokojny.

- Nie bardzo - wtrącił Chaz.

- Marnie wyglądasz, doktoru - stwierdził Tool.

- Dzięki, że zauważyłeś. Mógłbyś nas łaskawie zostawić samych?

Wyszedł.

- Spytałem pana o podpis - przypomniał Rolvaag.

- Wygląda, że to jej. W każdym razie bardzo podobny. Ktokolwiek go podrabiał, zrobił to świetnie.

Wyraz twarzy detektywa nie zmienił się.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem. Pan mi zarzuca sfalszowanie tego testamentu w celu uwikłania pana w zaginięcie żony?

- Brawo.

- Ale użył pan słowa szantaż. Nie rozumiem.

- Proszę zajrzeć do słownika - odparł Chaz i pomyślał: Ten gnojek chce, żebym się wił jak piskorz. Niedoczekanie.

Rolvaag chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:

- Więc niby pan ma mi dać pieniądze, a ja za to sprawię, że motyw wart trzysta miliónów zniknie? Testament pani Perrone przestanie istnieć?

- Właśnie tak. I niech pan nie zapomni o fałszywym świadku.

- Proszę? - Detektyw lekko przechylił głowę, jakby nasłuchiwał dalekiego śpiewu rzadkiego gatunku ptaka. Była to reakcja tak pełna niuansów, że aż przerażająco przekonująca. - Jakiego świadka?

Chaz poczuł ścisk w żołądku. Rany boskie, albo ten facet jest wyjątkowo sprytny, albo właśnie popełniłem największy błąd w życiu.

- O jakim świadku pan mówi? - powtórzył Rolvaag.

Chaz nerwowo się zaśmiał.

- Tylko żartowałem. - Na taką rozmowę nie był przygotowany.

- Nie odniosłem takiego wrażenia.

- Ależ oczywiście. Wy, Skandynawowie, to naprawdę...

Rolvaag po cichu zamknął teczkę i powiedział:

- Wcale pana nie szantażuję, panie Perrone.
- No pewnie, że nie.
- Ale i tak powinien pan uważać - dodał, wstając. - I to bardziej niż dotąd.

Rozdział 18.

Joey męczyła się nad ustaleniem listy żądań dla Chaza. Właściwie chciała od niego tylko jednego (poza pragnieniem, by cierpiał po wsze czasy) - odpowiedzi na dwa pytania:

a. Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

b. Dlaczego chciałeś się mnie pozbyć?

- Strzel jakąś kwotę - powiedział Mick Stranahan. - To ma być w końcu szantaż. Ile forsy jest w stanie uzbierać?

- Nie wiem. - Joey odwróciła głowę do okna.

Flamingo to ośrodek wędkarski w Parku Narodowym Everglades, znajdujący się na południowym krańcu półwyspu florydzkiego. Prowadzi tam tylko jedna droga, asfaltowa dwupasmówka przecinająca na przestrzeni 60 kilometrów dziewiczy busz, siedliska cyprysowe i prerie porośnięte kłocią. Choć jechali w całkowitej ciemności, Joey wyczuwała puls toczącego się wokół życia. Ta cisza była tak kojąca, a noc tak wszechogarniająca, że nie była w stanie się skupić nad szczegółami planu. Im głębiej się zapuszczali na teren parku, tym bardziej mały i śmieszny wydawał im się Charles Perrone.

Stranahan zaparkował suburbana na kempingu pod palmami, niedaleko przystani.

Zrobiła się dziesiąta, więc większość turystów leżała już w śpiworach. Mick próbował nastawić radio, ale sygnał był za słaby.

Joey powiedziała, że jeszcze nigdy nie była w tym parku.

- Chaz nie chciał mnie tu zabierać. Mówił, że zbytnio mu się kojarzy z pracą. Podejrzewam, że najbardziej mu przeszkadzają owady. Nie znosi ich.

- Owady, powiadasz.

- Zwłaszcza komary. No i są jeszcze węże. Chaz panicznie się boi, że zostanie ukąszony przez mokasyna. W domu trenował zastrzyki z surowicy na grapefruitach.

- Źle wybrał zawód - stwierdził Stranahan. - Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego? Jak to się stało, że robi to, co robi?

Joey zawsze uważała, że mąż podjął błędne decyzje na studiach.

- Zapomniałem spytać, mówi ci coś nazwisko Samuel J. Hammernut?

- To jakiś forsiasty kumpel Chaza. Poznałam go na weselu. A czemu pytasz? Co on ma z tym wspólnego?

- Wykonałem kilka telefonów w sprawie hummera. Kupiła go twojemu mężulkowi firma o nazwie Hammernut Farms.

Joey nie miała pojęcia, po co pan Hammernut miałby podarować Chazowi nowiutkiego SUV-a.

- Teraz mi to mówisz? Do kogo dzwoniłeś?

- Do kolegów z policji, którzy się zajmują takimi sprawami. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że to wszystko przez chciwość? Stawiam na to, że Chaz ma jakiś nieczysty układ z Hammernutem i ty im weszłaś w drogę.

- Ale co ja takiego zrobiłam?

Stranahan wyłuszczył jej swoją teorię. Joey była zaintrygowana, ale sceptyczna.

- Kto słyszał o skorumpowanym biologu?

- A kto słyszał o biologu, który ma własnego ochroniarza?

Fakt. Kiedy Joey usłyszała od Micka, że jej mąż ma teraz obstawę, była zaskoczona, ale i rozbawiona.

- Są przecież gliniarze, którzy biorą łapówki - ciągnął Stranahan - sędziowie, który ustawiają procesy, lekarze, którzy oszukują ubezpieczalnie. Chcesz mi powiedzieć, że Chaz jest zbyt szlachetny, żeby się sprzedać? Facet, który chciał cię zabić?

Ma rację, pomyślała Joey. Ten drań jest najwyraźniej zdolny do wszystkiego.

Przysunęła się bliżej i położyła Mickowi rękę na kolanie. Ten pocałował ją w czubek głowy, ale wyczuła, że jest spięty. Wskazał na budynek motelu i powiedział:

- Twój pokój jest na pierwszym piętrze. Siedź tam i nie wychodź, aż dam ci sygnał latarką.

- Trzy krótkie błyski, pamiętam.

Zobaczyli, jak na teren kempingu wkradają się trzy szopy, a po chwili wracają z bochenkiem chleba i paczką chipsów.

- Chcemy go nastraszyć, prawda? - powiedział Stranahan.

- Tak, przycisnąć go.

- To co nam szkodzi, zażądajmy pół miliona.

- Boże - roześmiała się Joey. - Chaz nie ma takich pieniędzy.

- Dam głowę, że zna kogoś, kto ma.

* * *

Wzięli grand marquisa, bo Tool stwierdził, że hummer praktycznie świeci w nocy.

Red kazał im bez względu na wszystko zachować spokój. Posłuchać, co tamten ma do powiedzenia, i odpowiedzieć, że przemyśla sprawę. Ostrzegł Chaza, żeby nie zgrywał ważniaka, a Toolowi zabronił używać siły, przynajmniej na razie. Najpierw trzeba się dowiedzieć, czego chce ten sukinsyn, potem można się zastanowić, co z nim zrobić.

Plan był taki, żeby przyjechać do Flamingo wcześniej i znaleźć miejsce, gdzie Tool mógłby się schować. Niestety, wszystko się opóźniło, bo po drodze Tool znowu zrobił sobie przystanek. Chaz

już nawet nie pytał. Został w aucie i ćwiczył wydobywanie rewolweru z kabury. Tymczasem Tool założył białe fartuch wielkości namiotu i udał się do domu opieki Elysian Manor.

Maureen siedziała na łóżku i oglądała telewizję. Była uczesana i miała delikatnie umalowane policzki.

- Kogo ja widzę - przywitała się. - Przysuń sobie krzesło. Larry King rozmawia właśnie z Julie Andrews. Ależ ona śliczna.

- Przyniosłem kolację. - Tool postawił na stoliku naczynie z potrawą. - Trochę wystygło. Mają tu mikrofalówkę?

- O, dziękuję, Earl. - Maureen podniosła pokrywkę. - Pachnie wspaniale. Co to?

- Yyy... kurczak.

- Lekarz mówi, że powinnam unikać smażonego, ale nie rozumiem, co to szkodzi? Przecież i tak niedługo umrę, prawda? - Wzięła kawałek panierowanego aligatora i wsunęła do ust.

- Dobrze, nie? - powiedział Tool.

Maureen gorliwie przytaknęła, mozolnie przeżuując kęs.

- Tutejsze jedzenie to istny horror - szepnęła. - Świeży drób to rzadkość.

- Cieszę się, że ci smakuje. Muszę lecieć.

- Tak szybko? Posiedź chwilę.

- Mam ważne spotkanie w interesach.

- W nocy? Co to za interesy, jeśli mogę spytać?

- Robię za obstawę.

Oczy Maureen zabłysły.

- To bardzo interesujące. A kogóż to ochraniaasz, jakieś ważne osobistości? Dyplomatów? Załóż się, że kogoś z show-biznesu.

- Gdzie tam.

- Szkoda. - Była wyraźnie rozczarowana.

- Teraz mam pod opieką jednego doktora - wyjaśnił, choć użycie słowa „doktor” w stosunku do Charlesa Perrone’a uważał za przesadę.

- Doktora, powiadasz. To też jest coś!

- Tylko że on nie leczy ludzi. Jakiś naukowiec chyba.

- Musi być kimś ważnym, skoro potrzebuje osobistej ochrony.

- Nie chce mi się nawet o tym gadać.

- Jest tutaj z tobą? Chętnie go poznam.

- Nic ciekawego. Ma się nie wiadomo za kogo, a przysięgam, że czarnuchy i meksyki, którzy zbierali dla mnie pomidory, mieli więcej rozumu...

Koścista pięść Maureen z całą siłą wylądowała na jego splocie słonecznym. Tool zgiął się wpół i poczuł, że traci oddech.

- Earl! Jak ci nie wstyd! Nigdy więcej nie używaj przy mnie takich słów!

Chwycił się poręczy łóżka i powoli wyprostował.

- Co by powiedziała twoja mama, gdyby to słyszała?

- Ale... to od niej się tego nauczyłem - wycharczał. - Od niej i od taty.

- W takim razie oni też się powinni wstydzić. Masz - podała mu papierowy kubek - napij się. Ulży ci.

- Psiakrew - zaklął Tool, łykając haustami wodę. Ta stara wariatka naprawdę go uderzyła. W całym życiu mu się nie zdarzyło, żeby ktoś go zaatakował i wyszedł z tego bez szwanku. Raz w monopolowym o mało nie zrobił kalek z kilku chłystków tylko dlatego, że dziwnie mu się przyglądali.

Patrząc na Maureen, delikatną i kruchą jak opadły liść, wiedział, że mógłby ją zabić jednym ruchem ręki, a jednak nie chciał. I nie o to chodzi, że musiał tę chęć powstrzymać, po prostu w ogóle nie odczuwał potrzeby krzywdzenia tej kobiety, bez względu na to, co

zrobiła. Nie był też na nią zły, co go jeszcze bardziej zdumiało. Czuł jedynie współczucie.

- Przepraszam - usłyszał własny głos.

Maureen pociągnęła go za rękaw.

- Ja też przepraszam, że cię uderzyłam. To nie było po chrześcijańsku. Jak stoisz z plastrami?

- W porządku. Te dzisiejsze powinny starczyć na miesiąc.

- Wiesz, że mój mąż był policjantem w Chicago?

- Tak, mówiłaś.

- Kiedyś słyszałam, jak używa słowa „czarnuch”. Rozmawiał przez telefon z oficerem dyżurnym. Powiedział: „Jakiś czarnuch obrabował koreański sklep spożywczy i ścigaliśmy go aż do jeziora Michigan”. Kiedy odłożył słuchawkę, klepnęłam go w ramię... a to był potężny mężczyzna... i powiedziałam: „Patrick, jeżeli jeszcze raz usłyszę, że używasz takich obelżywych określeń, zabieram dzieci i wracam do ciotki Sharon do Indianapolis”. I wiesz co?

- Nigdy więcej tego nie zrobił.

Uśmiechnęła się.

- Tak. Wierzysz, że Pan Bóg stworzył nas wszystkich na swoje podobieństwo?

- Nie jestem tego taki pewien - odparł Tool. Skrzyżował ręce na brzuchu na wypadek, gdyby chciała go znowu uderzyć.

- Prawdę mówiąc, czasem sama mam wątpliwości. Mamy tu taką jedną pielęgniarkę. Kobieta z piekła rodem, przysięgam. Nie chcę używać wobec niej brzydkich słów. Ale powiem ci, w co ja wierzę, mogę? Potem możesz sobie iść.

- Jasne.

- Wierzę, że nigdy nie jest za późno na zmiany. Mam osiemdziesiąt jeden lat, ale wciąż jutro mogę być lepszym

człowiekiem, niż jestem dzisiaj. I będę w to wierzyć, póki chodzę po tej ziemi. Aha, jeszcze jedno, obiecałeś, że pójdziesz do lekarza.

- Tak, wiem.

- W sprawie kuli w... wiesz czym.

- Czasu nie miałem.

- Posłuchaj, młodzieńcze. Życie jest stanowczo za krótkie, żeby się tak męczyć bez sensu.

- Wiem.

- No to idź już, bo się spóźnisz na spotkanie. I uważaj dziś na siebie.

- Bez obaw.

- Cokolwiek tam planujesz - dodała, spoglądając na niego z ukosa. - Do widzenia, Earl.

Machnęła ręką w stronę drzwi i odwróciła głowę do telewizora.

* * *

Jechali w milczeniu, przy Florida City Tool po raz pierwszy się odezwał. Chazowi było to nawet na rękę. Nie myślał o spotkaniu z szantażystą, tylko snuł fantazje o tym, jak by to było mieć trzysta milionów dolarów, gdyby się okazało, że testament z podpisem Joey jest rzeczywiście prawdziwy. To byłaby niewiarygodna ironia losu, bo Joey przecież nie zostawiłaby Chazowi ani centa, gdyby podejrzewała, że fałszuje wyniki badań wody. Jako że testament jest datowany na kilka tygodni wstecz, może być autentyczny tylko pod warunkiem, że Joey nic o przekręcie nie wiedziała...

A to by znaczyło, że Chaz zamordował ją bez powodu, a przynajmniej z niewłaściwego powodu...

Na samą myśl zakręciło mu się w głowie i dostał mdłości. Dopóki nie ma pewności, będzie się trzymał bardziej prawdopodobnej hipotezy, że to Karl Rolvaag sfabrykował dokument, aby go zastraszyć.

- Głodny jestem - mruknął Tool i ostro skręcił na parking przy restauracji Miami Subs.

- Przynieś mi colę i jakieś frytki - powiedział Chaz.

- Sam se przynieś.

Chaz schował rewolwer pod siedzenie i chcąc nie chcąc, poszedł za Toolem. Błagał Reda o innego ochroniarza, ale ten odmówił, twierdząc, że Tool jest solidny jak skała.

Raczej głupi jak but, pomyślał Chaz.

Usiedli w boksie, Tool łąpczywie rzucił się na kanapkę z indykiem wielkości piłki futbolowej.

- Gdzie masz spluwę? - zapytał, plując na wpół przezutą sałatą.

Chaz pokazał na auto.

- Zastrzelełeś kiedyś człowieka?

- Nie.

- A w ogóle strzelałeś?

- Do ptaków - odparł Chaz.

Jako dziecko strzelał z wiatrówki do wróbli, które budziły go rano swoim świergotaniem.

- Nie masz co brać broni do ręki, dopóki nie poćwiczysz - powiedział Tool. - Już raz od jednego durnia oberwałem i wystarczy.

- Nie bój się.

Strażnik przy wjeździe na teren Parku Narodowego Everglades zainteresował się, dlaczego nie mają ze sobą żadnego sprzętu

turystycznego ani wędkarskiego. Na budce wisiała kartka zabraniająca wnoszenia na teren kempingu broni palnej.

- Umówiliśmy się tutaj ze znajomymi - wyjaśnił Chaz. - Państwo Thornburghowie. Jadą nowiutkim airstreamem na tablicach z Michigan. Mają psa, setera irlandzkiego, wabi się Mickey i zawsze jeździ na przednim siedzeniu. Zjawili się już?

- Tego nie wiem, dopiero zacząłem dyżur.

- No nic, na pewno się jakoś odnajdziemy - odparł Chaz i pomachał przyjaźnie do strażnika.

Przejechali około kilometra, kiedy odezwał się Tool:

- Skąd wytrzasnąłeś taką historyjkę?

- Niezła, co?

- Co to jest airstream?

- Samochód kempingowy. Coś jak winnebago, ale mniej toporny. Gość gładko to łyknął, nie?

- I te brednie o psie. Zmyśliłeś to wszystko na poczekaniu?

- Uhm. - Trudno było stwierdzić, czy Tool jest zde gustowany czy pełen podziwu.

- Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak umiał kłamać.

- Czasami trzeba myśleć błyskawicznie. Tego strażnika nie powinno obchodzić, czy wiozę w aucie sprzęt wędkarski czy nie, ale nie mogę mu tego powiedzieć wprost, więc wymyślam bajkę i gotowe.

Tool kiwnął głową, nie odrywając rąk od kierownicy.

- Cholernie sprytne - rzekł.

Niebo było zachmurzone i bezgwiezdne. Przed sobą mieli czarną czeluść, którą przesywały dwa snopy światła z reflektorów. Na początku Chaz myślał, że wjechali w deszcz, ale się okazało, że to chmury owadów uderzają o przednią szybę.

Kiedy na środek jezdni wyskoczył królik błotny, Tool gwałtownie skręcił kierownicą, żeby go ominąć. Chaz kazał mu natychmiast zatrzymać samochód.

- Czemu, chcesz się odlać? - Tool zjechał na pobocze i stanął.

- Zawróć - nakazał Chaz.

- Po co?

- Szybko!

Tool sprawnie wykonał nawrót i pomału dojechał do królika. Siedział w tym samym miejscu. Chaz sięgnął pod fotel i wyjął rewolwer. Tool powoli zamrugał powiekami jak naćpana ropucha.

- Kazałeś mi ćwiczyć, nie?

- Ale, kurwa, nie na króliku.

- To tylko trochę przerośnięty gryzoń - odparł Chaz, zdradzając ignorancję w zakresie systematyki zwierząt, która oburzyłaby jego kolegów po fachu, lecz przeszła niezauważona przez Toola. - Szczur z wielkimi uszami - dodał i ostrożnie otworzył drzwi.

- Jeśli go zastrzelisz, będziesz go musiał zjeść na śniadanie.

- Oczywiście.

- Ja nie żartuję. Mama zawsze nam powtarzała, że nie wolno zabijać zwierząt dla rozrywki. To marnotrawstwo.

Chaz zaczął się zastanawiać, czy te plastry nie robią czegoś z mózgiem Toola. Co go obchodzi głupi królik? Oparł się o maskę auta i wycelował. Zwierzę w światłach reflektorów nadal trwało w bezruchu. Gdy rewolwer wypalił, królik obrócił się, zrobił kilka kólek i stanął.

Gapił się na nich wytrzeszczonymi oczami i poruszał noskiem.

- Cholera, nie trafiłem - mruknął Chaz i ponownie wystrzelił. Tym razem zwierzę przeskoczyło na chodnik i stuliło uszy.

- Wystarczy, Rambo - powiedział Tool.

- Jeszcze tylko raz - powiedział Chaz i w duchu dodał: jemu to wolno strzelać do aligatorów.

- Wystarczy - powtórzył Tool, tym razem ostrzej.

- Czekaj. - Chaz zmrużył jedno oko i wycelował do królika.

- Powiedziałem, dość. - Nadepnął pedał gazu.

Było to w kilka milisekund przed tym, jak Chaz nacisnął spust. Wyrzuciło go w powietrze i jeszcze w locie zobaczył, jak płowa sylwetka królika znika w wysokiej trawie.

Upadł na żwir i dwa razy się przetoczył. Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się tępo w roje owadów krążących wokół świateł samochodu. Wkrótce usłyszał chrzęst kroków i zobaczył nad sobą potężną sylwetkę Toola.

- Pomóż mi wstać - powiedział, nie okazując ani krzty wyrzutów sumienia.

- Niezły z ciebie doktorek.

Tool podniósł trzydziestkę ósemkę i odszedł w stronę auta.

- Co ci odbiło? - krzyknął za nim Chaz. - Chciałeś mnie zabić?

Podniósł się i otrzepał z kamyków. Kiedy wrócił do samochodu, Tool wbił mu palec w pierś.

- Gdybym rzeczywiście chciał to zrobić, rozmawiałbyś teraz ze świętym Piotrem, a nie ze mną.

Chaz odczekał kolejne piętnaście kilometrów, zanim zapytał o rewolwer.

- Dosyć zabaw na dzisiaj - odparł Tool.

- A jeśli będzie mi potrzebny? Jeśli ten pieprzony szantażysta wykręci jakiś numer?

Toola chyba to bardzo rozbawiło.

- Chłopcze, po co ci splanuje? Masz mnie.

Rozdział 19.

Kiedy grand marquis zajechał na przystań, Stranahan był już na wodzie i obserwował.

Małpolud wysiadł z samochodu powoli, a Charles Perrone prawie z niego wyskoczył, jak szalony klepiąc się po twarzy i szyi. Przeszli się tam i z powrotem wzdłuż pirsów, w końcu wybrali jakąś opuszczoną łódź mieszkalną i wyważyli drzwi. Małpolud schował się w środku, a Perrone wyskoczył z powrotem na pomost, potykając się przy tym o zwiniętą cumę. Potem zaczął się nerwowo przechadzać w ciemnościach, bez przerwy oganiając się od owadów. O północy Stranahan zawołał go po imieniu. Chaz przykucnął w komicznej przyczajonej pozie, którą musiał podpatrzeć w filmach z Jackiem Chanem.

Stranahan zamachał ręką.

- Tutaj, bałwanie!

Chaz ostrożnie się zbliżył, ciągle udając mistrza kung-fu. Widok szantażysty siedzącego w małym kajaku trochę go zdeprymował.

- Wskakuj - powiedział Mick, dotykając dziobem pomostu.

- Nie ma mowy.

- To był twój pomysł, Chazzie.

- Spotkanie tak, ale nie miejsce.

Stranahan ułożył wiosło na kolanach i przez chwilę mierzył Perrone'a wzrokiem.

- Chcesz wiedzieć, czego żądam, to pakuj się do łódki.

Chaz z niepokojem zerknął w stronę pomostu, gdzie cumowała łódź mieszkalna.

- To kolejna rzecz - dodał Stranahan. - Mówiłem, żebyś nie zabierał swojego kumpla.

- O czym ty mówisz?

- Ale z ciebie głupek. Powinienem potroić cenę.

Chaz ostrożnie wszedł do kajaka.

- Gdzie mam usiąść.

- Ty masz klęczeć.

Stranahan odbił od przystani i długimi równymi pociągnięciami wiosła zaczął płynąć kanałem Buttonwood w kierunku zatoki Whitewater.

- Mogę skorzystać z płynu na owady? - Chaz wskazał na butelkę ze spryskiwaczem, która leżała na dnie kajaka.

Stranahan rzucił mu ją. Chaz się spryskał i zapytał:

- Dokąd płyniemy?

- Nie ma się czego bać, o ile nas nie wywrócisz.

- Nie będę się ruszał. - Chaz odłożył butelkę i mocno uchwycił się burt.

- Płyniemy do Przesmyku Mokasynów - powiedział Stranahan. Z tego co się orientował, nic takiego nie istnieje, ale groźnie brzmiąca nazwa wywarła pożądany efekt.

- O Jezu - wyrwało się Perrone'owi.

- Podobno żyją tam największe mokasyny błotne w całych Everglades - dodał Stranahan, wywołując u pasażera jęk przerażenia. Na żywo mąż Joey był taki, jak go sobie wyobrażał - słaby psychicznie wymoczek.

- No i poza tym krokodyle i rekiny - Stranahan zaczął naśladować głos Jerry'ego Lewisa. - Dlatego szczerze radzę: nie wywróć kajaka.

Kiedy dotarli do zatoki, Mick odłożył wiosło i kazał się Chazowi odwrócić, co ten uczynił z największą ostrożnością.

Potem zaświecił mu w twarz latarką. Perrone się wzdrygnął i zasłonił oczy.

- Kolega jest obrażony, tak? - powiedział Stranahan.

- Uważasz, że się bawię twoim kosztem?

Drwienie z takiego mięczaka było aż niehonorowe, ale pozwoliło Stranahanowi powstrzymać się przed zrobieniem z niego marmolady. Być może nadejdzie kiedyś dzień na tak barbarzyńskie zabawy, ale na razie wystarczy mu widok uszu Charlesa Perrone'a, które robią się coraz czarniejsze od komarów. To Joey wpadła na genialny pomysł, żeby do butelki z odstraszaczem wlać zwykłą wodę.

- W jaki sposób się dostałeś do mojego domu? - spytał Chaz.

- Tajemnica zawodowa.

- To ty mi włożyłeś zdjęcie pod poduszkę?

- Nie, krasnoludki.

- Kim jesteś, do cholery? Czego od mnie chcesz? - Chaz wściekle klepał się po uszach.

- Na początek pieniędzy.

- Co to znaczy, na początek?

- Chciałbym, żebyś mi odpowiedział na kilka prostych pytań, to wszystko.

- Jakich pytań? Chcesz mnie oskubać za coś, czego nawet nie zrobiłem.

- W porządku, więc nie dawaj mi ani centa. Niech zdecyduje ława przysięgłych. Twoje słowo przeciwko mojemu. A właśnie, byłeś kiedyś w malowniczym Raiford, siedzibie więzienia stanowego?

Chaz zaklął i znów pacnął się w głowę.

- Trafiony, zatopiony. - Stranahan wyłączył latarkę.

- Chyba tylko w jeden sposób mogę udowodnić, że nie blefuję: opowiem, co dokładnie się wydarzyło na pokładzie „Księżnej Słońca”. Słuchaj uważnie.

- Słucham - warknął Chaz.

- To było dokładnie tydzień temu. Wieczorem tuż przed jedenastą wyszliście z żoną na pokład i udaliście się w stronę rufy. Nikogo nie było, bo padał deszcz. A, byłbym zapomniiał: ty miałeś na sobie niebieską marynarkę i grafitowe spodnie, a pani Perrone kremową spódnicę, białe sandały i, zdaje się, złoty zegarek na rękę.

Joey mówiła, jakiego koloru była bluzka, ale zapomniiał. Przyświecił latarką i zobaczył, że Chaz zbladł i chwieje się na nogach.

- Mam kontynuować? - spytał.

- Jak chcesz...

- No więc staliście oboje przy relingu, pani Perrone patrzyła na ocean, a ty wykonałeś bardzo sprytny manewr. Wyjąłeś coś z kieszeni i upuściłeś. Monetę, klucz, coś, co upadło z brzękiem. Potem udałeś, że się po to schylasz... Pamiętasz?

Cisza.

- Ale zamiast tego chwyciłeś żonę za nogi i przerzuciłeś za burtę. To się stało tak szybko, że nie miała szansy się obronić. Żyjesz tam?

Gdy znowu zaświecił w niego latarką, ujrzał szklany wzrok wybaluszonych oczu. Podobne widział kiedyś w pracowni wypychacza zwierząt.

- Oj, chyba coś cię łapie - stwierdził. - Szczepiłeś się kiedyś na tego paskudnego wirusa gorączki Zachodniego Nilu?

Chaz gwałtownie zakaszłał.

- Jest na to szczepionka?

Gdyby chodziło o kogoś innego, Stranahan nawet by mu współczuł. Nieszczęsny głupiec.

- Dlaczego to zrobiłeś, Chaz?

- Nie zrobiłem tego.

- Twierdzisz, że kłamię? Auć.

- Mów, ile chcesz forsy.

- Pół miliona dolców.

- Czyś ty, kurwa, oszalał, człowieku?

- W gotówce. Mogą być studolarówki.

Z południowego wschodu powiała lekka bryza, przesuając mały kajak w głąb rozległej mrocznej zatoki. Łagodne kołysanie, które Stranahana zawsze tak uspokajało, zdawało się zupełnie przeciwnie działać na męża Joey Perrone.

- Skąd niby mam wytrzasnąć pięćset tysięcy? - powiedział.

- A ja mam pomysł. - To jak strzelanie do ryb w beczce, pomyślał Stranahan. - Mógłbyś poprosić swojego kumpla, Reda Hammernuta!

Tym razem nie trzeba było latarki, żeby ocenić reakcję Chaza. Chrapliwy odgłos wymiotów wzbudził odzew godowy samca czapli, który pół kilometra dalej brodził przy brzegu.

* * *

Spotkanie Micka z Chazem trwało dopiero dwadzieścia minut, kiedy Joey zdecydowała się jednak wyjść z motelu. Założyła obszerną bluzę, na głowę nasunęła czapkę z daszkiem i poszła na przystań. Na parkingu zauważyła duży czarny samochód, który poprzedniego wieczoru widziała przed swoim domem. Stał przy nim oparty o maskę potężny mężczyzna w swetrze i

ogrodniczkach. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że to nie sweter, tylko wyjątkowo gęste owłosienie.

Mężczyzna ją zauważył.

- Chodź no tu, mały.

Joey podeszła bliżej latarni, żeby pokazać, iż nie stanowi zagrożenia.

- Głuchy jesteś, czy co? Mówiłem, żebyś podszedł.

- Ty jesteś ochroniarzem, prawda? - spytała Joey.

Tool trzepnął ją wierzchem dłoni. Upadła. Potem chwycił ją za bluzę, podniósł i rzucił na maskę auta.

- Ty nie jesteś chłopakiem - zorientował się. - Jesteś dziewczyną.

Joey pośpiesznie obciągnęła bluzę, która się podwinęła pod sam biustonosz. Zdawało jej się, że poczuła smak krwi.

- Spokojnie, bez nerwów. Przyjechałam tu z szantażystą.

- Pieprzysz. - Mężczyzna się zaciekawił.

- To mój chłopak.

Wyglądał, jakby musiał to przemyśleć. Joey dała mu trochę czasu.

Potem złapał ją za kark i powiedział:

- Mógłbym cię teraz zabić. Rzucić na pożarcie aligatorom. Do rana nawet kości by z ciebie nie zostały.

Ścisnął tak mocno, że Joey mało nie zemdląła. Facet był silny, mógłby palcami ukręcić jej głowę.

- I co byś... zyskał? - wykrztusiła.

Po chwili namysłu puścił ją.

- No tak. To twój chłopak nam bruździ, nie ty.

Joey pomasaowała kark.

- Nie chcę cię pouczać, jak masz wykonywać swoją robotę, ale jeżeli włos mu z głowy spadnie, gliny dostaną paczkę zawierającą cały szereg interesujących faktów na temat twojego klienta.

- Klienta?

- Faceta, którego ochraniasz. Charlesa Perrone'a. Mogę wiedzieć, jak się nazywasz?

- Wołają na mnie Tool.

- A ja jestem Anastasia. - Od dziecka marzyła, żeby nosić takie imię. Brzmiało o wiele bardziej kobieco i elegancko niż Joey.

- Ten twój chłopak, czego on chce od doktora?

- Nie wiem. On załatwia interesy, ja tylko obserwuję.

Mężczyzna obejrzał się w stronę pochylni.

- Dokąd prowadzi ten kanał?

- Nie mam pojęcia. Co masz na plecach?

- Nic.

Joey podeszła bliżej i dotknęła jego ramion. Jeszcze w życiu nie widziała, żeby ktoś miał tyle włosów na ciele.

- Obróć się, proszę.

Przyciągnęła go w blady krąg światła i zobaczyła w okolicach łopatek nieregularne wygolone placki. W kilku miejscach miał przyklejone beżowe plastry.

- To lekarstwo - wyjaśnił Tool.

- Na co?

- Na ból.

- Jesteś chory?

- Postrzelili mnie w nieciekawe miejsce.

Na parking podjechał pick-up z niebieskim kogutem na dachu.

- Strażnik parkowy - szepnęła Joey.

Patrzyli, jak samochód powoli objeżdża okolice przystani. Kiedy odjechał, Tool powiedział:

- Gdzie ten cholerny kajak? To już za długo trwa.

- Cóż, chłopcy mają dużo do obgadania.

Tool poklepał się po kieszeniach.

- Szlag by trafił, moja komórka. Zaraz wracam.

Poczłapał na nabrzeże i zniknął w nieoświetlonej łodzi mieszkalnej. Wrócił, pomstując na telefon, który trzymał w ręku.

- Nie ma zasięgu - skarżył się.

- Do kogo dzwonicz? - spytała Joey.

- Nie twój interes.

- A w ogóle, kto cię wynajął? Wiem, że nie Chaz Perrone.

Tool chwycił ją za bluzę.

- Skończ z tymi pytaniami, dobra? - Zalatywało mu z ust cebulą, a jego skóra wydzielala jakieś niezdrowe wilgotne ciepło. - Nie czuję się najlepiej - dodał.

- Może to ten lek? Przynieść ci coś?

- A może się zamknij, co?

- No już dobrze, dobrze.

Tool siadł na błotniku, który aż się ugiął pod jego ciężarem. Przez dziesięć minut wściekły naciskał klawisze telefonu. Joey oparła się o pal i obserwowała ławicę jaskrawoniebieskich rybek, które raz po raz połyskiwały pod powierzchnią wody.

Zastanawiała się, co się teraz dzieje w małym kajaku dryfującym gdzieś daleko w mroku. Była ciekawa, czy Mick trzyma się scenariusza, czy może stracił panowanie nad sobą i zrobił jej mężowi coś złego.

- Kurwa, poddamę się - orzekł Tool i wsunął komórkę do kieszeni.

- Czy teraz mogę coś powiedzieć? - spytała Joey.
- Możesz nawet zaśpiewać i zatańczyć, jeśli chcesz.
- Byłeś kiedyś żonaty?
- Mieszkałem z kobietą sześć lat. Nie, siedem.
- I co się stało?
- Wyjechała do rodzinnej Valdosty na pogrzeb i już nie wróciła. Słyszałem, że uciekła z synem przedsiębiorcy pogrzebowego.
- Wiedziałaś, że ten Perrone wyrzucił swoją żonę ze statku na pełnym oceanie?
- Czuję, że to musiało być coś w tym stylu.
- Byłbyś do tego zdolny?
- To zależy. Paru ludziom zrobiłem w życiu krzywdę, ale nigdy nie uderzyłem kobiety, chyba że ona pierwsza ze mną zadarła. Może to jego stara zaczęła, a on tylko się bronił?
- Wspomina o niej czasem?
- Gdzie tam. Kiedy spytałem, odpowiedział, że była ładna, mądra i tak dalej. Ale nie mówił, co się stało, tyle że nie żyje. Reszta to nie moja sprawa.
- Nie powiedział, czemu to zrobił?
- Słuchasz mnie w ogóle? - Tool podźwignął się z błotnika, jakby znów chciał ją złapać za fraki.
- Cofnęła się. „Ładna, mądra i w ogóle”. A więc tak o niej teraz mówi, kiedy odeszła.
- Ciekawe, czy ją kochał - dodała cicho.
- Toola to rozśmieszyło.
- On?
- Nie daje mi to spokoju, nic na to nie poradzę. - Joey wyczuła, że Tool nie kłamie i naprawdę niewiele wie.

- Z tego co widzę - powiedział - ten facet najbardziej na świecie kocha siebie. To nie ten typ, co będzie płakał i chodził przygnębiony.

Poczekaj, aż usłyszysz, co Mick ma mu do powiedzenia, pomyślała Joey.

- Ty też uważasz, że to zrobił - powiedziała. - Widzę to.

- Płacą mi tyle samo, tak czy siak, więc mi to wisi.

- W twoim zawodzie pewnie raz spojrzysz komuś w oczy i od razu wiesz, czy kłamie. Założę się, że ani przez chwilę nie dałeś się nabrać Perrone'owi.

Tool zdawał się odporny na kobiece komplementy. To rzadka cecha u mężczyzn. Joey spróbowała innej drogi.

- Od jak dawna pracujesz jako ochroniarz?

- To pierwsze zlecenie.

- Nic dziwnego, że tak nerwowo reagujesz. Nie martw się, Chazowi włos z głowy nie spadnie, o ile nie zrobi czegoś głupiego.

- U niego to możliwe. Jednej rzeczy tylko nie kapuję: co ma z tym wspólnego twój chłopak? Jak to się stało, że wymyślił ten szantaż?

- Po prostu znalazł się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

- To on się wczoraj włamał do domu doktora? Bo jeśli tak, mamy rachunki do wyrównania. Taki w średnim wieku, mocno opalony? Facet w kajaku wyglądał podobnie, ale nie widziałem dokładnie. Okna w tej przekłętej łodzi są całe upaprane od soli.

- Tak, to on - odparła Joey. Tool i tak by się dowiedział, kiedy wróci z Chazem.

- Mógłby być twoim ojcem, nie?

- Nieprawda - obruszyła się Joey.

- Silny chłop, to mu trzeba przyznać. Nieźle mi przywalił. - Pomacał się po szyi.

- O, tak. Staruszek nieźle sobie radzi. Jak miała na imię twoja kobieta?

- Jean. Nazywaliśmy ją Jeannie Suzanne.

- Tęsknisz za nią jeszcze?

- Już nie. Jak to mówią, czas leczy rany.

- A myślisz, że pan Perrone tęskni za żoną?

- Ty mi powiedz. Wywalił z domu wszystkie jej zdjęcia. Dosłownie nic nie zostało.

- Ale podobno ci powiedział, że była ładna.

- Tak powiedział, ale równie dobrze mogła być brzydka jak noc.

- Wzruszył ramionami. - Nie płacą mi za to, żebym się nad tym głowił.

- Muszę już iść - powiedziała Joey. - Fajnie się rozmawiało.

Tool był zawiedziony.

- Nie możesz poczekać, póki nie wrócą?

- Lepiej nie. Mam swoje zadanie.

- Ja też - westchnął Tool.

* * *

Była to zdecydowanie najgorsza noc w życiu Charlesa Perrone[^].

- Skończyłeś? - zapytał Stranahan.

Chaz wytarł usta i splunął obficie, żeby się pozbyć smaku wymiotów. Nie miał pojęcia, skąd ten facet dowiedział się o Redzie Hammernucie. To była druga druzgocąca wiadomość, jaką otrzymał w tym kajaku. Pierwsza to ta, że szantażysta był świadkiem morderstwa Joey.

- Jesteś zaskoczony, że odrobiłem lekcje. Ricca też była.

O niej też wie? Co za koszmar.

Chaz bił się po głowie, chcąc uciszyć nieznośny chór komarów. Te cholerstwa zdawały się wwiercać przez bębunki w uszach do samego mózgu. Od strony zatoki dobiegły inne niepokojące dźwięki: głośne energiczne pluski i przeraźliwe wrzaski ptactwa.

Jestem w piekle, pomyślał Chaz.

- Twój kumpel Hammernut jest właścicielem okazałych plantacji na południe od jeziora - powiedział Stranahan. - Domyślam się, że fałszujesz wyniki badań wód gruntowych, żeby ukryć skażenie. To mu przy okazji pozwala zaoszczędzić mnóstwo forsy. Ile ci płaci? Pomijając prezenty jak ten nowiutki hummer.

Chaz odwrócił głowę, spodziewając się kolejnego błysku latarki.

- Nie wiesz, o czym mówisz - rzucił ochryple.

- Ależ wiem doskonale. I ty też.

Chaz nie widział wyrazu twarzy szantażysty, ale dostrzegł biały półksiężyc uśmiechu.

- A oto jeszcze jedna informacja dla ciebie: Karl Rolvaag nie ma z tą sprawą nic wspólnego. W życiu człowieka nie widziałem i lepiej się módl, żeby tak pozostało.

Chazowi znowu zebrało się na wymioty. Schylił głowę i poczekał, aż mu przejdzie.

- A ten fałszywy testament? - wymamrotał do własnych kolan.

- Jaki testament?

- O Jezu...

- Jeśli mi się zerzygasz w kajaku, wracasz wpław.

- Zaraz przejdzie. Daj mi chwilę.

Dotarło do niego, że nawet nie wiedziałby, w którą stronę płynąć. Niebo się wypogodziło, ale połyskujące gwiazdozbiory nie stanowiły żadnej wskazówki nawigacyjnej, ponieważ doktor Charles Perrone na astronomii znał się równie kiepsko jak na naukach przyrodniczych.

- Czyj testament? - powtórzył szantażysta. - Twojej żony?

- Nieważne.

A więc jednak jest prawdziwy, pomyślał Chaz. Trzydzieści milionów dolarów zapisane na niego. Musi tylko uniknąć stryczka.

- Powiedzmy, że zbiorę te pieniądze.

- Dobrze by było - zaśmiał się Stranahan. - Przynieś je w walizce. A teraz przejdźmy do pytań.

- Zlituj się - jęknął Chaz.

- Mam tylko dwa. Pierwsze: dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Bo mi się bardzo podobała. Była ładna, inteligentna, dowcipna. Myślałem, że jestem gotów się ustatkować.

Stranahan bez ostrzeżenia walnął go wiosłem w sam czubek głowy. Chaz jęknął i zachwiał się w przód. Kajak lekko się zachybotał, ale się nie wywrócił.

- Chciałeś mieć tylko superlaskę u boku. Tak, żeby ci kumple zazdrościli. Damski ekwiwalent nowego roleksa. Nie szukałeś żony, tylko gadżetu.

Chaz powoli się podniósł, dotknął głowy i wyczuł rosnący guz. Tymczasem szantażysta znów jak gdyby nigdy nic zaczął wiosłować. Był opalony, dobrze zbudowany, ale dużo starszy od niego, dlatego Chaza tak zaskoczył ten nagły cios. Czegoś takiego spodziewałby się raczej po krewkim młodzieńcu.

- A że przy okazji była bogata, to tym lepiej, co? - powiedział Stranahan.

- Nigdy nie brałem od niej pieniędzy - zaprotestował Chaz.

- I tu czas na drugie pytanie: dlaczego chciałeś się jej pozbyć?

Chaz bardzo głośno przełknął ślinę. Nie miał najmniejszego zamiaru przyznawać się do zbrodni.

- Coś mi się zdaje, że bardzo chcesz tu spędzić noc. Sam.

- Jeśli coś mi się stanie, nie dostaniesz forsy.

Śmiech szantażysty przyprawił go o dreszcze.

- Postaraj się zrozumieć, młodzieńcze, że nie chodzi tylko o pieniądze. Wkurzyłeś mnie.

- Przecież ty jej nawet nie znałeś!

- Ciekawe, bo mam wrażenie, jakbym znał ją od zawsze. - Mick ze spokojem wyjął wiosło z wody i grzmotnął nim Chaza w twarz. Nie przewrócił go, ale rozkwaślił mu nos.

- Niech cię szlag! - krzyknął Perrone i poczuł ciepłą strużkę płynącą po twarzy.

- Jak widzisz, traktuję tę sprawę bardzo osobiście. Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś, a dowiozę cię do przystani.

- Nie mogę.

- Chazzie, wiesz, że ja dobrze wiem, co się stało. Proszę tylko, żebyś mi powiedział dlaczego.

Trudno zaprzeczyć. On i tak wszystko wiedział, a Chaz nie miał specjalnej ochoty znowu oberwać.

- A jeżeli nosisz podsłuch? - Chaz ścisnął palcami nos, chcąc zahamować krwawienie.

Miał głos jak Kaczor Donald.

Po raz kolejny zęby szantażysty zabłysły w uśmiechu.

- Niemożliwy jesteś - powiedział Mick i zdjął koszulkę. Oświetlił latarką swój tors, który błyskawicznie robił się czarny od komarów.

- Widzisz? Nie mam ukrytego mikrofonu. Teraz lepiej?

- Chyba tak.

- No to odpowiedz na pytanie.

- Myślałem, że Joey mnie nakryła. Że się dowiedziała o przekręcie z wynikami badań.

- I za to ją wypchnąłeś za burtę? W samym środku Prądu Zatokowego?

- Ty tego nie rozumiesz. Gdyby się kiedykolwiek wygadała o mnie i panu Hammernucie... nie masz pojęcia, jakie by to miało konsekwencje. Po prostu nie miałem wyboru. Gdyby tylko Joey...

- Gdyby co, Chaz?

Gdyby tylko dała mi powód, żebym tego nie robił, pomyślał Chaz. Na przykład pokazała ten testament.

- Mniejsza z tym - odparł.

Stranahan zaczął wiosłować z większą determinacją. Chaz patrzył z podziwem, jak szybko suną po wodzie. Mając awersję do wysiłku fizycznego, nigdy nie był miłośnikiem kajaków. Co innego motorówka napędzana dwustukonnym silnikiem. To jest łódź.

- Jak twój nochal? - zapytał Stranahan.

- Boli. - Nos Chaza spuchł do rozmiarów papryki.

Wkrótce znaleźli się u wylotu długiego kanału, którym wpływali na zatokę. Chaz poczuł ogromną ulgę. Szantażysta zabierał go z powrotem do Flamingo.

Nagle przestał wiosłować i odchylił się do tyłu. Chaz widział lśniące krople potu na jego ciele i słyszał brzęczenie wygłodniałych komarów atakujących jego twarz i klatkę piersiową.

- Chcesz się spryskać? - zaproponował.

- Nie, dzięki - zaśmiał się Stranahan. Wyciągnął przed siebie wiosło. - Twoja kolej, morderco.

- Co?

- No tak. Zmęczyłem się.

Chaz wziął wiosło i zaczął je oglądać ze wszystkich stron, jakby to było jakieś skomplikowane urządzenie.

- Błagam, nie mów, że nigdy nie pływałeś kajakiem.

- Oczywiście, że pływałem.

Chaz usiłował sobie przypomnieć, kiedy to się zdarzyło ostatni raz. Jeszcze na studiach, na jakimś mętym jeziorze w Karolinie Północnej. Razem z innym studentem pomagali jednemu profesorowi badać rozpuszczalność odchodów piżmaka w osadzie dennym. Po tym dniu Chazowi zostały na pamiątkę potężne odciski na obu dłoniach. Przez miesiąc nie mógł grać w golfa.

- Pośpiesz się, Chazzie, bo nas znosi.

- Przepraszam, ale nie dam rady. Łeb mi pęka.

- Dasz radę.

- Na litość boską! Przecież ja krwawię!

- Oglądałeś *Wyzwolenie*? Pamiętasz, co zrobili temu tłuściochowi?

Chaz Perrone zaczął wiosłować.

Rozdział 20.

Otrzymanie etykiety oszusta było nowym doświadczeniem w życiu Karla Rolvaaga. Nie mógł spać przez pół nocy. Nie tyle go to oburzyło, co zaintrygowało. Zresztą nie sposób się czuć obrażonym przez kogoś takiego jak Charles Perrone. Oskarżenie o szantaż zupełnie go zbiło z tropu. Uznał je za kluczowy zwrot w śledztwie. Ślad nie mniej ważny niż fragmenty paznokci na przemokniętej beli marihuany.

Jak co rano wszedł pod zimny prysznic i stał tam ze dwadzieścia minut, odtwarzając w głowie dziwną rozmowę z mężem Joey Perrone. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tego człowieka szantażuje, ale kto? I za pomocą jakich informacji?

Perrone wspomniał o jakimś fałszywym świadku, co wzbudziło w Rolvaagu podejrzenie (i nadzieję), że może takowy naprawdę istnieje. Ale w takim wypadku musiałaby to być osoba równie przekupna i bezduszna jak sam Perrone. Ktoś, kto potrafił patrzeć, jak ginie kobieta, i nie zareagować. Ktoś, kto zamiast zadzwonić na policję, zgłasza się bezpośrednio do zabójcy i żąda pieniędzy w zamian za milczenie.

Biorąc pod uwagę patologiczne ilości wszelkiego rodzaju szumowin zamieszkujących południową Florydę, istnieje spore prawdopodobieństwo, że zbrodnię Perrone'a zaobserwował przypadkiem ktoś równie jak on zwyrodniały. Mimo to Rolvaag miał przeczucie, że szantażystą nie jest współpasażer ze statku, lecz raczej jakiś przedsiębiorczy naciągacz, który przeczytał o zaginięciu Joey Perrone w gazecie. Tak czy owak, nawet się cieszył, że Perrone popadł w taką paranoję, iż oskarżył policyjnego detektywa o zaplanowanie intrygi. Przestępcy w kiepskim stanie psychicznym często popełniają głupie błędy.

Rolvaag liczył na to, że bezduszny wdowiec nadal będzie podążał ścieżką autosabotażu.

Najbardziej intrygujące były powiązania Perrone'a z Samuelem Johnsonem Hammernutem. Rolvaag nie znalazł żadnego potwierdzenia wersji Chaza, że wart sześćdziesiąt tysięcy hummer był podarunkiem od żony, a Hammernut to tylko niewinny pośrednik. Uważał, że w rzeczywistości to była łapówka. Kto wie, czy jedyna. Detektyw z doświadczenia wiedział, że ludzie pokroju Reda Hammernuta nie bywają bezinteresownie wielkoduszni i zwykle żądają czegoś cennego w zamian za przysługę czy prezent.

Co mógł mieć do zaoferowania leniwy niedouczony biolog?

Rolvaag miał pewne podejrzenie.

Kolejna sprawa to dziwny testament Joey Perrone, którym zainteresował się nawet kapitan Galio. Jeżeli okaże się fałszywy, autorem prawdopodobnie jest szantażysta. Czy jest lepszy sposób na wywarcie nacisku na Perrone'a niż dostarczenie policji motywu morderstwa? I to w postaci trzynastu milionów dolarów?

Jeżeli jednak testament jest prawdziwy...

Detektyw zakręcił kurek i chwilę stał, ociekając wodą. Nie był pewien prawdziwości dokumentu. Jeden grafolog stwierdził, że podpis wygląda na autentyczny, inny uznał, że ktoś go podrobił. Zarządcy majątku Joey Perrone mają w swoich aktach podpisany testament, ale odmawiają wydania kopii, ponieważ nie ma oficjalnego aktu zgonu.

Jednak bez względu na wszystko detektyw zamierzał uczynić co w jego mocy, aby pan Perrone nie dostał ani centa z majątku swojej żony. Uważał, że najpewniejszym sposobem byłoby zamknięcie pana Perrone'a w więzieniu na resztę życia. Ten cel tak go pochłonął, że na jakiś czas odłożył pakowanie rzeczy do przeprowadzki.

Wytarł się i założył dzinsy. Idąc do kuchni, zauważył pod drzwiami wsuniętą kartkę.

To pewnie znów pani Shulman. Detektyw nawet się zastanawiał, czyby nie zatkać szpary, na przykład kładąc grubszą wykładzinę, ale doszedł do wniosku, że się nie opłaca. Niedługo i tak się będzie wyprowadzał.

Podniósł kartkę. Było na niej kolorowe zdjęcie zmizerniałego pieska o przekrwionych oczach:

ZAGINAŁ!

Pinchot, jedenastoletni szpic miniaturowy (wykastrowany).

Cierpi na zaćmę, zapalenie uchyłków jelit i podagrę.

Gdyby ktoś widział, proszę się nie zbliżać i nie brać na ręce!

Prosimy o kontakt z Bertem lub Addie Millerami,

Sawgrass Grove 9-L.

Dla znalazcy nagroda - 250\$!

Rolvaagowi zrobiło się przykro. Zarząd wspólnoty wprowadzie ostrzegął Millerów przed spuszczeniem starzejącego się psa ze smyczy, ale detektyw czuł się osobiście odpowiedzialny za smutny los małego, kulawego i na wpół ślepego Pinchota, będącego łatwym łupem dla głodnego pytona. Postanowił, że resztę sobotniego popołudnia spędzi na poszukiwaniu swoich węży. Oczywiście złoży państwu Millerom wyrazy współczucia i w pełni wynagrodzi im stratę. Najpierw jednak musi załatwić jeszcze jedną drobną sprawę zawodową.

Pogrzebał w teczce i znalazł kartkę z numerem telefonu Corbetta Wheelera.

Zadzwoił i właśnie zaczynał nagrywać długą wiadomość, kiedy brat Joey Perrone podniósł słuchawkę i powiedział:

- Proszę powtórzyć. Spałem jak kamień.

Rolvaag przeprosił i zapytał:

- Czy pańska siostra sporządziła testament?

- Tak, ale niech zgadnę: pojawił się nowy?

- Na to wygląda. Zapisuje w nim wszystko mężowi.

Corbett Wheeler zaczął się śmiać.

- Mówiłem, że to debil. On naprawdę wierzy, że ten numer przejdzie?

- Panie Wheeler, zakładając, że testament jest fałszywy, to moim zdaniem nie Charles Perrone go sfabrykował.

- Joey nie zostawiłaby temu dziwkarzowi nawet centa na bilet do...

Szумы i trzaski na linii zagłuszyły dosadny komentarz Corbetta Wheelera.

- Miałem nadzieję, że ma pan kopię oryginalnego testamentu.

- Jasne, że mam. Ale wracając do Chaza, skąd ma pan pewność, że to nie jego robota?

- Ponieważ treść tego testamentu czyni go głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia pańskiej siostry. Dostarcza motywu zabójstwa, którego nam dotąd brakowało. - Jak i wielu innych rzeczy, dokończył w myślach. - Jeśli mam być szczerzy - kontynuował - nie sądzę, żeby Chaz był do tego stopnia głupi albo chciwy, aby podejmować takie ryzyko.

Corbett Wheeler wybuchnął śmiechem.

- A ja sądzę, że on właśnie chce, żeby pan tak myślał. Komu by się chciało wysilać i wymyślać cały plan, żeby go zrobić?

- Tego próbuję się dowiedzieć. - Rolvaag nie zdradził Wheelerowi, że istnieje ewentualność, iż ktoś obserwował całe zdarzenie na pokładzie „Księżnej Słońca”. Zawsze uważał, aby

zbyttnio nie rozbudzać nadziei krewnych ofiar. - Gdybym mógł zobaczyć ten testament, bardzo by nam to pomogło.

- Nie ma sprawy. - Znowu zakłócenia. -...w skrytce bankowej w Auckland.

- Może mi pan przesłać kopię kurierem?

- A nie lepiej, jeśli dostarczę osobiście?

Detektyw starał się ukryć radość.

- Oczywiście, że lepiej. Ale myślałem, że pan nigdy nie zamierza wrócić do Stanów.

- Ja też tak myślałem, ale co nieco się zmieniło, prawda?

Rolvaag usłyszał w słuchawce odgłos otwieranej butelki. Nagle nabrał ochoty na zimnego foster'sa.

- Wygląda na to, że moja zmarła siostra potrzebuje kogoś, kto zadba o jej interesy. A tak na marginesie, gdyby ciekawiła pana moja motywacja, również ja nie jestem uwzględniony w prawdziwym testamencie.

Detektyw zapewnił brata Joey, że to go nie obchodzi.

- To kiedy mogę się pana spodziewać? - spytał.

- Pojutrze. Nabożeństwo żałobne jest w czwartek.

Rolvaag po raz kolejny dał się zaskoczyć.

- Jakie nabożeństwo?

- To, które organizuję, żeby uczcić pamięć Joey - odparł Wheeler, tłumiąc beknienie. - Może pan polecić jakiś fajny kościół? Katolicki, luterański, metodystyczny, obojętne jaki, byle byłoby w nim miejsce na chór.

* * *

Kiedy Red Hammernut słuchał relacji Chaza, myślał sobie, ile szczęścia go spotkało w życiu, ale również, ile przeszkód musiał pokonać. Prowadzenie tak ogromnej plantacji to ambitne przedsięwzięcie, wymagające przecież ciągłego zatruwania środowiska i systematycznego wyzyskiwania imigranckiej siły roboczej. To nie lada wyczyn opędać się od kontrolerów federalnych, jednocześnie skubiąc podatników poprzez wyciąganie od państwa lukratywnych dopłat i tanich kredytów, które mogą, choć wcale nie muszą, być spłacone w tym stuleciu. Red przypomniał sobie o setkach tysięcy dolarów, które przekazał na kampanie wyborcze, oraz kolejnych tysiącach, nieksięgowanych, które poszły na łapówki, prostytutki, wynajem prywatnych jachtów, koszty zabaw w kasynach oraz inne dyskretne przysługi. I wreszcie o niezliczonych godzinach lizania tyłków tym samym durnym politykom, których lojalność sobie kupował.

Niełatwa robota. Red Hammernut zawsze się wściekał, kiedy jacyś upierdliwi liberałowie nazywali projekt nowej ustawy o rolnictwie „zasiłkiem dla firm”. Ten termin sugeruje błogie nieróbstwo, a nikt nie pracuje ciężiej od Reda, żeby utrzymać płynność finansową i unikać kłopotów. A teraz cały ten kram może upaść z powodu jednego człowieka.

- Moja rada: zapłać mu - oświadczył pewnie Charles Perrone. - Wiem, że to kupa forsy, ale jakie mamy wyjście?

Siedzieli w biurze Hammernuta z widokiem na skażone, choć piękne jezioro. Chaz i Tool przyjechali do LaBelle prosto z Flamingo. Dotarli o czwartej rano i zdrzemnęli się na parkingu. Chaz miał na nosie zaschniętą krew, a jego twarz była cała pogryziona przez komary. Hammernut w pierwszej chwili nie mógł od niego oderwać oczu. Facet wyglądał jak ilustracja z jakiegoś egzotycznego podręcznika medycyny.

- On nas trzyma za jaja - kontynuował Chaz. - Nie widzę innej opcji, niż dać mu forszę.

Red Hammernut wyjaśnił, że nigdy nie jest tak, żeby jakiś problem miał tylko jedno rozwiązanie.

- Najpierw się upewnię, czy dobrze rozumiem sytuację, bo opowiedziałeś wszystko dość pośpiesznie. Co z tym gliną, który podobno włamuje się do twojego domu i gada przez telefon jak Mojżesz?

- Pomyliłem się. To nie on. On nie ma z tym nic wspólnego.

- Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

- Tyle że wywąchał, że to ty mi kupiłeś hummera.

- Cholera.

- Więc mu powiedziałem, że się przyjaźniliście z Joey i wyświadczyłeś jej przysługę. Pomogłeś załatwić to auto jako prezent urodzinowy dla mnie, a ona ci potem oddała forszę.

- Tylko tyle potrafiłeś wymyślić? Rany boskie. - Red zerknął na Toola, któremu głowa opadała ze zmęczenia.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem wykończony.

- To się połóż.

- Dobry pomysł. - Tool odsunął nogą krzesło i walnął się na dywan niczym opasył niedźwiedź.

Hammernut pokręcił głową.

- Więc jeśli detektyw cię zapyta o hummera... - powiedział Chaz.

- Nie martw się, chłopcze. Wcisnę mu tę samą bajkę co ty. Teraz pogadajmy o szantażu. Sukinsyn żąda pół miliona dolarów, a ty z jakiegoś powodu uważasz, że to ja powinienem mu je dać.

- Red, ja nie mam takich pieniędzy.

- Moje pytanie brzmi: co on robi, jeżeli mu nie zapłacisz? W najgorszym wypadku powie glinom, że wypchnąłeś biedną Joey za burzę.

- A to mało? - wybełkotał Chaz.

- Najpierw musi udowodnić, że był wtedy na pokładzie.

- Obawiam się, że był.

- W takim razie twoje słowo przeciwko jego. - Hammernut pomyślał o burzy, jaka się rozpięta w mediach, kiedy sprawa wyjdzie na jaw. Na razie Chaz nie wykazywał zdolności do zachowania zimnej krwi, a można wątpić, czy to się poprawi, kiedy zostanie oskarżony o morderstwo. Jeżeli faktycznie zabił żonę, przyciśnięty przez śledczych podczas intensywnych przesłuchań może puścić farbę. To byłaby katastrofa dla Hammernut Farms, a nawet większa dla Reda osobiście.

- Ten sukinsyn wie o wszystkim - powiedział Chaz.

Hammernut zgrzytnął zębami.

- Już mówiłeś.

- Wie o hummerze, o badaniach fosforu. Nie pytaj mnie skąd, ale jakoś to wszystko poskładał do kupy.

- Pech.

Sam jest sobie winien, niepotrzebnie kupował to auto. Ale zrobił to tylko dlatego, że miał po uszy marudzenia Chaza, że potrzebuje terenówki. Podejrzał, że szantażysta wynajął prywatnego detektywa, który prześwietlił Perrone'a i tym sposobem dotarł do umowy sprzedaży hummera. Gdy tylko pojawiło się nazwisko Hammernuta, nie trzeba było geniusza, żeby skojarzyć jego firmę z biologiem zajmującym się badaniem zanieczyszczenia wód gruntowych.

- To faktycznie poważne tarapaty - przyznał Red - ale nie uśmiecha mi się pozbywać pół miliona dolców.

- Ależ Red, Joey nie zostawiła mi ani centa. Mam tylko to, co na koncie.

Hammernut szybko wyliczył, że w ciągu ostatnich lat wypłacił Chazowi dwadzieścia do trzydziestu tysięcy w gotówce, z czego ten pewnie większość przepuścił na golfa i dziwki.

- Spokojnie, chłopcy. Pomyślmy chwilę. - Red sięgnął pod biurko, wyjął butelkę Jacka Danielsa i rozlał do szklanek.

Tool wypił drinka w pozycji leżącej.

- Kiedy masz dać odpowiedź? - spytał Red.

- Powiedział, że zadzwoni w poniedziałek rano - odparł Chaz.

- I nie działa sam, tak? Mówiłeś, że współniczką jest jego dziewczyna.

- Ma na imię Anna, czy jakoś tak. Ale ona mało wie - odezwał się z podłogi Tool.

- To dobrze - odparł Hammernut, choć nie ufał za bardzo jego ocenie. - Nie przestraszyła się ciebie?

- Chyba nie - mruknął Tool.

- Nie sądzisz, że to dziwne?

- Szefie, dawno przestałem się starać zrozumieć kobiety.

- Amen - dorzucił Chaz.

- Załóżmy, że dziewczyna wie to, co szantażysta, i na tym się oprzyjmy - powiedział Hammernut. - Kto chce jeszcze drinka?

Tool uniósł w górę pustą szklankę.

- Kiedy będę mógł wrócić do domu? - spytał.

- Jak tylko się skończy ta cała afera. Już niedługo, obiecuję.

- Tęsknię za moim ogródkiem.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Doskonale sobie radzisz.

- Szczerze mówiąc, można by to i owo poprawić - chrząknął Chaz. - Wybacz, Red, ale to trzeba, powiedzieć.

Red Hammernut myślał, że Perrone będzie miał na tyle rozumu, żeby nie krytykować Toola w jego obecności, ale się mylił.

- Weźmy wczorajszy wieczór - ciągnął Chaz. - Wylądowałem całkiem sam z tym pieprzonym szantażystą w samym środku Everglades. W k a j a k u .

- Ale żyjesz, nie? - odezwał się Tool.

Hammernut nie widział dobrze zza biurka, ale wydało mu się, że Tool się drapie, sądząc po odgłosach.

- Żyję. Ale nie dzięki tobie - odpalił Chaz. - Red, tamten drań dwa razy przywalił mi w głowę wiosłem. A spójrz, co zrobił z moim nosem!

Hammernut starał się okazać współczucie.

- To faktycznie musi być jakiś narwaniec.

- Myślałem, że po to mam ochroniarza, żeby mnie przed takimi bronił - skarżył się Chaz.

Tool uniósł głowę.

- We trzech byśmy się nie zmieścili w tym kajaku.

- A wtedy u mnie w domu? - dążył Chaz. - Gość cię załatwił.

- Nie ma o czym gadać - uciał Tool.

- Było, minęło - dodał Red.

- On ma z pięć dych na karku, a mało cię nie zabił!

- Teraz to już zaczynasz pieprzyć. - Głos Toola nieco stwardniał.

Redowi skończyła się cierpliwość.

- Hej, wy obaj. Zamknijcie się, bo cholery dostanę. Co to jest, przedszkole?

Chaz wiercił się nerwowo, Red powoli sączył whisky, a Tool zasnął i chrapał.

Po kilku pełnych napięcia minutach Chaz nieśmiało zagadnął:

- To co, Red, myślisz, żeby mu zapłacić?

- Myślę, że masz niezły tupet, zważywszy, że to ty nas wpakowałeś w to bagno.

Chaz poczuł się dotknięty.

- Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

Pytanie za pięćset tysięcy dolarów, pomyślał Red.

- Sprawa jest poważna - mówił dalej Chaz. - Kimkolwiek jest ten facet, może nas obu pogrążyć.

Z tego akurat Red doskonale zdawał sobie sprawę.

- Zaczekaj na zewnątrz. Muszę zamienić słowo z panem O'Toole.

- Świetny pomysł. - Chaz pewnym krokiem ruszył do drzwi. - Może ciebie posłucha.

Hammernut wstał i obszedł biurko. Czubkiem buta ze strusiej skóry szturchnął Toola w żebra. Ten podniósł smutny wzrok i powiedział:

- Red, błagam, nie każ mi wracać do Boca Raton.

- A gdybym podwoił honorarium do tysiąca dziennie?

Tool usiadł.

- On zabił własną żonę.

- Prawdopodobnie.

- Sprowadził sobie babę, mówiłem ci? Tydzień nie minął, a ten już się bzyka.

- Gdyby był papieżem, nie potrzebowałbym twojej pomocy.

Tool zsunął szelki ogrodniczek, żeby mu było łatwiej się drapać.

- Szefie, tak naprawdę to ja się nie nadaję do tej roboty.

- Tak naprawdę to teraz będziesz miał inne zadanie.

Samuel Johnson Hammernut mrugnął okiem i poklepał leżącą na biurku pękatą kopertę pełną banknotów.

Tool się rozpogodził.

- Chyba się jeszcze napiję.

Red podał mu butelkę.

Rozdział 21.

Joey leżała na nabrzeżu i smażyła się na słońcu. W pewnej chwili wysoko na niebie dostrzegła błysk przelatującego samolotu. Pomyślała o rodzicach i uśmiechnęła się.

Wyobraziła sobie tego naćpanego niedźwiedzia z cyrku siedzącego za sterami feralnego gulfstreama. Hank i Lana Wheelerowie żyli i zginęli z fantazją, której im zazdrościła. W tym nastroju zdjęła górę od kostiumu i rzuciła na pomost. Spadła wprost na nos Stroma. Pies się obudził i prychnął z ciekawionym.

Od strony zatoki dobiegły gromkie okrzyki, a po nich oklaski. Joey spojrzała w tamtą stronę i oblała się rumieńcem - dwaj mężczyźni płynęli powoli wzdłuż wyspy ciemnozieloną motorówką, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od brzegu. Mieli po dwadzieścia parę lat, byli ubrani w luźne beżowe koszule wędkarskie, jakie się widuje w katalogach z drogim sprzętem turystycznym. Strom zaraz się zerwał, strząsnął stanik Joey i zaczął szczekać. Kiedy Joey zakryła piersi, wędkarze jęknęli zawiedzeni. Położyła się z powrotem i zamknęła oczy, licząc, że odpłyną. Ostatnio coraz bardziej sobie ceniła zacisze wyspy i podzielała antypatię Micka do nieproszonych gości.

Strom biegał po pomoście jak oszalały i toczył pianę z pyska. Normalnego człowieka to by odstraszyło, ale widok półnagiej kobiety musiał tym młodym ludziom odebrać resztki zdrowego rozsądku. Po dźwięku silnika Joey poznała, że zbliżają się do brzegu.

Idioci, pomyślała.

Nawet w samym środku zatoki Biscayne nie można uciec od tego rodzaju typowo męskich zachowań. Wraz z bryzą dolatywały do Joey oblesne rechoty, cmokanie i niewybredne komentarze.

Jeden z mężczyzn skomplementował jej nogi, drugi głośno się zastanawiał, czy nosi tatuaż. Joey na próżno się modliła, żeby te szczeniackie odzywki zagłuszyło szczekanie psa. Niestety, gdy znów uniosła głowę, motorówka była już piętnaście, dwadzieścia metrów od nabrzeża.

- Cześć, mała - rzucił jeden z wędkarzy. - Pokaż no jeszcze raz te śliczne cycuszki.

Joey z łatwością wyobraziła sobie w tej łodzi Chaza, który w tym samym prostackim stylu podrywa obcą kobietę. Spokojnie wstała i poszła do szopy, gdzie Mick trzymał sprzęt wędkarski. Od pewnego czasu uczył ją zarzucać wędkę, więc uznała, że to dobra okazja, by potrenować celność. Mężczyźni wgapieni w jej nagi biust nie zwrócili uwagi, że przymocowuje do żyłki wielkiego plastikowego woblera najeżonego potrójnymi kotwiczkami.

Strom biegał wokół niej jak wariat, kiedy uzbrojona szła na kraniec pomostu.

Zamachnęła się wędką. Młodzieniec stojący na dziobie motorówki coś wybełkotał, prawdopodobnie w uznaniu dla figury Joey. Wzrok miał przyklejony do jej biustu, więc nie zauważył przynęty przecinającej łukiem błękitne lazurowe niebo. Joey nie wiedziała, czy zaczęła o jego koszulę, czy o skórę na karku, w każdym razie szarpnęła na tyle mocno, że delikwent wypadł z łodzi.

Już go prawie przyciągnęła do brzegu, kiedy Strom, kierowany pierwotnym instynktem, wskoczył do wody i wbił się zębami w jego udo. Drugi wędkarz zaczął krzyczeć, ale ani myślał ratować kolegę. Zapuścił silnik, wrzucił wsteczny bieg i odplłynął na bezpieczną odległość.

Zamieszanie wciąż trwało, gdy kilka minut później nadplłynął Mick z Rose, przyjaciółką Joey z klubu czytelniczego. Strom

puścił wędkarza i zaczął płynąć do Micka, ale skończyło się na tym, że ten, z pomocą Rose, musiał go wciągnąć na pokład whalera.

Stranahan wcale się nie kwapił, żeby odczepić haczyki od przemoczonego wędkarza. Przegryzł tylko żyłkę i zawołał do kierowcy motorówki, żeby podpłynął po swego kumpla kretyna. Wobler wielkości ogórka nadal zdobił jego koszulę niczym tandetna broszka. Gdy wdrapywał się do łodzi, Joey zauważyła, że ma wyszarpaną dziurę w spodniach - dzieło Stroma. W końcu motorówka z maksymalną prędkością oddaliła się w stronę lądu.

Rose ta scenka wydała się kompletnie surrealistyczna. Wyskoczyła z łodzi, rzuciła się Joey na szyję i zawołała:

- Jesteś najseksowniejszym trupem, jakiego widziałam!

Joey zauważyła, że przyjaciółka utleniła włosy na odcień blondu, którego pozazdrościłyby jej siostry Gabor. Miała na sobie bluzę, czarne legginsy i białe adidasy do kostek. Pewnie szła na aerobik, kiedy Mick ją dorwał.

- Bardzo się naprzykrzali? - Stranahan pokazał na oddalający się zielony punkt.

- Trochę - odparła Joey. - Ale razem ze Stromem nauczyliśmy ich manier.

Mick przyciągnął ją do siebie, pocałował w szyję i szepnął:

- Załóż stanik, bo się spalisz.

Podczas gdy Rose i Joey nadrabiały stracony czas, Mick nakrył do stołu na tarasie i przygotował lunch składający się z zupy z małży, sałatki z grapefruita, kanapek z sardynkami i sangrii. Rose co chwila przerywała opowieść Joey, żeby pozłorzeczyć na Chaza.

- Co za sukinsyn - powiedziała chyba po raz piąty. - W głowie się nie mieści, że cię wyrzucił za burtę!

- A mnie się nie mieści w głowie, że to przeżyłam.
- Nadal nie zgłosiłaś się na policję?
- Tak jest lepiej. Dzięki temu uzyskam odpowiedzi na kilka pytań.

- À propos - Rose pogrzebała w torebce. - Chyba udało mi się znaleźć w bibliotece to, co chciałaś.

Wyjęła plik kserokopii artykułów wyciętych z gazet. Stranahan uśmiechnął się szeroko i przeczytał na głos pierwszy nagłówek:

- „Miejscowa plantacja podejrzana o zatrucie Everglades”.

- A to niespodzianka - mruknęła Joey.

Rose wsunęła do ust marchewkę i zaczęła głośno chrupać.

- Kto to jest ten Samuel Hammernut i co go łączy z twoim mężem?

- Wygląda na to, że ma go w kieszeni - wtrącił Mick.

Joey opowiedziała przyjaciółce o badaniach czystości wód, które Chaz przeprowadza na terenie rozlewisk, oraz o nowym hummerze, który kupiła mu firma Hammenut Farms.

Rose przytuliła Joey.

- Nie gniewaj się, skarbie, ale zawsze wiedziałam, że ten facet to skurwiel. Co teraz zamierzasz?

- W poniedziałek przylatuje do Fort Lauderdale mój brat.

- Co ty powiesz, ten z Australii, którego nikt jeszcze nie widział? - zaciekała się Rose.

- Z Nowej Zelandii. Tylko ty i Corbett wiecie, że ja żyję. Oczywiście poza Mickiem.

- Który, nawiasem mówiąc, nawet nie raczył mi powiedzieć, jak się poznaliście.

Joey spojrzała na Micka, jakby mówiąc: „Chyba żartujesz”.

- To on mnie wyłowił z oceanu.

Rose sięgnęła po dzbanek z sangrią.

- Boże, jakie to romantyczne. Uratował ci życie. Inaczej byś utonąła...

- Albo zjadłyby ją rekiny - dodał Mick z kamienną twarzą. - I wielkie ośmiornice mutanty.

Joey uszczypnęła go w ucho. Cieszyła się, że się trochę wyluzował po wczorajszej nocy we Flamingo. Był wściekły, kiedy się dowiedział, że Joey wyszła z motelu i rozmawiała z ochroniarzem Chaza.

- Jak rozumiem, twój brat przylatuje tutaj, żeby skopać tyłek Chazowi? - powiedziała Rose.

- Chciałby, ale nie. Planuje zorganizować w którymś z kościołów w Boca Raton nabożeństwo żałobne w mojej intencji. Będzie informacja w prasie.

Rose spojrzała na Stranahana, a potem na Joey.

- Jesteście perfidni.

- Daleko nam do Chaza - powiedział Mick.

Rose odstawiła kieliszek i zatarła ręce.

- To w czym mogę pomóc?

- Możesz przyjść na mszę - odparła Joey.

- To jasne.

- I spróbować poderwać mojego męża.

Rose chwilę się zastanawiała.

- Będę musiała się z nim przespać?

- Wolałabym nie.

* * *

Charles Regis Perrone nieraz w życiu musiał udobruchać rozżaloną kobietę, ale w przypadku Ricci przeszedł samego siebie. Sto pięćdziesiąt róż, czekoladki Godiva, duża butelka Dom Perignon - wszystko to dostarczono do jej mieszkania w sobotnie popołudnie.

Mimo to nie odbierała telefonu. Ten upór był z jednej strony irytujący, a z drugiej podniecający. Takiej twardej, zdecydowanej Ricci dotąd nie znał. Był pewien, że jeśli tylko zgodzi się na spotkanie, bez trudu ją odzyska, sięgając po sprawdzony arsenał osobistego uroku, udawanej szczerości i niezapomnianego seksu. Kiedy po raz trzeci naciskał dzwonek przy drzwiach jej mieszkania, sprawdził w kieszeni, czy zabrał niebieskie pigułki. Gdy wszystko inne zawiedzie, pomogą mu ostatecznie ją przekonać.

- Odejdź - powiedziała zza drzwi.

- Skarbie, wpuść mnie.

- Pieprz się, Chaz.

- Kochanie, to nie fair.

Usłyszawszy trzask zamka, rozpromienił się. Drzwi się otworzyły.

- Boże, co ci się stało? - powiedziała Ricca.

- Komary.

- Twoje uszy wyglądają jak zgniłe guawy.

- Dzięki. Mogę wejść?

- Masz pięć minut.

Chaz wszedł do środka. Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła.

- Gdzie moje róże? - zapytał.

- Na śmietniku.

Skrzywił się, przypomniawszy sobie rachunek z kwiaciarni.

- Szampan wylałam do toalety.

- Ach tak. A czekoladki?

- Te sobie zostawiłam. Z wyjątkiem nugatowych. Zostały ci trzy minuty.

Stała przy drzwiach z ręką na klamce. Miała na sobie pomiętą bluzę, była nieumalowana i ogólnie wyglądała na przemęczoną.

- Co jest grane? Dlaczego nie chcesz się ze mną widywać?

- Bo zabiłeś swoją żonę.

- Kto ci tak powiedział?

- Facet, który wszystko widział.

Chaz poczuł, jak krew odpływa mu z głowy. Oparł się o krzesło i usiadł.

- Widział, jak wypchnąłeś Joey za burtę - kontynuowała Ricca. - Opowiedział mi wszystko ze szczegółami.

- I ty w to uwierzyłaś? - Głos mu drżał.

- Jak chwyciłeś ją za kostki i przerzuciłeś przez reling. Boże, dwie noce nie spałam.

- Ten człowiek chce ode mnie wydusić pieniądze, to wszystko. Usłyszał o Joey w wiadomościach i...

- To dla mnie coś nowego, Chaz. Nigdy nie sypiałam z mordercą.

- Spokojnie. Wierzysz na słowo obcemu facetowi, który jest jakimś hochsztaplerem...

- Powiedziałaś detektywowi, że jestem waszą gosposią - przerwała mu lodowatym tonem.

Chaz zaklął w duchu. Przypomniawszy sobie, jak Rolvaag go pytał w hotelu, do kogo dzwoni. Nic nie notował, więc Chaz nie przykładał do tego wagi. Drań musi mieć doskonałą pamięć.

- Rolvaag był u ciebie?

Ricca pokiwała głową.

- Wypytywał o różne rzeczy.

Chaz poczuł gorycz w ustach i przełknął mocno ślinę.

- Zrozum, co mu miałem powiedzieć? Że dzwonię do kochanki? Ten facet tylko patrzy, żeby mnie udupić.

- Co ty powiesz. Zadał sobie tyle trudu, żeby zdobyć mój numer.

- Strasznie cię przepraszam, Ricco. Nie masz pojęcia, jak okropnie się czuję.

Nie było widać, żeby Ricca dała się przekonać.

- To powiedz mi, dlaczego on ci nie wierzy?

- Ten gliniarz? Daj spokój - zaśmiał się lekceważąco Chaz. - On chce się tylko wykazać, aresztując pana doktora za morderstwo.

Ricca przewróciła oczami, jakby mówiąc: „Ten znowu z tym »doktorem«”.

- Chodź, pójdziemy coś zjeść - zaproponował Chaz.

- Nie jestem głodna. Poza tym twój czas minął.

Chaz w osłupieniu patrzył, jak otwiera drzwi i gestem go wyprasza.

- Nie rób tego - powiedział. - Nie zostawiaj mnie tak po prostu. Błagam cię, Ricca.

I rzeczywiście błagał.

- Koniec z nami - orzekła.

- Jeden drink. Daj mi ostatnią szansę, żebym mógł wpłynąć na twoją decyzję.

- Nie, Chaz.

- Tylko jeden drink. Nie pożałujesz.

- Dobrze, ale nie tutaj. Skończy się na tym, że będziesz mnie próbował zaciągnąć do łóżka.

Ogarnęła go niewypowiedziana ulga.

- To gdzie?

Ricca wybrała bar obok hałaśliwej kręgielni, właśnie ze względu na brak intymnej atmosfery. W soboty odbywają się rozgrywki ligowe i łatwiej przekrzyczeć startujący samolot niż okrzyki kibiców. Kiedy Ricca poszła do łazienki, wyjął fiolkę z niebieskimi pigułkami i pomny bolesnych doświadczeń z Medeą, wysypał na dłoń tylko jedną. Połknął ją na sucho i spojrzał na zegarek. Magiczna moc powinna zadziałać po godzinie, a do tego czasu miał nadzieję zmiękczyć serce Ricci.

Kiedy wróciła, odważył się czule ścisnąć ją za rękę, ale Ricca ją gwałtownie wyrwała, jakby był trędowaty. Ta jej konsekwentna niechęć i wewnętrzna dyscyplina były dla niego dużym zaskoczeniem. Zdażył wypić trzy martini, nim Ricca opróżniła jedną małą butelkę piwa. Wśród łoskotu przewracanych kręgli raz po raz przeproszał za „gosposię”, podejrzewając, że to jest większą kością niezgody niż fakt, że zabił żonę.

A jednak Ricca się nie ugięła.

- Czas już na mnie - powiedziała.

- Zaczekaj, musisz mi pozwolić skończyć.

Chaz uważał się za mistrza bajeru, ale tania wódka musiała upośledzić jego talent improwizatorski.

- Czy Rolvaag ci nie powiedział o testamencie Joey? - wypalił.

- Nie - odparła Ricca. - Ale mówiłeś, że chciała wszystko przekazać na ochronę zwierząt.

- Tak mi powiedziała, ale wczoraj ten gliniarz zjawia się u mnie i pokazuje mi nowy testament. Pyta, co ja o nim wiem. Tam jest podpis Joey sprzed miesiąca!

- Nie obchodzi mnie to, Chaz.
- Kochanie, ona wszystko zostawiła mnie!
- Czemu miałyby robić coś tak głupiego?

Chaz się nachylił i ściszył głos.

- Trzyście milionów dolców!
- Będziesz mógł za to kupić dużo fajek w więzieniu. Lepiej naucz się palić.

- Cha, Cha - zaśmiał się Chaz, ale w środku był załamany. Nie mógł uwierzyć, że wiadomość o przyszłej fortunie nie wskrzesiła na nowo zapału Ricci. Co się stało z tą wesołą, beztroską dziewczyną, która specjalnie dla niego ufarbowała sobie włosy łonowe na zielono i wygoliła je w kształt koniczynki?

- Nie rozumiesz, co to znaczy? - nie ustawał. - Pomyśl, co można zrobić z taką kupą forsy, w ile fajnych miejsc pojechać, ile różnych rzeczy kupić.

- Chaz, pozbyłeś się własnej żony.

- Jak możesz tak mówić!

- Odwieź mnie do domu. Natychmiast.

Na parkingu zagadnęła o jego dziwnie nienaturalny chód.

- Skręciłem kolano - mruknął.

- Gdzie, schodząc ze stołka barowego? Obróć się, chcę coś sprawdzić.

- Daj już spokój.

- Obróć się, mówię.

Próżność nie pozwoliła mu odmówić. Nawet w obliczu tak nieprzeniknionego chłodu nie tracił wiary, że na widok wypukłości w spodniach Ricca się złamie. Jej reakcja była jednak obojętna.

Powiedziała tylko:

- Ty tak poważnie?

Chaz odkurzył stary dobry tekst:

- Nic na to nie poradzę, kochanie. Widzisz, jak na mnie działasz?

- Nieźle. Mam coś z tym zrobić?

Chaz przytaknął przeciągłym westchnieniem.

Nie przemyślał tego. Ricca kopnęła go w jądra.

Jęknął, ale tym razem nie z podniecenia.

- Chcę wrócić do domu, dociera to do ciebie?

Prowadził w milczeniu. W głowie mu huczało. Ricca bez wątpienia będzie stanowić problem. Olbrzymi. Choć nie jest w stanie go bezpośrednio wplątać w zniknięcie Joey, będzie cennym obiektem dla prokuratorów szukających niecnego motywu morderstwa - piękna kochanka jako dodatek do niespodziewanego spadku. Sądząc po jej obecnym nastroju, z chęcią spełni obywatelski obowiązek i zezna przeciwko niemu. Przy odrobinie zachęty barwnie i ze szczegółami zrelacjonuje śliniącym się przysięgłym swój romans z oskarżonym oraz wyrazi swą aktualną kiepską opinię o nim jako o człowieku. Jeżeli Ricca pojawi się w sądzie, to będzie katastrofa.

- Powiedz mi szczerze - odezwał się Chaz - naprawdę myślisz, że zabiłem Joey?

- Tak.

- I wierzysz obcemu facetowi, jakiemuś włóczędze, który się zjawia w salonie i opowiada niestworzone historie?

- Wiem, kiedy mężczyzna mówi mi prawdę. Nie zdarza się to często, ale jeśli już, potrafię to rozpoznać. Aha, jeszcze jedno: wcale nie wyglądał jak włóczęga.

- Żartujesz? Ten człowiek to zwierzę! Pobił mnie wiosłem prawie do nieprzytomności.

- Jasne.

- Spójrz na mój nos! - Chaza zaskoczyło, że Ricca bierze stronę szantażysty. Nagle przypomniał sobie intrygującą rewelację Toola: on ma dziewczynę.

O Jezusie, pomyślał. Teraz to się trzyma kupy. Ten drań odnajduje Riccę, próbuje od niej wyciągnąć więcej informacji. Ona odmawia, chyba że jej odpali działkę z okupu. Następny przystanek: Flamingo.

To ją musiał widzieć Tool na przystani. Ona bierze udział w spisku!

- Jak dużo mu powiedziałaś? - spytał ostrożnie.

- Komu, gliniarzowi czy szantażyście?

- Szantażyście.

- Nic mu nie powiedziałam, Chaz. On mówił, ja tylko słuchałam.

- Już ci wierzę.

Ricca spojrzała na niego z wściekłością.

- Pieprz się.

- A Rolvaagowi co powiedziałaś?

- Że nie jestem waszą gosposią. Zależało mi, żeby wyjaśnić to małe nieporozumienie.

- Aha. Czyli teraz wie o nas wszystko.

- I tak by się dowiedział.

- Możliwe.

- Ej, przegapiłeś moją ulicę.

A mam inny wybór? - pomyślał Chaz.

- Dokąd jedziesz? Zawróć.

Chaz sięgnął pod fotel i wyjął trzydziestkę ósemkę, którą przed wyjściem z domu naładował. Wycelował w Riccę i rzekł:

- Nie jedziemy do domu.
- I co, teraz mnie zgwałcisz?
- Nie pochlebiaj sobie.

Przez dwadzieścia minut jechał na zachód drogą biegnącą wzdłuż kanału Hillsboro w stronę Narodowego Rezerwatu Przyrody Loxahatchee. To rozległe tereny we wschodniej części Everglades. Ricca siedziała przestraszona i nic nie mówiła, a Perrone cały czas trzymał w lewej ręce rewolwer - na wysokości jej serca. Aż się dziwił, że jest taki opanowany i pewny siebie. Raz, kiedy Ricca zaczęła majstrować przy klamce, przyłożył jej lufę do skroni.

Znieruchomiała. W świetle odbijającym się od deski rozdzielczej zobaczył jej przerażony wzrok.

Wreszcie zaczęła się bać.

Skręcił w szutrową drogę prowadzącą do zamkniętej metalowej bramy. Gwiżdżąc pod nosem, włączył długie światła, zjechał ze stromego nasypu i chwilę toczył się płytkim rowem, aż minął przeszkodę. Potem z powrotem wjechał do góry. Przed nimi rozciągało się tylko spowite nocą pustkowie.

- Boże - wyrwało się Ricce.

Chaz milczał. Najważniejsze to się skupić na zadaniu. Kiedy zabijał Joey, ani na chwilę nie stracił zimnej krwi, nie odbiegł od scenariusza.

- Kiedy kupiłeś sobie rewolwer? - spytała Ricca. - Myślałam, że nie znosisz broni...

Czubkiem lufy nacisnęła guzik odtwarzacza CD i z głośników ryknął kawałek George'a Thorogooda i Delaware Destroyers. Gitarowe riffy zagłuszyły biadolenie Ricci.

Chaz z ulgą zanurzył się w tych dźwiękach. To było lepsze niż amfa.

Jechał koroną wału przez następny kwadrans, potem zahamował i kazał Ricce wysiąść. Stała, mrużąc oczy w świetle reflektorów, odpędzała z twarzy komary i starała się nie rozplakać. Chaz poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Dużo bardziej wolałby to zrobić z zaskoczenia, tak jak w przypadku Joey, ale Ricca nie zostawiła mu wyboru.

- A więc z twoją żoną to prawda - powiedziała spiętym głosem.

- Niestety, tak.

- Chaz, jak możesz mi to robić?

- Tak samo jak i jej. - Przysiadł na masce hummera i wycelował w Riccę lufę rewolweru. Później Tool pomoże mu się pozbyć jej auta i opróżnić mieszkanie. Będzie wyglądało, jakby wyjechała z miasta.

- Nie możesz mnie zabić, Chaz. Nie dasz rady - stwierdziła. - Joey nie patrzyła ci prosto w oczy jak ja. Nie wiedziała, co ją czeka.

Właśnie takiej ckliwej scenki chciałem uniknąć, pomyślał Chaz.

- Nie rozumiem jednej rzeczy - powiedział. - Skoro tak cię obchodził los mojej żony, to czemu ze mną sypiałaś?

Ricca jakby się skurczyła.

- No? - naciskał Chaz.

- Bo byłam głupia.

- Mów dalej.

- I samolubna - dodała ochryple.

- To już coś wiemy. A teraz opowiedz mi o tobie i panu szantażyście. To tylko interes czy z nim też się pieprzysz?

- Boże, tobie zaczyna odbijać. - Ośloniła oczy przed światłem, żeby go lepiej widzieć.

- Ręka ci się trzęsie.

- Akurat.
- No, spójrz.
- Zamknij się.
- Poza tym cały czas ci stoi. O co chodzi?

Chaz z całego serca miał nadzieję, że Ricca tego nie zauważy. Zastrane pigułki.

- Nie dość, że celujesz we mnie spluwą - powiedziała - to jeszcze tym?

Ocenił, że stoi niecałe dziesięć metrów od niego. Łatwo trafić.

- Odwróć się - nakazał.

- Nie zrobię tego.

Znajdujące się za nimi mokradła były pełne tłustych aligatorów. Chaz dostrzegął w oddali co najmniej sześć par świecących oczu. Ciało Ricci do rana zniknie. To, czego nie zjedzą aligatory, dokończą żółwie i szopy.

- Nie odwrócę się - powtórzyła.

- To stój i się nie ruszaj. - Chaz chwycił broń w obie dłonie, tak jak to robią na filmach, i wymierzył.

Boże, ona ma rację, łapy mi się trzęsą jak u pijaka.

- Chaz, nie wiesz, co robisz.

- Powiedziałem, nie ruszaj się.

- Popelniasz wielki błąd. Spieprzysz wszystko...

Wstrzymał oddech i nacisnął spust. Ricca wrzasnęła, ale nie upadła.

- Ty pieprzony świrze! - krzyczała, podskakując. - To wcale nie jest zabawne!

Pięknie, pomyślał Chaz, ona myśli, że specjalnie spudłowałem. Albo strzelam ślepakami.

Zapał się mocno nogami i ponownie wycelował, zastanawiając się, jakim cudem jej nie trafił. Przecież jest sto razy większa od tego cholernego królika.

Drugi strzał trafił Riccę w lewą nogę. Obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ku zdziwieniu Chaza i tym razem nie upadła na ziemię.

- Patrz, co zrobiłeś! - Ricca trzymała się za zranione udo. - Oszalałeś?

Nie do wiary, myślał Chaz. Trzeba było wziąć strzelbę.

Poczuł kolejne ukłucie komara na policzku i tak mocno się klepnął po twarzy, że stracił równowagę i ześlizgnął się z maski. Ricca wykorzystała ten moment i błyskawicznie uskoczyła w ciemność. Chaz się pozbierał i ruszył w pościg. Coraz bardziej wydłużał krok, aż zobaczył przed sobą zarys szarej sylwetki. Już miał ją złapać, gdy Ricca znienacka zboczyła ze ścieżki i, ku jego osłupieniu, dała nura w bagno.

Chaz stanął w miejscu, ponieważ nic go nie przerażało bardziej niż perspektywa zanurzenia się po ciemku w ciepławej brei, gdzie można się zadławić rżesą wodną, poharatać ostrymi jak brzytwa źdźbłami traw i wreszcie zostać wchłoniętym centymetr po centymetrze przez zdradliwe grzęzawisko pełne żarłocznych pijawek.

Nie, dziękuję, pomyślał.

Ricca płynęła co sił, a Chaz stał na szczycie wału i do niej strzelał. W pewnym momencie się obróciła i nabrawszy powietrza, zniknęła pod wodą. Po kilku sekundach huk w głowie Chaza ustał, tafla wody się uspokoiła i powrócił zwyczajny szum nocy. Chaz wpatrywał się w punkt, gdzie stracił Riccę z oczu, ale dostrzegł tylko stado chrząszczy wodnych, które połyskiwały w świetle gwiazd. Nieco dalej w gąszczu nenufarów coś chlupnęło. Coś większego. Pewnie łyska albo belona, ale po co ryzykować? -

myślał Chaz. Zwłaszcza że skończyły mi się naboje, a tam się roi od aligatorów.

Pobiegł do auta, wsiadł, zawrócił i ruszył w kierunku miasta. Serce mu łomotało jak oszalałe, ale czuł się lekki i wolny, dumny z siebie, że z przeklętych, znieawidzonych bagien zdołał uczynić sprzymierzeńca.

Rozdział 22.

- Ślicznie dziś wyglądasz, Nellie - powiedział Rolvaag.

- Słyszac te słowa z ust takiego degenerata jak ty, mam ochotę się powiesić. Wiesz już o biednym Pinchocie?

- Tak. Jeszcze go nie znaleźli?

Pani Shulman wykręcała głowę jak mogła, żeby tylko zajrzeć w głąb jego mieszkania.

- Tutaj go nie ma, Nellie.

- Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, że się rozejrzę?

- Prawdę mówiąc, będę miał. - Rolvaag nie chciał, żeby zobaczyła puste terrarium.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to była twoja sprawka - warknęła. - Porwałeś małego pieska dla swoich własnych zboczonych przyjemności. Pewnie jeszcze nagrałeś to na filmie. I umieściłeś w internecie!

Głupi babsztyl, pomyślał Rolvaag.

- Nie karmiłem moich węży psem Berta Millera - powiedział i o mało nie dodał: Ale wypadki się zdarzają.

- Pewnie z lubością słuchasz, jak te biedne, bezbronne myszki piszczą z przerażenia. Pomyśleć, ile zabawy byłoby z pieskiem!

- To bardzo lekkomyślne oskarżenie. - Detektyw stłumił kichnięcie. Nellie Shulman złała się perfumami, które śmierdziały jak zgniłe gardenie.

- To dlaczego nie mogę wejść? W końcu jest niedziela rano.

- Ponieważ nazwałaś mnie degeneratem.

- Bo nim jesteś. Wszyscy, którzy lubią węże, są zboczeni. - Próbowała się precyzyjnie do środka, ale Rolvaag zniżył ramiona i jej nie przepuścił. - Millerowie są zdruzgotani!

Detektyw i tak miał wyrzuty sumienia. Przez trzy godziny przeszukiwał okolice bloku, ale jedyny wąż, jakiego znalazł, to był złośliwy osobnik z gatunku *Coluber constrictor*, który go ugryzł w kciuk lewej ręki.

- Widziałam, jak wczoraj krążyłeś po okolicy - powiedziała Nellie - szukając następnych smacznych kąsków.

- Nellie, znowu kombinowałaś z lekami?

Dźgnęła go palcem w klamrę od paska.

- Myślisz, że skoro jesteś policjantem, wszystko ci się upiecze. Otóż nie, kochany. Zamierzamy stąd wyeksmitować twój pogański tyłek, tak jak to zrobiliśmy z Neville'em. A on był diakonem w swojej parafii!

Gordon Neville, emerytowany inżynier budowy dróg, został zmuszony do wyprowadzki z Sawgrass Grove po tym, jak urządził nocną hulankę przy partyjce shuffleboarda z dwiema kobietami, które poznał, uczęszczając na fizykoterapię do ośrodka Imperial Point.

- Załatwiliśmy jego, to i ciebie załatwimy - zarzekła się pani Shulman.

Rolvaag zamknął jej drzwi przed nosem. Był w połowie drogi do sypialni, gdy usłyszał za plecami szelest. Ucieszył się, że to może któryś z pytonów, ale się okazało, że Nellie wsunęła pod drzwi następną kartkę.

ZAGINEŁA!

Nasza ukochana Pandora, kotka syjamska odmiany niebieskiej,
na szyi ma obrozę z kryształkami.

Znak szczególnie - w prawej przedniej łapce ma siedem palców!

Znalazcę prosimy o kontakt z państwem Monkiewicz

Sawgrass Grove 17-G.

Nagrodą będzie nasza dozgonna wdzięczność!

Co jeszcze mogę zrobić? - pomyślał Rolvaag. Węży nie da się zwabić przynętą i schwytać jak niedźwiedzi.

Przeszukiwanie krzaków nic nie przyniosło, pozostało mu więc tylko czekać, aż pytony same się ujawnią. Detektyw już wcześniej zdecydował, że nie weźmie ich ze sobą do Minnesoty (tamtejszy klimat nie sprzyja tropikalnym gadom), ale pozostawienie ich na wolności na terenie osiedla nie wchodziło w rachubę. To byłoby groźne nie tylko dla zwierząt domowych mieszkańców, ale i samych węży. Wielu starszych wiekiem sąsiadów Rolvaaga podzielało surową opinię Nellie Shulman i wołałoby widzieć pytony martwe. Laska lub grabie załatwiłyby sprawę.

Detektyw zjadł lekkie śniadanie, wykąpał się i zapakował do małej torby parę niezbędnych rzeczy, w tym mapę północnej, rolniczej części Everglades. Dostał ją od Marty, szefowej Charlesa Perrone'a. Zaznaczyła na czerwono drogi i ścieżki, którymi zwykle porusza się Chaz, gdy jeździ zbierać próbki. Na mapie oczywiście nie było nazw właścicieli poszczególnych działek, ale Rolvaag zakreślił ołówkiem przybliżone granice plantacji Hammernut Farms.

Nie był zaskoczony, widząc pewną korelację z rozmieszczeniem czerwonych linii, ale chciał to sprawdzić naocznie.

Przed wyjściem otworzył okno w nikłej nadziei, że pytony same odnajdą drogę do domu.

* * *

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo małomówny - zauważyła Joey. - Nie żebyś na co dzień był gadułą.

Obserwowali przez okno Rose młócającą wiosłem w kajaku. Już dwa razy zdążyła się przewrócić, ale dzielnie odrzucała propozycje pomocy.

- Wczoraj dwa razy grzmotnąłem twojego męża wiosłem - zdradził Stranahan. - Powinienem był ci powiedzieć.

- Nie przejmuj się. On każdego może wkurzyć.

- Nawet myślałem, żeby go zabić.

- No to co? Ja ciągle o tym myślę.

- Jest jednak pewna różnica.

- Wiem. Ja tylko fantazjuję, a ty to już kiedyś zrobiłeś.

- Właśnie.

- I bardzo to przeżyłeś.

- Ale w końcu doszedłem do takiego stanu, że przesypiam całą noc.

- Sam powiedziałaś, że nie chodzi nam o zabicie Chaza. - Joey pocałowała Micka w usta, aż mu cudownie zaszumiło w głowie.

- Dzięki, że to wszystko znosisz. Zaslugujesz na medal.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać. Pójść na policję i o wszystkim opowiedzieć.

- Jeszcze nie teraz.

Rose znowu się wywróciła i Strom skoczył jej na pomoc. Mewy i rybitwy darły się jak wściekłe, ale Rose śmiała się w głos, pomagając niezdarnemu psu dopłynąć do brzegu.

- To wszystko może się na nas odbić - powiedział Stranahan, właściwie do siebie.

Joey ścisnęła go za ramię.

- Wszystko jest pod kontrolą.

Stranahan nie był tego taki pewien. Obsada tego spektaklu, z nim włącznie, była niezdyscyplinowana i w różnym stopniu nieprzewidywalna. Najlepszy przykład to zakochanie się w Joey - nie planował tego, a jednak się stało. A im bardziej się angażował, tym silniejsze było pragnienie starcia w proch (a wcześniej

zmuszenia do wyznania prawdy) pana doktora Charlesa Perrone'a. Stranahan obiecał sobie, że się weźmie w garść.

- Myślisz też o nas, prawda? Czuję to - powiedziała Joey.

- Niestety, mój życiorys mówi sam za siebie - odparł.

- To prawda, że jeszcze nigdy nie byłam związana z kimś takim jak ty, ale dam głowę, że i ty nigdy nie byłeś z kimś takim jak ja.

- To fakt.

Poprzedniego wieczoru kazał Joey i Rose wypisać imiona i nazwiska wszystkich Beatlesów. To taki test dla młodszych kobiet, który w przeszłości kilka razy ocalił go od pewnej katastrofy. Rose trafiła tylko z trzema nazwiskami, za to Joey Perrone zdała śpiewająco. Stwierdziła, że to dzięki dokumentowi BBC, który oglądała pewnego dnia na History Channel, w czasie gdy Chaz z kolegami wyszedł się zabawić do klubu ze striptizem.

Stranahan mimo woli się uśmiechnął, bo teraz już nie było sensu udawać, że może odejść. W obecności Joey czuł się bezbronny, uskrzydłony i chyba szczęśliwy. Pewnego dnia ona wyjedzie, jak wszystkie, a on powróci do swojej leniwej egzystencji, w której wszystko się obraca wokół psa, łodzi i zardzewiałego sprzętu wędkarskiego. Taki jest jego odwieczny cykl życia, przewidywalny jak pływy.

Joey szturchnęła go w bok i powiedziała:

- Już przestań, Mick. Zwariujesz od tego.

- Przepraszam.

- Masz się odprężyć, rozumiesz? - Zdjęła kostium i zaprowadziła Micka do sypialni. - To rozkaz.

* * *

Chazowi się śniło, że został rozszarpany przez pięciometrowego aligatora o dwóch żarłocznych paszczach. Jedna pożerała mu lewą nogę, a druga prawą. Jak w jakichś chorych zawodach, która prędzej dotrze do krocza. Obudził się z krzykiem i zobaczył Toola, który z niewzruszoną miną stał w nogach łóżka.

- Miałem koszmarne sen - wyjaśnił.

Cały był zlany potem. Miał nadzieję, że to wynik niespokojnej nocy, a nie początkowe objawy gorączki Zachodniego Nilu. Wieczorem naliczył na twarzy trzydzieści cztery bąble po komarach, a każdy z nich swędział jak cholera.

- Twoja matka dzwoni - oznajmił Tool.

- Chryste, która godzina? Powiedz jej, że oddzwonię.

- Sam jej powiedz, gnojku. To twoja mama.

Odkąd wyjechali z LaBelle, Chaz wyczuwał niepokojący chłód w zachowaniu Toola. Zastanawiał się, czy postąpił rozsądnie, krytykując go w obecności Reda.

Gdy tylko Tool wyszedł z pokoju, Chaz podniósł słuchawkę i usłyszał znajome pytanie z Panama City:

- Są jakieś wieści, synku?

- Nie, mamó.

- Jak się trzymasz?

- Raz lepiej, raz gorzej - odparł smutno. Wciąż musiał udawać zrozpaczonego.

- Nie trać nadziei.

- Mamó, minęło dziewięć dni. Nikt nie przeżyłby tak długo na oceanie bez wody i jedzenia.

- Myśl pozytywnie.

- Mamó, proszę cię.

- Nie widziałaś *Poza światem*?

Perrone zazgrzytał zębami. Jego więź z matką uległa rozluźnieniu od czasu, gdy miał osiemnaście, dwadzieścia lat, ale nie z powodu jej małżeństwa z Rogerem, stukniętym pilotem RAF-u. Chodziło raczej o to, że zaczęła dostrzegać (i często komentować), iż syn nie potrafi wyrosnąć z niektórych niezdolnych przywar wieku dojrzewania. Lista obejmowała między innymi lenistwo, nałogową masturbację, głęboko zakorzeniony brak ambicji oraz organiczną awersję do mówienia prawdy. Chaz nie chciał się ustosunkować do meritum tych zarzutów, za to rzucał pod adresem matki kąśliwe uwagi, że głupotą jest przyjmować rady co do przyszłej kariery zawodowej od kasjerki z supermarketu. Odkąd obronił doktorat na uniwersytecie Duke, matka wielokrotnie ze łzami w oczach przepraszała, że w niego wątpiła. Ostentacyjnie jej wybaczył, ale tak naprawdę jej opinia ani go ziębiła, ani grzała. Od czasu do czasu zaszczycił ją telefonem, ale robił to właściwie z litości. Matka zaczynała się rozwodzić nad tym, jaka to jest z niego dumna i jak cudownie, że jej jedyny syn wykorzystuje zdobytą wiedzę naukową, by chronić Everglades przed niszczącą działalnością człowieka. Żałosna liberalna gadka. Poza tym uwielbiała Joey, więc Chaz tym bardziej nie miał ochoty na pogawędkę.

- Cuda się zdarzają - powiedziała matka. - Co wieczór modlimy się o to z Rogerem.

- Mamo - westchnął Chaz - Joey nie żyje. Już jej nie znajdują.

- Nie myślałeś, żeby pójść do jasnowidza?

- Nie. A ty nie myślałaś, żeby zbadać sobie głowę? - Rzucił słuchawką. - Wariatka - mruknął.

- Nie wolno tak się odzywać do mamy. - To znowu Tool, który stał w drzwiach, tarasując przejście niczym ściana cegieł.

Chaz niefrasobliwie polecił mu pilnować własnego nosa. Na to Tool podniósł go do góry i bez większego wysiłku cisnął nim o ścianę. Chaz miał ochotę do końca dnia pozostać zgięty w pół i chlipać z bólu, ale Tool chwycił go za włosy i wyprostował.

- Dzwon do niej, i to już - nakazał, wciskając mu telefon do ręki. - Przepróż ją, bo ci skopię jaja.

Chaz, jak tylko się pozbierał, zatelefonował do matki i przeprosił, że był dla niej niemiły. Przyszło mu to z trudem, ale alternatywa była dużo boleśniejza.

- Nie szkodzi, Charles, my wszystko rozumiemy - zapewniła go matka. - Żyjesz teraz w ogromnym stresie.

- Nawet nie masz pojęcia jakim.

- Nie myślałeś, żeby spróbować wyciągu z dziurawca? Rogerowi wyraźnie pomaga.

- Do widzenia, mamó. - Chaz delikatnie odłożył słuchawkę.

Tool zawlókł go do kuchni i posadził na krześle.

- Gdzie byłeś w nocy, doktorku? - zapytał.

- Musiałem się z kimś zobaczyć.

Chaz zbierał się na odwagę, aby wyznać Toolowi prawdę, że świadomie, z zimną krwią, popełnił morderstwo. Może tępy małpolud następnym razem się zastanowi, zanim go sponiewiera jak szmacianą lalkę. Z drugiej strony był prawie pewien, że Hammernutowi nie spodobałaby się jego samodzielna decyzja o zlikwidowaniu Ricci Spillman. Odnosił wrażenie, że Red nigdy by mu nie powierzył zadania poważniejszego niż składanie podpisu pod sfalszowanymi wynikami badań.

- Byłeś za miastem. Koła masz całe ubłocone.

- Zabrałem znajomą na przejażdżkę.

- Nie wolno ci się nigdzie ruszać beze mnie.

- Ale ty spałeś. Chrapałeś jak traktor.

- Gdzie rewolwer?

- Eee... nie wiem.

Tool złapał go za gardło.

- Gdzie ten cholerny rewolwer!

- W plecaku - pisnął Chaz.

- A gdzie plecak?

- W aucie. - Chaz wskazał kciukiem za okno.

Tool zwolnił uścisk i ruszył do drzwi. Chaz delikatnie rozmasowując szyję, winszował sobie zapobiegliwości. Usunął bowiem zużyte łuski i wyczyścił broń. Gdy Tool wrócił, nie wyglądał, jakby zauważył coś podejrzanego. Położył trzydziestkę ósemkę na ladzie i jak gdyby nigdy nic zapytał:

- Kogo zastrzeliłeś?

Chaza замуrowało. Zaczął coś bełkotać.

Tool uderzył go w twarz.

- Gadaj.

Było jasne, że relacje między nimi uległy zasadniczej zmianie.

- Chyba nie na tym miała polegać twoja praca, żebyś mnie bil po twarzy. Jesteś moim ochroniarzem, do cholery!

Tool pokręcił głową.

- Już nie. Mów, kto to był? Wąchałem lufę, doktoru. Wiem, co zrobiłeś.

- Pamiętasz tę kobietę w niebieskim fordzie? Była tu w zeszłym tygodniu.

- Pamiętam. Pani psycholog.

- No właśnie. Ubzduriała sobie coś, z czego mogły wyniknąć kłopoty. Robiło się gorąco.

- Czyżby.

- Miała na imię Ricca. Jestem prawie pewien, że kręciła z naszym szantażystą. Dam głowę, że to ją widziałeś we Flamingo.

Tool zmarszczył brwi.

- Tamta nie wyglądała znajomo.

- Było ciemno, poza tym mówiłeś, że miała czapkę na głowie.

- Tak, ale mimo wszystko. - Tool pamiętał, że kobieta od niebieskiego forda była raczej niska i przy kości, a ta w czapce wydawała się wyższa i szczuplejsza.

- Słuchaj, musisz mi pomóc pozbyć się jej samochodu i opróżnić mieszkanie. Trzeba zrobić tak, żeby wyglądało, jakby się wyprowadziła.

Tool przypatrzył mu się takim wzrokiem, jakby oglądał kleszcza.

- Załatwiłeś już dwie laski. Co z tobą?

- Przestań. To co, pomożesz mi?

Tool wyjął z lodówki butelkę Mountain Dew i pociągnął łyk.

- Nie jestem już ochroniarzem. Odtąd mam być twoją niańką, jak to określił Red. A to znaczy, że mogę ci sprać tyłek, jeśli nie będziesz posłuszny.

- Niańką - powtórzył cicho Chaz. To jeszcze bardziej poniżające, niż się obawiał. - Zaraz dzwonię do Reda i wszystko wyjaśnię. To jakiś absurd.

Tool podał mu swoją komórkę.

- Numer jest pod jedyńką.

Red Hammernut okazał współczucie, lecz pozostał niewzruszony. Stwierdził, że wprawdzie go obchodzą uczucia Chaza, ale powaga obecnej sytuacji wymaga, aby pan O'Toole przyjął bardziej aktywną rolę. Chaz odniósł niepokojące wrażenie, że goryl Reda nie tyle będzie się nim opiekował, co go pilnował. Znalazł się w czymś w rodzaju aresztu domowego.

- Nie martw się, chłopcze - pocieszył go Red - jak tylko załatwimy tego pazerne goja, który chce nas wydoić, wszystko wróci do normy.

Chaz poważnie w to wątpił.

- Zapłacisz mu, prawda? - powiedział.

- Tak, tak. Dostanie swoją forszę. Nic się nie martw.

Potem Red się pożegnał, a Chaz oddał telefon Toolowi, który spytał:

- Czemu nie powiedziałaś o tej zastrzelonej kobiecie?

Chaz odwrócił głowę.

- Zapomniałem.

- Nigdy więcej nie wylazł z domu beze mnie, słyszysz?

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Chaz, słusznie podejrzewając, że małpolud i tak nie wyczuje sarkazmu.

Tool walnął go po głowie i kazał się trzymać reguł. Chaz się skulił i zasłonił rękami. Miał już dość ciągłego obrywania. Najpierw od tego szantażysty, a teraz od włochatego troglodyty.

Ostatni raz zarobił tyle siniaków, gdy się naćpał „pigułkami gwałtu” i spadł ze schodów żeńskiego akademika w Durham.

- No dobra - mruknął Tool i poszedł „zasadzić” za domem nowy krzyż, który wykopał przy autostradzie numer 27 w drodze powrotnej z LaBelle.

Chaz zaparzył sobie kawy. Z natury nigdy nie miał skłonności do analizy i refleksji, lecz teraz przyjrzał się uważnie wydarzeniom ostatnich dni. Było jasne, że jego notowania u Hammernuta spadły. Oby Red nie chciał na nowo przemyśleć swoich pierwotnych zobowiązań. W zamian za fałszowanie wyników badań obiecał mu ciepłą posadę w Hammernut Farms - stanowisko głównego biologa. Tłusta pensja, wielkie biuro, cycata

blond sekretarka - co tylko będzie chciał. Taka była umowa. Przyklepali ją uściskiem dłoni i toastem.

Ale teraz... teraz Chaz miał wrażenie, że to jego Red obwinia za tę lawinę kłopotów, począwszy od węszonego detektywa, a skończywszy na sukinsynie żądającym pół miliona dolarów. To prawda, że nic by się nie stało, gdyby Chazowi nie przyszło do głowy wyrzucać zupełnie niewinnej żony za burtę statku. Ale skąd miał wiedzieć, że gdzieś się zaczął wyrachowany drań, który wszystko widzi?

To nie w porządku ze strony Hammernuta, że tak łatwo stracił zaufanie do Chaza, skrócił smycz i oddał go w łapy tego zakutego łba, Toola. Z pewną goryczą stwierdził, że Red go nie docenia, tak samo jak wiele lat temu jego matka. Gdyby go zobaczył wczoraj w akcji, jak gładko i sprawnie rozwiązał problem Ricci, może zmieniłby chłodną ocenę jego charakteru. Na pewno byłby pod wrażeniem.

Kiedy patrzył, jak Tool wkopuje w ziemię kolejny biały krzyż, zaczęło go dręczyć podejrzenie, że dla Hammernuta doktor Charles Perrone przestał być wartością, a stał się obciążeniem.

A dobrze wiedział, co robią z takimi obciążeniami ludzie pokroju Hammernuta.

Rozdział 23.

Joey i Mick czekali, aż czarterowy falcon z Corbettem Wheelerem na pokładzie wylądował na lotnisku Tamiami. Brat Joey wysiadł z samolotu ubrany w długi czarny skórzany płaszcz „olejak” oraz skórzany kapelusz z szerokim rondem przykrywający burzę rudoblonde włosów. Miał gęstą zaniedbaną brodę, a w ręku trzymał sękaty kij, jakiego często używają wędkarze łowiący pstrągi w bystrych rzekach. Z pięć centymetrów wyższy od Stranahana, uściśnął mu dłoń niczym biznesmen finalizujący kluczową i ryzykowną transakcję. Potem jedną ręką chwycił siostrę i kilka razy obrócił ją dookoła, aż zaczęła się śmiać. W drodze na Dinner Key chwalił się zdjęciami swojej wspaniałej owcy Celine, mieszanki ras wschodniofryzyskiej i coopworth, która przeżyła paskudny atak zanokcicy i stała się najpłodniejszą reproduktorką na farmie.

- Czyż nie jest piękna? - zachwycił się.

Mick i Joey postanowili uznać to pytanie za retoryczne.

- To najłagodniejsze stworzenia na ziemi. Może to się wydać dziwne, ale zdecydowanie wolę ich towarzystwo niż ludzi.

Mick odparł, że doskonale go rozumie.

- Nie chodzi o jakieś nienaturalne skłonności, o nie - dodał surowym tonem Corbett. - Joey może potwierdzić.

- To prawda. Corbett ma słabość do kobiet. Chyba ze trzy czy cztery razy się zaręczał.

Brat pokiwał głową ze skruchą.

- Ze mną nie da się żyć. Szybko tęsknię za samotnością.

- W takim razie spodoba ci się na wyspie - stwierdził Stranahan.

- Tak, ale najpierw jedźmy na statek!

- Jesteś mistrzem - powiedziała Joey.

Corbett uchylił kapelusza.

- Dla ciebie wszystko, siostrzyczko.

Trzy godziny później, zaliczywszy męczącą wędrówkę po centrum handlowym Galleria Mall, znaleźli się na tylnym pokładzie motorowca „Księżna Słońca” w porcie Everglades i czekali na zapadnięcie zmroku. Brat Joey wychylił się za reling i pokazując kijem, powiedział:

- Rany boskie, jakim cudem to przeżyłaś?

- Odpowiednio się ustawiłam. Uratowały mnie cztery lata pływania w reprezentacji college’u.

Stranahan zauważył, że Joey trzyma się z dala od krawędzi pokładu. Gdy spytał, czy dobrze się czuje, odpowiedziała:

- Po prostu trochę tu strasznie.

- Nie musimy tego robić.

- Co ty opowiadasz. Jasne, że musimy.

Corbett Wheeler, wciąż patrząc za burtę, gwizdnął.

- Gdybym to był ja, nie przeżyłbym.

- Ty byś się przede wszystkim nie ożenił z kimś, kto chce cię wyrzucić za burtę.

Brat Joey wzruszył ramionami.

- Związki między ludźmi to skomplikowana sprawa. Dlatego wolę zwierzęta.

Stranahan obserwował płynącą w oddali paradę frachtowców, kutrów i holowników. Ich kilwatery się krzyżowały, tworząc spienione fale. Fajnie byłoby po nich poszaleć whalerem.

- Wynajęłaś cały statek? - zapytał Corbetta.

- Tylko na jedną noc.

Joey zainteresowały koszty, ale Corbett kazał jej pilnować własnego nosa.

- Jeden z silników jest w remoncie, więc armatorowi moja propozycja była na rękę. Na jutro wynajęli komuś cały jeden pokład na bar micwę!

Joey założyła ciemne okulary i bejsbolówkę, żeby przypadkiem ktoś z załogi jej nie rozpoznał. W gazetach pisali, że Chaz po wypadku dostarczył jej zdjęcie, które skopiowano i rozesłano gdzie się da.

Wystawiła rękę z dwiema dużymi reklamówkami.

- Jesteś gotów, Mick?

- Może najpierw się napijemy? - zaproponował Corbett.

- To jest pomysł - ucieszył się Stranahan.

* * *

Tool usiadł obok Maureen i szepnął:

- Dzień dobry.

Uchyliła powieki. Kiedy się uśmiechnęła, Tool zauważył, że ma zaczerwienione i spierzchnięte usta. Przez chwilę myślał, czy się nie zatrzała mięsem z aligatora, którym ją ostatnio częstował.

- Co to jest? - spytał.

Pod nosem miała jakąś rurkę, a obok łóżka na stojaku wisiał woreczek z płynem, który spływał do żyły w prawej ręce.

- Pogorszyło mi się - odezwała się słabym głosem.

Tool chciał przełknąć ślinę, ale okazało się, że nie może.

Spojrzał na metalową puszkę, którą trzymał na kolanach.

- Przyniosłem ci kawałek ciasta.

- Dziękuję, Earl, ale może później.

- Co się stało? - Był wystraszony i dezorientowany.

- Nic. Tak to już jest.

- Z czym?

- Z tą chorobą. Raz lepiej, raz gorzej.

Pogładziła go po lśniących włosach na rękę. Tool tak mocno ścisnął poręcz łóżka, że mu kostki pobieleały.

- Jak tam w pracy? - spytała Maureen. - Opowiedz mi o tym ważnym spotkaniu, na które się ostatnio wybierałeś.

- Nie mów tyle, odpoczywaj - powiedział Tool.

Położył puszkę z ciastem na stoliku i wziął do ręki pilota. Zaczął przerzucać kanały, aż znalazł film przyrodniczy o pelikanach. Pomyślał, że zainteresuje Maureen. Mówiła, że zanim zachorowała, uwielbiała obserwować ptaki. Raz udało jej się wypatrzeć dzięcioła skromnego. To bardzo rzadki gatunek, niewiele ich już zostało na świecie. I rzeczywiście, Maureen uniosła głowę i podsunęła się wyżej na poduszce.

- Słyszałeś, Earl? - powiedziała. - Białe pelikany przylatują do Zatoki Florydzkiej aż z Kanady.

- Skubane - odparł Tool.

Nagle Maureen dostała ataku kaszlu. Tool się przeląkł, podniósł ją i uderzył między łopatkami. Jęknęła z bólu. Ułożył ją delikatnie na poduszce. Do sali weszła zaalarmowana odgłosami pielęgniarka i spytała Toola, co się dzieje.

- Wszystko w porządku, to mój siostrzeniec - wyjaśniła Maureen, powoli odzyskując oddech.

Pielęgniarka, niewysoka Latynoska, usiłowała pogodzić w głowie nietypową aparycję Toola z białym fartuchem, który miał na sobie.

- Jest doktorem - dodała Maureen.

- Ach tak.

- Z Holandii.

Kiedy pielęgniarka poszła, Maureen szepnęła:

- Zwykle nie lubię kłamać, ale obawiam się, że wezwałaby ochronę.

- Gdzie twoja rodzina? - spytał Tool. - Czemu nigdy cię nie odwiedza?

- Córki mieszkają w Coral Gables, to bardzo daleko. Mają własne dzieci na głowie. Widujemy się w święta.

- To wcale nie tak daleko. Jest przecież autostrada. Mogłyby chociaż przyjeżdżać w weekendy.

- Masz jeszcze plastry?

Z pewnym wysiłkiem obróciła się do ściany. Koszula na plecach była rozchylona, ukazując bladą, woskową skórę. Nie było ani jednego plastra z fentanylem.

- Bierz, ile chcesz - powiedziała.

- Ale tu nic nie ma.

- Naprawdę? - Odwróciła się z powrotem. - Pewnie pozdejmowali, kiedy podłączali morfinę. - Zerknęła na kroplówkę. - Dali mi specjalną pompę, żebym nie musiała fatygować pielęgniarek, które nawiasem mówiąc, nic nie robią, tylko siedzą na tyłku, obgadują mężów i czytają plotkarskie pisemka.

- Mnie już te plastry niepotrzebne - powiedział Tool. - Tak tylko wpadłem. - Prawdę mówiąc, zatęsknił za jej towarzystwem. Dziwne, ale bardzo polubił tę starą kobietę.

- Jeszcze jeden chyba leży w szufladzie - przypomniała sobie Maureen. - Weź sobie.

Plaster był nierozpakowany. Czemu nie, pomyślał Tool i wsunął go do kieszeni.

- Earl?

- No?

- Ciebie coś gryzie.

- Nic mi nie jest.

- Młody człowieku, przecież widzę. Mów.

Wstał.

- Powinnaś się wyspać - powiedział. Postanowił jej nie mówić, że Perrone zastrzelił kobietę ani o całej reszcie. Maureen i tak by nie zrozumiała, poza tym nie chciał jej martwić.

Jeszcze raz dotknęła jego ręki.

- Nigdy nie jest za późno na zmiany. Przyrzeknij, że będziesz o tym pamiętał.

- Powiem tym konowałam, żeby ci dali silniejsze leki - odparł. - Wyjdiesz z tego.

Maureen zamknęła oczy.

- Posłuchaj, Earl. Powinieneś myśleć o sobie, nie o mnie. Życie tak szybko mija, każda zmarnowana chwila to zbrodnia. - Otworzyła jedno oko i spojrzała na niego. - A każda zbrodnia to zmarnowana chwila.

Tool zapewnił Maureen, że będzie unikał kłopotów.

- Dokończę tę robotę i wracam do domu.

- Ale ja mam złe przeczucia.

- Bez obaw.

Wydawało mu się bez sensu, że odczuwa współczucie wobec bądź co bądź obcej kobiety. W niczym nie przypominała jego matki, która była głośna, impulsywna i klęła jak szewc. A jednak patrząc, jak Maureen naciąga koldrę pod brodę, czuł tę samą powoli narastającą bezradność i silne przeczucie straty, jak wtedy gdy mama zachorowała.

- Byłeś w końcu u tego chirurga? - spytała Maureen.

- Nie miałem czasu.

Kościstymi palcami chwyciła kępkę włosów na jego dłoni i skręciła, aż krzyknął z bólu.

- Earl, nie możesz chodzić z kawałkiem ołowiu w tyłku. To musi wpływać na twój punkt widzenia.

Tool wyrwał rękę.

- Zajmę się tym, słowo.

- To się nawet może okazać punktem zwrotnym w twoim życiu. Jak to mówią, epifanią. Albo przynajmniej katharsis.

Tool przyjął, że to są medyczne terminy związane z zabiegiem usunięcia kuli, i obiecał Maureen, że umówi się z lekarzem, jak tylko znajdzie chwilę.

- Wpadnę za tydzień - powiedział.

Spojrzała na niego ciepło.

- Earl, czy ty się modlisz?

- Już dawno nie - odparł. - Będzie ze trzydzieści lat.

- To nic.

- Muszę już iść.

- Ilekroć zaczynam tracić wiarę, patrzę w błękitne niebo i niemal wszędzie dostrzegam dzieło Boga. Weź choćby tego ptaka, który każdej zimy przylatuje z Manitoby do Key West. Co roku!

Tool spojrział na telewizor. Na ekranie stado śnieżnobiałych pelikanów zrywało się do lotu z pomarszczonej tafli rozlewisk. Można było odnieść wrażenie, że długa plaża o białym piasku rozpadła się nagle na części i rozwiała na wietrze.

- Chciałbym to kiedyś zobaczyć - powiedział Tool.

Po chwili dłoń Maureen wysunęła się z jego dłoni. Po ciężkim oddechu poznał, że kobieta zasnęła. Obejrzał film do końca i wyłączył telewizor. Kiedy wychodził z budynku, dorwała go

latynoska pielęgniarka i spytała, czy rzeczywiście jest siostrzeńcem Maureen.

- Nie widzę dużego podobieństwa - stwierdziła.

- Byłem adoptowany.

- Ach tak. I tam w Holandii jest pan lekarzem?

- Nie, doktorem - odparł z naciskiem.

- Aha.

Cwana suka, pomyślał, wciskając się za kierownicę grand marquisa. Myślała, że mnie przechytryzy!

* * *

Dwadzieścia kilometrów dalej, w rezerwacie Loxahatchee, jednooki mężczyzna obdzierał ze skóry martwą wydrę. Był wysoki, miał wielkie dłonie, a jego skóra była barwy końskiego siodła. Miał na sobie spodnie na szelkach, wojskowe buty, foliowy czepek pod prysznic i sprany T-shirt z lubieżnie wywalonym jęzorem. Srebrzysta broda składała się z licznych warkoczyków oblepionych na końcach zaschniętą rzęsą wodną. Wyglądał na leciwego i lekko obłąkanego, ale poruszał się sprawnie i pewnie niczym sportowiec lub żołnierz. Niegdyś był i jednym, i drugim.

Wydrę zabił kilka godzin wcześniej kłusownik, który nie zdawał sobie sprawy, że jest śledzony, aż było za późno. Jednooki mężczyzna bez trudu go rozbroił, rozebrał, grubą trawą skrępował mu ręce i nogi, a następnie przywiązał na smyczy z konopnego sznura i podstawił pod gniazdo aligatora.

Ricca Spillman wszystko to widziała.

Funkcjonowała w stanie zawieszonyj świadomości. Choć minęły dwa dni, wciąż nie była pewna, czy jednooki mężczyzna

nie jest wytworem jej wyobraźni. Jeżeli jednak istniał naprawdę, uratował jej życie.

Oznajmił jej, że zjedzą wydrę, ponieważ to lepsze niż zostawić ją na pożarcie myszówom. Gdy spytała, co się stanie z kłusownikiem, odparł:

- Jeżeli aligator go nie dorwie, chyba go puszcze. Wszystko zależy od tego, jak się będzie zachowywał.

- A co ze mną?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko ostrze noża błysnęło, kiedy wprawnie oddzielał mięso od skóry pokrytej gęstym mokrym futrem. Gdy skończył, rzekł:

- Opowiedz mi jeszcze raz o swoim chłopaku.

Ricca powtórzyła historię Chaza Perrone'a, a mężczyzna tymczasem rozpalił małe ognisko. Mięso wydry dziwnie pachniało, ale Ricca była tak głodna, że wmusiła je w siebie.

Mężczyzna pochłoniął wszystko, co zostało na patelni, głośno chrupiąc kosteczki. Potem zasypał ziemią ognisko, wytarł dłonie o spodnie i wziął Riccę na ręce.

- Jak tam noga? - spytał, brnąc przez krzaki.

- Dzisiaj o wiele lepiej. Dokąd idziemy, kapitanie?

Tak kazał się do siebie zwracać.

- Tu niedaleko jest drugie obozowisko. - Niósł Riccę zupełnie bez wysiłku, jakby była z puchu.

- Kiedy będę mogła wrócić do domu?

- Masz bardzo miły głos. Chciałoby się zasnąć w twoich ramionach.

- Zabierzesz mnie do domu? Proszę.

- Wybacz - odparł mężczyzna - ale nie mogę się zbliżyć do autostrady. Nie pytaj dlaczego. Źle reaguję na samochody.

Obozowisko okazało się niewielką polaną w siedlisku palm karłowatych. Mężczyzna w czepku postawił Riccę na ziemi, rozpałił kolejne ognisko i zagotował dzbanek kawy. Z płóciennego worka z napisem „U.S. Postal Service” wyjął tomik poezji.

- Oliver Goldsmith - powiedział.

Ricca uniosła brwi. Mężczyzna otworzył książkę na zagiętej stronie i położył ją kobiecie na kolanach.

- Możesz przeczytać na głos? - poprosił.

- Wszystko?

- Tylko pierwszą zwrotkę.

Ricca, która swoje kontakty z poezją zakończyła na etapie wierszyków dla dzieci, najpierw przeczytała zwrotkę po cichu:

*Gdy młodzian zdradliwy na grzechu bezdroże
Zawiedzie zbyt ufną dziewczynę,
Ach! wtedy cóż boleść ukoić jej może,
Co zmyje jej hańbę i winę?*

Gdy potem powtórzyła ją na głos, mężczyzna w czepku cierpliwie się uśmiechnął.

- Widać, że ten wiersz do ciebie nie przemawia.

- O jakim grzechu on mówi? Wcale nie czuję się winna. Jestem wkurzona!

- To zrozumiałe. Ten drań cię zastrzelił.

- I oszukał. Cały czas kłamał!

Mężczyzna wziął od niej książkę i schował do worka.

⁷ Oliver Goldsmith, Pleban z Wakefieldu, w przekładzie Hajoty, Warszawa 1947 (przyp. tłum.).

- Muszę wyrównać rachunki z tym człowiekiem. Pomoże mi pan?

Mężczyzna wyjął z oczodołu szklane oko i wytarł je rogiem koszulki. Usłyszał strzały z odległości prawie dwóch kilometrów. Zaczął brnąć w tamtą stronę przez trawy i bagna, trochę idąc, trochę płynąc, lecz kiedy dotarł na miejsce, strzelca już nie było. Zobaczył tylko dwa czerwone światła oddalające się po nasypie. Ricca ze strachu schowała się pod wodę w kępie nenufarów. Co jakiś czas wystawiała nos i usta na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Po tych odgłosach jednooki mężczyzna ją zlokalizował.

Roztrzęsiona, z krwawiącą raną w nodze, mimo wszystko próbowała się bronić. Sądziła po jego wyglądzie, że to jakiś niebezpieczny zboczeniec z bagien.

- Wybacz, ale nie mogę ci pomóc. Przechodzę teraz ciężki okres
- odpowiedział.

- Co się dzieje?

- No, na przykład dzień i noc tłucze mi się po głowie jedna piosenka, *Midnight Rambler* w wykonaniu Eydiego Gorme'a i Cata Stevensa. To na pewno przesympatyczni faceci, ale naprawdę jestem już bliski strzelenia sobie w łeb. Żeby tak z godzinę ciszy... - rzekł tęsknie.

Ricca nic nie odpowiedziała. Gapiła się ze zgrozą na pustą jamę oczodołu.

- A do tego prawie bez przerwy mam halucynacje. Domyślałem się, że w rzeczywistości wcale nie jesteś podobna do prezydentowej Johnsonowej, prawda? Wiem, że to brzmi nedorzecznie. Jesteś dużo młodsza, masz piegi i kręcone włosy, a jednak kiedy na ciebie patrzę, widzę Lady Bird.

- Może warto pójść do lekarza?

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął. Ricca nagle spostrzegła, że kiedyś, zanim znikował, musiał być niezwykle przystojny. Nawet teraz poczuła delikatne drżenie serca.

- Całkiem możliwe, że umieram.

- Wykluczone, kapitanie.

- Miewałem w życiu chwile, kiedy chętnie skorzystałbym z takiej okazji. Dopadłbym tego twojego kochasia, przywłókł go tutaj i urządził sobie zabawę. I nie mówię o zwykłej zemście, ale klasycznym polowaniu na ofiarę. Zrozum, istnieją podstawowe reguły przetrwania na tej planecie, a ludzie tacy jak twój Chad...

- Chaz - poprawiła Ricca.

- ...kiepsko sobie radzą bez suchych skarpetek, nici dentystycznych i klimatyzacji. Nawet ten podły kłusownik, którego złapałem dziś rano, jest lepiej przygotowany do życia na tym świecie niż... Chaz, tak? - Mężczyzna klepnął się po uszach. - Cholerna piosenka.

- Ja nic nie słyszę.

- W zeszłym tygodniu to był David Lee Roth i Sophie Tucker. Ryby żyjące w tych wodach muszą być napakowane rtęcią. - Nachylił się i kilka chwil intensywnie wpatrywał w płomień. - Mówiłaś, że twój luby pracuje na terenie parku.

- Tak. Bada czystość wody.

- Szkoda, że nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały. - Mężczyzna zaśmiał się pod nosem i włożył szklaną kulę z powrotem do oczodołu. - Mogę cię najwyżej zanieść do grobli. Stamtąd zawiezie cię do miasta mój kolega.

- A co potem? - zapytała Ricca.

- Ja ruszam na zachód. - Podał jej kubek z kawą. - Jednego dnia byłem taki głodny, że zjadłem grzechotnika karłowatego. Normalnie nie tykam gadów, ale tym razem nie mogłem

wytrzymać. No więc już mam złapać drania, a tu ukazuje mi się twarz Henry'ego Kissingera. Gapi się na mnie i wysuwa ten rozdwojony jęzor! Kissinger jak żywy!

O nim też Ricca Spillman nigdy nie słyszała, ale spytała grzecznie:

- I co pan zrobił?

- Jak to co? Odgryzłem mu łeb, a resztę usmażyłem na oleju rzepakowym. Chodzi o to, że mam chwilowo pod górę w życiu osobistym i absolutnie muszę się trzymać z daleka od autostrad, tłumów i w ogóle ludzi. Naprawdę chciałbym ci pomóc, ale nie dam rady.

- To nic, coś wymyślę - odparła Ricca.

Zastanawiała się, czy ta historia o wężu miała być rodzajem pouczającej przypowieści.

Mężczyzna jakby czytał w jej myślach.

- Idź za instynktem, moje dziecko. Po prostu.

- Spróbuję.

Zgasiwszy ogień, krzepki pustelnik wziął ją na ręce i ruszył przed siebie. Szli godzinę w palącym słońcu, a on nawet się nie zasapał. Na szczycie wału stał ubłocony jeep. Za kierownicą siedział młodszy mężczyzna w wełnianej czapce i ciemnych okularach. Był spięty i niespokojny.

Kapitan ucałował Riccę w czoło i kazał jej uważać na nogę.

Ona również go ucałowała.

- Dziękuję, że mnie pan uratował.

Jednooki mężczyzna wyprężył się i zasalutował.

- To dla mnie zaszczyt, pani Johnson.

Rozdział 24.

Doktor Charles Perrone pędził z zawrotną prędkością po szczycie wału, podskakując na wybojach. Co jakiś czas wystawiał głowę i patrzył w niebo pełne warczących helikopterów, które latając nad rozlewiskami Everglades, wyglądały jak gigantyczne kolorowe ważki. Przedziwny spektakl.

Czuł się jak Ray Liotta w scenie z *Chłopców z ferajny*, kiedy krążył jak wariat z paczką nielegalnej broni i nie wiedział, czy ścigający go helikopter jest prawdziwy czy wyimaginowany. Tyle że w filmie leciała piosenka Harry'ego Nilssona, a Perrone'owi ryczał do uszu pan Thorogood, pytając: *Who do you love?*

To była idealna muzyka do samochodu, ale Chaz jakoś nie potrafił wejść w nastrój. Jechał pobrać kolejną próbkę wody, więc był cały w nerwach. Może istniało jakieś niewinne wytłumaczenie obecności śmigłowców - niebieskiego, zielonego, czerwonego, białego, jeszcze jednego niebieskiego...

Może zaginął jakiś myśliwy lub wędkarz? Tylko że to nie były helikoptery ratownicze, raczej prywatne, jakich używają biznesmeni. Podobne do małego zgrabnego bella 206 dzierzawionego przez Hammernut Farms, żeby obwoził Reda po włościach. Raz zabrał Chaza na przejażdżkę, tuż po tym jak zawarli umowę o współpracy. To była pierwsza i ostatnia podróż Perrone'a helikopterem. Lecieli nisko nad szachownicami pól. Z góry mógł dokładnie prześledzić cały szlak zanieczyszczeń, sieć płytkich brązowych kanałów kierujących skażony odpływ z pól na tereny Everglades. „Szambo Pana Boga”, mówił na to Red i ryczał ze śmiechu schowany za przyciemnianymi goglami, w których wyglądał jak psychodeliczna mucha. Doktor Perrone też się śmiał, choć bardziej po to, żeby się przypodobać. Ale to nie było do końca nieszczerze; jego też guzik obchodziły rozciągające się w

dole mokradła i to, co może z nimi zrobić ciągle zalewanie ich nawozami...

Cholera, zaklął w duchu Chaz, leci następny!

Tak się zagapił na helikopter w czerwone paski, że o mało nie zjechał ze skarpy.

Nagle szarpnięcie obudziło Toola.

- Zwolnij, kretynie - mruknął.

Chaz pokazał palcem do góry.

- Patrz!

- Helikopter, no i co?

- Ale ile ich jest!

Tool kichnął, po czym wytarł nos owłosioną ręką.

- Może film kręcą.

Chaz, penetrując wzrokiem horyzont, nerwowo poruszał głową to w przód, to w tył.

Toolowi skojarzył się z jaszczurem polującym na owady.

- Jak się wpięprzymy do wody - powiedział - to cię uduszę, zanim zdążysz się utopić.

- A jeśli to nas śledzą?

- E tam.

- Jezu, widzisz tego niebieskiego? Tuż za nami! Spójrz w lusterko!

Tool, będący pod wpływem świeżej porcji fentanylu, zamknął oczy.

- Helikoptery, też mi coś - wymamrotał i zasnął.

Chaz zaparkował przy przepuście, wcisnął się w wodery, wziął kij do golfa i wszedł do mętnej wody. Naliczył na niebie siedem śmigłowców, każdy krążył na innej wysokości.

Wyglądało na to, że to jednak jego obserwują, więc uważał, żeby czynność pobierania próbek przeprowadzić starannie i z należyтым namaszczeniem. Udawał, że nic się nie dzieje, ale kiedy niebieski helikopter nagle się zniżył i zawisł niemal tuż nad jego głową, zsikał się w majtki.

Gdy Tool się znowu obudził, Chaz biegł z powrotem do auta. Śmigłowce odleciały.

- Dawaj komórkę - wydyszał Chaz.

- Po co?

- Muszę zadzwonić do Reda.

Tool rzucił mu telefon. Perrone był spocony i czerwony ze złości. Wybrał numer biura w LaBelle i zażądał rozmowy z panem Hammernutem.

- Że co? - krzyknął do sekretarki. - Pojechał na ryby? Pięknie.

Tool uśmiechnął się sennie. Wyprawa na ryby to fajny sposób na spędzenie dnia.

Chaz kipiał ze złości.

- To proszę mnie przełączyć na pocztę głosową.

- Zadzwoń później - doradził Tool.

- Nie, nie. To nie może czekać. Red? Red, tu Chaz. Słuchaj uważnie: przyjeżdżamy dziś rano na drugi przepust, a tu nad nami pełno helikopterów. Nie wiem, kto to był i o co tu chodzi, ale ponieważ jesteś jedyną znaną mi osobą, którą stać na wynajęcie całej floty śmigłowców... ostrzegam, Red, uważaj, co robisz. Chyba nie chcesz, żeby stało mi się coś złego. Lepiej, żebym był zadowolony, bezpieczny i spokojny, prawda? Bo na razie jest zupełnie odwrotnie. Cholera, rozłączyło mnie!

Z nerwów aż się zasapał. Tool zabrał mu telefon i powiedział:

- Chłopie, tobie naprawdę odbiło.

- Chcecie, żebym tak myślał, co? Taki jest wasz sekretny plan?

Wystawił głowę przez okno i z lękiem spojrzął w górę. Niebo było czyste, błękitne i puste, nie licząc samotnego sępa krążącego wysoko w ciepłych prądach powietrza.

* * *

Joey Perrone pamiętała, że *Chłopcy z ferajny* to był jeden z ulubionych filmów jej męża. Stąd pomysł z helikopterami. Corbett był zachwycony. Osobiście zadzwonił do firmy wynajmującej i za wszystko zapłacił swoją platynową kartą kredytową. Rachunek wyniósł ponad dwadzieścia trzy tysiące dolarów. Joey nie lubiła latać z powodu tego, co się przydarzyło jej rodzicom, ale Corbett przyrzekł, że to będzie duża frajda. Helikoptery są super.

I miał rację. Niebieski bell-ranger zabrał ich z wyspy, przeleciał nisko nad zatoką, a potem ruszył wzdłuż wybrzeża. Corbett zajął miejsce obok pilota. Joey usiadła przy Micku i cały czas trzymała się go obiema rękami. Pokazał jej Stiltsville, gdzie kiedyś mieszkał, potem Key Biscayne, South Beach, drapacze chmur przy Collins Avenue. Joey zobaczyła, że droga międzystanowa jest w obie strony zablokowana z powodu wypadku. W środku zamieszania migały czerwone i niebieskie światła służb ratowniczych.

Corbett obrócił się do tyłu i głośno powiedział:

- Nie obraż się, siostra, ale gdybym miał tu mieszkać, strzeliłbym sobie w łeb.

Później, kiedy pilot skręcił bardziej na północ, w zachodnie rejony okręgu Broward, Joey usłyszała, jak brat fuka z obrzydzeniem na widok nowych dzielnic mieszkaniowych rozrastających się jak chwasty we wszystkich kierunkach. Tysiące identycznych domków upchniętych obok siebie tak ciasno, że można by przemierzyć kilometry, skacząc z dachu na dach. Tam,

gdzie nie było domów, stały kompleksy biurowe, centra handlowe i ogromne salony samochodowe - hektary toyot i chryslerów smażących się w słońcu. Od mokradeł Everglades te hałaśliwe masy ludzi oddzielał tylko wąski wał.

- Przynajmniej zostawili kilka jezior dla dzieci - rzuciła Joey.

Mick smutno pokręcił głową.

- To zalane wyrobiska. Głębokie na setki metrów. Stamtąd brali ziemię do wyrównywania terenu.

- A co tu było wcześniej?

- To. - Mick wskazał na drugą stronę wału. - Najszersza rzeka świata.

- O, przed chwilą zobaczyłem drzewo! - drwił Corbett. - Jak Boga kocham, prawdziwe!

Wkrótce zabudowania ustąpiły miejsca rozległym połaciom traw, które falowały na rześkim wiosennym wietrze niczym łany pszenicy. Poza pojawiającymi się gdzieniegdzie pojedynczymi łodziami śmigłowymi, małymi kropeczkami wielkości komara, nie było widać śladu ludzkiej obecności. Stranahan dostrzegł trzy młode jelenie pomykające w kierunku kępy drzew. Joey zdała sobie sprawę, że jeśli nie liczyć szopów grzebiących w śmietnikach, pierwszy raz, odkąd zamieszkała na Florydzie, widzi prawdziwie dzikie zwierzęta. Zawsze pragnęła zobaczyć Everglades, ale Chaz nigdy nie chciał jej zabrać, kiedy jechał w teren. Twierdził, że to wbrew przepisom. Fakt, że niechętnie o tym opowiadał, tylko narzekał na węże i komary, jeszcze bardziej ją zdziwił teraz, gdy w końcu zobaczyła to miejsce na własne oczy. Jak to możliwe, że Chaz, w końcu biolog, nie był nim oczarowany?

A jednak nie był. Zdradził mokradła z równą nonszalancją, jak kiedyś Joey. Chciwy drań sprzedał się po to, żeby megatony trującego świństwa mogły być dzień i noc wpompowywane w te

lśniące rozlewiska. Może komuś tak bezdusznemu jak Chaz nie sprawia wielkiej różnicy, czy zabija przyrodę czy człowieka?

- Zobaczcie - powiedział Stranahan.

Nadleciały kolejne śmigłowce, w sumie sześć. Na różnych poziomach zataczały koła zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Widok był wspaniały.

- Przeszedłeś samego siebie - powiedziała Joey do brata. - Coś fantastycznego!

Trudno było nie zauważyć żółtego hummera, nawet gdyby nie ciągnął się za nim tuman kurzu. Stranahan podał Joey lornetkę. Zobaczyła rozwiane włosy na głowie męża wystającej z okna i patrzącej do góry.

- Nie wygląda na zachwyconego - stwierdziła, wywołując złośliwy chichot brata.

Pilot rozmawiał przez radio, uzgadniając trasy i pułap pozostałych śmigłowców. Do rozmowy włączyła się cessna należąca do biura szeryfa Palm Beach. Sierżant Robinson pytał, co się dzieje. Pilot niebieskiego bella odpowiedział, że przeprowadzają próbę akcji pościgowej do nowego filmu o Bondzie. Efektowne kłamstwo, ale skuteczne: policyjna cessna przechyliła się i odleciała. Władze Florydy zawsze szły na rękę przemysłowi filmowemu. Potrafią zamknąć główne autostrady, byle tylko bez kłopotów można było nakręcić scenę wyścigów ulicznych nastoletnich wampirów.

Gdy Chaz wreszcie zatrzymał hummera i wszedł do wody, Joey miała ochotę do niego zadzwonić, ale Corbett wpadł na lepszy pomysł. Namówił pilota, żeby zleciał możliwie jak najniżej i zawisł tuż nad jego głową. Helikopter utrzymywał się na takiej wysokości, że Chaz nie mógł dostrzec, kto siedzi w środku. Zresztą nawet nie próbował. Śmiesznie było patrzeć, jak się

mocuje z pojemnikiem, udając, że nie widzi cienia wielkiej maszyny i nie słyszy jej ogłuszającego warkotu.

- Wystarczy - oświadczyła w pewnym momencie Joey i pilot uniósł się w górę.

Wszystkie śmigłowce jeszcze parę razy przeleciały nisko nad ziemią, aż Chaz skończył pobierać próbki i odjechał.

- Jak myślicie, co sobie teraz myśli? - spytał Corbett.

- Na pewno umiera ze strachu - odparła Joey.

- Poczekajcie, aż zobaczy gazetę - roześmiał się Mick.

Kiedy po wszystkim wrócili na wyspę, wybrali się we trójkę na ryby. Stranahan złowił kilka dorodnych sztuk żółtogona, które usmażył na kolację. Potem Corbett zapalił cygaro, a Joey zaprezentowała nową jedwabną spódniczkę od Michaela Korsa, która sobie kupiła w Gallerii. Mick otworzył butelkę australijskiego caberneta. We trójkę usiedli na nabrzeżu i podziwiali zachód słońca. Strom ułożył swój wielki czarny łeb na kolanach Joey.

- Co mam o tobie powiedzieć w czwartek? - spytał Corbett. Przygotowywał mowę na uroczystość żałobną.

- Że byłam dobrą i kochającą siostrą.

- No nie, chyba stać nas na więcej.

- Powiedz, że była odważna - wtrącił się Stranahan. - Zawsze walczyła do końca.

Corbett się rozpromienił.

- Tak już lepiej.

- Powiedz, że była pełna życia i miała wielkie serce.

- Raczej głupie serce - sprostowała Joey.

- Nieprawda. - Mick dotknął jej ręki.

- Powiem, że byłaś idealistką - dodał Corbett.

Joey zmarszczyła brwi.

- To tylko inne określenie na „naiwna”.

- No to powiedz, że miała świetne nogi - rzekł Stranahan.

- Dobra, czemu nie? - zaśmiał się Corbett.

Joey zatkała uszy.

- Przestańcie już.

Corbettowi nie udało się tak szybko załatwić chóru, więc wymyślił, że na uroczystości wystąpi gitarowe trio.

- Grają do mszy w katolickim kościele w Lighthouse Point. Ksiądz mówi, że są świetni.

- A co będzie, jeśli Chaz się nie pojawi? - spytała Joey.

Corbett uniósł podbródek i wydmuchnął kółko dymu.

- Pojawi się, pojawi. Dobrze wie, jak by to źle wyglądało, gdyby nie przyszedł.

Stranahan się z nim zgodził.

- Teraz panicznie się boi, żeby nie zrobić fałszywego kroku. Nie ma wyboru, musi do końca grać rolę zrozpaczonego wdowca.

- Boże, jak ja bym chciała tam być - westchnęła Joey.

Stranahan na nią spojrzał.

- Ani mi się waż. Obiecałaś.

- Ale mogłabym się tak przebrać, że w życiu by mnie nie poznał.

- Joey, to nie są żarty - odezwał się brat. - Ten facet próbował cię zabić.

Milczała przez chwilę, sącząc wino i głaszcząc psa. Słońce schowało się za horyzontem, a niebo nad zatoką Biscayne ze złocistego zrobiło się fioletoworóżowe. Joey była ciekawa, co jej mąż założy na tę uroczystość. Gdzie usiądzie. Co powie jej znajomym. Czy zauważy Rose w pierwszym rzędzie.

Ależ oczywiście, że zauważy.

- No, zachód słońca pierwsza klasa - powiedział Corbett i pstryknął niedopałek cygara do wody. Syknięcie obudziło Stroma. Corbett na niego gwizdnął i pies powoli się podniósł.

Stranahan też wstał.

- Obejrzyjmy jeszcze raz to nagranie.

Corbett przyznał, że wyszło nadzwyczaj dobrze, zważywszy, że nakręcili je jednym ujęciem.

- Wróżę wam karierę w telewizji.

- Słuchajcie, coś mi właśnie przyszło do głowy. - Joey wstała i wygładziła spódnice. - Co zrobimy, jeżeli ten palant zechce coś powiedzieć do gości? Wygłosić mowę albo coś?

- Żebyś wiedziała, że wygłosi - odparł Corbett. - Zostawiłem mu wiadomość na sekretarce, że dostanie pięć minut, aby opowiedzieć, jaka byłaś wspaniała. I lepiej, żeby się przygotował.

* * *

Kapitan Galio wskazał na słoiki dekorujące biurko Rolvaaga i rzekł:

- Takich paskudnych próbek moczu jeszcze nie widziałem.

Rolvaag z szacunku dla stopnia udał, że go to rozbawiło.

- To tylko woda - odparł.

- Przesączona przez zdechłego bizona?

- Woda z Everglades. - Detektyw miał zamiar schować słoiki do szuflady właśnie po to, żeby uniknąć tej rozmowy. Zwykle przerwa na lunch kapitana Galio trwała znacznie dłużej, ale widocznie aktualna panienka wystawiła go do wiatru.

Galio z obrzydzeniem przyglądał się mętnej zawartości słoików.

- Jezu, w tym pływają robale i kupy.
- Nie inaczej.
- Mogę spytać, co to tu robi?

W przeciwieństwie do większości pozostałych detektywów Rolvaag nie potrafił mu kłamać prosto w twarz, nawet jeśli tak było rozsądniej. Tym razem postanowił spróbować.

- To dla moich węży. W kranówce jest za dużo chloru, fluoru i innych chemikaliów. Szkodzą im.

- A ta breja nie? - zdziwił się Galio. - Karl, nie obraż się, ale ty naprawdę masz nierówno pod kopułą. Znasz jeszcze kogoś, kto trzyma w domu zwierzęta, które muszą pić wodę z bagna i jeść żywe szczury?

Detektyw wzruszył ramionami. Powiedzenie prawdy nic by nie dało. Galio by go tylko wyśmiał, że traci czas na wycieczki. A to wcale nie była strata czasu. Dzięki mapie od Marty Rolvaag zlokalizował punkt poboru próbek wody znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie plantacji Hammernut Farms. Wszedł boszo w zarośla pałki wodnej i nabrał do trzech słoików wody w kolorze ciemnego piwa. Następnie przekazał je znajomemu profesorowi z Florida Atlantic University. Badania próbek wykazały znacznie przekraczające normy stężenie fosforu, wynoszące odpowiednio 317, 327 i 344 części na miliard. Te liczby różniły się diametralnie od wyników odczytywanych przez doktora Perrone'a. Z podejrzaną konsekwencją podawał on zawsze wynik 9 części na miliard.

Rolvaag nie ujawnił współpracownikom Perrone'a swoich wyników ani płynących z nich wniosków. Na pytania odpowiadał wymijająco i odniósł silne wrażenie, że nikt by nie płakał, gdyby Chaza wyprowadzono w kajdankach. Nie wtajemniczał ich też w szczegóły dochodzenia, bo możliwe, że fałszowanie badań nie miało żadnego związku ze śmiercią pani Perrone. Jeżeli jej

testament jest prawdziwy, Chaz mógł ją zabić po prostu dla pieniędzy. Jeżeli nie, mógł ją zabić z którejkolwiek innej banalnej przyczyny, jakie popychają małżonków do morderstw.

Rolvaag wiedział, że nie ma sensu wyjaśniać kapitanowi Galio tego przekrętu z fosforem. Spojrzy tylko pustym wzrokiem albo się skrzywi sceptycznie i od razu zaznaczy, że trudno będzie sprzedać przysięgłym tak zawiły motyw w czasie procesu o morderstwo.

Detektyw uważał jednak, że to bardzo cenna informacja. Teraz sprawa tego dziwnego szantażu jawiła się w innym kontekście, jeśli wziąć pod uwagę, co groziło Samuelowi Johnsonowi Hammernutowi. Zdemaskowanie nielegalnego układu z biologiem zrujnowałoby go finansowo i politycznie. Łamanie przepisów dotyczących ochrony środowiska wiąże się z ogromnymi karami pieniężnymi, a przekupywanie miejskich urzędników to przestępstwo karane więzieniem. Nawet gdyby Hammernutowi udało się uniknąć skazania, sam rozgłos w tej sprawie na zawsze skala wizerunek jego firmy. Rolvaag był zdania, że ten gruboskórny potentat zrobi wszystko, aby się chronić przed szantażystą, ale także przed Perrone'em, którego lojalność pryśnie z chwilą, gdy zamkną się za nim drzwi celi.

Kiedy Galio spytał, jak postępy w sprawie, detektyw odpowiedział:

- Nie za wielkie. Dostaję różne opinie na temat testamentu pani Perrone. Jej brat twierdzi, że jest sfalszowany. To samo, niestety, mówi jeden z moich ekspertów grafologów.

- Czy to znaczy, że ktoś próbuje mężulka załatwić?

- Możliwe. Chaz nie ma zbyt wielu wielbicieli - odparł Rolvaag i potężnie kichnął. To był jeden z tych dni, kiedy kapitan Galio aplikował sobie perfumy szlauchem.

- Szkoda, że testament jest fałszywy. Myślałem, że mamy jakiś przełom.
- Ja też.
- To co, jesteś wreszcie gotów odpuścić? - spytał z nadzieją Galio.
- Jeżeli nic nie wyskoczy, nie wiem, co dalej robić. - W rzeczywistości dobrze wiedział, co zrobi: usiądzie wygodnie i będzie obserwował. - Nie ma sensu walić głową w ścianę - dodał.
- I tak się starałeś - przyznał Galio.
- No cóż.
- A właśnie, Karl, dostałem twoje podanie o zwolnienie. Podarłem je i wywaliłem do kosza.
- Nie szkodzi, mam kopię.
- Mógłbyś wreszcie przestać?
- Odchodzę, kapitanie. Poważnie.
- I wyjedziesz z Florydy na jakieś zadupie w Minnesocie?
- Nie mogę dłużej tego odwlekać.
- Na osiedlu znów zaginął piesek, tym razem pudel miniaturowy. Rolvaag nigdy nie słyszał o bulimii wśród pytonów, ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości. Coś ewidentnie polowało na pupili mieszkańców, a głównymi podejrzanymi były jego węże.
- Detektyw wymyślił, że wyśle każdej z pokrzywdzonych rodzin anonimowy czek na tysiąc dolarów. To mu wyczyści nie tylko sumienie, ale i konto.
- Tutaj czeka cię wspianiała przyszłość - ciągnął Galio.
- Rolvaag starał się ukryć rozbawienie.
- Sam szeryf zauważył twoje zaangażowanie - dodał konfidencjonalnym szeptem kapitan.
- Myślałem, że jest wkurzony o to, że gadałem z Hammernutem.

- Skąd, Karl. On tylko krył swój tyłek. Bardzo cię lubi, wierz mi.

Detektyw ani przed chwilę tak nie sądził i ledwo się zdobył na to, żeby udać zaszczyczonego.

- Rany boskie, co mam zrobić, żebyś zmienił zdanie? Tylko nie mów: „Aresztuj Charlesa Perrone’a”.

- Bez obaw - uśmiechnął się Rolvaag.

Detektyw zaakceptował fakt, że Perrone nigdy nie zostanie oskarżony o zamordowanie małżonki, chociaż był więcej niż pewien, że ją wypchnął za burtę statku. Jednak przed kompletnym zniechęceniem ratowały go te słoiki z mętną wodą. Wodą z bagien zanieczyszczoną najbardziej szkodliwymi sztucznymi nawozami. To, że Charles Perrone potrafił dla pieniędzy zdradzić tak święte miejsce jak park Everglades, świadczyło o jego wrodzonej nieuczciwości i zgniłych zasadach moralnych. A jednak, chociaż odkrycie tego obrzydliwego szwindlu potwierdziło podejrzenia Rolvaaga co do tego, pożał się Boże, naukowca, nie było wielką sensacją. Raczej zakrawało na ironię.

Bo Charles Regis Perrone i tak był już ugotowany.

Detektyw nigdy nie był niczego bardziej pewien. Po przeanalizowaniu wszystkich posiadanych informacji zdał sobie sprawę, że nie musi tracić ani minuty więcej na próby posłania Perrone’a na szubienicę.

Facet już jest trupem.

Zachował się arogancko i impulsywnie, dlatego Samuel Johnson Hammernut zamierzał się go pozbyć. Nawet gdyby Rolvaag chciał zainterweniować, odwlecze tylko to, co nieuniknione.

Jak zauważył jego szwagier, Chaz Perrone to kretyn. Jeżeli tylko się wystraszy, że jego oszustwo wyjdzie na jaw, natychmiast zmieni front i zacznie wkopywać Hammernuta, a siebie przedstawiać w jak najlepszym świetle. A kto lepiej potrafi to

przewidzieć niż ten, który zatrudnił młodego biologa właśnie ze względu na jego tchórzostwo i nieuczciwość? Red Hammernut wyczuje zdrajcę na kilometr i raczej mu nie odpuści.

Karl Rolvaag mógł teraz wyjechać z Florydy z pewnym spokojem, jeżeli nie satysfakcją. Chaz Perrone nigdy nie zostanie oskarżony o morderstwo, ale karę poniesie.

Pozostała tylko jedna rzecz, która nie dawała detektywowi spokoju. Sprawa wyszła przypadkiem, w wyniku rutynowego zapytania skierowanego do American Express. Okazuje się, że w ciągu dwunastu dni od zaginięcia pani Perrone ktoś przy użyciu jej karty kredytowej wypożyczył chevroleta suburbańską oraz dokonał licznych zakupów damskiej odzieży, obuwia i kosmetyków, w tym ekskluzywnych okularów przeciwsłonecznych i dwuczęściowego kostiumu kąpielowego marki Burberry. Rolvaag nie sądził, by Chaz Perrone był na tyle lekkomyślny (i wyrafinowany w swych gustach), żeby urządzać sobie takie zakupy. Możliwe jednak, że któraś z jego kochanek podczas wizyty u niego w domu znalazła i ukradła złotą kartę Joey.

- Nie mogę uwierzyć, że się pakujesz - powiedział kapitan Galio. - Nie rozumiem, jak ci się chce.

Detektyw uśmiechnął się przepraszająco.

- Stęskniłem się za śniegiem.

Jeszcze tylko jedna wizyta w West Boca Dunes Phase II. Potem może zacząć ładować pudła na ciężarówkę.

Rozdział 25.

- Nigdzie nie pójde - powiedział Perrone.

- Red mówi co innego - odparł Tool.

Stał oparty o lodówkę, żując kawałek suchej kiełbasy i popijając z wielkiej butli Mountain Dew.

- Nie obchodzi mnie, co mówi Red!

Chaz trzymał w ręku zwinięty egzemplarz gazety „Sun Sentinel” i wymachiwał nim z oburzeniem. Na stronie z nekrologami pojawiła się informacja, że brat Joey organizuje we czwartek nabożeństwo żałobne w kościele Św. Conana i serdecznie zaprasza wszystkich znajomych, przyjaciół i bliskich jego siostry, aby „na miejscu podzielili się wspomnieniami i uczcili jej niespożytą energię życiową”.

Beze mnie, pomyślał Chaz. W ogłoszeniu było zdjęcie Joey z czasów, gdy miała może osiemnaście lat. Od razu zaczęły się urywać telefony, a ten dziwak z Nowej Zelandii, Corbett, zostawił mu wiadomość, w której bezczelnie nalegał, żeby Chaz przygotował pięciominutową przemowę.

- Lepiej, żeby cię obchodziło - zagroził Tool.

- Co ty powiesz.

Pogorszenie stanu psychicznego Chaza nie odebrało mu nadziei, że testament będący w posiadaniu detektywa Rolvaaga jest autentyczny i że odziedziczy trzynaście milionów z majątku Joey. Wtedy będzie mógł powiedzieć adios Samuelowi Johnsonowi Hammernutowi i odtąd nigdy więcej nie postawi stopy w tym śmierdzącym szambie zwanym Everglades.

- Red mówi, że to by źle wyglądało, gdybyś nie przyszedł uczcić pamięci własnej żony.

- Wisi mi to. Nie pójde.

Był ciągle roztrzęsiony po dzisiejszym nalocie helikopterów, który jak teraz sobie przypominał, mniej mu się kojarzył z *Chłopcami z ferajny*, a bardziej ze sceną z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, w której występują latające małpy. Tymczasem Red długo nie odpowiadał na telefon Chaza, a to tylko wzmagало jego lęki. Od tamtego wieczoru na „Księżnej Słońca” Perrone przeżywał prawdziwe psychiczne tortury - tajemnicze włamania do domu, wścibski detektyw, świadek, który się okazał przebiegłym szantażystą, problemy z Riccą, a teraz jeszcze te tajemnicze helikoptery!

Na razie postanowił nie opuszczać bezpiecznych granic West Boca Dunes Phase II, dopóki pieprzona reszta świata nie przestanie się go czepiać.

- Nie pójdę na to nabożeństwo - powtórzył wojowniczo.

Tool zakręcił butelkę Mountain Dew, spokojnie podszedł do Chaza i go nią znokautował. Kiedy Chaz usiłował wstać, walnął go drugi raz. Ten cios spowodował pęknięcie w plastikowej butelce i zielonkawa zawartość chlusnęła fontanną prosto w twarz Perrone'a. Tool jednym szarpnięciem podniósł go z podłogi i mruknął:

- Ktoś dzwoni do drzwi. Pozbądź się go.

Chaz energicznie potrząsnął głową, upadł na kolana i wpełzł pod stół niczym ranny krab.

Tool westchnął.

- Jak Boga kocham, szkoda, że cię nie miałem w którejś z moich brygad na plantacji.

Począpał do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

Zobaczył detektywa z teczką.

- Czy zastałem pana Perrone'a? - zapytał Rolvaag.

- Jest w kuchni - odparł Tool i poszedł do pokoju uciąć sobie drzemkę.

Detektyw znalazł Chaza kiwającego się w pozycji embrionalnej pod stołem.

- Kiepski dzień? - zagadnął.

- Problemy z żołądkiem. - Perrone z ulgą spostrzegł, że jeszcze potrafi kłamać na zawołanie.

Rolvaag usiadł obok niego na podłodze.

- Mam do pana kilka pilnych pytań.

- A to nowina. - Chaz potarł dłońmi piekące powieki.

- Pańska żona miała kartę kredytową American Express.

- No i?

- Co się z nią stało?

- Mówiłem już, że pozbyłem się wszystkich rzeczy Joey. Nie wytrzymałbym, gdybym musiał na nie patrzeć. Karta była pewnie w którejś z torebek.

- W której? Tej, którą żona miała na statku?

- A skąd mam wiedzieć? Wywaliłem wszystkie.

- Czy jest możliwe, że ktoś ją ukradł razem z prawem jazdy?

Chaz powoli się wyprostował i usiadł normalnie. Przypomniawsobie o włamaniach. Przy jego pechu to pewnie ten szantażysta przegrzebał pudła w garażu i znalazł kartę Joey.

- A pytam dlatego, że od czasu zaginięcia żony ktoś nią kilkakrotnie płacił.

- Nie ja!

- Głównie za damskie ubrania, kosmetyki, tego typu rzeczy.

Chaz był autentycznie zaskoczony. Miał nadzieję, że to było po nim widać.

- Czy mogła to być któraś z koleżanek żony? A może pańskich?

Chaz wiedział, co Rolvaag ma na myśli: kobiety, z którymi się bzykał na boku.

- Skąd by wzięty kartę? Musiałbym być kompletnym idiotą!

Mina detektywa wskazywała, że brał to pod uwagę.

To na pewno szantażysta, pomyślał Chaz. Albo Ricca. Któż inny miał dostęp do domu?

- A pan O'Toole? - podsunął ochoczo.

Detektyw się uśmiechnął.

- Trudno mi go sobie wyobrazić w stroju kąpielowym Burberry, ale kto wie.

- Może ma dziewczynę - powiedział Chaz i dodał w duchu: A może kiedyś krowy zaczną grać w lacrosse'a. - Mam! Założę się, że kartę skradziono Joey na statku. Stewardesy mają przecież klucze do wszystkich kabin.

Rolvaag przyznał, że to możliwe.

- Tak czy owak, chyba powinien pan to zgłosić i zastrzec kartę.

- Oczywiście - odparł Chaz, chociaż było wiadomo, że nigdy się za to nie zabierze. W wolnych chwilach będzie fantazjował o tych wszystkich smukłych opalonych ślicznotkach, które pracowały na „Księżnej Słońca”, i zastanawiał się, która z nich wygrzewa się teraz na plaży na Arubie ubrana w nowe bikini od Burberry.

* * *

Kiedy Rolvaag wrócił do biura, w drzwiach złapał go kapitan Galio.

- Przyszedł brat pani Perrone. Facet wygląda jak *Krokodyl Dundee*.

Corbett Wheeler stał w poczekalni i z ożywieniem rozmawiał z jakąś chudą kobietą ze szparą między zębami, której naćpany synalek został właśnie przyłapany na kradzieży poduszek powietrznych z policyjnego radiowozu. Wheeler miał na sobie szeroki kapelusz i długi kowbojski płaszcz ze skóry, a w rękę dzierżył solidny drewniany kij. Gdy Rolvaag wszedł i się przedstawił, Wheeler wręczył mu dużą szarą kopertę.

- Testament mojej siostry. Ten właściwy.

- Chodźmy do mojego biurka. Napije się pan kawy?

Brat Joey leniwie przeglądał album ze zdjęciami z policyjnych kartotek, a detektyw w tym czasie czytał testament. Według niego majątek pani Perrone miał zostać podzielony między kilka organizacji charytatywnych i instytucji ochrony przyrody, z czego największa część przypadała World Wildlife Mission. Rolvaag wyjął swój dokument i porównał oba podpisy. Nie były identyczne, ale nie aż tak różne, żeby ten nowszy uznać za podrobiony.

Corbett Wheeler podniósł album i zapytał:

- Co to za ludzie?

Miał minę antropologa, który właśnie odkrył ślady zaginionego plemienia.

- Notowani złodzieje - odpowiedział Rolvaag.

- Niesamowite. To są tylko ci, których złapaliście?

- Tylko ci, którzy działają w okolicach plaż. Mamy jeszcze cztery tomy obejmujące resztę okręgu.

Wheeler zamknął album.

- A zdjęcie syna tej pani, z którą rozmawiałem, też tu jest?

- Jeżeli nie, to będzie.

- Boże, jak wy możecie to robić na co dzień i nie zwariować?

- Ja właśnie niedługo wracam w rodzinne strony do Minnesoty.

- Gratuluję. A tam nie ma przestępczości?

- Jest, ale sezonowa. Trudno się włamywać, kiedy na zewnątrz minus dwadzieścia. Łom przymarza do palców.

Położył oba testamenty obok siebie, żeby Corbett Wheeler mógł porównać podpisy.

- Nie jestem ekspertem - powiedział Wheeler - ale pański wygląda na skopiowany.

- Jeśli tak, to ktoś to zrobił po mistrzowsku.

- Cóż, Chaz Perrone miał wiele okazji, żeby poćwiczyć. - Corbett Wheeler doskonale wiedział, że fałszywy testament sporządził szwagier Micka Stranahana, a podpis podrobił sam Stranahan, celowo odrobinę niedokładnie, choć różnice były bardzo subtelne. Corbett też miał swoją rolę w tym przedstawieniu.

- Joey nie zostawiłaby Chazowi ani centa. Może mi pan wierzyć na słowo.

- Chciałbym - odparł detektyw.

- Czyli nie ma pan wystarczających podstaw, żeby go aresztować?

- Zgadza się.

Wheeler wzruszył ramionami.

- Szkoda. Ale wie pan co? Świącie wierzę w to, że każdy człowiek dostaje w życiu to, na co zasłużył.

Rolvaag pomyślał o niepewnej pozycji Chaza w oczach Hammernuta, ale nic nie powiedział.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli przyjdę na to nabożeństwo?

- Jutro w południe. Zapraszam. - Wheeler nachylił się do niego.

- Pograżony w żałobie wdowiec wygłosi mowę pochwalną.

- Nie mogę się doczekać.

Brat Joey wstał i mocno uściśnął dłoń Rolvaaga.

- Dzięki za pomoc.

- Niestety, to bardzo trudna sprawa.

- Proszę mi wierzyć, to co się stało na statku, to nie był wypadek. Ten parszywy śmieć wyrzucił moją siostrę za burtę.

- I mnie się tak wydaje. Sęk w tym, jak to udowodnić.

Odprowadził Wheelera do poczekalni, którą teraz okupowała wycieczka skautów.

Rolvaag też był skautem jako nastolatek, jeszcze w Minneapolis. Najbardziej zapamiętał dzień, kiedy strugając miniaturowy totem, o mało nie odciął sobie kciuka.

- W Minnesocie hodują owce? - zapytał Wheeler.

- Z tego co wiem, tak.

- Powinien pan spróbować, jeżeli kiedyś poczuje się pan wypalony w tej robocie. Jagniątko to przecież uniwersalny symbol niewinności.

Po tych słowach brat Joey Perrone wziął do ręki swój sękaty kij, otworzył drzwi i wyszedł.

* * *

Od kiedy Joey się przespała z Mickiem Stranahanem, doszła do wniosku, że jej pożycie z Chazem wcale nie było takie rewelacyjne. Wprawdzie Mick nie dorównywał wytrzymałością jej mężowi, ale był o wiele bardziej czuły, delikatny i miał więcej fantazji.

Dla Joey było to rodzajem objawienia. Przy Micku nie było żadnego zerkania w lustro na własne zaciśnięte pośladki,

infantylnych dialogów z penisem, a po wszystkim triumfalnych okrzyków jak na rodeo. Z Chazem czuła się czasami jak erotyczny gadżet, dmuchana lalka, jakie się kupuje w sex-shopach. Przy Micku była faktycznym uczestnikiem, kochanką. Z Chazem przeżywała fantastyczne orgazmy, ale on potem natychmiast domagał się recenzji. Nieważna była intymność.

Z Mickiem orgazmy były równie intensywne, ale to „po” było przyjemniejsze, bo on nigdy nie psuł nastroju prośbami o ocenę swoich wyczynów. To nawet nie była kwestia wieku ani tego, że Mick był mniejszym egocentrykiem niż Chaz. On po prostu miał manieri. Potrafił się wczuć w atmosferę.

Joey położyła głowę na jego piersi.

- To miło, że Corbett zostawił nas samych na całe popołudnie.

- Niech mu Bozia w dzieciach wynagrodzi - mruknął sennie Stranahan.

Corbett Wheeler wziął motorówkę i popłynął do Virginia Key. Stamtąd wynajęty samochód z kierowcą miał go zabrać do Fort Lauderdale na spotkanie z detektywem Rolvaagiem. Joey chciała mu dać kluczyki do chevroleta, ale podziękował. Bał się, że mógłby kogoś uszkodzić lub zabić podczas sprzeczki na drodze.

Jak tylko łódka zniknęła im z oczu, Joey i Mick wskoczyli do łóżka i tam już zostali.

Nie ruszyli się nawet wtedy, gdy przez zatokę przetaczał się szkwał, tłukąc drewnianymi okiennicami i bębniąc deszczem o szyby.

- Mogłabym tu mieszkać do końca życia - powiedziała później Joey, kiedy zza chmur wyszło słońce. - Nie, żebym się wpraszała.

- Czuj się zaproszona. Ale najpierw się dobrze zastanów.

- Nie kochasz mnie?

- Bardziej niż cokolwiek na świecie, ale tu nie bardzo jest co robić. Niektóre osoby odkrywają, że nie wystarcza im morska bryza i pocztówkowe zachody słońca.

- Niektóre kobiety, chciałeś powiedzieć.

- Nie mam nawet telewizji.

- No to przykro mi, kolego. Koniec z nami!

Stranahan przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa.

- Dobrze się zastanów, okej?

- Zgred.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że byłaś bardzo dzielna, wchodząc na ten statek.

Joey kazała mu nie zmieniać tematu.

- Choć przyznam, że w tej niebieskiej marynarce wyglądałeś cholernie seksownie.

- Historyczna chwila. Nigdy się nie powtórzy.

- Doceniam twoje poświęcenie.

- Ty też nieźle wyglądałaś w tej kusej spódniczce.

- Świntuch.

Wejście na pokład „Księżnej Słońca” kosztowało ją wiele nerwów. Czuła się dziwnie.

Pokład, na którym kręcili wideo, znajdował się niżej niż ten, z którego ją zepchnął Chaz, ale widok w dół był ten sam - przerażający. Joey wciąż nie mogła uwierzyć, że przeżyła upadek do wody. Nigdy nie była religijna, ale od tamtej nocy koncepcja istnienia miłosiernego, wszechwiedzącego Boga, nie wydawała się już taka nieprawdopodobna.

- Czasami wciąż czuję ręce Chaza na moich kostkach.

- Chciałbym ci pomóc zapomnieć.

- Były strasznie zimne, jakby je trzymał w kuble z lodem. Mick, czy ten nasz genialny plan naprawdę się uda? Bo już nie jestem taka pewna.

- Nie jest za późno, żeby się wycofać. Z tego co widziałem wtedy w nocy, Chaz ma już pełno w spodniach. - Stranahan delikatnie przekręcił Joey na plecy. Oparł się na łokciu i spojrzał na nią. - Może rano pojechać do tego detektywa i zapytać, jakie mamy szanse w sądzie?

Joey pokręciła głową.

- Nie mogę ryzykować. Chaz jest zbyt sprytny.

- A ja bym go o to nie podejrzewał.

- Posadź parę kobiet na ławie przysięgłych i zobacz, co się będzie działo. Ma swoje sposoby na pleć piękną. Jestem tego żywym dowodem. Jeszcze żywym.

- No dobra - odparł Stranahan. - W takim razie trzymamy się planu.

- Tak jest.

Ale w głębi duszy Joey miała wątpliwości. Co zrobi jej mąż, kiedy ją zobaczy? Będzie się wykręcał kłamstwami? Ucieknie? Załamie się i zacznie bełkotać jak dziecko? Padnie na zawał? Rzuci się na nią?

Reakcji Chaza nie sposób było przewidzieć, za to Joey dokładnie wiedziała, co mu powie. Te pytania dręczyły ją od tamtej długiej nocy na oceanie. Doszła do wniosku, że to gniew ją trzymał przy życiu. Była wściekła na Chaza i na siebie, że wyszła za takiego potwora.

- Wspominałam ci o wierszu? - spytała Micka. - To było tego dnia, kiedy mi się oświadczył. Urządziliśmy u mnie kolację. Przyniósł mi wiersz miłosny i przysięgał, że sam go napisał, a ja, jak klasyczna blondynka, uwierzyłam.

- Niech zgadnę, co to było, Shelley? Keats?

- Bądź poważny, Mick.

- Szekspir byłby zbyt banalny.

- Neil Diamond.

Stranahan spojrział na nią z udawanym przerażeniem.

- O, tak. Sprytnie to wymyślił. Wiedział, że jestem za młoda, żeby pamiętać jego piosenki.

Stranahan ze śmiechem opadł na poduszkę.

- Co to było? Czekaaj, sam zgadnę. I Am, I Said? To by do niego pasowało.

- Uwierz lub nie, ale ta miała tytuł *Deep Inside of You* - odparła ponuro Joey. - „Let me be the man who...” i coś tam dalej. Boże, wtedy myślałam, że to takie wzruszające. Napisał ten tekst na odwrocie etykiety od wina, którą trzymał od czasu naszej pierwszej randki. Niewiarygodne. - Obróciła się na bok, a Mick się do niej przytulił. - Kilka miesięcy później rozmawiałam przez telefon z księżową rodziców, kobietą, która miała już swoje lata. Wypytywała o mojego świeżo upieczonego męża, więc jej opowiedziałam, jaki z niego romantyk, że ułożył wiersz na zaręczyny. A Inez, bo tak miała na imię, mówi: „No to pochwal się, przeczytaj”. A więc wyjęłam etykietkę z szuflady, w której trzymałam wszystkie sentymentalne pamiątki, i zaczynam recytować do słuchawki. Oczywiście Inez wybucha śmiechem, tak jak ty, i zaczyna mi opowiadać o cudownym Neilu, którego z dziesięć razy miała okazję widzieć na żywo na koncercie. Nie muszę dodawać, że znała wszystkie jego piosenki na pamięć.

- I co zrobił Chaz, kiedy mu o tym powiedziałaś?

- Nie powiedziałałam.

- Och, Joey.

- Nie potrafiłam. Kłamka zapadła, byliśmy już po ślubie. Wmówiłam więc sobie, że to był tylko dowód jego miłości. Tak się napracowałam, żeby wyszperać i przepisać tekst jakiegoś starego idola. Musiał przesłuchać setki piosenek, zanim znalazł tę właściwą. W końcu liczą się intencje, prawda? To, że tekst jest zerżnięty, nie znaczy, że nieszczerzy. I tak to sobie dla świętego spokoju tłumaczyłam.

- Bałaś się, że kiedy go o to zagadniesz, wymyśli nowe kłamstwo - powiedział Stranahan.

Joey smutno pokiwała głową.

- Właśnie. Nie chciałam mu dawać okazji. Wolałam wierzyć, że uśmiechnęło się do mnie szczęście.

- I oto, jak to się skończyło.

- No właśnie.

Stranahan delikatnie pocałował ją w kark.

- Jeśli cię to interesuje, ja też nie umiem pisać wierszy.

- Mick, czemu nie pozwolisz mi pójść na mszę?

- Bo to ty jesteś naszą drogą zmarłą. Wszyscy myślą, że nie żyjesz.

- Przecież mogę się przebrać. Mick, tak bym chciała usłyszeć, co powie Chaz.

- Zabiorę dyktafon. Może tym razem weźmie coś z *Sierżanta Peppera*?

Joey wyplątała się z jego objęć i odsunęła na brzeg łóżka.

- Obludny drań - mruknęła. - Zrobi tak, że wszyscy będą płakać.

- Ja nie - powiedział Stanahan i przyciągnął ją do siebie.

Rozdział 26.

Stranahan udał się do Boca Raton swoją starą cordobą, którą wykupił z policyjnego parkingu za trzysta dolarów. Zaparkował pod supermarketem, kilka ulic od kościoła, aby nikt nie zobaczył, że przyjechał razem z bratem Joey. Pierwotnie miał zamiar założyć ciemną perukę, którą Joey kupiła mu w centrum handlowym, ale zmienił zdanie. Chciał, żeby Chaz Perrone od razu go rozpoznał i przypomniał sobie wyprawę kajakiem. Chciał nim wstrząsnąć.

Katolickie trio gitarowe nosiło nazwę Skruszeni. Kiedy Stranahan wszedł do kościoła Św. Conana, grali akurat *Michael, Row the Boat Ashore*. Bał się, że jeszcze chwila i zaintonują *Kumbayę*. Kościół w trzech czwartych wypełniali znajomi i sąsiedzi Joey, głównie kobiety. Wiele z nich było na jej ślubie i może nawet niektóre przeczuwały, że wychodzi za gnidę, ale oczywiście nie powiedziały ani słowa. A nawet gdyby, i tak by nie posłuchała.

Siedząca w pierwszym rzędzie Rose wyglądała niezwykle ponętnie. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę i obcisły sweterek, do tego czarne kabaretki i szpilki. Na włosach odświeżony blond. Długą bladą szyję podkreślał wisior z onyksem, a usta miały kolor ognistej czerwieni. Pozostałe członkinie klubu czytelniczego Joey wyglądały przy niej jak stare ciotki. Prawie zupełnie z tyłu siedział średniej budowy mężczyzna o jasnej cerze, ubrany w ciemnoszary wyświecony garnitur. Z daleka było widać, że to gliniarz.

Zapewne Karl Rolvaag. Stranahan postanowił usiąść dziesięć rzędów bliżej, po drugiej stronie nawy.

Gitarzyści zagrali *Kumbayę*. Wciąż nie było śladu Perrone'a. Mick zaczął się niepokoić.

Brat Joey zamienił skórzany płaszcz na trzyczęściowy granatowy garnitur w prążki. Dzielnie postarał się ujarzmić czuprynę i zarost, ale i tak wyglądał jak członek gangu motocyklowego, któremu adwokat kazał się ładnie ubrać na rozprawę. Na ołtarzu stał stół przykryty aksamitem - na nim Corbett Wheeler umieścił oprawione w ramki zdjęcie swojej siostry siedzącej po turecku na trawie pod palmą. Wiatr rozwiewał jej włosy, a roześmianą twarz oblewały promienie słońca. Żałobnicy umarliby ze strachu, gdyby się dowiedzieli, że zostało zrobione niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej na prywatnej wyspie w zatoce Biscayne i że Joey chichocze na widok faceta w średnim wieku odsłaniającego swój opalony tyłek oraz że ten sam facet siedzi teraz obok nich w kościele i niecierpliwie czeka, żeby przekazać kolejne instrukcje w sprawie okupu.

Gitarowe trio zaczęło brzdąkać *Blowin' in the Wind* w skocznej wersji calypso, ale Corbett Wheeler przejechał dłonią po gardle na znak, że mają przestać. Podeszedł do ambony i się przedstawił.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby uczcić pamięć mojej wspaniałej siostry, Joey Wheeler.

Na prośbę Joey zgodził się używać podczas całej ceremonii tylko jej panińskiego nazwiska.

- Byłą osobą silną i bezkompromisową, nigdy się nie poddawała. Ale miała też wielkie serce. W naszej rodzinie to ona była idealistką, rozmarzoną romantyczką. Tą, która wierzyła we wrodzoną uczciwość i przyzwoitość wszystkich, których spotykała na swej drodze. Niestety, czasami się myliła...

Corbett Wheeler zawiesił głos i powiódł wzrokiem po zebranych. Kilka osób, najwyraźniej wiedzących o licznych zdradach Chaza Perrone'a, wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

- A jednak nigdy nie straciła wiary, że ludzie w większości są w głębi serca dobrzy i szlachetni.

Potem przytoczył kilka rodzinnych anegdot, przy których sporo osób sięgnęło po chusteczki. Pierwsza była o pogrzebie rodziców, kiedy to czteroletnia wówczas Joey stanęła przy grobie i zaśpiewała *Leavin' on a Jet Plane*, zmieniając słowa tak, by lepiej pasowały do szczególnych okoliczności śmierci Lany i Hanka Wheelerów („Miś spakowany, jesteś gotów do drogi...”).

Druga opowieść dotyczyła tragicznego losu pierwszego męża Joey. Corbett wyliczał jego liczne cnoty, choć nigdy go na oczy nie widział.

- Benny był światełkiem w życiu mojej siostry. Przed ostatnim pożegnaniem włożyła mu do trumny jego ulubioną wędkę oraz zestaw własnoręcznie wykonanych sztucznych much. Stwierdziła, że ze względu na osoby niosące trumnę cieszy się, iż jej mąż nie pasjonował się kręglami.

Dopiero po chwili na twarzach zebranych pojawił się uśmiech.

- To prawda, w życiu Joey były chwile głębokiego smutku - kontynuował jej brat - ale nigdy nie pozwoliła mu sobą zawładnąć. Nie straciła poczucia humoru ani optymizmu. Była najbardziej pozytywnie nastawioną osobą, jaką znałem. Zawsze pełną nadziei. A także najbardziej bezinteresowną. Mogła żyć jak księżniczka, a wybrała życie proste i zwyczajne, bo uważała, że to klucz do prawdziwego szczęścia. No i eleganckie włoskie buty...

To zdanie wywołało śmiech przez łzy u przyjaciółek, z którymi chodziła na zakupy.

- Nie była ideałem - mówił dalej Corbett. - Miała swoje słabości, jak my wszyscy. Chwilami reagowała impulsywnie, bywała bezkrytyczna, myliła się w ocenach.

Corbett w ostatniej chwili się powstrzymał, żeby nie wymienić z nazwiska Chaza Perrone'a.

A w ogóle to gdzie się podziwia niedoszły wdowiec? - zastanawiał się Stranahan.

- Nie, moja siostra nie była wzorem cnót - podsumował Corbett - ale była prawdziwie dobrym człowiekiem i wszystkim nam jej będzie bardzo brakowało.

Na ambonę wszedł siwowłosy ksiądz i żalobnym tonem z wschodnioeuropejskim akcentem odmówił *Ojczy nasz*. Następnie Skruszeni wystąpili z trzynastominutowym wykonaniem *Bridge Over Troubled Water*, po którym wszyscy mieli dość. Po nich przyszła kolej na Carmen Raguso, najbardziej towarzyską sąsiadkę Perrone'ów oraz królową liftingu osiedla West Boca Dunes Phase II. Opowiedziała o tym, jak Joey pomogła kiedyś wyłapać bezpańskie koty kręcące się wokół KFC, a potem zawiozła je do kliniki w Margate w celu sterylizacji. Zapłaciła za wszystkie zabiegi, w sumie ponad dwa tysiące dolarów. Innym razem wynajęła hydroplan, żeby przetransportować chorego delfina butlonosego z plaży na Bahamach do oceanarium w Miami. Zwierzę, które cierpiało na obstrukcję, całkowicie wyzdrowiało i zostało wypuszczone z powrotem do oceanu.

- Dlaczego ten delfin nie baraszkował w Golfsztromie akurat tej nocy, kiedy Joey wypadła ze statku, i nie przyplłynął jej na ratunek? - spytała retorycznie pani Raguso. - Dlaczego w życiu nie może być tak jak w filmie?

Podnosili się kolejni znajomi Joey i potwierdzali jej ciche zaangażowanie w działalność dobroczynną, umiłowanie przyrody i życzliwość w stosunku do tych, którym wiedzie się gorzej. Ostatnia miała przemówić Rose. Kiedy podchodziła do ambony, Stranahan zauważył pewne ożywienie wśród męskiej części żałobników, nie wyłączając detektywa Rolvaaga.

- Joey bez wątpienia była gwiazdą naszego klubu! - zaczęła Rose. - To ona nas zaraziła Margaret Atwood, Antonią Byatt i

Phyllis James. Kurczę, gdyby nie ona, zmarnowałybyśmy całe sześć tygodni na Jane Austen. Była kochana, ale to kobieta dynamit. Nie bała się zaszaleć, o nie. Trzeba było słyszeć, jak czytała na głos pikantne fragmenty z ostatniej książki Jean Auel! Boże, ściany prawie się zarumieniły.

Moja Joey? - pomyślał Stranahan.

* * *

- Kim jest ta gadatliwa baba? - mruknął Chaz.

Tool nic nie powiedział. Milczał tak od rana. Uważał, że to niewybaczalne nie zaprosić na nabożeństwo własnej matki.

Przyglądali się przemowom z ukrycia, z zakrystii. Chaz był w kiepskiej kondycji psychicznej po tym, jak sobie ubzdurał, że złapał wirusa gorączki Zachodniego Nilu.

Sztywność karku była prawdopodobnie skutkiem uderzenia dwulitrową butelką z napojem, ale w swej hipochondrycznej paranoi wmówił sobie, że to pierwsze objawy zapalenia mózgu, a za nimi wkrótce pojawi się wysoka gorączka, drgawki, otępienie i wreszcie śpiączka. W nocy w pewnym momencie błagał Toola, żeby mu zmierzył temperaturę, ale ten sadystyczny drań przyszedł do niego z mrożonymi kiełbaskami i słoiczkiem wazeliny.

Jakie to poniżające, myślał Chaz, umrzeć od ugryzienia komara. Zemsta tych przeklętych bagien.

Jak policzył, około połowy bąbli na twarzy wskutek nieustannego drapania było albo pokryte strupkami, albo zaczerwienione. Przy pierwszym spotkaniu przed kościołem brat Joey zauważył owe wykwyty i trochę brutalnie zapytał, czy Chaz robił sobie badania na małpią ospę.

Chrzań się, pieprzony wieśniaku, pomyślał Perrone.

Licząc na inspirację do własnej przemowy, Chaz starał się pilnie słuchać ożywionego, choć trochę nieskładnego wystąpienia Rose. Uwagę nieco rozpraszał jej śmiały strój: krótka spódniczka, seksowne rajstopy. Wyglądała mu na rozrywkową kobietę.

- Jesteś gotów, Charles?

Chaz aż podskoczył ze strachu. Corbett Wheeler wśliznął się niepostrzeżenie tylnymi drzwiami do zakrystii.

- Jesteś gwoździem programu. Wszyscy czekają tylko na ciebie.

Chaz zajrzał przez szparę do środka i pomyślał: Co to w ogóle za ludzie? Był zdziwiony, że aż tylu ich przyszło. Niektóre twarze pamiętał z wesela, ale większości nie znał. Z drugiej strony rzadko zawracał sobie głowę pytaniem Joey, co porabia w czasie, gdy on jest w pracy, gra w golfa albo uganiania się za innymi kobietami. Nie wykazywał też specjalnego zainteresowania jej dawnym życiem towarzyskim z okresu, zanim się poznali. Wyznawał zasadę: nigdy nie zadawaj pytań, na które sam nie chciałbyś odpowiadać.

- Kim jest twój towarzysz? - zapytał Wheeler. Nie czekając na odpowiedź, serdecznie przywitał się z Toolem i uściśnął mu dłoń.
- Po stroju wnioskuję, że pan pracuje w rolnictwie.

Tool przyszedł do kościoła w swoich czarnych ogrodniczkach, które z tej okazji wyprał. Perrone nie życzył sobie jego obecności, ale Red nalegał.

- Byłem kiedyś nadzorcą na plantacji.

Brat Joey się rozpromienił.

- A ja hoduję owce. Dwa tysiące sztuk.

Tool spojrział na niego z podziwem.

- Serio? A jakie?

Ratunku, pomyślał Chaz, mutanty znalazły wspólny temat.

Rose powiedziała coś, co wywołało salwę śmiechu, i nagle Chaz poczuł, jak wielkie łapska Corbetta Wheelera wyciągają go z

zakrystii i pchają na małe schodki prowadzące na ambonę. Trzęsąc się, poprawił mikrofon i zaczął szukać po kieszeniach notatek. Z niepokojem zauważył, że jego dotąd równe i staranne pismo strasznie się popsuło.

Podniósł oczy na zgromadzonych i zamarł. W trzecim rzędzie siedział szantażysta, szczerząc zęby jak wygłodniały kojot. Chaz szybko przerzucił wzrok na drugą stronę i wypatrzył Karla Rolvaaga. Siedział obojętny z brodą podpartą na splecionych dłoniach, jakby oglądał mecz hokeja.

W gardle miał pustynię. Kiedy próbował coś powiedzieć, jego głos brzmiał jak rozstrojone skrzypce. Brat Joey podał mu szklankę wody, ale Chaz nie chciał pić, bo się bał, że jest skażona.

W końcu zwilżył usta i zaczął:

- Drodzy zebrani, pozwólcie, że wam opowiem o mojej żonie Joey, którą kochałem ponad wszystko w świecie.

* * *

W tym samym momencie Joey Perrone sięgała do karmnika po zapasowy klucz do domu, który kiedyś dzieliła z mężem. Weszła do środka tylnymi drzwiami, wyłączyła alarm, pobiegła do łazienki i zwymiotowała śniadanie.

Weź się w garść, upomniała się w duchu. Na miłość boską, nie ty pierwsza i nie ostatnia wyszłaś za niewłaściwego faceta. Chociaż przypadkiem trafiłaś na najgorszy z możliwych egzemplarzy.

Łóżko było nieposlane. Joey się położyła i zaczęła powoli, miarowo oddychać. Na poduszce wyczuła zapach szamponu Chaza, jakiegoś owocowego świństwa, które kupił w salonie tej swojej Ricci. Gapiła się w sufit i zastanawiała, czy Chaz leżał

dokładnie w tym miejscu, kiedy postanowił ją zabić. Knuł zbrodniczy plan, podczas gdy ona, niczego nieświadoma, spała smacznie obok.

Wstała, poszła do salonu i włączyła płytę Sheryl Crow, którą oboje lubili. Muzyka poprawiła jej humor. Usiadła na sofie, gdzie Chaz jak zwykle porzucił otwarty plecak. W środku pośród różnych papierów, na wpół wypełnionych druków delegacji oraz pustych formularzy z tabelami znajdowała się kserokopia fałszywego testamentu, który Mick wysłał detektywowi. Chaz podkreślił na czerwono paragraf mówiący o tym, że niby staje się właścicielem całego majątku zmarłej żony. Na marginesie narysował trzy tańczące wykrzykniki. Joey zajrzała na ostatnią stronę i przyjrzała się podpisowi, który Mick starannie przekopiował z jakiegoś rachunku, kiedy płaciła kartą w sklepie. Był na tyle podobny, żeby oszukać jej męża, który zaślepiiony chciwością ochocho uwierzy w jego autentyczność.

Świnia.

Ależ musi mieć o sobie mniemanie. Uważa, że jego nieodparty urok sprawił, iż Joey w przypiływie jakiegoś uniesienia podarła intercyzę i postanowiła wszystko przepisać na niego.

Jak go znała, to pewnie już wymyślił teorię wyjaśniającą ten nagły zwrot. Może doszedł do wniosku, że Joey chciała mu zrobić niespodziankę w ten ostatni wieczór rejsu, ale nie zdążyła. Potem, kiedy zaginęła, Corbett anonimowo dostarczył testament Rolvaagowi, żeby wzbudzić podejrzenia wokół sprawy i wskazać, że Chaz miał oczywisty motyw, aby zabić jego siostrę.

Przynajmniej Joey sądziła, że tak to sobie wykombinował. Kiedy ma się odziedziczyć trzynaście milionów dolarów, nawet nieprawdopodobne staje się wiarygodne.

Joey włożyła dokument do plecaka i wyłączyła muzykę. Kiedy podeszła do akwarium, wśród rybek zapanowało niecierpliwe

poruszenie. Sprzedawca ze sklepu zoologicznego uzupełnił zdziesiątkowaną populację neonkami, różnobarwnymi wargaczami, dwoma błazenkami i po jednym okazie nefrytka i zebrasomy. Pod opieką Chaza nie pożyją długo, ale na razie były zdrowe i rozbrykane. Joey wysypała im trochę pokarmu i poczekała, żeby popatrzeć na kolorową szamotaninę.

Dekorację akwarium stanowił ceramiczny wrak szkunera spoczywający w piasku na dnie. Joey wygrzebała z kieszeni swoją obrączkę i podrzuciła ją na dłoni. Nie spojrzała na grawerunek, знаła go na pamięć: „Dla Joey, dziewczyny z moich snów. CRP”. Zamknęła dłoń i uchyliła pokrywę akwarium.

- Teraz, bydlaku, będę twoją dziewczyną z koszmarów.

* * *

Chaz ustawił się wygodnie za pulpitem. Sztywność karku w cudowny sposób ustąpiła, a bąble na twarzy przestały swędzieć.

- Setki razy rozpamiętywałem tę tragedię i doszedłem do wniosku, że to moja wina. Gdybym tylko kazał wtedy Joey poczekać na mnie, gdybym tak się nie guzdrał, wyszlibyśmy na zewnątrz razem. Nie znalazłaby się sama przy relingu na śliskim od deszczu pokładzie. Stałbym przy niej i ten tragiczny wypadek by się nie zdarzył.

Chaz wiedział, że ryzykuje, powtarzając tak beczelną bajkę, skoro w kościele mogą być obecni potencjalni świadkowie. Każdy adwokat by mu to odradził. Ale uznał za konieczne pokazać Rolvaagowi, że wiernie się trzyma pierwotnej wersji. Jednocześnie nie mógł nie skorzystać z okazji, aby zasiać domysły, że Joey dręczyły jakieś zawile wewnętrzne problemy, o których bała się powiedzieć innym, więc niewykluczone, że nawet sama się zabiła.

- Raz po raz odtwarzałem w pamięci tamten wieczór, ale zawsze pojawiała się więcej pytań niż odpowiedzi. Ilu z was czytało *Panią Bovary*?

Jak można było oczekiwać, wszystkie członkinie klubu czytelniczego Joey podniosły ręce. Do tego Karl Rolvaag i jeszcze z tuzin innych osób.

- Joey czytała tę książkę podczas rejsu. Później z ciekawości sam ją przeczytałem. - W rzeczywistości ściągnął streszczenie z Internetu. - Opowiada o pewnej Francuzce, która czuje się w życiu znudzona i nieszczęśliwa. Poślubia mężczyznę w nadziei, że przyniesie jej radość i spełnienie... Pana doktora. - Chaz specjalnie załamał głos, żeby nawet najbardziej nierozgarnięci mogli załapać. - Niestety, pani Bovary nadal nie znajduje satysfakcji, więc rzuca się w wir romansów, które na dłuższą metę nie dają jej szczęścia. W końcu biedaczka popełnia samobójstwo.

W kościele zapanowała pełna napięcia cisza. Chaz nie tracił czasu.

- Kiedy skończyłem czytać, przyznaję, byłem załamany. Zacząłem się zastanawiać, czy moja Joey też była nieszczęśliwa. Może utożsamiała się w jakimś stopniu z bohaterką powieści i ukrywała te uczucia przede mną. - Pochylił głowę i opuścił ramiona. Gdy znów podniósł wzrok, zobaczył, że szantażysta zaczyna zasypiać. Wyraz twarzy Rolvaaga się nie zmienił.

- Ale potem długo nad tym myślałem i po rozmowach z wieloma z was tu obecnymi, którzy znaliście i kochaliście moją cudowną żonę... - Kolejne bezczelne kłamstwo; nie odpowiedział na ani jeden telefon. - ...jestem więcej niż pewien, że w gruncie rzeczy była bardzo szczęśliwą osobą. Pozytywnie nastawioną, jak powiedział jej brat. Kobieta dynamitem, jak mówiła jej przyjaciółka Rose. Odważną optymistką, która kochała życie.

Taką Joey Perrone znalazłem i taką uwielbiałem. I to jest Joey Perrone, którą...

W tym momencie coś odwróciło jego uwagę - samotna postać wchodząca do kościoła o kulach.

-...będę oplakiwał...

Jakaś kędzierzawa łamaga z nogą w gipsie ośmiela się zakłócać jego wzruszające wystąpienie. Kto jest na tyle bezczelny?

-...do końca... yyy...

Ricca.

Nie, to niemożliwe! - pomyślał Chaz.

-...życia - wykrztusił, zaciskając dłonie na pulpicie.

Goście dostrzegli to zachwianie równowagi i rozległ się szmer niepokoju. Chaz z trudem odwrócił wzrok, kiedy Ricca siadała obok szantażysty, który wziął od niej kule i schował pod ławką.

Ja pierdolę.

Oddychał głośno i szybko. Chwiejąc się, zszedł z ambony i ruszył ku zakrystii. Łapał powietrze jak karp wyjęty z wody. Doszedł do drzwi i nogi się pod nim ugięły. Tool zdążył go złapać, nim upadł. Chaz zamykał oczy, trzepocząc powiekami w takt łagodnych dźwięków *Where Have All the Flowers Gone* w wykonaniu Skruszonych.

- Miał pan rację co do tego drania - szepnęła Ricca. - Rzeczywiście zabił żonę. Sam mi się przyznał.

- Co się pani stało? - spytał Stranahan.

- Mówiąc w skrócie: wywiózł mnie na odludzie i próbował zastrzelić. Wyobraża pan sobie?

Stranahan odparł, że tak, i to bez trudu.

- Po co pani tu przyszła?

- Żeby go wystraszyć. To szaleństwo, ale chciałam, żeby Chaz zobaczył, że wciąż żyję. Co mi może zrobić w kościele?

- Była pani na policji?

- Jeszcze nie, ale pójdę.

- Mogę o coś prosić? Niech się pani wstrzyma jeszcze kilka dni.

Ricca się uśmiechnęła.

- Więc pan naprawdę go szantażuje.

- Och, to tylko część planu, ale na razie proszę zachować ostrożność. Chaz będzie nalegał, żeby się z panią spotkać. Zacznie się korzyć i płakać, i pewnie zaproponuje dużo pieniędzy za milczenie.

- A potem znowu spróbuje mnie zabić.

- Oczywiście. Ale dam pani numer telefonu, pod który proszę koniecznie zadzwonić przed planowanym spotkaniem.

Stranahan zanotował dane na odwrocie świętego obrazka. Ani numer, ani nazwisko nic Ricce nie mówiły, ale wsunęła obrazek do torebki. Trio gitarowe zakończyło występ i w kościele zapadła cisza. Na ambonę powrócił Corbett Wheeler.

- To był bardzo trudny dzień dla nas wszystkich - powiedział, zezując w stronę zakrystii. - Jeśli o mnie chodzi, ciągle nie mogę uwierzyć, że moja siostra nie żyje. Wydaje się, jakby zaledwie dziś rano nabijała się z moich kowbojskich butów i nieujarzmionej fryzury.

Wszyscy parsknęli śmiechem, lecz tylko Stranahan wiedział, o co chodzi. Joey rano bezlitośnie drwiła z brata, kiedy się przebierał na uroczystość.

- Dziękuję, że zechcieliście tu dzisiaj przyjść i podzielić się swoimi wspomnieniami. Joey byłaby wzruszona. Wiem, że wiele osób pragnie osobiście złożyć kondolencje jej mężowi. Chaz będzie czekał na was przy wyjściu.

- Świetnie - ucieszyła się Ricca.

- Tylko spokojnie, proszę - poradził Stranahan.

Nikt nie był bardziej zszokowany niż Chaz, kiedy odzyskawszy przytomność, dowiedział się, że będzie osobiście żegnał żałobników przed kościołem św. Conana.

Narzekał, że jest zbyt słaby i zdenerwowany, ale brat Joey chwycił go za rękę i kazał się wziąć w garść. Tool nie stanął w jego obronie, ponieważ zatrzymał się przy ołtarzu, gdzie stała fotografia zmarłej pani Perrone. Pierwszy raz ją widział i kogoś mu przypominała.

Ale kogo? Pustka w głowie. To były skutki tego leku w plastrach. Czasami upośledzał pamięć.

Wyszedł na zewnątrz i znalazł kawałek cienia pod figowcem. Usiadł na ziemi, głowę oparł o pień. Patrząc, jak Chaz na schodach kościoła wita się i ściska z gośćmi, jeszcze raz pomyślał o zdjęciu pani Perrone. Nie rozumiał, jak taka ładna i mądra dziewczyna mogła się związać z takim śmieciem. Za grosz sprawiedliwości na tym świecie.

Nagle podszedł jakiś mężczyzna i usiadł obok Toola. To go zirytowało.

- Pamiętasz mnie? - spytał przybysz.

- Jakżeby nie. - To był ten facet, który mu przywalił w krtani wtedy w domu Perrone'a. Szantażysta. Tool zmrużył oczy.

- Dobrze, że nie jesteśmy sami - mruknął.

- Rozumiem, że jesteś wściekły. Nieźle cię zaprawiłem.

- Czekaaj, aż się znowu spotkamy.

- O tym właśnie chciałem pogadać. - Szantażysta zniżył głos. - O przekazaniu forsy.

- Co?

- Na okup.

- Aha. - Tool zaczął się wiercić. Usadził się tak nieszczęśliwie, że korzeń drzewa uwierał go w tyłek dokładnie w miejscu, gdzie tkwiła kula.

- Czuję, że Chaz zamierza zrobić coś bardzo głupiego. To się może źle skończyć nie tylko dla niego, ale i pana Hammernuta.

- Bez obaw. Nic nie zrobi, póki ja go pilnuję.

- Cieszę się. - Szantażysta wskazał palcem w kierunku kościoła.

- Poznajesz tych dwoje przy wejściu?

Tool przymrużył oczy.

- Facet to glina.

- Tak, detektyw Rolvaag. A ta ciemnowłosa kobieta o kulach?

- Bo ja wiem. - Tool wsunął rękę w spodnie i podrapał się w krocze.

Szantażysta wyjaśnił, że to Ricca Spillman.

- Pan Perrone niedawno próbował ją zabić.

- Pieprzysz - odparł Tool, choć wiedział, że to prawda. Wiedział też, że trzeba o tym powiedzieć Redowi, bo sprawa robi się poważna. Doktorek wzięła i zastrzeliła laskę, a ta zamiast spokojnie umrzeć, przyszła tu i sobie gawędzi z gliniarzem. Tool wstał i rozmasował pośladki.

Szantażysta też się podniósł.

- Ja na razie wolę się nie pokazywać Rolvaagowi, więc będę zniknął.

Tool wzruszył ramionami. Zauważył, że do kobiety o kulach zbliża się brat pani Perrone, hodowca owiec. Niedobrze, pomyślał.

- Tak w ogóle to przepraszam za tamto zajście w domu Perrone'a - powiedział szantażysta.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem.

- Tak myślałem.

- Ty, a gdzie zgubiłeś dziewczynę? Tę, która była we Flamingo?

- Została w domu czyścić giwery.

Tool wcale nie był pewien, czy facet żartuje. Nagle doznał olśnienia - to do niej była podobna kobieta na zdjęciu, do dziewczyny szantażysty. Wprawdzie wtedy na przystani było ciemno, ale to, co zdołał dojrzeć, bardzo przypominało rysy twarzy nieżyjącej żony Perrone'a. Nie wiadomo, może to rodzina, a szantaż jest rodzajem zemsty.

- Mogę o coś spytać?

- Nie - odparł szantażysta i odszedł.

* * *

Chaz nawet się cieszył, że Corbett Wheeler stoi obok i trochę go odciąża od obowiązków. To harówka być uprzejmym i współczującym, zwłaszcza kiedy trzeba udawać.

Chaz był w stanie zdzierżyć jakieś dwanaście sekund szczerej sympatii od każdego żalobnika, po czym go zostawiał i przechodził dalej. Z zatroskanych spojrzeń wywnioskował, że wygląda okropnie: rozdygotany, spocony, twarz cała w bąblach. Ale to tylko pomagało utrzymać wizerunek zrozpaczonego wdowca na krawędzi załamania.

Uścisk dłoni, przytulenie.

Uścisk dłoni, przytulenie.

Chaz Perrone starał się zachowywać względnie smutny wyraz twarzy, ale gdy zobaczył w kolejce szantażystę, poczuł, jak usta same mu się wykrzywiają w nienawistny grymas. Mężczyzna wręczył mu szarą kopertę, nachylił się i głosem Charltona Hestona powiedział:

- Słyszę helikoptery, Chazzie.

Perrone odruchowo zadarł głowę, ale zobaczył tylko mały samolot ciągnący wstęgę z reklamą piwa Budweiser.

Nie miał czasu się zdenerwować, bo właśnie dostrzegł Riccę, która rozmawiała cholera wie o czym z detektywem Rolvaagiem. Detektyw zachowywał się serdecznie i swobodnie, nie wyglądał na kogoś, kto właśnie został poinformowany o próbie zabójstwa w rezerwacie Loxahatchee. A jednak Chaz ledwo się powstrzymał, żeby nie rzucić się do ucieczki.

Kiedy wylądował w objęciach pani Raguso, całej we łzach i lekko zalatującej mozzarellą, usłyszał z przerażeniem, że Corbett Wheeler na chwilę wszystkich przeprosza i odchodzi. Wtulony w biust sąsiadki patrzył niepoczyszony przez jej ramię, jak brat Joey zbliża się do Ricci i zaczyna z nią rozmawiać.

No to mam przesrane, pomyślał.

W chwilę potem Ricca zaczęła kuśtykać w jego stronę. Corbett ją prowadził. Chaz wyplątał się z objęć pani Raguso, ale uciec już nie zdążył.

- Wasza gosposia - powiedział Wheeler - chciała porozmawiać na osobności.

- Oczywiście - odparł Chaz. Gosposia? Boże, będzie mi to wypominała do końca życia.

Odszedł na bok, a brat Joey go zastąpił. Ricca świdrowała go wzrokiem bazyliuszka. Wsparta oburącz na kulach, siłą rzeczy nie mogła go uściskać, żeby złożyć kondolencje.

- Musimy porozmawiać - odezwał się prawie szeptem Chaz.

- Wypchaj się.

- Tamtej nocy coś mi odbiło. Nie byłem sobą.

- Powiedz to sędziemu, żaloszny fiucie.

- Przepraszam cię też, że opróżniłem twoje mieszkanie. I że pozbyłem się auta. Co tu gadać, spanikowałem i tyle.

- Paskudnie wyglądasz. Co to za syfy masz na gębie?
- Komary mnie pogryzły. Chyba złapałem wirusa gorączki Zachodniego Nilu.
- Świetnie. Mam nadzieję, że ci jaja odpadną.
- Posłuchaj, masz prawo być wściekła. Zrobiłem coś okropnego...
- Nie gadaj.
- Ale to nie byłem ja. Coś mi odbiło. Naprawdę. Co mam zrobić, żeby ci to wynagrodzić?
- Poza powolnym umieraniem w męczarniach?
- Ciii. Proszę cię, skarbie, nie tak głośno.
- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy - oświadczyła Ricca. - W gotówce.
- Naprawdę? - Chaz odczuł ogromną ulgę. Zawsze uważał Riccę za materialistkę. To była najlepsza wiadomość, jaką mógł usłyszeć.
- Do tego nowy samochód. Mustang kabriolet. Jeśli się nie wywiązesz, wpadnę z wizytą do mojego nowego znajomego. - Zerknęła w stronę Rolvaaga, który teraz rozmawiał z siwowłosym księdzem.
- Nie, zaczekaj! Dam ci odpowiedź od razu! - Wyciągnął do niej rękę, ale Ricca ostrzegawczo uniosła kulę. - Zgadzam się - dodał ciszej. - Dostaniesz, co tylko chcesz.
- Czekaj na mój telefon - rzuciła krótko i odeszła.
- Chaz wrócił do gości. Kolejka tymczasem skurczyła się do garstki przyjaciół Joey.
- Corbett Wheeler nachylił się do niego i rzekł:
- U nas na Antypodach takich gospoś nie robią. Fajna laska.

- Być może, ale słyszałem, że trzeba uważać, bo można od niej to i owo złapać.

- Wymyśliłbyś coś lepszego - zaśmiał się Wheeler.

Chaz poczuł, jak ktoś mocno ściska jego dłonie. To Rose, ta seksowna blondynka z klubu czytelniczego.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zapytała.

- Oczywiście. - Chaz wyczuł zapach jej perfum, takich samych, jakich używała Joey.

Łakomie przełknął ślinę; nieodmiennie go podniecały. Tym, co najbardziej zapamiętał z tych pierwszych sekund po wypchnięciu Joey ze statku, był jej kuszący zapach, który jeszcze chwilę unosił się w powietrzu.

Rose z powrotem wprowadziła Chaza do kościoła. Wewnątrz było chłodniej i ciemniej. Chaz próbował nie wlepić ostentacyjnie wzroku w jej biust, który pod tym obcisłym sweterkiem bynajmniej nie wzbudzał nastrojów żalobnych.

- Wygłosiłaś niezwykłą przemowę - wyznała Rose tonem pełnym podziwu.

- Cóż, sama Joey była niezwykła.

- Mój Boże, to prawda. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jej nie ma. Nie przyjmuję tego do wiadomości.

- Tak, to się wydaje nierealne.

- Ale to, co dzisiaj powiedziałaś... Byłaś jak skała, prawie do końca. Skała Gibraltarska.

- Chciałem być silny dla Joey - odparł skromnie.

- Ale powiedz, Chaz, tak szczerze, jak sobie radzisz? Jak się trzymasz? - Rose znów ścisnęła go za ręce i zaczęła je gładzić tak cudownie, że aż dostał dreszczy. Od wielu dni nie myślał o seksie, lecz teraz nagle stwierdził, że to byłby niezły pomysł. Idealne antidotum na ten mroczny czas.

- Szczerze? Jestem w rozsypce.
- Nie wyglądasz najlepiej, to fakt.
- Bez niej dom jest taki pusty.
- Mogę to sobie tylko wyobrazić. - Na twarzy Rose malowało się współczucie.

Chaz był już prawie zupełnie odurzony wonią perfum Rose. Gapił się na jej koralowe usta i z trudem opierał się pokusie rozchylenia ich językiem. Poczekaj, rzekł do siebie, będzie na to odpowiednie miejsce i czas.

- Czeka mnie ciężki wieczór - westchnął. - Ta uroczystość miała mi ulżyć, ale wcale nie czuję się lepiej.

Rose wplotła palce w jego dłoń. Intrygująca kobieta, pomyślał Chaz. Ciekawe, czemu Joey nigdy ich sobie nie przedstawiła.

- A może dasz się zaprosić do mnie? Ugotuję jakąś kolację, wypożyczymy film. Oderwiemy się od tych przykrych spraw. Lubisz spaghetti?

- Świetnie. Przyniosę wino. To gdzie mieszkasz?

* * *

Wyszedł na zewnątrz i z werwą zszedł po schodach kościoła św. Conana. Na dole stał detektyw Rolvaag i uśmiechając się do siebie, patrzył gdzieś w dal ponad głowami rozchodzących się gości.

Chaz go zaczepił.

- Powie mi pan w końcu, co takiego znalazła straż, co należało do Joey?

- Tak. Paznokcie.

- Boże. I to wszystko?

- Uhm. Na worku z marihuaną.

- I to pana tak bawi? - pokręcił głową Chaz i odszedł.

Detektyw wcale się nie śmiał z paznokci pani Perrone.

Śmiał się z zielonego chevroleta suburbana, który dwa razy okrążył okolicę, żeby przejechać obok kościoła. Nowy i wypucowany, w sam raz pasował do tego z wypożyczalni, za którego zapłacono kartą kredytową Joey Perrone. Promienie słońca przebijające się przez przyciemniane szyby ujawniły, że kierowcą jest kobietą w ogromnych okularach słonecznych i bejsbolówce. Młoda, jasnowłosa, uczesana w kucyk.

Coś podobnego! Genialne! Rolvaag o mało nie pękł ze śmiechu.

Rozdział 27.

Chaz Perrone połknął ostatnią niebieską pigułkę i zadzwonił do drzwi. Rose zawołała, żeby wszedł. Zastał ją w kuchni. Stała przy kuchence, rozmawiając przez telefon i mieszając sos marinara. Obok gotował się makaron. Miała na sobie obcisłe dżinsowe szorty i jaskrawozieloną koszulkę bez ramiączek, co nappełniło Chaza optymizmem. Postawił wino na blacie i zaczął szperać w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu.

Rose odłożyła telefon.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - powiedziała. - Po przyjeździe do domu ryczałam dobrą godzinę.

- Ja też - odparł Chaz z niewzruszoną miną.

Nie wspomniał o pięciu piwach i kilku kolejkach martini, które były konieczne, żeby uspokoić nerwy...

Przeklęta Ricca żyje.

Bóg jeden wie, co knuje Red Hammernut.

Szantażysta jutro wieczorem chce dostać forszę.

I do tego wszystkiego ta kasetka wideo, którą znalazł pod drzwiami po powrocie z kościoła. Obraz był ziarnisty i niedoświetlony, lecz na tyle wyraźny, że Chaz od razu się zorientował, co ogląda.

„Chaz, nie! Co ty robisz?”

Nie przypominał sobie, żeby coś wtedy mówiła, ale w głowie miał tylko nieme zamazane obrazy. Jednak nie ulegało wątpliwości, że na filmie od szantażysty widać Joey. To była jej twarz, głos, nogi.

Ta sama spódnica, te same buty, ten sam zegarek.

Gdy pierwszy raz oglądał kasetę, był w szoku. Za drugim razem poczuł perwersyjną fascynację.

Film zaczynał się od migawki przedstawiającej legendarną „Księżną Słońca” stojącą w porcie. Następna scena była na pokładzie. Postacie kobiety i mężczyzny stały w bladym świetle przy relingu. Choć Chaz był odwrócony od kamery, bez trudu rozpoznał siebie: równo przystrzyżone ciemne włosy, niebieska marynarka i grafitowe spodnie. Co ciekawe, wydawał się sobie jakby szerszy w ramionach, a biodra miał nieco szczuplejsze niż zwykle pokazuje lustro w łazience. Jakkolwiek strasznie było patrzeć na tę scenę, Chaz z dumą odnotował, że jest nieźle zbudowany.

Siedemnaście sekund. Sprawdził na liczniku magnetowidu. Siedemnaście sekund od pierwszej do ostatniej klatki.

„Chaz, nie! Co ty robisz?”

Przerażonego krzyku Joey nie był w stanie znieść na trzeźwo, więc szybko to zmienił.

Już rozumiał, dlaczego szantażysta był taki pewny siebie - miał go na talerzu. Wszystko nagrał na taśmie.

Głupie szczęście i tyle, pomyślał gorzko Chaz. Facet spaceruje po pokładzie z amatorską kamerą, filmuje gwiazdy, horyzont czy co tam innego. Ja i Joey wchodzimy mu w kadr i nagle ma zarejestrowane na taśmie morderstwo.

Klucz upada na deski pokładu, więc się schylam, żeby go podnieść.

Ale zamiast tego chwytam Joey za kostki.

„Chaz, nie! Co ty robisz?”

Jeden zwinny ruch, nogi w powietrzu.

I Joey nie ma.

Tak szybko, dziwił się Chaz. Pstryk!

Z ciekawością przyglądał się swojemu zachowaniu. Pamiętał, że był wtedy spokojny i opanowany. Niestety, nagranie się kończyło w chwili, gdy zaczynał się odwracać od relingu.

Obejrzał je sześć razy, zwiększając coraz bardziej dawkę alkoholu. To cud, że jadąc do Rose nie skosił po drodze żadnego słupa.

Drinki pomogły, ale tym, czego Chaz najbardziej potrzebował, aby uprzętać straszliwy mętlik w głowie, był seks. Nie kochał się z kobietą od jakichś dwóch tygodni.

Ostatni naprawdę fajny seks przeżył z Joey pod prysznicem na statku. Od tamtego czasu odczuwał chroniczną niemoc, nie potrafił wejść w nastrój, wrócić do formy. Odkąd skończył szesnaście lat, tylko częsty, regularny seks, samotny czy w towarzystwie, utrzymywał go w równowadze psychicznej. Bez niego kapcał, nie potrafił się skupić, tracił kontrolę nad odruchami, hormony w krwiobiegu zastygały, jądra bolały, prostata zaczynała wapnieć...

Nalał wina do dwóch kieliszków i podał jeden Rose. Mimo wszystko myślał o tym wieczorze z optymizmem. Udało mu się spokojnie wyrwać z domu, bo Tool wyjechał coś załatwić, pewnie następne plastry. Tutaj go nigdy nie znajdzie.

- Opowiedz mi o swojej pracy - zagadnęła Rose, rozkładając talerze.

- Nie ma co opowiadać, to dość techniczne rzeczy.

- Joey mówiła, że pracujesz przy projekcie ochrony Everglades i badasz czystość wody.

- Mniej więcej - odparł Chaz. - Ale my szukamy pierwiastków chemicznych, nie takiego zwykłego brudu ze ścieków. Nic, co można poczuć nosem albo zobaczyć gołym okiem. - Patrzył z zachwytem, jak piękne dłonie Rose nakładają na talerz makaron.

- To wspaniale. Założę się, że sto razy czytałeś *Rzekę traw*.

- Pewnie.

- Pani Douglas to jedna z moich guru feminizmu. Niezwykła postać. To dopiero kobieta dynamit!

- Jedyna w swoim rodzaju - przyznał doktor Perrone, który od dziesięciu lat nie przeczytał żadnej książki w całości. Ale był na tyle pijany, że mógł improwizować.

- *A Silent Spring?* - spytała Rose.

- Niech pomyślę...

- Rachel Carson.

- Ach, tak. Czy ona nie była żoną Johnny'ego⁸?

Rose wybuchnęła śmiechem.

- Joey zawsze mówiła, że masz poczucie humoru.

- Naprawdę? - Chaz ponownie napełnił kieliszki. Albo niebieska pigułka zaczęła działać, albo lewa stopa Rose znalazła się u niego na kolanach.

- Masz kogoś? - spytał tonem, jakby to miało znaczenie.

- Od paru miesięcy nie.

- Ach tak.

- Wszystko się zaczyna w człowieku kumulować. Tyle stłumionych emocji i pragnień - fantazjowała Rose.

- Wiem, o czym mówisz.

- Czasami człowiek po prostu musi się odprężyć.

- Potrzebuje wentyla emocjonalnego.

- Tak, właśnie - odparła Rose. - Żeby się pozbyć całego stresu i napięcia. Joga, na przykład, nigdy na mnie nie działała.

- Na mnie też. - Cóż za ożywcze poglądy, pomyślał Chaz.

- Byłbyś tak miły i podał parmezan? - powiedziała Rose. - Jest w szafce obok lodówki.

⁸ Chodzi o Johnny'ego Carsona, znanego prezentera TV (przyp. tłum.).

- Jasne. - Chaz wstał, ostrożnie przytrzymując serwetkę, żeby zakryć rosnące wybrzuszenie w spodniach. Nie chciał zaskoczyć gospodyni, zanim nie nadejdzie stosowna chwila.

Gdy stał odwrócony plecami, Rose wrzuciła mu do wina rozkruszoną tabletkę.

- Życie jest takie niesprawiedliwe - stwierdziła. - Dlaczego akurat Joey?

Chaz wrócił do stołu i podał jej pojemnik z tartym serem. Potem wypił kolejny łyk merlota.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? - ciągnęła Rose. - Ta historia z *Panią Bovary*. Joey nigdy nie wspominała o niej w klubie. Jak myślisz, dlaczego? Dyskutujemy o wszystkim, co czytamy.

- Mogę się tylko domyślać. - Z kącika ust zwiślał mu kawałek makaronu. Wprawnie go wciągnął i mówił dalej:

- Może dlatego, że to była szczególnie osobista książka? Jak mówiłem w kościele, mogło się dzieć coś poważnego, depresja czy coś, i Joey nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

- Chaz, powiedz mi szczerze. Myślisz, że to było samobójstwo?

- Nie! To jest... Nie wiem - odparł, udając wzruszenie. - Nie chce mi się w to wierzyć. Zawsze była przecież taka wesoła.

- No właśnie! - przytaknęła gorliwie Rose. - Jestem okropna, że zadaję takie pytania. Wybacz, Chaz. Oczywiście, że Joey nie mogła popełnić samobójstwa. Nonsens.

Porzucili ten temat i zaczęli rozmawiać o przyjemniejszych rzeczach, o sporcie, filmach i muzyce. Okazało się, że Rose rozważa wzięcie lekcji golfa.

- Lubię sporty, w których nie trzeba się tak bardzo pocić - powiedziała. - Kochanie, co ci jest?

Chaz kurczowo uchwycił się blatu.

- Nie czuję się najlepiej.

Wszystko wokół zaczęło wirować jak na karuzeli. Widział teraz dwie Rose, każda dziwnie mu się przyglądała.

- Chcesz się położyć? - spytały. - Chyba powinienes.

- Dobry pomysł.

Rose zaprowadziła Chaza do sypialni, posadziła na łóżku i zdjęła mu buty.

- Kładź się. Dobrze ci to zrobi. - Uklepała stertę poduszek.

Chaz rozciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Boże, pomyślał, od lat nie byłem tak narąbany.

- Zaraz wracam - powiedziała Rose i zgasiła światło. Chaz miał uśmiech na twarzy, kiedy się mocował z paskiem do spodni. Ujrzał oczami wyobraźni cudowny widok, jak Rose zrzuca szorty, koszulkę, i wślizguje się obok pod kołdrę. Trochę się przesunął, żeby jej zrobić więcej miejsca w łóżku. Kosztowało go to wiele wysiłku.

Sęk w tym, że naprawdę nie czuł się najlepiej. Po jakimś czasie miał wrażenie, że słyszy szum silnika. To pewnie wentylator u sufitu. Uchylił powieki, ale niewiele mógł dostrzec w ciemnościach. Odgłos wzmocniony nadmiarem wypitego alkoholu wydał mu się warkotem helikoptera zawisłego groźnie nad głową. Schował się ze strachu pod poduszkę.

Nie słyszał więc brzęku kluczyków samochodowych i trzasku zamykanych drzwi.

Kiedy Rose odjechała, Stranahan powiedział do Joey:

- Gotowa?

- Teraz albo nigdy.

- Pamiętaj o zasadach.

- Nie wolno bić, kopać ani używać ostrych narzędzi. Coś jeszcze?

- Żadnych łez.

- Coś ty.

Oboje weszli do domu. Przed sypialnią Joey przystanąła, żeby się skropić odrobiną perfum Chanel.

- W razie czego jestem w pobliżu - szepnął Stranahan. Joey wśliznęła się do środka i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Usłyszała delikatny szelest, a po nim stłumiony głos:

- Rose?

Przysiadła na rogu łóżka.

- Rosie, skarbie, chodź tu do mnie.

Położyła się sztywno obok męża. Wysunął głowę spod poduszki i przytulił się do jej ramienia.

- Cudownie pachniesz. Te perfumy... Uwielbiam je.

- Hmm - mruknęła Joey.

Jechało od niego alkoholem i czosnkiem. Nagle poczuła znajomy dotyk czegoś miękkiego na udzie.

- Chyba jestem troszkę pijany - wymamrotał Chaz.

I naćpany, dodała w myślach Joey. Rose wrzuciła mu do wina dziesięć miligramów diazepam.

Chaz próbował po omacku sięgnąć do piersi Joey, ale ta odepchnęła jego rękę.

- Przestań - szepnęła.

- Ale ci serce bije. Co to może znaczyć, Rose?

Gdybyś tylko wiedział.

Przysunął się bliżej.

- Nie.

- Proszę cię. Tak bardzo za nią tęsknię.

Wzrok Joey stopniowo przyzwyczaił się do mroku. Chaz był nieprzytomny, tkwił w półśnie, lecz ona pozostała czujna.

- Błagam, Rose. Pomóż mi złagodzić ten ból. Chociaż na jeden dzień.

I nagle Joey zaczęła płakać. Sama nie mogła w to uwierzyć. Chlipała jak dziecko! Chaz jakby się ożywił. Na pewno uznał to za przejaw wrażliwości.

- No chodź - błagał, próbując się wyplątać ze spodni. - To nam obojgu wyjdzie na zdrowie.

- Niby jak?

- Jeśli się w sobie zatracimy.

To coś nowego, pomyślała Joey. Ciekawe, skąd wziął ten tekst. Powoli nabrała powietrza w płuca, żeby pohamować łzy.

- To naturalne emocje w takich chwilach - mówił Chaz. - Joey kochała nas oboje. Zrozumiałaby.

- Nie, Chaz, nie zrozumiałaby.

Powiedziała to głośno, swoim normalnym głosem. Chaz przestał się wiercić i podniósł głowę, próbując dostrzec jej twarz. Joey usłyszała głośne przełknięcie.

- Zapewniam cię - mówiła dalej - że absolutnie nie rozumiem, jak można w dniu jej pogrzebu próbować przelecieć jej najlepszą przyjaciółkę.

Chaz zastygł bez ruchu; kompletnie zgłupiał. Joey wsunęła mu rękę pod bokserki, chwyciła dwoma palcami skórę na mosznie i z całej siły wykręciła.

- Auć! Puszczaj! - wrzasnął. - Jezus Maria, Joey!

Joey policzyła po cichu do dziesięciu i puściła.

- A teraz nie próbuj się ruszyć, Charles.

Włączyła lampkę i zobaczyła, że leży zwinięty jak wielki bładny jeż i trzyma się za przyrodzenie.

- Ty nie jesteś prawdziwa - wykrztusił, łypiąc na nią podejrzliwie. - To niemożliwe. - Wyszczrzył zęby i wydobył z siebie szaleńczy chichot. - Pokaż palce.

- Ile ty właściwie wypiełeś? - spytała.

- Ty nie żyjesz, kochanie. Osobiście cię zabiłem. - Chaz nadal szczyrzył się jak szympan. - Wszystko jest nagrane!

- Dobra, draniu, skup się teraz. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Głowa zaczęła mu opadać na boki, jakby miał szyję z gumy. Oczy same mu się zamykały.

- Nie waż się zasnąć - ostrzegła Joey.

- Wiedziałem. To ten cholerny wirus. Dlatego tu jesteś. Mówili, że chorzy mają halucynacje.

Rose chyba przesadziła z valium, pomyślała Joey. Facet zaraz odleci.

- Chaz, słyszysz mnie?

Kiwnął głową.

- Głośno i wyraźnie.

- Dlaczego chciałeś mnie zabić?

- Oj, błagam.

Joey złapała go za włosy i szarpnęła do góry.

- Odpowiedz!

- Zaręczam ci, że nie byłem jedynym facetem na tym statku, który rozważał wyrzucenie swojej żony za burtę. Kobiety też miewają takie myśli. Wszyscy, którzy żyją w małżeństwie. Tylko że ja... ja!... odważyłem się to zrobić. To jedyna różnica.

Joey rozejrzała się po pokoju za czymś ostrym, najlepiej zardzewiałym. Potem przypomniała sobie ostrzeżenie Micka: „Nie sprowadzaj nam na głowę policji”.

Puściła Chaza. Głowa mu opadła na piersi.

- Bałem się, że mnie podkablujesz za fałszowanie wyników badań - powiedział.

- Ale ja nic o tym nie wiedziałam!

- No to może trochę niepotrzebnie spanikowałem.

- Słucham?

Chaz podrapał spory strupek na szyi.

- Ty nie rozumiesz. Red nie żartuje, jeśli chodzi o interesy.

- To była nasza rocznica!

- A właśnie, byłbym zapomniał. Dzięki za pokrowce na kije. Odkryłem je później w walizce.

- Ty naprawdę jesteś potworem!

- Gdybyś była prawdziwa, tobym cię przeprosił.

- A ja odesłałabym cię do diabła. Dlaczego właściwie się ze mną ożeniłeś?

Chaz był szczerze zdziwiony tym pytaniem.

- Bo mi się podobałaś. I tak cudownie nam razem było.

- Bo ci się podobałam?! - Joey zerknęła na kabel od lampy, myśląc: żaden sąd mnie za to nie skaże.

- Okropnie chce mi się spać - ziewnął Chaz. - Możesz już wracać do nieba? Czy gdzie tam teraz jesteś?

- Kochałeś mnie w ogóle? - Joey zgasiła światło na wypadek, gdyby znowu zaczęła płakać. - Choć przez chwilę?

- Oczywiście.

- To co się stało? Najpierw te laski na boku, co tak dzielnie znosiłam...

Z mroku dobiegło ciche chrząknięcie.

-...a potem wyrzucasz mnie za burtę w czasie rocznicowego rejsu! Nie rozumiem tego. Skoro miałeś dość, wystarczyło

powiedzieć. Nie wiem, czy wiesz, ale istnieje coś takiego jak rozwód.

Teraz było słychać tylko ciężki miarowy oddech. Minęło pięć, dziesięć, piętnaście sekund.

- Chaz?

Cisza.

Wyszarpnęła mu poduszkę spod głowy, krzycząc:

- Obudź się, do cholery! Jeszcze nie skończyłam!

Najpierw zaspany jęk, a potem:

- Nic mi nie możesz zrobić, Joey. Przecież nie żyjesz.

Z wielkim trudem się pozbierał i chciał się na nią rzucić, ale po ciemku nie trafił. Joey skoczyła mu na plecy i przygwoździła do materaca.

- Ożeniłeś się tylko dlatego, że ci się podobałam? Jaja sobie robisz? - Jej usta prawie dotykały jego ucha.

- To przecież komplement - odparł Chaz. - Czy mogłabyś ze mnie zejść? Za chwilę złamiesz mi ptaka.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi i na łóżko padł snop światła.

- Wszystko gra, daję radę - rzuciła Joey przez ramię.

- Kto to? - zapytał Chaz, usiłując się wyplątać z uścisku.

Drzwi się zamknęły.

- Rose?

- Spokojnie, Romeo - odparła Joey. - Dzisiaj nici z seksu...

- Zejdź ze mnie.

- Chaz, to wciąż tylko ja, twoja najdroższa zmarła żona.

- Bzdura.

- Ale ja żyję.

- Nieprawda.

Joey wbiła mu łokieć w plecy.

- A to? Jest prawdziwe?

- Zły sen - jęknął.

- Założymy się?

- Uszczypnij mnie znowu w jaja. Śmiało. Nie boję się.

- Co się z tobą stało, Chaz?

Poruszył ramionami.

- Ludzie się zmieniają, to niczyja wina. Daj mi spać, co?

- Jeszcze nie, za chwilę.

- Gdybyś była prawdziwa, Joey, już dawno byś mnie zabiła.

Westchnął ciężko i znieruchomiał.

Joey złapała go za kołnierz, potrząsnęła nim i przywarła do niego tak mocno, że ustami muskała meszek na jego uchu.

- Chaz! Dobrze mnie posłuchaj. Wszystko powiem policji. I to nie będzie tylko moje zeznanie przeciwko twojemu. Dostaną testament, kasetę z nagraniem, wszystkie dokumenty z Everglades. Twój przyjaciel Red też jest skończony. Obudź się, Romeo, to koniec. Usiłowanie zabójstwa, oszustwo, korupcja. Nawet jeśli się wywiniesz od kary, zostaniesz bez grosza, bez pracy, i do końca życia nie wypłacisz się adwokatom. Będziesz zrujnowany.

W odpowiedzi usłyszała ciszę. Chaz spał jak kamień.

Joey zeszła z łóżka i zawołała Micka. Razem zaczęli trącać i szturchać Chaza, ale bez skutku.

- I co robimy? - zapytała Joey. - Ten palant myśli, że ma halucynacje. Uważa, że mu się przyśniłam. Widocznie już przyszedł narąbany, a Rose mu jeszcze dołożyła.

- Ojej, mam nadzieję, że nie zrobi sobie ziazi, kiedy będzie wracał do domu. Żeby tylko nie wjechał do jakiegoś kanału albo nie zasnął na torach.

- Nie kpij, Mick.

- No co, takie przypadki się zdarzają. Ciągłe o tym piszą.

Joey patrzyła na tę obślinioną, chrapiącą kupę mięsa, którą kiedyś poślubiła, i czuła jedynie zmęczenie i pustkę. To dziwne, ale zupełnie przeszła jej ochota, żeby go pobić, udusić czy zakatrupić. Lub choćby tylko na niego nawrzeszczyć. Wściekłość i oburzenie gdzieś uleciały, zostało tylko obrzydzenie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Stranahan.

- Wspaniale. Wyszłam za totalnego gnoja.

- To nie takie trudne. Jeśli chcesz mu spuścić łomot, masz okazję.

Pokręciła głową.

- Szczerze mówiąc, Mick, przestało mnie obchodzić, co się z nim stanie.

- Ale mnie nie - odparł Stranahan i chwycił Charlesa Regisa Perrone'a za kostki.

Rozdział 28.

Nellie Shulman dopadła go w windzie. Miała na sobie podomkę, która zalatywała rybami i naftaliną.

- Dlaczego nie powiedziałeś, że się wyprawdzasz? Co to za ukrywanie się?

- Dostałem pracę na północy kraju.

- I pewnie wynająłeś mieszkanie Cyganom. Takim samym zbrojeńcom i odludkom jak ty.

- Zamierzam je sprzedać, Nellie.

Zaklekotała sztuczną szczęką.

- Kolejnemu miłośnikowi węży, co? Może jakiemuś psychopacie, co hoduje kobry.

- Komukolwiek, kogo będzie na nie stać. Prawo tego nie zabrania.

Drzwi windy się otworzyły i detektyw czmychnął na korytarz. Nellie za nim.

- Jesteś z siebie zadowolony, co? Myślisz, że jak Rumsfeld się znalazł, to już możesz sobie wyjechać z czystym sumieniem.

Rumsfeld to ten miniaturowy pudel, trzeci pies, który zaginął w ostatnim czasie na terenie Sawgrass Grove. Detektyw ucieszył się w duchu, gdy się dowiedział, że ta mała kulka futra nie została pożarta przez któregoś z jego pytonów.

- Znaleźli go na zapleczu delikatesów - wyjaśniła pani Shulman.

- Spał w skrzynce po wódce. Jakiś bezdomny karmił go krakersami.

- A co z Pinchotem i tym kotem syjamskim? - spytał Rolvaag.

Stał pod drzwiami i szukał po kieszeniach klucza. Pani Shulman wyraźnie zmierzała do konfrontacji.

- Nie udawaj niewiniątka - rzekła. - Nazywała się Pandora i dobrze wiesz, co się stało. Poświęciłeś ją dla tych swoich paskudnych gadów! To samo zrobiłeś z Pinchotem. A następna w kolejce jest pewnie moja Petunia!

- To są poważne oskarżenia, Nellie. Niepoparte żadnymi dowodami.

Pani Shulman zaczęła się asekurować.

- Nie chodzi tylko o mnie, wszyscy o tym gadają. „A po co dorosły mężczyzna miałby trzymać anakondy?”, mówią. „Z nim jest coś nie tak”.

- To nie anakondy, tylko pytony - wyjaśnił detektyw. - I nie jadają kotów ani psów. - Wcale nie był taki pewien, ale miał nadzieję, że nie było tego po nim widać. - Wiesz, co myślę, Nellie? Myślę, że czujesz się zawiedziona, bo nie zdążysz mnie eksmitować. Nie możesz przeżyć, że sam się wyprowadzam. - Znalazł wreszcie klucz i włożył go do zamka.

Artretyczne szpony pani Shulman wbiły mu się w ramię.

- Ha! Tylko przeze mnie wyjeżdżasz z miasta!

Rolvaag uśmiechnął się znacząco.

- Będziesz za mną tęsknić, co?

- Argh! - Pani Shulman tak gwałtownie się cofnęła, że aż zsunęły jej się kapcie.

Rolvaag szybko wszedł do mieszkania i zamknął drzwi. Włączył komputer i sprawdził w Internecie pogodę w Minnesocie. W St. Paul zapowiadali słońce i siedemnaście stopni. Sam środek przepięknej wiosny. Ciekawe, czy jego ekszona zasadziła kwiaty w ogródku. To było jej hobby, które porzuciła w dusznym klimacie Florydy.

Poszedł do kuchni, wziął z lodówki puszkę oranżady, usiadł przy stole i wysypał z teczki wszystkie papiery. Na samej górze

leżała umowa najmu zielonego chevroleta suburba. Początkowo szef wypożyczalni nie chciał jej przefaksować, ale zmienił zdanie, kiedy Rolvaag zagroził, że przyjedzie tam osobiście, wskoczy na kontuar i zamacha odznaką w obecności wszystkich klientów.

Według umowy samochód wypożyczono na kartę kredytową Joey Perrone w trzy dni po jej zniknięciu z pokładu „Księżnej Słońca”. Detektyw zestawił obok siebie tę umowę oraz kserokopię wykazu zrealizowanych czeków, który otrzymał z banku pani Perrone. Podpisy były uderzająco podobne. Następnie porównał charakter pisma na umowie i na testamencie dostarczonym przez Corbetta Wheelera. Kilka minut wpatrywał się w dokumenty, szukał charakterystycznych elementów, po czym z powrotem schował je do teczki. Nie było sensu informować Charlesa Perrone’a; to strata czasu. Facet był już skończony i Rolvaag, choćby nawet chciał, nie miał żadnych instrumentów prawnych, żeby to zmienić.

Zadzwoił na posterunek straży przybrzeżnej i odszukał panią podoficer Yancy.

- Pamięta pani ten worek z marihuaną, na którym znaleźliśmy ślady paznokci?

- Tak, cały czas leży w magazynie dowodów. Tak jak pan prosił.

- Można go spalić. Jednak mi się nie przyda.

- Przefaksuję panu protokół. A czy udało się znaleźć tę zaginioną kobietę?

- Nie.

- Szkoda.

- Niekoniecznie - odparł detektyw.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zaczął się pakować do wyjazdu.

Tool spędził noc przy łóżku Maureen. Źle spała, mamrotała przez sen, może z powodu koszmarów, a może bólu. Wcześniej zadzwonił wściekły Hammernut i kazał mu wracać do domu Perrone'a i pilnować tego przebiegłego drania. Tool udał, że kończy mu się bateria w komórce i bardzo słabo słyszy.

Nie było mowy, żeby opuścił Maureen w tym stanie.

Znalazł w telewizji kanał nadający teledyski z muzyką country i w ten sposób zabijał czas. Niektóre piosenki, gdy się wsłuchał w tekst, były straszne dołujące, a inne w ogóle do niego nie przemawiały. Bez końca opowiadały o jednym: mężczyznach, którzy nie potrafią usiedzieć w miejscu, i ukochanych kobietach, które porzucili. Praca na farmie ma jedną wielką zaletę, pomyślał Tool. Zawsze wiesz, gdzie jest twój dom.

O świcie, po całej nocy spędzonej na krześle, tak go bolała kość ogonowa, że musiał wstać i się przejść. Kiedy wrócił, Maureen już nie spała. Przywitała się słabym uśmiechem.

Promienie słońca wpadające przez żaluzje rysowały na łóżku świetlne pasy, ale niebieskie oczy Maureen, kiedyś skrzące się jak gwiazdy, były zgaszone i szare jak ołów. Tool zauważył, że Maureen trzyma palec na przycisku alarmowym, więc zapytał, co się dzieje.

Pokazała na pustą kroplówkę.

- Trzeba wymienić - wyszeptała.

- Gdzie cię boli?

- Nie kapali mnie od trzech dni. To takie irytujące.

- Poczekaj. - Raz po raz naciskał guzik, ale nikt nie nadchodził.

- Na rannej zmianie mają niedobór pracowników. Czasem długo to trwa.

- Zaraz sprawdzimy.

- Dokąd idziesz?

Tool zaczepił pierwszą napotkaną osobę w białym fartuchu i zaciągnął ją do sali.

Kobieta była zaskoczona i zdezorientowana.

- Earl, to jest Natasza - powiedziała Maureen. - Pracuje w kuchni.

Tool nie puścił ręki Nataszy.

- Idź i powiedz, żeby ktoś przyniósł tej pani coś przeciwbólowego. Ale już.

- Nataszo, musisz wybaczyć mojemu siostrzeńcowi. Przesadnie się o mnie troszczy.

Kobieta nieznacznie skinęła głową i wybiegła z sali.

- Wczorajsza zupa z soczewicy była boska! - zawołała za nią Maureen. - Musisz mi dać przepis!

- Nie ma tu żadnych lekarzy, do cholery? - oburzył się Tool.

Maureen naciągnęła kołdrę pod brodę.

- Ta kobieta nie potrafi ugotować zupy z puszki, ale w potrawach z soczewicy jest niezrównana.

- Pójdę poszukać kogoś innego.

- Nigdzie nie pójdziesz - pogroziła mu palcem. - Jeśli zrobisz awanturę, każą ci wyjść. Uspokój się i usiądź. Na razie czuję się dobrze.

Ale Tool widział, że to nieprawda. Delikatnie przewrócił ją na bok i odwiązał troczki koszuli.

- Earl, nie.

- Cicho bądź.

Zdjął fartuch, sięgnął ręką do pleców i odkleił ostatni plaster z fentanylem. Potem ostrożnie umieścił go między łopatkami Maureen i przycisnął, żeby się dobrze trzymał.

Kiedy ją obrócił z powrotem, powiedziała:

- To nie było konieczne, ale dziękuję.

- Nie jest najświeższy, ale lepsze to niż nic.

- Earl, coś ci powiem. - Wyciągnęła do niego dłoń; była zimna w dotyku. - Niektórzy ludzie, trafiając w takie miejsca, poddają się. Widzę to po ich twarzach, po prostu nie mają siły walczyć. A uwierz mi, kiedy stajesz się coraz słabszy, to kusi... Dzisiejsze środki przeciwbólowe są świetne, całe dni i tygodnie przepływają za oknem jak wielka ciepła rzeka. Ale nie martw się, ja jeszcze nie mam zamiaru skapitulować.

- Nie możesz! - wykrzyknął Tool. Był wściekły, choć nie wiedział dlaczego. - Kiedy ostatni raz widziałas się z córkami?

- Trudno im się wyrwać. Dzieci mają szkołę.

- Głupia wymówka.

Maureen cicho się zaśmiała.

- Gdybym nie była taka słaba, sprabym ci tyłek.

Nie wiedział, co robić.

- Chcesz, to cię umyję.

- Ani mi się waż! - Uszczypnęła go w nadgarstek. - Mój Boże, po co ja o tym wspominałam.

Matka Toola zmarła w niecały miesiąc po tym, jak lekarze wykryli u niej chorobę. Akurat był środek sezonu na pomidory i Tool nie zdążył pojechać do Jacksonville, żeby się z nią pożegnać. Opowiedział o tym Maureen.

- Nie miej wyrzutów sumienia - pocieszyła go. - Ona na pewno wiedziała, że ją kochasz.

- Twoje córki powinny tu być. To wcale nie tak daleko. -
Nacisnął przycisk alarmowy tak mocno, że aż pękł.

- Cholera. Przepraszam.

- Uspokój się, Earl. Nie wybieram się dzisiaj na tamten świat.

Wreszcie zjawiała się pielęgniarka z kroplówką, dwiema fiolkami środka przeciwbólowego i pieluchą. Tool odsunął się na bok, żeby Maureen miała trochę prywatności. Pielęgniarka była muskularną kobietą o skórze czarnej jak atrament. Mówiła z jamajskim akcentem. Tool pomyślał o wszystkich pracownikach z Jamajki, na których się wydierał, których bił i wyzyskiwał na farmie. Poczul się paskudnie. Ta pielęgniarka mogła być siostrą albo krewną któregoś z nich. Nawet córką. Jej uśmiech był jak wschodzące słońce, a kiedy przyłożyła dłoń do czoła Maureen, Tool zrozumiał, że na zawsze kończy z pracą nadzorcy. Nigdy nie będzie w stanie spojrzeć w oczy tym czarnym spoconym chłopakom, nie myśląc o tej chwili, o tym, jak mu się zrobiło głupio i wstyd. W pewnym momencie życia skręcił w niewłaściwą drogę i prawdopodobnie było już za późno, żeby zawrócić. Przede wszystkim za mocno się uwikłał w interesy z Redem Hammernutem, a ten w dodatku każe mu teraz robić rzeczy, które go popchną głębiej w tę otchłań zła. Jeszcze tydzień temu Tool przyjąłby każdą brudną robotę, byle tylko płacili gotówką. Ale potem poznał Maureen.

- Przestanie ją boleć? - zapytał pielęgniarkę.

- O, tak. Po śniadaniu poczuje się lepiej.

- Earl, to jest Evie - odezwała się Maureen. - Jedna z tych dobrych.

Evie się roześmiała.

- Za godzinę przyjdę panią wykąpać.

Gdy tylko znowu zostali sami, Maureen powiedziała:

- To bystra dziewczyna. Powinieneś ją zapytać o radę w sprawie wiesz czego.

- Nie, dzięki. - Tool nie miał najmniejszego zamiaru wypinać tyłka przed jakąś obcą kobietą, czarną, białą czy w fioletowe kropki.

- Earl, na litość boską, to profesjonalistka.

- Pooglądamy telewizję?

- Hmm.

Tool zauważył, że jej oddech zwolnił, a powieki zaczęły opadać. Lekki od pielęgniarki w połączeniu z fentanylem z drugiej ręki zaczynały działać. Może wreszcie Maureen porządnie się wyśpi.

- Będę szedł - powiedział.

- Dziękuję za dotrzymanie towarzystwa.

- Nie ma sprawy.

- Nawet nie zapytałam, co u ciebie w pracy. Jak sprawy z tym ważnym panem doktorem?

- Do kitu, jak zawsze.

Podniósł się krzesła. Maureen odwróciła się do ściany i ułożyła w pytajnik.

- Nie waż się poddawać - powiedział z lękiem.

- Ja nie z takich.

- Serio mówię.

- Earl?

Ledwo ją słyszał, więc się pochylił nad łóżkiem i nadstawił ucha.

- No?

- Earl, zrobisz coś dla mnie?

- Wszystko.

- Ale to duża rzecz.

- Mów.

- Możesz mnie stąd zabrać?

Twarz Toola rozplynęła się w uśmiechu.

- Już myślałem, że nigdy o to nie poprosisz.

* * *

Chaz Perrone obudził się nagi w swoim żółtym hummerze zaparkowanym na poboczu autostrady numer 95, gdzieś na terenie okręgu Palm Beach.

W piątek rano.

W godzinach szczytu.

Pękała mu głowa, a pęcherz miał wielkość jeziora Okeechobee. Otworzył drzwi z prawej strony, żeby się załatwić, ale poczuł taki ból, jakby sikał tłuczonym szkłem.

Wgramolił się za kierownicę i z ulgą zobaczył kluczyki w stacyjce.

Pojechał do domu, bardzo uważając na ograniczenia prędkości, ponieważ nie miał ochoty tłumaczyć się policji ze swojego wyglądu. Cieszył się, że ma taki wysoki samochód, bo mógł schować swoje blade podrapane ciało przed wzrokiem postronnych, wyjąwszy paru nieokrzesanych kierowców ciężarówek.

Co się stało w nocy? - zachodził w głowę, mrużąc oczy przed brutalnym porannym słońcem.

Ostatnie, co pamiętał, to Rose w tych swoich niesamowitych obcisłych spodenkach prowadząca go do sypialni. Musiał chyba

wtedy stracić świadomość, bo jakimś cudem przeobraziła się nagle w Joey i z miejsca zaczęła wylewać na niego kubły pomyj.

Joey, ubraną w tę samą bluzkę i spódnicę, którą miała na sobie, kiedy ją zepchnął ze statku!

Kiedy wjeżdżał w bramę osiedla, wszystko już pokojarzył. Zaczęło się od oglądania w kółko kasety z nagraniem zabójstwa Joey. Do tego wypił za dużo alkoholu. Czy Rose nie miała czasem tych samych perfum, których używała Joey?

Nie przypominał sobie, żeby wybiegał z sypialni, ale widocznie tak było. Wyskoczył na zewnątrz, wszedł do auta i odjechał. Rose pewnie pomyślała, że oszalał.

Spojrzał między nogi na zwisający smętnie interes - ledwie go poznał. Przeszło mu przez myśl, że może już nigdy nie będzie w stanie zainicjować stosunku, nie będąc deprymowanym przez ducha swojej pięknej zmarłej żony.

Zajechał na podjazd i zaparkował obok samochodu Toola. Rozejrzał się na prawo i lewo, po czym szybko przemknął do domu. Drzwi do pokoju małpoluda były zamknięte, więc ukradkiem poszedł do kuchni i łyknął cztery aspiryny, popijając je Mountain Dew. Potem wszedł pod prysznic, odkręcił kurek, oparł się o ścianę i stał tak do momentu, aż się skończyła ciepła woda.

Kiedy wychodził z łazienki, dzwonił telefon.

- Gdzie się podziewałeś? - To był Red Hammernut. - Zostawiłem ci na sekretarce chyba ze sto wiadomości.

- Nocowałem u znajomej.

- Bez O'Toole'a?

- To był nagły przypadek.

- Ty mi mówisz o nagłych przypadkach? Jeden taki przyjechał do mnie wczoraj kurierem. Kasetą wideo. Mamy problem jak stąd do księżycy.

- O kurwa.

- Wiesz coś o tym?

- Ja też ją dostałem.

- Czyżby? - Chaz odniósł wrażenie, jakby Hammernut zbierał ślinę, żeby splunąć. - Wydawało mi się, że wiele już w życiu widziałem, ale czegoś takiego nie. Skłamałbym, mówiąc, że nie byłem zaszokowany.

Bełkotliwa mowa Reda wskazywała, że trochę wcześniej niż zwykle otworzył swój barek.

- To nie jest rozmowa na telefon.

- Mam przyjechać do biura? - spytał Chaz.

- Po cholere? Stoję pod twoim domem.

Chaz wyrzwał przez okno i zobaczył szarego cadillaca. Założył wymięte spodnie i wybiegł na zewnątrz. Drzwi wielkiego samochodu się otworzyły i Chaz wszedł do chłodnego wnętrza. Red Hammernut wyglądał, jakby dopiero co zszedł ze statku do połowów marlina.

Spalony słońcem gnom w myśliwskich spodniach. Żuł tytoń, nos miał wysmarowany maścią cynkową, a na grubej czerwonej szyi wisały polaryzacyjne okulary przeciwsłoneczne. Przed nim na rozkładanym stoliku stała otwarta butelka Jacka Danielsa; szklanki ani śladu.

- Nie wiedziałem, że facet miał kamerę - tłumaczył się Chaz. - Jak zobaczyłem taśmę, to mnie ścięło.

- Źle się stało, chłopcze. Bardzo źle.

- Wiem.

- Przyznam, że okropnie było na to patrzeć. Zawsze lubiłem Joey, naprawdę. Nie spytam, czemu to zrobiłeś, bo to nie mój interes.

Chaz trochę się wkurzył.

- Ale przecież rozmawialiśmy o tym, nie pamiętasz? Mówiłem ci, jak się boję, że Joey wywęszyła przekręt?

Rozczarowało go, że Red ani słowem nie skomentował, jak sprawnie Chaz to załatwił, ile odwagi trzeba, żeby popełnić taką zbrodnię.

- Musimy zapłacić okup, Red. Teraz już nie mamy wyjścia.

- Fakt.

- Całe pięćset patyków, nie?

- Uhm. Wszystko.

Ulga, jaką poczuł Chaz, prawie natychmiast ustąpiła podejrzliwości. Spodziewał się oporu, a przynajmniej alternatywnej propozycji. Wiedział, że Red kocha swoje pieniądze. Strata pół miliona dolarów to u niego wystarczający powód, żeby wpaść w półroczny ciąg alkoholowy.

- Mamy je przekazać dziś wieczorem - powiedział Chaz - w jakimś domu nad zatoką Biscayne. Facet podał współrzędne GPS.

- Wiem, Tool mi mówił.

- Rozmawiałeś z nim?

- Owszem. Nawet już mu dałem gotówkę. - Red pociągnął łyk burbona. - Co się tak gapisz? Przecież pracuje dla mnie.

- Ja też - przypomniał mu Chaz.

- Ty się zajmiesz kupnem walizki. - Powiedział to bez cienia sarkazmu. - Wynajęłam wam motorówkę na dzisiaj, cumuje przy przystani Bayside. To w centrum Miami, naprzeciwko hali sportowej. Niech Tool prowadzi, on się zna na tym sprzęcie.

- Wszystko mi jedno.

Przypomniała mu się scena pod koniec *Chłopców z ferajny*, kiedy gangsterom wszystko się sypie i ten gość, którego grał Ray Liotta, spotyka się w knajpie z Robertem De Niro. Panowie sobie siedzą i spokojnie omawiają sytuację, zupełnie jak teraz Chaz z

Redem, aż nagle De Niro od niechcienia prosi Liottę, żeby pojechał na Florydę wykonać jakąś robotę.

I w tym momencie Liotta zdaje sobie sprawę, że został wystawiony na odstrzał.

- Tylko żadnego kombinowania, rozumiesz? Dajecie sukinsynowi forszę i spieprzacie.

Dokładnie jak w filmie, pomyślał Chaz. Kiedyś byłem współnikiem, a stałem się problemem.

Rozumiał Reda, który patrzył na sprawę szerzej. Szantażysta stanowił dla niego zagrożenie, dopóki żył Chaz. Hummer to najłatwiejsze od odkrycia powiązanie między nimi, ale Red może zawsze zrzucić odpowiedzialność na Chaza. Powiedzieć, że biolog wyżebrał od niego nowy samochód. Właściwie mógłby powiedzieć, że cała ta afera z fałszowaniem badań była pomysłem Perrone'a.

Kiedy Chaz zniknie, kto to zakwestionuje?

- Macie przede wszystkim załatwić tę sprawę, to najważniejsze - powiedział Red. - Raz na zawsze.

Amen, pomyślał Perrone. A więc to już.

Rozdział 29.

Joey z bratem zabrali resztki jedzenia z kolacji i poszli na nabrzeże karmić ryby.

Stranahan siedział przy stole i czyścił karabin. Cieszył się, że był znowu w domu, z dala od miejskiego obłędu. Strom leżał przy nodze. Całe popołudnie nie odstępował pana na krok, jakby wyczuwał, że coś się święci. Gdyby ludzie mieli taką intuicję, pomyślał Stranahan.

Zaniósł rugera do łodzi. Joey patrzyła, jak zawija broń w ceratę i chowa pod pokład.

- Mick, nie uwierzysz - powiedziała. - Mój brat się zakochał w dziewczynie mojego męża.

Corbett Wheeler zamachał ręką w proteście.

- Chwileczkę. Powiedziałem tylko, że nie wygląda na pustą lalkę.

- Tak to jest, kiedy mieszkasz z kopytnymi - śmiała się Joey. - Obniżają ci się standardy. Moja rada jest taka: nie umawiaj się z nikim, kogo poznałeś na pogrzebie. Spytaj Chaza, jeśli mi nie wierzysz.

Stranahan usiadł obok niej na nabrzeżu. Między nich wcisnął się pies. Joey mocno chwyciła Micka za rękę, w taki sposób, jak to robią ludzie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów podczas silnych turbulencji. Denerwowała się tym spotkaniem w sprawie okupu, jak każdy normalny człowiek.

- Jakie są szanse, że dostaniemy tę forszę? - spytał Corbett.

- Nie za duże - przyznał Stranahan.

Przypuszczał, że Samuel Johnson Hammernut przygotuje całość lub część żądanej kwoty jako przynętę. Forsy będzie pilnował ten troglodyta, goryl Chaza. Kiedy przypląną, otworzy walizkę i

zapropnuje Stranahanowi przeliczenie banknotów. Przy pierwszej okazji spróbuje go zabić. Potem, być może w drodze powrotnej na łąd, to samo zrobi z Chazem.

Istniało co najmniej kilka równie nieciekawych wariacji tego scenariusza i każda z nich niepokoiła Stranahana. Początkowo zamierzał popłynąć sam, ale Joey i Corbett uparli się, żeby mu towarzyszyć. Rozumiał ich, to dla nich sprawa osobista. Dostrzegł też taktyczne korzyści z przewagi liczebnej. Troglodyta na pewno zrozumie, że nie uda mu się wziąć z zaskoczenia całej trójki, i raczej nie będzie próbował. Ten facet to raczej osiłek, nie snajper.

- Jeżeli dostarczą pieniądze - powiedziała Joey - prześlemy je na konto którejś z fundacji zajmujących się ochroną Everglades.

- Rozumiem, że anonimowo - powiedział Corbett.

Stranahan miał wielką ochotę strzelić sobie drinka, ale to było wykluczone. Istniała duża szansa, że później musiałby kogoś zabić.

- Wiesz, Mick, bardzo mi się podoba twoja wyspa - powiedział Corbett - ale jak dla mnie za blisko stąd do miasta.

- Cicho. Próbuję przekonać twoją siostrę, że to raj.

- Siostra już jest przekonana - uśmiechnęła się Joey, mocząc czubki stóp w wodzie.

Corbett zaczął z nostalgią wychwalać Nową Zelandię.

- Kiedy tam przyjedziesz, nie będziesz chciał wracać.

- Jeżeli dzisiaj coś pójdzie źle, może wkrótce cię odwiedzimy. To zależy od polityki ekstradycyjnej - stwierdził z sarkazmem Stranahan.

Joey wymierzyła mu kuksańca pod zebro.

- Przestań. Myśl pozytywnie.

Zachodzące słońce przykryła palisada fioletowych chmur. Bryza stopniowo ustała i powierzchnia wody się uspokoiła. Stranahan

pobiegł szybko po trzy żółte peleryny przeciwdeszczowe. Strom postawił uszy, słysząc odległy pomruk grzmotu.

- Nie można się tu nudzić - stwierdził Corbett.

- Dobra strona tego jest taka - powiedziała Joey - że Chaz nie znosi deszczu.

Stranahan bardziej się przejmował piorunami. Znał bezpieczniejsze miejsca niż otwarta łódź na dużym akwenu podczas wyładowań atmosferycznych. Najrozsądniej byłoby odwołać akcję, ale na to było już za późno.

- Ruszajmy - zarządził - zanim zerwie się wiatr.

* * *

Chaz Perrone zamknął się w łazience ze stosem świerszczyków i oprawionym zdjęciem Joey, które zabrał z ołtarza w kościele św. Conana. Energiczna masturbacja była dla niego zawsze najlepszym remedium na nerwy, ale nawet młodzieńcza fotografia zmarłej żony umieszczona wśród taniego porno wywołała tylko krótkotrwałe nabrzmienie. Gorączkowe zabiegi przerwało głośne stukanie do drzwi.

- Gdzie masz tę pieprzoną spluwę? - spytał Tool.

- Pozbyłem się jej - skłamał Chaz, pospiesznie wkładając bokserki.

- Wpuść mnie.

- Siedzę na kiblu!

- Akurat. - Tool wyważył drzwi kopniakiem i z obrzydzeniem spojrzął na rozłożone na podłodze gazety.

- Rany boskie - mruknął.

Chaz porwał zdjęcie Joey i schował pod pachę. Potem ukląkł i zaczął zbierać czasopisma.

- Nic nie rozumiesz. Jestem wrakiem człowieka. Musiałem coś z tym zrobić.

Tool zmierzył go takim wzrokiem, jakby był zboczeńcem grasującym pod szkołą.

- Dawaj broń.

- Powtarzam, wyrzuciłem ją.

- Red mówił, żeby nic nie kombinować.

- Słyszałem.

- Skończyłeś? - Tool drwiącym gestem pokazał na toaletę. - Bo musimy się zbierać.

- Poczekaj, ubiorę się. Spotkamy się na zewnątrz.

Trzydziestka ósemka leżała schowana na dnie kosza z bielizną. Chaz włożył ją razem z komórką do zasuwanej na zamek kieszeni w kurtce przeciwdeszczowej, którą następnie starannie złożył i zaniósł do samochodu. Tool siedział rozparty za kierownicą hummera, żuł suszoną wołowinę i bębnił brudnymi paluchami w rytm piosenki country.

- Co to ma być? - zapytał Chaz.

- A jak myślisz?

- Nie ma mowy, ja prowadzę.

- Red tak kazał. Wskakuj, doktorku.

Chaz się wkurzył.

- A walizka?

Kupił szarego samsonite'a z plastiku z chowanymi kółkami. Tool osobiście go wypełnił paczkami studolarowych banknotów. Nie pozwolił Chazowi zbliżyć się do pieniędzy, ale sam widok takiej sumy przyprawił go o zawrót głowy.

Tool pokazał kciukiem do tyłu.

- Tam.

Chaz zajął miejsce pasażera. Żeby przypomnieć Toolowi, w czym są samochodzie, sięgnął do radia. Tool złapał go za rękę i rozpląszczył ją do desce rozdzielczej, aż zupełnie zdrętwiała.

- To Patsy Cline - powiedział.

- Jezu, złamałeś mi nadgarstek!

- Nie dotykaj radia, kiedy śpiewa Patsy Cline.

Cholerny psychol, pomyślał Chaz. Nie czuł żadnego złamania, ale na pewno coś miał zgniecione, zwichnięte albo naderwane.

Przez całą drogę do Miami Tool zachowywał ponure milczenie, chociaż okazał się przyzwoitym kierowcą. Chaz trzymał się całkiem nieźle, dopóki nie usłyszał pierwszego grzmotu i nie zobaczył czarnych chmur gromadzących się na horyzoncie.

- A jak nie będą chcieli nam wynająć łodzi w taką pogodę?

Toola rozbawiło to pytanie.

- Nic się nie bój. Red o wszystko zadbał.

Chaz otworzył kopertę i jeszcze raz przeczytał wskazówki szantażysty.

- Na pewno umiesz się posługiwać GPS-em?

Tool odparł, że to proste.

- Jednego roku miałem kłopoty w Immokalee, więc wyjechałem na Ramrod Key i zatrudniłem się u jednego gościa na łodzi do połowu homarów. Robił jakiś nielegalny interes na boku, więc spędziliśmy trochę czasu na wyspach, żeby podatków nie płacić. Pływałem do Cay Sal i z powrotem przy różnej pogodzie, w burzy też.

- Gorszej niż ta?

- Czasami gorszej.

Kiedy dojechali na miejsce, lało już jak z cebra. Na przystani czekała na nich siedmiometrowa łódź motorowa z zadaszeniem, napędzana dużym czterosuwowym silnikiem Yamahy. Na konsoli sterowniczej zamontowano urządzenie GPS.

Tool postawił ciężką walizkę na rufie. Chaz niechętnie założył na siebie kurtkę przeciwdeszczową. Rękojeść rewolweru wbijała mu się w żebra. Nasunął kaptur na głowę i zerknął na ołowiane niebo. Lewy nadgarstek boleśnie pulsował.

Tool znalazł przenośny szperacz i podłączył go do akumulatora. Zdziwił się, że działa.

Zapalił silnik, odcumował i powoli odbił od przystani. Kiedy się znaleźli na otwartej wodzie, kazał Chazowi siadać i pchnął manetkę gazu. W tym samym momencie rozległ się grzmot. Chaz natychmiast się skulił.

To szaleństwo, pomyślał.

Plan, który sobie obmyślił, byłoby trudno zrealizować nawet przy ładnej pogodzie. W czasie sztormu to samobójstwo. Kucał nisko i wzdrygał się na widok każdego błysku na niebie. Tool wydawał się spokojny - jedna ręka na kierownicy, druga na szperaczu - mimo że ogrodniczki miał kompletnie przemoczone. Przybliżane deszczem włosy na plecach i ramionach sprawiały, że w słabym świetle zmierzchu cały się świecił.

Wkrótce minęli most Powella, po którym Chaz podczas studiów wielokrotnie jeździł na zajęcia. Widok przypomniał mu żmudne badania nad wszami morskimi i zaraz sobie wyobraził, że te małe wygłodniałe bestie czają się teraz wszędzie wokół pod powierzchnią i tylko czekają, aż łódź się przewróci. Dręczył go też inny lęk, przez coś znacznie groźniejszym - rekinami. W zatoce Biscayne ataki rekinów właściwie się nie zdarzają, ale ten fakt, podobnie jak wiele innych, umknął pamięci Chaza lub po prostu nigdy go nie zarejestrował w czasie studiów

oceanograficznych. Drapieżnego dwugłowego aligatora goszczącego ostatnio w jego snach mógłby równie dobrze zastąpić rekin młot, zważywszy na jego obsesyjny lęk przed oboma tymi gatunkami. Wynikający zresztą głównie z ignorancji.

Na szczęście grzmoty ucichły, a ulewa przeszła w mżawkę. Za to wpłynęli w strefę silnego zimnego wiatru, który kołysał łodzią prawie do samego Cape Florida. Ta podróż jeszcze bardziej utwierdziła Chaza w awersji do wypraw na łono natury. Trzymał się kurczowo ławeczki w strachu, że za chwilę tak mocno nim rzuci o pokład, że ukryty w kieszeni rewolwer przypadkiem wypali. Jeżeli nawet nie zginie od razu, umrze na zawał od samego hałasu.

Korzystając z magicznej pomocy satelitów, Tool zlokalizował pozostałości Stiltsville, starej osady drewnianych domków na palach, budowanych w płytkich trzcinowiskach.

Huragan Andrew prawie wszystko zrównał z ziemią, a to, co pozostało, przejęła Służba Parków Narodowych. Puste nieoświetlone domy w niebieskawym blasku błyskawic wyglądały jak szkielety.

Tool wyłączył silnik i pozwolił łodzi płynąć kanałem wraz z prądem odpływu. Spojrzał na GPS i mruknął coś pod nosem. W zielonkawej poświacie ekranu widać było jego niezadowoloną twarz.

- Co się stało? - spytał Chaz.

- Dokładnie tutaj mieliśmy się spotkać, ale coś mi się nie zgadza.

Kiedy minęli ostatni dom, Tool przeszedł na dziób i wyrzucił kotwicę. Lina się napięła i łódź stanęła w miejscu. Tool wrócił do konsoli i usiadł.

- Teraz poczekamy - powiedział i podrapał się po tyłku.

Chaz spojrział na zegarek; do spotkania została ponad godzina. Włączył komórkę, jak kazał szantażysta. Od strony półwyspu dobiegł kolejny odgłos grzmotu, a między chmurami przeskoczyła błyskawica.

- Ta burza jest jeszcze daleko - odezwał się Tool. - Jeśli facet się zjawi na czas, to zdążymy przed nią uciec.

Przynajmniej jeden z nas, pomyślał Perrone. Był pewien, że Hammernut kazał Toolowi go zabić i upozorować samobójstwo - zrozpaczony wdowiec, który nie umie sobie poradzić ze śmiercią żony, postanawia na zawsze do niej dołączyć w odmętach oceanu.

Ale Chaz Perrone miał trzynaście milionów powodów, żeby żyć. Oraz własny plan.

- Gdzie lodówka? - spytał Tool. - Pić mi się chce.

- Chyba zostawiłem w aucie.

- Powiedz, że żartujesz.

- Przepraszam. - Zdrową ręką wyjął z kieszeni rewolwer i wycelował w masywną sylwetkę Toola.

Tool zauważył broń dopiero, gdy oświetlił ją blask błyskawicy. Chaz nie widział jego twarzy, ale wyraźnie usłyszał ostrzeżenie:

- Ja bym tego nie robił.

- Akurat - odparł Chaz i dwa razy nacisnął spust.

Pierwszy pocisk wybił dziurę w zadaszeniu. Drugi wypchnął Toola za burtę, co wywołało taki rozbryzg, jakby ktoś wrzucił zamrażarkę do basenu. Chaz wystrzelił resztę naboju w spieniony krater i patrzył, czy ciało od razu wypłynie. Widział to na filmach.

Przypuszczał, że gęste owłosienie jeszcze doda zwłokom wyporności. A jednak trup się nie pojawiał.

Schował rewolwer i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Co jest grane, do cholery? - Głos szantażysty brzmiał poważnie. Tym razem nie było udawania Jerry'ego Lewisa.

- Strzelałem do żółwi - odparł Chaz. - Gdzie jesteś?

Myślał, że mają jeszcze mnóstwo czasu, a tu facet przyszedł wcześniej. Usłyszał strzały i się wystraszył.

- Do żółwi?

Chaz się zaśmiał.

- Nudziło mi się. Jesteś tu gdzieś? Załatwmy to, zanim przyjdzie burza.

- Gdzie małopod?

- Nie dał rady przyplłynąć.

Szantażysta się rozłączył.

- Niech to szlag - zaklął Chaz. Odszukał po omacku szperacz i powoli przesuwiał światłem po wodzie; nie było widać żadnej innej łodzi.

Po chwili komórka odezwała się znowu.

- Gdzie jesteś? - rzucił do słuchawki.

- Tutaj, u góry! - odpowiedział inny głos. Damski. Głos, na którego dźwięk Chaz zeszywniał.

- Wyrzuć broń za burtę - powiedziała kobieta.

Chaz oświetlił z góry na dół drewniany dom. Na dachu siedział nie kto inny, tylko jego własna żona, jak najbardziej żywa. W rękę trzymała wielki karabin i celowała prosto w jego głowę.

- Joey, to naprawdę ty? - wyszeptał do słuchawki. Wylot lufy karabinu zabłysnął na pomarańczowo i szyba motorówki roztrzaskała się na przerażonych oczach Chaza.

- Czy to wystarczy za odpowiedź? - zawołała Joey.

Chaz potulnie wyjął zza pazuchy trzydziestkę ósemkę i cisnął ją do zatoki.

* * *

Pierwsze dwa strzały zaskoczyły Stranahana.

- Ten bałwan chyba właśnie zabił swojego goryla - powiedział do Joey i Corbetta.

Cała trójka leżała na dachu, żeby Chaz ich nie dojrzał z łodzi.

- Co teraz? - szepnęła Joey.

- Nie mam pojęcia.

- Pokaż no ten karabin - powiedziała.

Stranahan zerknął na Corbetta, ale ten kiwnął głową ze zrozumieniem.

Ona musi to z siebie wyrzucić.

- Tylko spokojnie - poinstruował ją Mick, kiedy brała do ręki rugera. Raz pozwolił jej potrenować; zestrzeliwała kokosy z palm. Broń ma bardzo duży odrzut, ale Joey świetnie sobie poradziła.

Stranahan zadzwonił do Perrone'a na komórkę, żeby się dowiedzieć, co się stało na łodzi. Po krótkiej wymianie zdań rozłączył się.

- No i tyle. Został sam - powiedział.

- Co za kretyn - jęknęła Joey.

- Skoro zabił ochroniarza, to pewnie planuje też zabić Hammernuta.

- I swoją dziewczynę - dodał cicho Corbett.

- Riccę. Nie bójcie się, możecie wypowiadać jej imię na głos - powiedziała Joey. - To co robimy, Mick?

- Kiedy Chaz zobaczy karabin, pewnie zmięknie. Na razie mu się wydaje, że jest Schwarzeneggerem. - Stranahan wybrał numer Chaza i przekazał telefon Joey. - Każ mu wyrzucić broń, bo odwołamy umowę.

- Gdzie jesteś? - zapytał Chaz.

- Tutaj, u góry! - odparła Joey.

Corbett z Mickiem zeszli z dachu i zakradli się pod dom, gdzie się kołysał przycumowany whaler. Stranahan miał taki pomysł, żeby on i Corbett weszli do wody, po cichu podpłynęli do motorówki i obezwładnili Chaza.

Właśnie ściągali ubrania, gdy rozległ się wystrzał z karabinu, a potem krzyk Joey:

- Czy to wystarczy za odpowiedź?

- Nie strzelaj! - zawołał jej mąż.

- Dlaczego? Podaj choć jeden powód.

Zuch dziewczyna, pomyślał Stranahan.

Corbett pociągnął go za rękę.

- Mick, coś tu słyszać.

- Gdzie?

- Gdzieś blisko.

Stranahan też to usłyszał.

- A niech mnie.

Ogarnęła go wielka ulga. Zabawa skończona, pomyślał. Dzięki temu, że Chaz Perrone jest wyjątkowo nieskutecznym zabójcą, mogli teraz zrobić to, co radził Darwin: wycofać się i pozwolić działać naturze. Zdany tylko na siebie, zaślepiony własną chciwością mąż Joey nie miał żadnych szans.

- O, znowu - szepnął Corbett.

Stranahan kiwnął głową.

- Muzyka dla mych uszu.

Dom nad nimi zaskrzypiał w nagłym podmuchu wiatru. Błyskawica rozświetliła chmury i Stranahan dojrzał przez pale sylwetkę łodzi oraz stojącą na jej dziobie postać Charlesa Perrone'a trzymającego w ręku duży reflektor.

- Szybko. - Stranahan przeczołgał się po kładce w kierunku, skąd dochodziło jęczenie.

Jego źródłem była szamocząca się w wodzie szara masa, którą na tej płyciźnie można by łatwo wziąć za rannego manata.

- Ale co z Joey? - spytał Corbett.

- Niech ma trochę zabawy - odparł Mick. - Chodź, pomożesz mi wyciągnąć tego biedaka.

Joey zeskoczyła z dachu i po chwili znalazła się na krańcu pomostu, zaledwie trzydzieści metrów od miejsca, gdzie kotwiczyła łódź Chaza. Miała na sobie wielką żółtą pelerynę przeciwdeszczową z opuszczonym kapturem. Blond kucyk majtał się na wietrze.

Chaz nie mógł ustabilizować światła reflektora, bo łódź się kołysała i w dodatku trzęsły mu się ręce. Sprawy nie polepszał widok zmartwychwstałej żony z naładowanym karabinem.

A więc wczorajszy wieczór nie był snem, pomyślał.

- Co ci się stało, kochanie? - zawołała ironicznie Joey.

Chaz podniósł dłonie w geście poddania.

- Co, nie potrafisz tego ogarnąć? To proste. Wrzuciłeś mnie do oceanu, tyle że ja nie utonąłam.

- Jakim cudem?

- To się nazywa pływanie, wiesz? Gdzie forsa?

Pokazał za siebie. Walizka leżała z tyłu przy pawęży. Joey nie mogła jej zobaczyć.

Coś znowu powiedziała, ale wzmógł się wiatr i wszystko zagłuszył. Chaz usłyszał strzępki słów dopiero w przerwie między jednym podmuchem a drugim.

Wołała:

- Czekam, aż podasz ten powód, dlaczego mam ci nie odstrzelić łba!

- Co?

Ciężka kropla deszczu spadła mu na nos. Chaz ponuro zwiesił głowę. Czarna sukienka w szafie, pocięte zdjęcie pod poduszką, fakt, że służby ratownicze nie znalazły nic poza fragmentami paznokci. No jasne, że Joey żyje. Teraz wszystko się trzymało kupy.

- Chaz?

- Czekaj, myślę!

Lufa karabinu znowu rozbłysła. Tym razem poszła szyba reflektora, który Perrone trzymał w ręku. Odłamki szkła i plastiku rozsypały się z brzękiem po podkładzie.

- Dobra, mam! - zawołał. - Jestem psychicznie chory!

- Co?

- Pierwszy powód, żeby mnie nie zabijać! Ześwirowałem! Muszę się leczyć!

- Tylko na to cię stać?

Niestety. Chaz Perrone nie potrafił znaleźć ani jednego powodu, dla którego żona miałaby mu darować życie. Rozpaczliwie próbował zmienić temat.

- Gdzie byłaś przez te dwa tygodnie?

- Patrzyłam, jak robisz z siebie błazna.

- Joey...

- Chowałam się pod łóżkiem, kiedy próbowałeś posuwać tę chudzinę rozmiar sześć z różyczką na kostce. To było żałosne.

Chaz chciał się zapaść pod ziemię ze wstydu. Medea, przypomniał sobie, nucąca masażystka. Aż się skulił na myśl, że Joey była świadkiem jednej z jego łóżkowych porażek.

Spróbował wziąć odwet, wzbudzając w niej poczucie winy.

- Przez ciebie przeżyliśmy piekło. Było nawet pożegnanie w kościele!

- Bo się wzruszę! - zawołała Joey. - Zaczynj się pakować do więzienia, bo idę na policję. I zabieram kasetę.

- Skarbie, błagam.

- A w więzieniu nie będzie grania w golfa ani bzykania seksownych fryzjerek.

Deszcz bijący o fale brzmiał w uszach Charlesa Perrone'a niczym okrutny aplauz.

- A ten testament? - zapytał drżącym głosem. - Był prawdziwy czy nie?

- Ty rzeczywiście jesteś chory na umyśle.

A więc to tak, pomyślał ze smutkiem. Jednak nici z trzynastu milionów. Nagle wiatr się uspokoił. Nastąpiła przysłowiowa cisza przed burzą.

- Ja już nic nie rozumiem - powiedział Chaz. - Kim jest facet, z którym się tu umówiłem? Ten sukinsyn, który mnie wywiózł kajakiem na środek oceanu?

- Jest tutaj. Czeka, aż zrobisz coś głupiego.

- To ty też bierzesz w tym udział?

- Od pierwszego dnia, skarbie.

- Ale dlaczego? Nie potrzebujesz pieniędzy!

- Tu nie chodzi o pieniądze. Jak można być takim durniem?

Dobre pytanie, przyznał Chaz. Mylił się niemal co do wszystkiego (zaczynając od kierunku, w którym płynie Golsztrum) i wszystkich (od Rolvaaga przez Hammernuta po Riccę). Nagłe „zmartwychwstanie” jego żony wywołało w jego głowie zupełny zamęt. Jedyna rzecz, która się wydawała

prawdziwa, to walizka z pięciuset tysiącami dolarów. Odruchowo zaczął się zastanawiać, co mógłby z nimi zrobić i na jak długo by wystarczyły.

- Powyrzucałeś moje rzeczy! - krzyknęła Joey. - Ubrania, zdjęcia, książki. Wszystko. Nawet orchideę!

- Nie wszystko. Twoja biżuteria leży w sejfie w banku. Dam ci klucz, jeśli chcesz.

- Świnia!

- A gdybym powiedział, że żałuję tego, co zrobiłem? Bo naprawdę żałuję. Spieprzyłem sprawę strasznie. Odkąd ciebie nie ma, nic nie jest takie samo - A nie o to ci chodziło?

Nagle w jeden z domów uderzył piorun. Huk był tak ogłuszający, że Chaz nakrył się rękami. Kiedy odważył się wyjrzeć, zobaczył przez nową ścianę deszczu, że obok Joey stoi na pomoście rozebrany do pasa szantażysta. Obejmuje ją w tali i szepcze jej coś do ucha.

- Nie bój się, mam dla ciebie forszę! - krzyknął do niego.

- Możesz ją sobie zatrzymać! - odkrzyknął tamten.

- Co?

- Weź ją sobie, Chazzie.

Joey pomachała mu ręką na pożegnanie.

- Słyszałeś, co powiedział. A teraz spieprzaj, zanim zmienię zdanie.

Chaz pośpiesznie wciągnął kotwicę. Widząc, że Joey unosi karabin, przytomnie uskoczył pod konsolę. Wystrzał zbiegł się z odgłosem grzmotu. Pocisk świsnął Chazowi nad głową, nie robiąc mu krzywdy. Chaz wstrzymał oddech, ale nie potrafił zapanować nad pęcherzem. Poczł rozlewające się po nogach mokre ciepło.

- Nawet się nie pożegnasz? - spytała Joey.

Rozległa się ostatnia seria wystrzałów - wszystkie w powietrze. Prąd i wiatr kierowały łódź na otwartą wodę. Łagodnie kołysana, powoli oddalała się od domów. Deszcz padał coraz mocniej, niebo raz po raz rozświetlały błyskawice, powietrze było naelektryzowane. Chaz siedział skulony, ale odgłos fal uderzających o kadłub działał na niego dziwnie kojąco. Nie rozumiał, dlaczego Joey i szantażysta pozwolili mu odejść. Nie potrafił też pozbyć się z głowy widoku tych dwojga na pomoście. Wyglądali raczej jak para, nie wspólnicy w interesach. Poczł zazdrość na myśl, że jego żona może sypiać z tym cwaniakiem.

Im bardziej się oddalał, tym mniej bał się wystrzału. Gdy w końcu znalazł w sobie odwagę, żeby sięgnąć do zapłonu i włączyć silnik, złamał kluczyk w stacyjce. Niestety, nie potrafił ręcznie uruchomić silnika zaburtowego, więc musiał porzucić marzenia o szybkiej ucieczce. W kadłubie było już kilka centymetrów wody; pompa żezowa najwyraźniej nie działała. Chaz przeszedł na czworakach na rufę i uchwycił się walizki na wypadek, gdyby łódź zaczęła tonąć. Liczył na to, że plastikowa walizka, zwłaszcza pełna banknotów, utrzyma się na powierzchni.

Dwie godziny później toczył ją po plaży na Cape Florida, dzwoniąc z komórki po taksówkę.

* * *

- Mick, przeżyłam.
- Jestem z ciebie dumny, że go nie zastrzeliłaś. - Stranahan wziął karabin z rąk Joey.
- Nie umiałam tego zrobić. I nie pytaj dlaczego.
- Byle nie dlatego, że wciąż go kochasz. Bo wtedy sam będę musiał to zrobić.

- Tego gnoja? Chyba żartujesz - odparła z odrazą. - Ale pamiętam, co mówiłeś o tym, jak to jest kogoś zabić, jakie się potem ma koszmary.

- To niezły sposób, żeby wylądować na bezludnej wyspie. Dobrze zrobiłaś.

- Gdybym była lepszym strzelcem, przynajmniej bym go zraniła.

- I tak należy ci się dziesięć punktów za ten reflektor. Chodź, chciałbym ci kogoś przedstawić.

Na drugim końcu przystani oparty o zardzewiały zbiornik propanu siedział ociekający wodą Earl Edward O'Toole. Przy nim klęczał Corbett.

- Kula utkwiała panu O'Toole'owi pod prawą pachą - powiedział - a on nie chce, żebym wezwał lekarza.

Przemoczone ogrodniczki Toola były poszarpane i zakrwawione, bo w wodzie trzymał się pała obrośniętego ostrymi pąklami. Tam go znaleźli Mick i Corbett. Stękał i jęczał, ledwo się utrzymywał na powierzchni. Musieli wyżyć wszystkie siły, żeby go wydobyć.

Spojrzał na Joey.

- Znam cię.

- Anastasia z Flamingo - ukłoniła się. - Miło cię znowu widzieć.

- Ale tak naprawdę to jesteś tą, która nie żyje, prawda?

- Prawda. Jestem trupem.

- Czegoś nie kapuję - zmarszczył czoło. - Red mówił, że widział wszystko nagrane na wideo.

- Faktycznie, taka kasetka istnieje, ale to my ją spreparowaliśmy - wyjaśnił Corbett. - Mick włożył ciemną perukę i zagrał męża Joey, Joey zagrała siebie, a ja wszystko filmowałem. Najtrudniej było upozorować sam upadek do wody. Wybraliśmy pokład, pod

którym były podwieszane szalupy ratunkowe, żeby Joey miała miękkie lądowanie.

Tool wyglądał na rozbawionego.

- Co tu jest grane?

- Delikatna sprawa rodzinna - odparł Stranahan.

Joey westchnęła niecierpliwie.

- Dobra, wystarczy. Człowiek potrzebuje lekarza.

Tool skrzywił się z bólu, próbując zmienić pozycję.

- Ten twój mąż to straszna gnida - powiedział do Joey.

- Dzięki za informację.

- Gdzie jest walizka?

- W łodzi. Razem z Chazem.

- A on gdzie?

Stranahan pokazał na front burzowy przesuwający się z zatoki w kierunku Atlantyku.

- Zabrał pieniądze Reda - powiedział sam do siebie Tool.

- Cały on. - Corbett chciał obejrzeć ranę, ale Tool odtrącił jego rękę.

- Czemu do ciebie strzelił? - spytała Joey.

- Pewnie się domyślał, że ja pierwszy będę chciał go zabić.

- A chciałeś?

- Jasne, ale potem się rozmyśliłem. I to mnie wkurza - dodał gorzko. - Robię dobry uczynek i pomagam łajdakowi w biedzie, a ten co? Wali do mnie z gnata!

Stranahan się ubrał i nałożył płaszcz przeciwdeszczowy. Corbett pokazał mu dziewięćmilimetrową berettę, którą znalazł w kieszeni spodni Toola. Mick wyjął magazynek, opróżnił go i oddał pusty pistolet Toolowi. Ten wyrzucił go do wody.

- I tak zamókł - powiedział. - Widzicie go gdzieś na horyzoncie?

Joey pokręciła głową. Stała z rękami na biodrach i wpatrywała się w nieprzenikniony mrok. Chwilowo przestało się błyskać, więc nie sposób było dostrzec z daleka małej łodzi.

- Mick, mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała.

- Przestań się bać. Już po nim.

Tool podniósł się z wysiłkiem.

- Odstawisz mnie na suchy ląd i jesteśmy kwita. Chodzi mi o tę bójkę w domu doktorka.

- Nie ma sprawy - zgodził się Stranahan.

Razem z Corbettem pomogli Toolowi wejść do motorówki, która pod jego ciężarem niebezpiecznie głęboko się zanurzyła. Joey się wahała, czy wsiąść, ale nie było innego sposobu na wydostanie się ze Stiltsville.

Corbett rozdał kamizelki ratunkowe. Tool oczywiście nie zmieścił się w swojej.

- Muszę odstawić chipsy - stwierdził.

Choć było ciemno, Joey widziała wypływającą mu spod pachy ciemną strużkę. Gdy poradziła, by od razu zgłosił się do szpitala, nieprzyjemnie się zaśmiał.

Łódź była tak obciążona, że jedna mocniejsza fala mogła ją przewrócić. Wszyscy trwali więc nieruchomo na swoich miejscach, gdy Stranahan mozolnie płynął w stronę zachodniego wybrzeża Key Biscayne. To była mokra i nerwowa podróż. Trochę się uspokoiło, kiedy dotarli do kanału Pines. Wysadzili Toola na tyłach posiadłości jakiegoś milionera, parę minut marszu od Crandon Boulevard.

- Niech się pan zajmie tą raną - przypomniał mu Corbett.

Tool uśmiechnął się smutno sam do siebie.

- Ciągle nie kapuję, po co wam to było? Co chcieliście osiągnąć przez ten cały pokręcony plan?

- Ich niech pan spyta - Corbett pokazał na siostrę i jej
wspólnika.

- Sprawiedliwość - rzekł Mick.

- Satysfakcję - dodała Joey. - Może spokój ducha.

Tool wyrzucił ręce w górę w geście irytacji.

- Ale ludzie, przecież w życiu tak nie jest!

- O nie, czasami jest - odpowiedział Stranahan.

Rozdział 30.

Charles Perrone spędził noc we własnym łóżku z walizką u boku. Obudził się przed świtem, zjadł pięć tabletek maaloksu, wrzucił do torby szczoteczke do zębów i trzy pary majtek, po czym zasiadł do pisania listu pożegnalnego.

- „Do moich przyjaciół i bliskich” - zaczął, wcale nie ironizując.

Życie w samotności jest nie do zniesienia. Każdy wschód słońca przypomina mi o mojej ukochanej Joey. Choć starałem się pozostać silny, obawiam się, że to niewykonalne.

Długo żyłem nadzieją, ale już pora spojrzeć w oczy okrutnej prawdzie. Ona nigdy nie wróci, i to wszystko moja wina. Jak mogłem ją spuścić z oka tamtej deszczowej nocy na morzu?

Modłę się, abyście potrafili mi wybaczyć. Gdybym jeszcze ja potrafił wybaczyć sobie.

Dziś wieczorem połączę się na nowo z moją ukochaną i razem wyruszymy w podróż ku lepszej i szczęśliwszej krainie.

Przygotujcie mi mój kostium łabędzia!

Łączę się z Wami w smutku

Dr Charles Perrone

Chaz zdawał sobie sprawę, że jego uczciwość zostanie zakwestionowana, gdy tylko Joey się ujawni i zgłosi na policję, ale w swej próżności liczył, że chwytający za serce list rzuci choć mały cień wątpliwości na jej sensacyjną opowieść. Byle zdążył uciec. Barwne zwroty oczywiście zerznął z internetu. Trafił na stronę publikującą pamiętne listy pożegnalne samobójców oraz

słynne słowa wypowiedziane na łożu śmierci. Szczególnie podobało mu się ostatnie zdanie, które podobno w 1933 roku wygłosiła tancerka baletowa Anna Pawłowa, gdy schodziła ze sceny życia.

Przymocował list do drzwi lodówki, a potem zaczął drzeć na strzępy wszystkie papiery, które miał w plecaku. Ze szczególną uwagą potraktował ręcznie wypełnione tabele z wynikami badań wykazującymi minimalną zawartość fosforu w ściekach spływających z plantacji Reda Hammernuta. Te ciołki z zarządu by się wściekły, widząc, że formularze Chaza były wypełnione i podpisane na długo przed ustalonymi terminami poboru próbek. Chaz początkowo rozważał zachowanie sfalszowanej dokumentacji, na wypadek gdyby kiedyś musiał zaszantażować Hammernuta albo zeznawać przeciwko niemu. Ale teraz, dzięki niespodziewanemu prezentowi w postaci pięciuset tysięcy dolarów, znacznie ciekawszą opcją było wyjechać z kraju i zniknąć bez śladu. Będzie tęsknił za żółtym hummerem, ale tylko dopóki nie kupi sobie nowego.

O ile na Kostaryce znajdzie salon sprzedaży.

Trzymał słuchawkę przy uchu, czekając na połączenie z dyspozytorką firmy taksówkowej, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Po cichu odłożył słuchawkę, poszedł do pokoju Toola i ze sfatygowanej torby sportowej wyjął zardzewiały rewolwer. Kiedy wracał do przedpokoju, dzwonek znowu zadzwonił. Chaz siedział cicho. Nagle rozległ się łomot, jakby ktoś walił w drzwi młotkiem do krykieta.

- Ej, kto tam!

- Gosposia.

- Ricca? - spytał z niedowierzaniem.

- Otwórz, bo zacznę się drzeć.

- Nie rób tego. - Swoim wrzaskiem mogłaby tłuc szyby, jak doskonale pamiętał ze wspólnych igraszek w łóżku.

- Jak myślisz, co zrobią gliny z facetem, który próbuje zgwałcić kalekę?

Chaz pośpiesznie zatknął rewolwer za pasek i wpuścił Riccę do środka. Mijając go, posłała mu spojrzenie pełne nienawiści. Drzwi były zarysowane i wgniecione w miejscach, gdzie tłukła w nie gipsem.

- Jak noga? - zagadnął chłodno Perrone.

- Pieprz się.

- Skąd wiedziałaś, że będę w domu?

- Całą noc wydzwaniałam, aż tu nagle szósta rano, a numer zajęty. - Ricca pośliznęła się na terakocie.

- Łaziłem po internecie. Siadaj.

Z niecierpliwym westchnieniem klapnęła na sofie.

- Myślałam o tym samochodzie dla mnie. Zapomnij o mustangu, chcę thunderbirda kabrio.

- Super - mruknął Chaz. Nie mogła wybrać gorszej pory na wizytę.

- Aha, gdzie moje pieniądze?

- Pracuję nad tym. Napijesz się czegoś?

- Nie podejrzewam, żebyś miał pełne mleko.

Chaz poszedł do kuchni i udawał, że przeszukuje lodówkę, a tymczasem układał w głowie nowy plan. Kiedy się podniósł, zobaczył Riccę. Jak się tam dostała po cichu z chorą nogą, nie miał pojęcia, ale minę miała pełną pogardy. Przeczytała właśnie jego list.

- Sprytne - powiedziała. - Zaplanowałeś ucieczkę.

- A gdybym ci powiedział, że naprawdę chciałem się zabić? Nie żartuję, skarbie. Byłem w totalnej depresji.

- I pakujesz walizkę na tamten świat? - Pokazała na szarego samsonite'a, który stał przygotowany w korytarzu.

- Ach, to. Zaraz ci wytłumaczę.

Nie zostawiła mu żadnego wyboru. Tym razem musiał ją zabić.

Wyjął zza paska rewolwer Toola.

- Boże, znowu - westchnęła Ricca.

- Przyjechałaś autem?

Chaz wrócił z Miami taksówką, ponieważ hummer został na przystani, a kluczyki do niego znajdowały się w kieszeni Toola, który spoczywał na dnie zatoki Biscayne.

- Dokąd jedziemy tym razem? - spytała Ricca.

Chaz przeszedł z nią do salonu. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że przyjechała jakimś zwykłym białym kompaktem z rejestracją z Alamo. Bagażnik wydawał się dość duży, żeby zmieścić walizkę i może jeszcze podręczną torbę, ale niewystarczający, jeśli będą tam jeszcze zwłoki z jedną nogą w gipsie.

To nic, pomyślał Chaz. Zrobię to gdzieś na odludziu, wyrzucę ciało, a potem pojedę na lotnisko. Czasu jest dużo. American Airlines mają o siedemnastej bezpośrednie połączenie z San José.

- Twoje rybki są głodne - powiedziała Ricca, zaglądając z matczyną troską do akwarium.

- Srał je pies - mruknął Chaz. Po co ona wkłada łapę do tego akwarium?

- O, popatrz. - Ricca trzymała w ręku platynową ślubną obrączkę. - Wisiała na maszcie tego małego wraku.

Z trudem zachowując spokój, Chaz kazał jej włożyć obrączkę z powrotem do wody.

Ricca przeczytała na głos grawerunek:

„*Dla Joey, dziewczyny z moich snów. CRP*”.

- Och, jakie to romantyczne.

Darował jej ten sarkazm. Pewnie już wiedziała, że Joey żyje, ma się dobrze i planuje mu zniszczyć życie. I najwyraźniej umieściła tę obrączkę w akwarium specjalnie, żeby go rozwścieczyć. Może nawet współpracują ze sobą? Wszystko możliwe. Nic już go nie było w stanie zaszokować.

Ricca nie dała rady nałożyć obrączki na palec serdeczny, więc nałożyła na mały.

- No i jak? - spytała zalotnie.

Chaz miał ochotę zastrzelić ją na miejscu, ale się powstrzymał.

- Stój w miejscu - nakazał i na wszelki wypadek zabrał jej kule i rzucił do przedpokoju.

- Czemu obrączka twojej żony leżała w akwarium z rybkami? Coś się musi za tym kryć.

Jeszcze w kuchni Chaz chwycił rewolwer uszkodzoną wcześniej przez Toola ręką i miał nadzieję, że tym razem Ricca nie wyskoczy z czymś szalonym. Aż zadrżał, kiedy sobie przypomniał jej desperacki skok w bagno w Loxahatchee.

Prawą ręką pociągnął walizkę w stronę drzwi. Czuł cudowny ciężar schowanych w niej banknotów. Rzucił Ricce kule i warknął:

- Idziemy.

- Wygoliłam sobie dla ciebie koniczynkę, a ty mi się tak odwdzięczasz?

Irytowało go, że potrafi żartować w takiej sytuacji. Wcale się nie trzęsła ze strachu i nie błagała o życie.

- Wybierzmy się na przejażdżkę - powiedział.

- Masz mnie za idiotkę?
- O tym pogadamy później.
- Nigdzie z tobą nie jadę, impotencie.

Nie strzelił do niej tylko dlatego, że ślady kobiecej krwi na ścianie znacznie skomplikowałyby jego misternie skonstruowany scenariusz z wdowcem samobójcą w roli głównej. Nie chciał zmarnować listu pożegnalnego, włożył w niego zbyt dużo wysiłku.

- Wstawaj, Ricca. Już!
- Nie. Będziesz mnie musiał zanieść.

Czy nie byłoby cudownie, pomyślał, gdyby choć przez jeden dzień nikt mi nie robił problemów?

Na zewnątrz ktoś trzykrotnie zatrąbił.

Ricca się uśmiechnęła.

- Co znowu? - mruknął pod nosem Chaz.
- Słuchaj, ja żartowałam z tym kabrioletem i dwustu pięćdziesięcioma tysiącami dolarów.

- No to nie rozumiem...
- Oczywiście, że nie rozumiesz.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Earl Edward O'Toole. Piersi miał oklejone białą taśmą.

Charles Perrone zdębiał.

- To chyba jakiś pieprzony żart - wycedził lodowato.

Najpierw Joey, potem Ricca, teraz on. Dlaczego tak trudno kogoś zabić?

Z dzikim wrzaskiem uniósł rewolwer. Obolały i posiniaczony palec wskazujący daremnie naciskał spust.

Tool spokojnie rąbnął go lewym sierpowym w szczękę.

Dwanaście godzin później Red z Toolem jechali hummerem po wyboistej drodze na szczycie wału numer L-39. W radiu leciała Faith Hill, a Red z wykałaczką w zębach pracowicie wyciągał taśmę z kasety, którą wyjął z magnetowidu Chaza.

- Jednej rzeczy tu nie rozumiem - powiedział do Toola. - Skąd ta Ricca wiedziała, że ma zadzwonić akurat do mnie? Dobrze zrobiła i w ogóle, ale to dziwne, skąd miała moje nazwisko i numer.

Tool, który prowadził auto, odparł, że nie ma zielonego pojęcia.

- Pytałeś ją?

- Powiedziała, że jakiś facet na pogrzebie Joey Perrone zapisał go jej na odwrocie świętego obrazka. Nie wiem, czy to prawda, ale teraz to chyba nie ma znaczenia. - Red schował wykałaczkę z kości słoniowej do kieszeni i wyjrzał za okno.

- Ta cała sytuacja była od początku do końca popieprzona. W pewnym momencie prawie się pogubiłem.

Tool mógłby go oświecić, że Chaz dał ciała nie tylko przy zabójstwie Ricci Spillman, ale i swojej żony, ale nie był w nastroju do rozmowy. Każdy wybój na drodze przypominał mu o nowej bolesnej ranie pod pachą. Cierpiał dodatkowo, bo ostatni plaster z fentanylem oddał Maureen.

Kątem oka zobaczył wylatujące przez okno splątane resztki taśmy z nagraniem z „Księżnej Słońca”. Red stwierdził, że nie może pozwolić, aby wpadła w ręce tego wścibskiego detektywa. Wcześniej w biurze zniszczył także swoją kopię.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że ten cienias tak po prostu do ciebie strzelił. A mieliśmy taki dobry plan.

Niezupełnie, pomyślał Tool.

Red polecił mu zabić Perrone'a, zanim dopłyną do Stiltsville, ale Tool sam z tego zrezygnował. Ostatnio mocno się zastanawiał nad tym, co mówiła Maureen. Że człowiek nigdy nie jest za stary, aby się zmienić, porzucić złe nawyki i wrócić na dobrą drogę. Tool wiedział, że gdyby sprzątnął doktora, na pewno by się nie powstrzymał i wszystko wypaplał Maureen, a za nic nie chciał jej martwić w takim stanie. Postanowił więc, że zamiast zabijać Perrone'a, wyrzuci go za burtę i sukinsyn będzie musiał dopłynąć do brzegu wpław. Ostrzeże go, żeby więcej nie pokazywał na Florydzie tej swojej pożartej przez komary gęby.

Ale sukinsyn strzelił pierwszy.

Jeśli chodzi o samo przekazanie okupu, nie miał zamiaru robić problemów. Tak zresztą polecił Red. Kiedy Tool wyraził zdziwienie, że Hammernut jest skłonny się pożegnać z pięciuset tysiącami dolarów, ten zaczął się tak strasznie śmiać, że mu glut wyleciał z nosa.

Powiedział mu o małym ustrojstwie, które kupił w sklepie z artykułami szpiegowskimi w Miami. To nadajnik wielkości paczki papierosów. Tool zamontował go w walizce, kiedy wkładał do niej banknoty. W tym czasie Red skrzyknął kilku bandziorów, którzy mieli śledzić drogę walizki na półwysep i następnie odpowiednio się zająć szantażystą, jego tajemniczą dziewczyną i wszystkimi, którzy byli zamieszani w ten szwindel.

Tylko że forszę pierwszy zabrał Charles Perrone.

Później, kiedy wyskoczył z łodzi i pieszo brnął do brzegu, do walizki musiała się dostać woda i w nadajniku nastąpiło zwarcie. Tool widział, jak Red dostaje apopleksji, dowiedziawszy się o zaginięciu pieniędzy, ale potem zadzwonił telefon i jakaś kobieta imieniem Ricca powiedziała:

- Chaz Perrone wrócił do Boca Raton, jeśli to pana interesuje.

Red kazał jej tam na siebie poczekać, rzucił słuchawką i powiedział do Toola:

- Zbieramy się. Ten kretyn pojechał prosto do domu.

Teraz walizka leżała sobie bezpiecznie na skrzyni hummera razem z Charlesem Perronem, który jechał ostatni raz w życiu do Everglades.

- Widzisz, jak się wszystko ładnie układa? - powiedział zadowolony Red.

Tyle że Tool wciąż nie miał szczególnej ochoty zabijać Perrone'a, mimo że facet do niego strzelił i zostawił na pastwę losu w Stiltsville. To było bardzo dziwne uczucie. Tool od rana się martwił, jak się wykręci od tego zadania, bo Red zapowiedział, że też się z nim zabierze, aby dopilnować, by wszystko poszło jak trzeba.

- Strasznie lubię tę Faith Hill - zwierzył się Hammernut. - Wiesz, kogo jeszcze? Shanię Twain.

- Ja też.

- Czytałem, że może być spokrewniona z tym pisarzem Twainem.

- Tak?

- Co napisał książkę o tym małym cwaniaczku, który poznał czarnucha i razem płynęli tratwą po jakiejś rzece.

- Aha. - Tool stwierdził, że Hammernut musiał coś wypić.

- Shania jest jego cioteczną prapraprawnuczką czy jakoś tak. Przynajmniej tak czytałem w gazecie.

- Może w następnym teledysku powinna wystąpić na tratwie? - zasugerował Tool. - Razem z zespołem.

- Chłopcze, ta kobieta może nawet wystąpić w toi toi, a będziesz miał wrażenie, że to Tadz Mahal. - Red odwrócił głowę i spojrzał za siebie.

- O, nasz kolega wreszcie się uspokoił.

Związali Perrone'a, zawieźli do LaBelle i wsadzili do ciężarówki-chłodni razem z siedmioma tonami świeżo zebranej kapusty i selerów. Tool pojechał do domu się przebrać i podlać trawnik, na którym „zasadził” przydrożne krzyże, a Red spędził popołudnie, zabawiając dwóch senatorów, którzy wpadli na ciekawy pomysł, jak obejść układ NAFTA i oskubać hodowców pomidorów z Meksyku.

Później, kiedy już wszyscy poszli, Tool i Red wrócili po Chaza. Miał sine wargi i trzął się z zimna. Wyjęli go z chłodni, a następnie korzystając z najnowszych technik pakowania warzyw, owinęli go od stóp do głów folią spożywczą. Spodziewali się, że wyzionie ducha z braku powietrza, zanim dojadą do rezerwatu Loxahatchee. To tam Red postanowił się pozbyć ciała, w bezpiecznej odległości od Hammernut Farms.

- Teraz będę musiał sobie znaleźć innego tak zwanego naukowca, który kocha forse bardziej niż zwierzątka i roślinki. Inaczej Wuj Sam każe mi wykopać jakiś głupi zbiornik filtracyjny, żeby oczyszczać ścieki. A to są miliony dolarów, nie licząc adwokatów i polityków, których muszę opłacać. I oni się dziwią, że amerykańskie rolnictwo upada!

Patrząc na jego wypolerowane paznokcie i wybielone zęby, Tool zaczął się zastanawiać, kiedy ostatni raz trzymał w ręku łopatę albo motykę. Było powszechnie wiadomo, że zmarły ojciec Reda dorobił się fortuny na złożach gazu ziemnego w Arkansas i że Red wykorzystał spadek na wykupywanie drobnych gospodarstw na całym obszarze rolniczego południa kraju.

- Jest samochód - powiedział Red.

Tool zatrzymał się obok zdezelowanego dodge'a pick-upu. Godzinę wcześniej dostarczył go tam jeden z zaufanych nadzorców z plantacji Hummernuta, żeby mieli czym wrócić z

rezerwatu. Hummera zamierzali porzucić na brzegu kanału, zostawiając w środku list pożegnalny Perrone'a. Red stwierdził, że ten list to miła niespodzianka, tylko nie wiedział, jak ma rozumieć zdanie o kostiumie łabędzia.

Wywlekając ofiarę z auta, ze zdziwieniem stwierdzili, że jeszcze żyje. Chaz z godną podziwu zawziętością wygryzł dziurę w folii, przez którą teraz ledwo oddychał. Odgłos, jaki przy tym wydawał, przypominał wsysanie gęstego syropu przez rurę kanalizacyjną.

- Szlag by to trafił - zaklął Red. Wziął z tylnego siedzenia swojego remingtona kaliber 12 i kazał Toolowi uwolnić Perrone'a.

- Jesteś pewien?

- Tak.

Tool wyjął scyzoryk i rozciął foliowy kokon. Chaz podźwignął się i kucnął. Był cały czerwony, a ubranie miał mokre od potu.

- Dziękuję - wydyszał.

- Za co, do cholery? - spytał Hammernut. - I tak chcemy cię załatwić, złodzieju.

- Red, strasznie cię przepraszam za tę forszę. Naprawdę mi głupio.

- Nie wątpię.

- Zrobię, co zechcesz. Tylko powiedz.

Był blady i przerażony, wyglądał jak kupa nieszczęścia. Chociaż Tool ani trochę mu nie współczuł, wcale nie miał ochoty oglądać jego mózgu rozbryzgującego się jak owsianka.

- Od początku to planowałeś, prawda? - powiedział Red. - Nie było żadnego szantażysty, tylko ty i jacyś twoi pazerni kumple.

- To nieprawda! - zaprotestował Chaz.

- Zawsze wiedziałem, że zabiłeś swoją żonę. Domyśliłem się od razu. Ale żeby to wszystko sfilmować, trzeba być nieźle zboczonym. Tylko po to, żeby wycisnąć ode mnie trochę kasy? Chłopcze, jesteś zepsuty do szpiku kości.

- Red, posłuchaj. Nie zabiłem Joey. Ona żyje!

Hammernut zerknął na Toola. Ten obojętnie wzruszył ramionami.

- Skoro tak, pewnie też jest w to zamieszana.

- No właśnie! - ucieszył się Chaz. - To ona stoi za szantażem!

- Twoja zmarła żona.

- Tak! Wczoraj się dowiedziałem.

Red pokiwał głową.

- Cóż, właśnie mi odpowiedziałeś na następne pytanie.

- Jakie?

- Jak długo zamierzasz to ciągnąć.

- Ale ja mówię prawdę! Jak Boga Kocham!

- Zapytajmy o zdanie pana O'Toole'a.

Tool patrzył na zachód słońca i myślał o piekącym, pulsującym zgrubieniu pod pachą.

- Daj broń - mruknął.

Red uśmiechnął się z ulgą.

- To mi się podoba.

W oddali rozległ się groźny pomruk aligatora. Tool wziął strzelbę i załadował nabój do komory. Kazał Chazowi wstać i odwrócić się plecami.

Red Hammernut powoli się wycofał.

- Chyba zaczekam w samochodzie.

Pewnie, pomyślał Tool. Nie chcesz sobie pobrudzić krwią swoich drogich ciuchów.

- Właż do wody - nakazał Chazowi.
- Powiedz mu, że nie kłamię w sprawie Joey. Proszę.
- Strześliś do mnie i rąbnałeś forszę.
- Wiem, popełniłem straszny błąd - wydyszał Chaz.
- Zgadza się. A teraz policz do pięciu.
- O Boże, nie zmuszaj mnie, żebym tu wszedł.
- Przecież to samo zrobiłeś swojej dziewczynie, nie? Czego się boisz?

W zaroślach bekmanii odezwał się jakiś inny duży aligator.

Sezon godowy, stwierdził Tool.

Chaz dostał drgawek, nie mógł nad tym zapanować. Uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

- Spójrz na mnie! No, spójrz!

Widok był żaloszny, to prawda. Facet miał na sobie podkoszulek, kraciaste bokserki i błyszczące brązowe skarpetki - tak go wyciągnęli z domu. Komary miały używanie i stadami kąsały jego sflaczałe ramiona i patykowate nogi.

- Dać ci jedną radę? - zapytał Tool.

- Tak - sztywno kiwnął głową.

- Spieprzaj stąd, i to szybko.

- Gdzie? Tam? - Wykonał nieokreślony gest wokół siebie.

- Tak. Uwaga, zaczynam: raz... dwa... trzy...

Chaz Perrone zeskoczył z nasypu i wylądował po kolana w bagnie. To nie były najkorzystniejsze warunki do uzyskiwania olimpijskich wyników w sprincie, ale desperacko rzucił się do ucieczki, sadząc ciężkimi susami i rozchlapując wodę na wszystkie strony.

Pierwszy strzał Toola poszedł za bardzo w lewo. Drugi za nisko i wzbili fontannę wody, która tylko zmoczyła Chazowi tyłek. Trzeci poszedł zupełnie na prawo.

Wściekły Red wyskoczył z pick-upu i zaczął wrzeszczeć. Tool przymknął jedno oko i udał, że się koncentruje.

Po czwartym strzale Chaz krzyknął i upadł.

- Wreszcie - powiedział Red, ale nagle zobaczył, że biolog się podnosi i dalej ucieka, zostawiając za sobą wydeptany szlak w mokrej gęstwinie.

Red wyrwał Toolowi broń z ręki i zaczął mierzyć do Perrone'a.

- Tylko się pośpiesz - powiedział Tool z lekkim uśmiechem, którego jednak Red nie zauważył.

- Stul pysk!

Strzał Reda (ostatni nabój w magazynku) był tak niecelny, że ładunek śrutu opadł łagodnym łukiem daleko przed uciekającym celem, nie robiąc mu żadnej krzywdy.

Red aż podskoczył z wściekłości.

- Cholera! Goń go! No już!

Tool odmówił.

- Ręka mnie boli tam, gdzie mnie ten sukinsyn postrzelił - powiedział, przypominając Hammernutowi, jaką ofiarę ostatnio poniósł podczas wykonywania obowiązków.

- Rany boskie, przecież on ucieknie!

- To leć za nim - zasugerował Tool. - Włączę reflektory, żebyś lepiej widział.

Jeden ze złaknionych miłości aligatorów odezwał się głośnym chrząknięciem. Tym razem bliżej.

Red Hammernut nie posunął się nawet o milimetr w stronę czarnej nieruchomej wody.

- Niech to szlag trafi - mruknął, oglądając ze wszystkich stron strzelbę, jakby się zepsuła za sprawą sił nadprzyrodzonych. - Nie mam już naboju.

- No nie.

W ciszy pełnej nerwów i napięcia obydwaj patrzyli, jak doktor Charles Regis Perrone stopniowo znika w gęstym rudawym mroku bagien.

Rozdział 31.

Joey Perrone wtuliła się w fałdy płaszcza swego brata.

- Nie możesz zostać jeszcze kilka dni?

- Romans i przygoda wzywają - odparł Corbett. - Poza tym moje owce zginą bez mnie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. A jeśli ona jednak okaże się pustą lalką?

- Są większe tragedie, siostrzyczko.

Joey go ofuknęła z udawanym oburzeniem i nasunęła mu kapelusz na oczy. Mick Stranahan zaniósł bagaże do śmigłowca, który lądując na wyspie, mało nie przyprawił Stroma o zawał. Pilot włączył silniki. Joey odeszła na bok, powstrzymując łzy.

Corbett posłał jej całusa w powietrzu i dziarsko zakręcił kijem. Przed wejściem na pokład jeszcze przystanął, żeby uścisnąć rękę Stranahanowi. Joey widziała, że o czymś z ożywieniem rozmawiają. Mick kiwał głową i zadawał jakieś pytania. Potem do niej dołączył i razem machali mu na pożegnanie, gdy śmigłowiec wzbił się w górę i odleciał w stronę półwyspu.

- Ricca będzie na niego czekała na lotnisku. Rano musiała jeszcze na chwilę wpaść do Boca Raton - poinformował Stranahan.

- Co jeszcze?

- Nic więcej.

- Mick, o czym jeszcze rozmawialiście?

- Naprawdę o niczym - powtórzył. - Twój brat chciał mi tylko podziękować, że się tobą zaopiekowałem. Powiedział, że wie, jaka potrafisz być upierdliwa.

Goniła go aż do przystani.

Tam oboje się rozebrali i wskoczyli do wody. Właśnie trzeci raz okrążali wyspę, gdy nagle zobaczyli łódź patrolową strażnika parkowego. To była duża motorówka SeaCraft z dwoma silnikami Mercedesa, kierowana przez muskularnego Kubańczyka po czterdziestce.

Podpłynął do nich i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają - powiedział.

- Witaj, Luis.

- Witaj, Mick. Dzień dobry pani.

Joey, zerkając wstydliwie zza ramienia Stranahana, uniosła dłoń w geście pozdrowienia.

- Poznaj legendarnego Luisa Cordovę - powiedział Mick. - Znamy się ze starych dobrych czasów w Stiltsville. Wtedy był jeszcze żółtodziobem pływającym w policji wodnej, a teraz jest wielką szychą w straży parkowej i szpieguje niewinnych ludzi, którzy chcą sobie popływać na golasa.

Luis się roześmiał i rzucił im linę.

- Jestem tu służbowo, ty stary świntuchu.

- O nie. Nie mów, że señor Zedillo kopnął w kalendarz.

Miquel Zedillo to ten meksykański pisarz, do którego należała wyspa. Joey kojarzyła to nazwisko z książek stojących na półce w pokoju Stranahana. Powiedział jej kiedyś, że pisarz jest słabego zdrowia i po jego śmierci wyspa prawdopodobnie pójdzie na sprzedaż.

Wtedy ona się zaofiarowała, że chętnie ją kupi. Mick tak się ucieszył, że natychmiast zaczął się z nią kochać na tarasie.

- Spokojnie - rzekł Cordova. - Z tego co wiem, żyje, ma się dobrze i mieszka w Tampico. Przyjechałem do ciebie w sprawie porzuconej łodzi.

Mick chwycił linę, a Joey wspięła mu się na plecy. Strażnik wciągnął ich przez rufę na pomost kąpielowy, żeby mogli odpocząć. Joey z przyjemnością odnotowała, że Luis jest dżentelmenem, bo ze wszystkich sił starał się odwracać wzrok od jej gołej pupy.

- Jakiej łodzi? - zapytał Stranahan.

- Wczoraj przy Cape Florida znaleźliśmy dryfującą na skały siedmiometrową łódkę z silnikiem. Pochodzi z wypożyczalni. W środku nikogo nie było, żadnego sprzętu wędkarskiego ani do nurkowania. Tylko roztrzaskany szperacz i ślady krwi na krawędzi burty.

- Ludzkiej?

Luis Cordova rozłożył ręce.

- Dlatego tu jestem.

- Sprawdziłeś, kto ją wynajął?

- Nie ma śladu w papierach. W wypożyczalni powiedzieli, że przed burzą została skradziona z przystani, ale mam podejrzenie, że byli komuś winni przysługę.

- Siedmiometrowa, powiadasz?

- Z niebieskim daszkiem i czterosuwowym silnikiem Yamahy.

- Przykro mi, Luis. Nie widziałem tu żadnych łodzi.

- Siedzieliśmy w domu przez całą noc - wtrąciła się Joey. - Pogoda była paskudna.

- To prawda - przyznał Cordova, taktownie starając się utrzymać wzrok ponad jej szyją. - Mogę spytać, jak się pani nazywa?

Joey, która jedyną wolną ręką zasłaniała sobie biust, odchyliła ją na tyle, żeby lekko szturchnąć Micka pod żebro. Zrozumiał sygnał.

- Pani wolałaby zachować dyskrecję - zwierzył się strażnikowi.
- Problemy rodzinne, rozumiesz.

- Wspominałem, że w szybie był otwór po kuli?

- Nie.

- Może coś słyszeliście, na przykład odgłos wystrzału?

- Co ty, w taką burzę?

- Ledwo sami siebie słyszeliśmy - dodała Joey.

Luis Cordova pokiwał głową, ale Joey czuła, że nie jest do końca przekonany.

- No nic, pomyślałem, że nie zaszkodzi zapytać. Ile razy znajde łódź ze śladami krwi, zawsze najpierw myślę o tobie, Mick.

- Miło mi, ale ostatnio wiodę bardzo spokojny żywot.

- Właśnie widzę - rzucił z przekąsem Luis. - Przepraszam, że zakłóciłem popołudnie. Podrzucić was na przystań?

- Nie trzeba, dopłyniemy. - Stranahan z uwieszoną na sobie Joey odepchnął się od rufy. - Miło cię było znowu widzieć, stary! - zawołał.

- Ciebie też, amigo!

- Szukacie ciała? - To pytanie wyrwało się Joey zupełnie niechcący.

Stranahan uszczypnął ją w pośladek.

- Ciała? - zdziwił się Cordova.

Co za idiotka ze mnie! - pomyślała Joey.

- Chodzi mi o to, że może ktoś wypadł z tej łódki w czasie burzy.

Strażnik odpowiedział, że nie dostali żadnego zgłoszenia o zaginięciu.

- Ale pamiętajmy, że to Miami - dodał. - Bywa, że ludzie znikają bez śladu i nikt nawet nie dzwoni na policję. Poza tym ocean jest ogromny.

Wiem coś o tym, pomyślała Joey.

Płynąc do brzegu, nie mogła przestać myśleć o mężu. Gdyby na łodzi znaleziono walizkę wypchaną pieniędzmi, Luis Cordova na pewno by o tym wspomniał.

A skoro nie było ani walizki, ani ciała, istniała duża szansa, że Chaz Perrone przeżył i zwiął z gotówką. Sama ta myśl była nie do zniesienia.

- Powtarzałeś, żebym się o nic nie bała - zawołała do Micka, który zostawał w tyle o kilka metrów. - Zadowolony jesteś? Draniowi udało się uciec!

- Dlaczego nie potrafisz mi zaufać?

- Bo jesteś facetem - roześmiała się, wypuszczając bąbelki powietrza do wody.

- Dobra! - odkrzyknął. - W takim razie wisisz mi za dwutygodniowy pobyt i wyżywienie!

- Najpierw mnie złap.

Schowała głowę pod wodę i wydłużyła pociągnięcia ramion. Ledwo usłyszała, jak wołał:

- Joey, zwolnij! Ja cię kocham!

Zgred, pomyślała.

Radośnie popłynęła w stronę nabrzeża, gdzie czekał już Strom, szczekając i wymachując swoim krótkim ogonkiem.

* * *

Red Hammernut oblizał kąciki ust. Tyle się napluł i naklął, że w gardle mu zaschło.

Po raz chyba szósty oświadczył:

- To były najgorsze strzały, jakie widziałem w wykonaniu człowieka z parą zdrowych oczu.

Earl Edward O'Toole patrzył tymi oczami przed siebie na drogę i nic nie mówił. Najwyraźniej uznał, że już przeprosił.

Red odchodził od zmysłów. Tool poradził, żeby się nie przejmował uciezką Perrone'a, bo to tchórzliwy mięczak i na pewno nie wyjdzie z bagien żywy.

Dobrze, tylko co będzie, jeśli jednak wyjdzie, myślał Red.

- Ten człowiek może mnie do reszty zrujnować - rzekł ponuro.

Tool parsknął śmiechem.

- Nikogo nie zrujnuje, szefie. Będzie spieprzał, aż padnie.

- Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

- Wiem tylko tyle, że ma się czego bać - odparł Tool - jeżeli kiedykolwiek się ujawni.

- A jeśli ktoś go wcześniej uratuje? Myślałeś o tym? Czeka go cela śmierci, więc będzie go kusilo, żeby mnie wystawić w zamian za zmniejszenie wyroku.

- Nie stresuj się tak - powiedział Tool.

Aby się upewnić, że Chaz nie wróci, jeszcze długo czekali w ciemnościach nad wodą, nasłuchując, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. W końcu Red nie mógł wytrzymać z komarami. Hummera Perrone'a zostawili, ale kluczyki zabrali ze sobą, w razie gdyby ten sukinsyn zaczął się gdzieś w zaroślach. Ckliwe list pożegnalny zostawili na wierzchu na desce rozdzielczej, „na wypadek gdyby był tak uprzejmy i wypłynął jako trup”, wyjaśnił Hammernut.

Jadąc teraz obok Toola w zardzewiałym pick-upie, cały czas się gryzł tym, co się stało, odkąd Perrone pozbył się żony. Niesamowite, jak sprawy się wymknęły spod kontroli, jak szybko rozum i porządek ustąpiły miejsca chaosowi. Red Hammernut nie był człowiekiem skomplikowanym, skłonny do rozmyślań. Był pragmatykiem, człowiekiem czynu. Nie wierzył w przeznaczenie, karmę czy szczęśliwy układ gwiazd. Jeżeli pojawiały się kłopoty, to znaczyło, że ktoś po drodze coś spieprzył.

Zwykle nie miał trudności z identyfikacją źródła problemu ani z jego eliminacją. Łapówka, nasłanie oprychów albo bilet lotniczy zwykle rozwiązywały sprawę. Ale w sytuacji takiej jak ta z Perrone'em jeszcze się w życiu nie znalazł. Wpływy i znajomości na nic się zdadzą, jeśli Chaz przeżyje i zacznie sypać o przekręcie w Everglades. Red zaczął żałować, że zniszczył obie kasety. Mogłyby się przydać do odwetu.

Cholerny zdrajca.

Ale to nic, pomyślał, przynajmniej dostałem z powrotem swoje pieniądze.

Plastikowa walizka leżąca na skrzyni przesuwiała się hałaśliwie na wertepach, kiedy wyjeżdżali z terenu rezerwatu.

- Dlaczego tak się wleciesz? - zapytał Red.

- Bo muszę jechać bez świateł.

- A to czemu?

- Bo mogą nas zobaczyć strażnicy i leśnicy. To nie plantacja, Red. To tereny państwowe.

- Niech mnie w dupę pocałują.

- Poza tym twój goryl zostawił tylko ćwierć baku paliwa.

- A, to co innego.

Red Hammernut rzadko bywał w tych rejonach Everglades, gdzie pozostała jeszcze dziewicza przyroda. Wolał inne, te

osuszone, zaorane albo wyasfaltowane - jak plantacje warzywne, które można patrolować cadillakiem albo helikopterem. Płaskie uporządkowane prostokąty, równo pocięte przez kanały i pozbawione nieregularnych zadrzewień. Czasem tylko można się natknąć na zdziczałą świnię lub pojedynczego szopa, ale to wszystko.

Red nie bał się dzikiej przyrody, ale czuł się tu nieswojo, zwłaszcza nocą. Zwłaszcza z pustym magazynkiem w strzelbie.

- Ten pieprzony rząd - rzucił pogardliwie - i władze Florydy też, kiedy się dowiedzą, że wlewam ścieki do bagien, to mi się dobiórą do skóry. Zobaczysz. To jakaś paranoja!

- Tak, szefie - mruknął Tool bez cienia współczucia.

- Weźmy te aligatory, co się tam dzisiaj pieprzyły - ciągnął Red.
- Żyją tu od jakichś stu tryliardów lat, no nie? Myślisz, że odrobina nawozu im zaszkodzi? Pestycydów? Fungicydów? Te tłuste olbrzymy mogłyby zeżreć tyle DDT, ile ważą, i nawet by nie pierdnęły. Przecież to d i n o z a u r y , na litość boską.

Tool nie odrywał wzroku od drogi.

- Ale wszystkie inne chyba wyginęły, nie? - zauważył.

- Co? - Red nie wierzył własnym uszom. - Po czyjej jesteś stronie? Nie mam zielonego pojęcia, co się stało z resztą pieprzonych dinozaurów, a poza tym kogo to, kurwa, obchodzi?

- Zastrzeliłem kiedyś jednego aligatora. Miał tylko z półtora metra, ale mimo to...

- Co „mimo to”?

Red pieklił się całą drogę. Trochę lepiej się poczuł, gdy wreszcie wyjechali na suchą asfaltową szosę i zobaczyli majaczące na wschodzie światła latarni sodowych okręgu Palm Beach.

- Jutro z samego rana uruchomimy helikopter - oświadczył chłodno. - Nie boję się. Namierzymy tego sukinsyna.

- Jeśli wcześniej nie dorwą go dinozaury - rzucił z kamienną twarzą Tool.

- Kpisz sobie ze mnie, chłopcze? Nie jestem w nastroju do żartów, gdybyś nie zauważył.

- Tak jest, szefie.

- Wiesz, co t y mógłbyś jutro zrobić? Wziąć mojego remingtona i pójść poćwiczyć na strzelnicy. Może następnym razem będziesz w stanie trafić w stodołę.

Tool przyjął zniewagę ze spokojem. Red jego milczenie potraktował jako uległość. Zupełnie nie dostrzegał coraz bardziej kruchej lojalności Toola. Nie wyczuwał gniewu, który zaczął kiełkować w głowie tego prostego faceta.

- Przez ciebie uciekł! - krzyczał Red. - To wszystko twoja wina! Tool wzruszył ramionami.

- Spróbuj strzelać z odłamkiem pod pachą.

- Zamknij się już. Zawieź mnie wreszcie do domu.

Red zamknął oczy i wyobraził sobie, jak wchodzi do gorącego jacuzzi. Nie mógł się doczekać, żeby z siebie zmyć ten pot, krem przeciwsłoneczny i płyn na komary, a potem zasiąść do półkilogramowego steku z butelką Jacka Danielsa. Z marzeń wyrwało go gwałtowne hamowanie. Tool zatrzymał pick-up na trawiastym poboczu szosy.

- Co jest? - rozejrzał się Red. - Złapaliśmy gumę?

- Nie ruszaj się stąd. - Tool wygramolił się z auta.

- Ej, wracaj! - wrzasnął Red. Wyskoczył i pobiegł za nim. - Gdzie ty idziesz? Nie mam czasu na te bzdury!

Tool nawet nie zwolnił. Red szedł za nim i obrzucał go wyzwiskami, jakie tylko mu przyszły do głowy.

- Cicho. - Tool uniósł dłoń wielkości szufli. Stał, pochylił się nad niewielkim białym krzyżem i zdjął z niego bukiet zwiędłych lili.

- Nie teraz, chłopcze. Przyjedziesz sobie po niego kiedy indziej, ale nie dzisiaj. Śpieszę się.

- To zajmie chwilę.

- Głuchy jesteś? Czy tylko głupi?

W świetle reflektorów było widać wyraźnie nazwisko wyryte na krzyżu.

Pablo Humberto Duarte

Ukochany Mąż, Ojciec, Syn i Brat

ur. 3.09.1959 - zm. 21.03.2003

Teraz jeździ z Najwyższym

Pamiętaj: zapięte pasy ratują życie!

- Jakiś meksyk - mruknął Hammernut. - Pewnie go wylali z roboty i się wrąbał do kanału.

- Nie wiesz tego - powiedział Tool.

- Wystarczy spojrzeć na nazwisko. Pa-blo Hum-ber-to Du-ar-te. Powiedz, że to nie jest latynoskie?

Tool kucnął i oparł łokcie na kolanach.

- No, ruchy - rzucił Red. - Wyciągaj ten cholerny krzyż i jedziemy. Muszę się wykąpać i napić.

Tool ani drgnął. Red spojrzał na niego gniewnie.

- Co jest, kurwa?

- Właśnie policzyłem. Ten gość był mniej więcej w moim wieku.

- Ten meksyk?

- Pan Duarte, czy jak to się wymawia.

- Litości - jęknął Red i pomyślał: Boże, żeby mi się tu teraz ten debil nie rozkleił.

Tool pokazał na krzyż.

- On przynajmniej był mężem, synem, bratem, a ja co? Nie mam żony ani rodziny. Jedyne kuzyn siedzi w pace za to, że obrobił pralnię automatyczną.

Tu cierpliwość Reda Hammernuta się wyczerpała. Uznał, że nie istnieje racjonalny powód, dla którego człowiek z jego pozycją miałby sterczeć w sobotnią noc na poboczu drogi stanowej numer 441, bo jeden owłosiony półgłówek z odłamkiem w dupie przeżywa kryzys wieku średniego, wzruszywszy się losem jakiegoś Meksykanina, który zapomniał zapiąć pasy w samochodzie.

Niewiele myśląc, palnął Toola w czubek głowy. To nie był dobry pomysł. Tool uznał to za niedopuszczalny brak szacunku.

- Słuchaj no, ty zaszary padalcu - wysyczał Red. - Mam w samochodzie pół miliona dolarów, które leżą na widoku i byle ćpun w dresie może je rąbnąć i zwiać w pięć sekund. Za cholere nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale liczę do dziesięciu, a ty wykop ten głupi krzyż i spieprzamy stąd. Zrozumiano?

Tool ani drgnął, nawet żeby zetrzeć ślinę Reda z ogrodniczków.

- Raz... - sapnął Red - dwa... trzy... cztery...

Nie miał zielonego pojęcia, co robi, jeżeli ten nadaszany matole go nie posłucha. Znowu go uderzy?

Ku jego wielkiej uldze Tool wreszcie się podniósł i rzekł:

- Ty jesteś szefem.

Chwycił krzyż swoimi wielkimi łapskami i powoli, stopniowo, żeby nie złamać, wysunął go z ziemi.

- No wreszcie - mruknął Red. - A teraz szybko, jedziemy.

- Ty nie, szefie.

- Co? - To niesamowite, myślał Red, jak podstawy czyjeś egzystencji mogą runąć z powodu jednego nieprzemyslanego ruchu. - Co powiedziałeś?

Earl Edward O'Toole stanął między nim a samochodem, zasłaniając swoją potężną sylwetką światła reflektorów. Hammernut poczuł się mały i - po raz pierwszy - wystraszony.

Odgłos oddechu Toola, powolnego i spokojnego, przejął go dreszczem.

Spojrzał w górę na przysłaniający go cień.

- Co znowu, dumny małpoludzie?

- Nie ruszaj się - poradził Tooii.

Samuel Johnson Hammernut zobaczył, jak potężny mężczyzna unosi obie ręce w górę, potem przez chwilę widział zarys białego krzyża na tle perłowych chmur, a potem nie widział już zupełnie nic.

* * *

Takie mordowanie rozlewisk Everglades jak w wykonaniu Reda Hammernuta odbywa się podstępnie i po cichu. Inaczej niż w wypadku bardziej telegenicznych sposobów zanieczyszczenia środowiska, sztuczne nawozy wypływające tonami z plantacji trzciny cukrowej i farm warzywnych całej południowej Florydy nie powodują śmierdzących plam na wodzie, masowego śnięcia ryb ani makabrycznych widoków setek gnijących zwłok zwierząt.

Za to związki fosforu i inne trujące substancje używane w rolnictwie działają w sposób niewidoczny, niszcząc warstwę alg zwaną peryfitonem. To śliski brązowy muł zalegający na dnie

mokradeł i zarazem najważniejsza substancja odżywcza dla porastającej je roślinności.

Kiedy peryfiton zaczyna wymierać, małe ryby, które na nim żyją i żerują, odpływają w inne rejony. Następne w kolejce są różne gatunki czapli, ryby bassowate i tak dalej w górę łańcucha pokarmowego. Wkrótce mokre łąki porośnięte kłocią wędną i zamierają, wypierane przez pałkę wodną oraz inne wodne rośliny, które bujnie się rozrastają na nawozach, ale tworzą kiepskie środowisko do życia dla miejscowej fauny.

Głównym celem rządowego planu ratowania Everglades było zredukowanie tej powodzi sztucznych nawozów. Plantatorzy trzciny cukrowej oraz korporacje rolnicze niechętnie, ale jednak przystąpiły do współpracy, ponieważ już nie mogły dłużej polegać na sponsorowanych politykach, którzy ich chronili przed Agencją Ochrony Środowiska i innymi urzędami regulacyjnymi. I mimo że zastosowanie bagien filtracyjnych mających odciągać część zanieczyszczeń dało na początku dość obiecujące wyniki, Everglades wciąż umierało w tempie prawie hektara dziennie, w czasie gdy Charles Regis Perrone odbywał swą samotną wędrówkę przez rezerwat Loxahatchee.

Przeklinał w duchu cuchnące błoto, które ściągnęło mu z nóg skarpetki, ostre źdźbła trawy, które podarły mu bokserki i podkoszulek, kępy lilii i pływacza wątlego, które spowalniały chód. Pędy świeżo zakwitłej pałki wodnej oznaczały obecność w wodzie nawozów, lecz nie to było źródłem niepokoju Chaza. Wiedział, że fosfor nie jest trujący w taki sposób jak, powiedzmy, bakterie w fekaliach. Wiedział też, że niższe poziomy zanieczyszczeń notowane na obszarze Loxahatchee są bardziej przyjazne dla miejscowej fauny i flory niż te skandaliczne ilości znajdowane w wodach sąsiadujących z plantacjami Hammernuta.

A jednak przemierzał falujące na wietrze podmokłe łąki z uporczywym lękiem, że jest osaczony - przez Reda i jego

najemnika dzierżącego broń; przez żarłoczne insekty przenoszące różne choroby; przez jadowite mokasyny błotne, krwiożercze pijawki i kleszcze; przez drapieżne rysie i pumy; przez aligatory, których chrapliwe odgłosy godowe wdzierały się w ciszę...

Chaz nie dostrzegął ironii w swoim położeniu, bo zawsze uważał się raczej za świadka, a nie winowajcę odpowiedzialnego za zatrucie środowiska. Obwinianie takich opłacanych ekspertów jak on o zagładę Everglades wydawało mu się równie głupie jak obwinianie za raka płuc lekarzy zatrudnianych przez koncerny tytoniowe, tylko dlatego, że przez lata zapewniali, że papierosy nie szkodzą. Prawda jest taka, że ludzie sami chcą palić, nieważne, co im powie jakiś mądrała. Tak samo miasta i gospodarstwa rolne nie przestaną się pozbywać ścieków w najtańszy i najprostszy sposób - wylewając je do zbiorników wodnych - nie zważając na zagrożenie ekologiczne.

Chaz doszedł do wniosku, że ludzkiej natury się nie zmieni, więc po co się wychylać, lepiej robić jak wszyscy. Kiedy zaczął pracę u Hammernuta, zapoznał się z ekologią obszarów Everglades tylko na tyle, żeby móc rozmawiać z kolegami i nie wyjść na niedouczonego oszusta. Pamiętał, że ten brązowy szlam na dnie, przez który teraz brnął, to jakiś strasznie ważny element ekosystemu i że ekolodzy nazywają go „małpimi rzygami”. To określenie bardzo mu się spodobało.

Nienawidził być mokry, nawet w codziennych okolicznościach. W klubie golfowym nigdy nie wyląwiał piłeczek, choć tamtejsze jeziorka są płytkie. Dlatego brnięcie nago w mętnej brei, do tego po nocy i bez broni, było torturą. Wyłączył świadomość, żeby nie dostać obłędu. Niebo zaczęło się przecierać i światło gwiazd pozwoliło wreszcie rozróżnić kształty w mroku. Chaz szczególnie uważał na te, które choć trochę przypominały aligatory. Ich liczną obecność potwierdzały bliższe i dalsze gardłowe odgłosy. Pamiętał z zajęć na uczelni, że takie terytorialne zachowania mają

podłoże seksualne, więc się zastanawiał, czy bardziej ma się bać tego, że zostanie zjedzony czy zgwałcony. Wiedział, że większość węży jest wyposażona w dwa penisy (źródło powszechnej wesołości wśród studentów biologii), ale nie umiał sobie przypomnieć, czy to dotyczy także krokodylowatych. Wkrótce dręczący go od dawna koszmar, że zostaje pożarty przez dwugłowego aligatora, wyparła inna wizja, dużo bardziej przerażająca.

W oddali majaczyła zadrzewiona wysepka, oaza suchego łądu pośród oceanu traw.

Chaz przyśpieszył, napędzany adrenaliną i strachem przed napaścią na tle seksualnym w wykonaniu dwustukilogramowego napalonego jaszczura. Żdźbła kłoci bezlitośnie raniły mu ciało, ale się nie poddawał. Dopiero gdy dotarł do wysepki i usiadł odpocząć pod wawrzynem, ogarnął cały ogrom swego nieszczęścia.

Mięśnie go bolały z wysiłku i odwodnienia.

Plecy piekły drażnione śrutem z naboju.

Na piersiach i ramionach miał krwawe pręgi od żdźbeł traw.

Jego twarz otaczała chmara brzęczących komarów.

Na udach i między nogami czuł tajemnicze swędzenie.

A to były tylko cierpienia fizyczne. Dręczył go także ból psychiczny.

Wymarzony spadek wart trzynaście milionów okazał się tylko sadystycznym żartem.

Żona, którą usiłował zabić, przeżyła i jest w drodze na policję.

Kochanka, do której strzelał z podobnym zamiarem, oskarżyła go o porwanie.

Człowiek, z którym tak zyskownie konspirował, zwrócił się przeciwko niemu i dobił jak kulawego konia.

A do tego wszystkiego przemoczony, brudny, bezbronny i upokorzony wylądował w miejscu, którego nienawidził najbardziej na świecie. I w dodatku nie ma pojęcia, jak się z niego wydostać.

Czy ja rzeczywiście sobie na to zasłużyłem? - myślał.

Przesunął palcem po łydce, zdejmując warstewkę szlamu jak polewę czekoladową.

Przyłożył do nosa, ale nie poczuł żadnego niezdrowego zapachu. Nawet jeśli to paskudztwo jest pełne nawozów, to co?

To tylko błoto, do cholery. Przecież nie zabijam pałką młodych foczek, pomyślał.

Rożek księżycy oblał sawannę niebieskawą poświatą. Nagle coś głośno zaszeleściło.

Chaz Perrone podkulił kolana i wymacał ręką kamień. W pobliskim stawie znowu zamruczał aligator.

Who... do... you love?

Yeah, who... do... you love?

Rozdział 32.

Maureen czule się uśmiechnęła, widząc Toola wychodzącego ze stodoły. Otworzył drzwi samochodu i usadowił się za kierownicą.

- No i...? - Wystawiła dłoń.

Tool położył na niej dwa zdeformowane ołowiane śruty.

- Ten zardzewiały jest... wiesz skąd. A ten błyszczący spod pachy.

Przyjrząwszy się im, Maureen powiedziała:

- Earl, jestem z ciebie dumna. Musiało boleć jak diabli.

Odparł, że nie bardzo.

- Facet jest zawodowcem.

- Chociaż zajmuje się bydłem?

- Zwierzętami gospodarskimi w ogóle. - Tool wyjaśnił Maureen, że zwykły lekarz miałby obowiązek zgłosić władzom pacjenta z raną postrzałową. Weterynarz tego nie musi.

- Najważniejsze, że wreszcie się pozbyłeś kłopotu. Koniec z bólem.

- Tak. Teraz twoja kolej.

- Ja się dobrze czuję, Earl.

- Powiedz prawdę.

- Prawda jest taka, że jestem wniebowzięta, mogąc pooddychać świeżym powietrzem.

- Poczekaj, aż odjedziemy z tego pastwiska.

- Ale tu jest cudownie, krowie łajno mi nie przeszkadza. Dziękuję ci, Earl.

- Za co?

- Za wolność. Za to, że jesteś moim rycerzem Galahadem i wyzwoliłeś mnie z Elysian Manor!

Przytuliła się do niego i uszczypnęła go w policzek.

- Starczy już tego - zarumienił się.

Kiedy wynosił Maureen z domu opieki, nikt nie zaprotestował ani słowem. Bali się stanąć mu na drodze.

Nie spała od dawna, siedziała na łóżku z torebką na kolanach, gotowa do wyjścia. Odłączyła sobie kroplówkę i poszła do toalety. Szpitalną koszulę zamieniła na cienką bawełnianą sukienkę w kolorze lawendy. Uczesała się, umalowała usta, położyła trochę różu na policzki. Napisała kartki do córek, żeby się nie martwiły.

W porze śniadania przyszła pielęgniarka z piekła rodem i spojrzała na Maureen jak na wariatkę. Zaczęła się przymilać, prawić komplementy, poprawiać poduszki, cały czas przy tym usiłując ją skłonić, żeby się położyła i dała sobie zrobić kolejny zastrzyk.

Ale Maureen stawiała zacięty opór i pielęgniarka musiała wezwać posilki. Dołączyły do niej dwie tęgawe, pryszczate salowe. Grubsza z nich chwyciła Maureen za ręce, druga w tym czasie próbowała jej przygwoździć nogi do łóżka, a pielęgniarka stała nad nimi z triumfalnym uśmiechem i napełnioną strzykawką.

W tym momencie stanął w drzwiach wielki jak mamut Tool. Miał ubłocone buty i świecił się od potu. Szelki w ogrodniczkach mu opadły, ukazując na piersiach pobrudzony opatrunek z białej taśmy. Szyję i ramiona pokrywały gęste wilgotne włosy, które z daleka można by wziąć za misterny tatuaż.

- Zostawcie ją - rzucił beznamiętnie.

Salowe natychmiast puściły Maureen i odsunęły się na bok.

- Nie bój się, Polly - powiedziała Maureen do drżącej ze strachu pielęgniarki. - To mój siostrzeniec z Holandii. Ten, o którym ci opowiadałam.

Tool wkroczył w głąb sali, wziął Maureen na ręce, wyniósł ją na korytarz, minął recepcję, podwójne drzwi i wyszedł na okrągły podjazd, gdzie zaparkował czerwony pick-up F-150, który kupił dzień wcześniej za 31 641 dolarów. Zapłacił gotówką. Zostawił w walizce ponad 465 tysięcy, jeśli dobrze policzył.

Było w nim dość miejsca na trzydzieści jeden plastrów fentanylu, które wykradł z apteki w Boynton Beach. Nie dla siebie, dla Maureen.

- Jaki piękny! - zachwyciła się na jego widok. - Ale chyba będę potrzebowała drabiny.

- E, tam - powiedział Tool i podsadził ją na fotel pasażera.

Pick-up miał wygodne skórzane fotele, mnóstwo miejsca na nogi, wygodną klimatyzację i skrzynię ładunkową tak pojemną, że pomieściła całą kolekcję krzyży Toola, które jeden po drugim wykopał ze swojego ogródka. Zajęło mu to prawie całą noc.

Maureen oburzona stanem jego opatrunku kazała mu iść do lekarza. Błagała go przez kilkanaście kilometrów, aż w końcu niechętnie zjechał z autostrady w pobliżu Kissim-mee i skręcił na farmę bydła położoną nad rzeką. Znajomy weterynarz za namową Maureen zgodził się usunąć z jego ciała oba pociski.

- Niedługo będziesz jak nowo narodzony - powiedziała, wrzucając śrut do torebki. - Dał ci coś na ból?

- To, co się daje krowom - odparł Tool. Prawdę mówiąc, czuł się cholernie dobrze. - To co, dokąd chcesz jechać?

- Earl, mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jasne. - Telepali się wąską bitą dróżką prowadzącą do głównej szosy. Tool ściszył radio; akurat leciała ckliwa piosenka o samotności w drodze i złamanym sercu.

- To wprawdzie nie moja sprawa, ale ciekawi mnie, skąd ochroniarza stać na taką karocę?

Tool chwilę myślał nad odpowiedzią, popijając letnie Mountain Dew.

- Niektóre zlecenia są lepiej płatne.

- Czyli to ostatnie się opłaciło?

- W sumie chyba tak. Teraz ja cię o coś spytam, dobrze?

- Dobrze.

- Gdzie najbardziej chciałabyś spędzić wakacje?

- Takie wymarzone? Mogę wybierać z całego świata?

- Właśnie próbuję ci to powiedzieć. Możemy pojechać, gdzie tylko zechcesz.

Maureen wyjrzała za okno. W słońcu jej włosy wydawały się cieńsze i bardziej siwe, chociaż oczy nadal pozostały niebieskie i błyszczące jak woda w oceanie. Tool z łatwością potrafił ją sobie wyobrazić za młodu, nie tyle dzięki rysom twarzy, ile spokojnemu, szczeremu spojrzeniu.

- Wciąż mamy wiosnę, prawda? - zapytała.

- Tak, koniec kwietnia.

- Myślałam o tych pelikanach. O tej porze chyba lecą na północ.

- Do samej Kanady. Tak mówili w telewizji.

- Tak, pamiętam, do Kanady. Czy to nie nadzwyczajne?

- No. Musi być superwidok. Tysiące białych ptaków zlatuje naraz z nieba. Całą kupą wracają do domu. Chciałbym to zobaczyć.

- Ja też.

- To cholernie daleko. Na pewno dasz radę?

Nachyliła się i pacnęła go pięścią w ucho.

- Nic się nie bój. Po prostu jedź.

- W porządku. - Tool cały promieniał. Włączył radio.

- Może trochę muzyczki?

* * *

Rolvaagowi się przyśniło, że ma pętlę na szyi i powoli traci oddech. Obudził się z ręką na gardle i zobaczył, że oplata go muskularny białawy ogon. Po kilku pełnych niepokoju chwilach udało mu się wyzwolić z uścisku i zapalić światło. Powiódł wzrokiem za chowającym się węzem i odkrył niewielką dziurę w materacu. Rozciął poszycie i znalazł w środku oba zaginione pytony. Obejrzał je dokładnie, ale nie zauważył żadnych zgrubień wielkości kota albo psa. Przeciwnie, węże wyglądały na głodne i podenerwowane.

Ulżyło mu, chociaż nie był zaskoczony, bo zaginione zwierzątka lokatorów Sawgrass Grove już wcześniej się odnalazły. Tego staruszka Pinchota namierzono w okręgowym schronisku, gdzie trafił na kwarantannę po tym, jak pogryzł jednego świadka Jehowy.

Syjamską kotkę Pandorę oddali Mankiewiczom okoliczni chuligani w zamian za okup w postaci skrzynki piwa.

Detektyw odczuwał satysfakcję, ale została mu do załatwienia jeszcze jedna drobna sprawa. Wydobył węże z ich kryjówek i zrobił sobie z nich etolę. Następnie wyszedł na koiytarz i trzykrotnie zapukał do drzwi Nellie Shulman. Całe szczęście, że ze względu na niski wzrost nie sięga wizjera, bo na pewno by mu nie otworzyła.

- Nellie, jesteś mi winna przeprosiny.

Pani Shulman cofnęła się z odrazą.

- Ty zboczony potworze! Odejdź stąd i zabierz te oślizłe stwory.

- Nie, dopóki nie usłyszę słowa „przepraszam”.

- Żałuję, że cię nie podałam do sądu, ty świrze. Idź mi stąd!

Tymczasem pytony zauważyły małą Petunię podgryzającą kaptcie swojej pani. Uniosły mlecznobiałe głowy i badały powietrze językami. Rolvaag czuł, jak napinają im się mięśnie z podniecenia.

- Spokojnie, koledzy - szepnął.

Wąskie wredne oczka Nellie Shulman rozszerzyły się ze strachu, gdy zobaczyła, że węże zaczynają się ruszać.

- Ty chory psychopato! - krzyknęła i zatrzasnęła drzwi.

Kiedy detektyw wrócił do mieszkania, dzwonił telefon. Począł, aż się włączy sekretarka.

- Karl, przyjeźdź tu jak najszybciej. - To był kapitan Galio. - Przelecimy się helikopterem. Pojawiło się coś nowego.

- A to niespodzianka - mruknął do siebie Rolvaag.

Było mu nawet trochę żal szefa, bo to inteligentny facet, tylko czasami nie chce zauważać, że na świecie obowiązuje prawo dżungli. Galio był szczerze zaszokowany, kiedy zadzwonił szeryf z informacją, że przy drodze numer 441 w zachodniej części okręgu Palm Beach znaleziono ciało Samuela Johnsona Hammernuta.

To była bardzo dziwna śmierć. Pan Hammernut został nabity na przydrożny krzyż z nazwiskiem Pabla Humberta Duarte, wybitnego podiatry, który zginął w tym miejscu w wypadku samochodowym. W pewien deszczowy dzień mini cooper pana Duarte został zmiądzony przez pędzącego szaleńca, którego nigdy nie udało się schwytać. I choć napis na krzyżu

przypominający o konieczności zapinania pasów to chwalebny gest, żadne zabezpieczenia nie uratowałyby panu doktorowi życia, jeśli wziąć pod uwagę, że jego samochód po zderzeniu zmniejszył się do rozmiarów tosterka.

Ze względu na to, że zabójstwo Hammernuta wyglądało na mord rytualny, detektywi z Palm Beach szukali jakichś powiązań między plantatorem a podiatrą. Jedna z hipotez brzmiała: rodzina Duarte zidentyfikowała Hammernuta jako zbiegłego sprawcę wypadku i dokonała aktu zemsty.

Rolvaag nieźle się z tego uśmieł. Galio przeciwnie. Bardzo się zaniepokoił, że zamożny i wpływowy obywatel, którego przesłuchiwał jeden z jego detektywów, dziesięć dni później ginie.

- Spójrz na plusy tej sytuacji - poradził mu Rolvaag. - Sprawa jest poza naszą jurysdykcją.

Nastrój kapitana Galio nie uległ poprawie od poprzedniego dnia. Gdy Rolvaag przyjechał na posterunek, kapitan wciągnął go do siebie do biura i zamknął drzwi.

- Lecimy do Everglades - oznajmił uroczyście.

- Dobra.

- Nie pytasz po co?

- Mogę się domyślić - odparł detektyw.

Galio nerwowo przygryzał dolną wargę. Wyglądał, jakby coś go gnębiło.

- Karl, potrzebuję przyjacielskiej rady.

- Co chcesz wiedzieć?

- To właśnie moje pytanie: co ja powinienem wiedzieć? - Kapitan próbował puścić oko, ale wyglądało to jak nerwowy tik. - Gdybyś był mną, Karl, w mojej sytuacji, czy naprawdę chciałbyś się łądować w tę aferę z Perrone'em? Pomyśl nad tym, co?

Kiedy czekali przed wejściem na pokład śmigłowca, Galio zapytał Rolvaaga, co tam niesie. To było duże plastikowe pudło z otworami w pokrywie.

- Moje węże - odparł detektyw. Ta decyzja nie przyszła mu łatwo.

Galio był przerażony.

- Czyś ty zwariował? A co będzie, jak ci uciekną?

- Tylko nie mów nic pilotowi.

Rolvaagowi bardzo się podobał lot. Przelecieli nad Fort Lauderdale i jego zachodnimi przedmieściami, a potem udali się na północ, wzdłuż drogi Sawgrass Expressway aż do Palm Beach. To przerażające, gdy człowiek sobie uświadomi, że właściwie tylko wał ziemny oddziela pięć milionów hałaśliwych zabieganych istot ludzkich od prehistorycznych pustkowi Everglades. Detektyw żałował, że podczas swojej służby na Florydzie nie spędzał więcej czasu po drugiej stronie wału - tej normalnej i spokojnej.

- Biuro szeryfa Palm Beach zaprosiło nas tu z grzeczności - wyjaśnił Galio, zezując cały czas na pudło z pytonami. - Od nich zależy, co nam ujawnią, a co nie. To ich śledztwo.

- Chwała Bogu - rzekł Rolvaag.

Wśród brązów i zieleni mokradeł hummer Charlesa Perrone'a ukazał się najpierw jako migoczący punkcik, a potem jako żółty znak ostrzegawczy. Kiedy śmigłowiec się zbliżył, Rolvaag dostrzegł na koronie wału kilka radiowozów oraz terenówkę należącą przypuszczalnie do FBI. Strażnik z rezerwatu Loxahatchee był na miejscu pierwszy.

Gdy tylko wylądowali, podszedł do nich młody detektyw z biura szeryfa okręgu Palm Beach. Nazywał się Ogden. Pokazał im list poźegnalny, który znaleziono w hummerze.

- „Kostium łabędzia”? - Galio pstryknął w kartkę. - O co tu, kurwa, chodzi?

Ogden wzruszył ramionami.

- Znaleźliście ciało? - spytał Rolvaag.

- Jeszcze nie. Ciągłe szukamy.

Było słycać ryk łodzi śmigłowej penetrującej okoliczne wody. Rolvaag by się nie zdziwił, gdyby odnaleziono szczątki męża Joey Perrone, ale byłby zdumiony, gdyby się okazało, że faktycznie popełnił samobójstwo.

- Podobno pan kilkakrotnie przesłuchiwał poszukiwanego po wypadku jego żony - powiedział Ogden. - Czy sprawiał wrażenie na tyle przygnębionego, że byłby zdolny to zrobić?

- On w ogóle nie był przygnębiony - odparł Rolvaag. - Mnie się wydał nieczułym idiotą.

Galio czuł się zobligowany do wytłumaczenia kolegi.

- Karl miał kilka teorii o możliwym udziale pana Perrone'a w zaginięciu jego żony. Na razie nie znalazły potwierdzenia.

- Niestety - dodał Rolvaag, myśląc: Spróbuj w dwa tygodnie przygotować sprawę o morderstwo, kiedy nie masz ciała.

- Kiedy ostatni raz go pan widział?

- Kilka dni temu na nabożeństwie żałobnym za panią Perrone.

- Rozpaczał?

- Nie bardzo. Podrywał najlepszą przyjaciółkę żony.

- Miły gość - stwierdził Ogden.

- O tak, do rany przyłóż - rzucił Rolvaag. - Życzę powodzenia.

- Co jest w tym pudle?

- Lepiej, żeby pan nie wiedział.

Rolvaag podniósł ciężki pojemnik i oddalił się od reszty. Kiedy znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, zszedł na brzeg i postawił

pułdo na ziemi. Wiedział, że to nie jest idealne rozwiązanie. Pytony nie pochodziły z Florydy, ten gatunek został sprowadzony z Indii, ale niestety, ten kraj nie figurował w najbliższych planach podróży detektywa.

Przynajmniej jednak będzie im tu ciepło i w miarę bezpiecznie. Są za duże i za silne, żeby je atakowały jastrzębie, szopy czy wydry. Rolvaag bardziej się bał skażenia pestycydami i innymi chemikaliami. Przypomniał sobie tego paskudnie zdeformowanego młodego węża, którego znalazł na terenie Hammernut Farms. Mógł się tylko modlić, aby woda w Loxahatchee okazała się czystsza.

Otworzył pokrywę i czekał, aż pytony zareagują na słońce. Najpierw jeden, potem drugi ostrożnie uniosły głowy i wystawiły je ponad krawędź pojemnika. Rolvaag jak zwykle z zachwytem przyglądał się ich pełnym gracji ruchom. To urodzone drapieżniki, potrafią oczarować, lecz same są pozbawione emocji; pień mózgu wyposażony w ogon.

- Żegnajcie i bądźcie grzeczne - powiedział.

Kiedy wracał do radiowozów, uderzyło go, że kolor samochodu Chaza Perrone'a jest prawie taki sam jak policyjnej taśmy, która go ogradza. Rolvaag był przekonany, że Red Hammernut zlikwidował Perrone'a ze strachu, że ten może ujawnić ich korupcyjny układ.

Istniała też inna możliwość, że to Chaz nierozważnie próbował wydusić od niego jeszcze więcej pieniędzy. Co do samego Hammernuta, biorąc pod uwagę jego makabryczny los, Rolvaag przypuszczał, że musiał zginąć podczas jakiejś sprzeczki z Earlem Edwardem O'Toole'em. Ten człowiek kolekcjonował takie same przydrożne krzyże, na jaki nadziano bogatego farmera.

W normalnych okolicznościach Rolvaag podzieliłby się wszystkim, co wie i podejrzewa, z młodym detektywem

Ogdenem. Ale nie dzisiaj, bo bardzo mu się śpieszyło do domu. Poza tym co by to dało? Jego szef pewnie i tak przydzieliłby mu zbyt mało czasu, żeby choć liźnąć sprawę.

Później, kiedy Ogden odprowadzał ich do helikoptera, powiedział:

- Zadzwonimy do pana, kiedy znajdziemy ciało.

- Jeśli będzie miał na sobie kostium łabędzia - wtrącił Galio - życzę sobie zobaczyć zdjęcie.

W drodze powrotnej do Fort Lauderdale Galio nachylił się do Rolvaaga i powiedział:

- Muszę znać odpowiedź, Karl. Natychmiast.

- Dobrze. Oto ona. Gdybym był na twoim miejscu, zdecydowanie nie chciałbym wiedzieć tego, co wiem.

Galio odczuł wyraźną ulgę.

- Ale nie mówisz tego, bo uważasz, że jestem za głupi, żeby to rozgryźć?

- Oczywiście, że nie.

- Sądzisz, że Perrone nie żyje?

- Tak.

- A jeżeli się mylisz?

- To przylecę na proces.

- Jaki proces, do cholery? Jedyнным świadkiem była ofiara.

Rolvaag przyłożył palec do ust.

- Lepiej, żebyś nie wiedział, pamiętasz?

Galio ściszył głos.

- Nie mogłeś wybrać gorszego momentu, żeby mnie zostawić na lodzie. I gorszej sprawy.

- Ona jest już właściwie zamknięta. Zaufaj mi.

- Zaufać? Ja cię czasem ledwo rozumiem, Karl.

Kiedy wrócili do biura, Rolvaag zauważył, że panuje tam cisza jak w galerii sztuki.

Cała męska część załogi udawała, że pilnie studiuje akta, a ukradkiem łakomie lypała okiem w kierunku Rose Jewell, która siedziała przy biurku Rolvaaga i czytała książkę. Miała na sobie perłowe szpilki, biały top bez rękawów i granatową spódniczkę tak krótką, że powinna uważać, aby nie przeziębnić pęcherza.

Podniosła wzrok, zobaczyła detektywa i zamknęła książkę z trzaskiem.

- Nie umiem się utożsamić z Emmą Bovary. Przykro mi, ale nic z tego.

Hollywoodzki blond włosów Rose podkreślała para gigantycznych ciemnych okularów, które nasunęła na czubek głowy.

- Niech mi pan postawi kawę - powiedziała do Rolvaaga.

- Przecież pani nie pije kawy - przypomniał detektyw.

- Tak się tylko mówi - zaśmiała się z wyrzutem. - Chcę porozmawiać w cztery oczy.

Kapitan Galio wkroczył między nich i wyciągnął swoje wielkie łapsko.

- My się chyba nie znamy - zagadnął.

- A po cóż mamy się poznawać? Jesteś żonaty, skarbie - pokazała na jego obrączkę, po czym zwróciła się do Rolvaaga: - Idzie pan?

Poszli na drugi koniec korytarza, gdzie stały automaty z napojami. Detektyw kupił Rose dietetyczny napój, który zaczęła pić prosto z puszki.

- Zauważyłam pudła na biurku - powiedziała. - Przenosi się pan gdzieś?

- Tak. Przyjąłem posadę w policji w Minnesocie.

- W Minnesocie? A co z Joey?
- Sprawa jest mniej więcej zakończona.
- Czy to to samo, co „zamknięta”?
- Niezupełnie. Po prostu odkładamy ją na bok.

Opowiedział jej o samochodzie Perrone’a porzuconym w Loxahatchee i o liście pożegnalnym. Podawał tylko fakty, nie dzielił się swoimi podejrzeniami.

Rose oparła się o automat i powiedziała:

- O Boże. Muszę się do czegoś przyznać.

Detektyw poczuł ucisk w gardle.

- Tylko proszę nie mówić, że go pani zabiła. Już wynająłem ciężarówkę do przeprowadzki.

- Skąd, rany boskie, nie zabiłam go. Ale zaprosiłam go do siebie po nabożeństwie i tam... wsypałam mu do drinka środek uspokajający. - Uśmiechnęła się zawstydzona. - Chciałam go zmusić, żeby się przyznał, że wypchnął Joey za burtę.

- I co, przyznał się?

- Bez komentarza. Będzie mi potrzebny adwokat?

- Nie, chyba że pan Perrone wniesie oskarżenie, a na to są marne szanse, moim zdaniem.

Rose podała Rolvaagowi niedopitą puszkę, którą ten wyrzucił do kosza.

- Moja mama mieszka w Minnetonce - powiedziała Rose.

- Naprawdę? Ja będę pracował w Edinie.

- Ładne miasteczko. Zauważyłam pana w kościele, ale nie wiedziałam, czy wypada podejść i się przywitać.

- Wygłosiła pani wspaniałą przemowę. Joey Perrone na pewno by się spodobała.

- Wciąż nie tracę nadziei, wie pan? Że ona się odnajdzie. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

- Ja też nie tracę nadziei. - Chciał jej powiedzieć więcej, ale nie mógł.

- Staram się odwiedzać mamę raz, dwa razy do roku - powiedziała Rose.

- Wiosną jest tam bardzo ładnie.

- Może zadzwonię, kiedy znowu tam będę? W Edinie chyba nie dzieje się za wiele, jeśli chodzi o przestępczość. Założę się, że zdoła pan wygospodarować godzinę na wspólny lunch.

- Co najmniej godzinę.

Wychodząc, ani razu się nie odwróciła. To dobrze, bo oszczędziła Rolvaagowi wstydu zostania przyłapanym na gapieniu się. To było jedno z najbardziej spektakularnych wyjść, jakie widział. Po chwili się otrząsnął i wrócił do biurka pakować rzeczy. Sprawdził pocztę głosową, ale nie było tam wiadomości, której się spodziewał. Możliwe, że przyjął całkowicie błędną wersję wydarzeń. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Rolvaag dopilnował, by reszta dnia upłynęła powoli, aby jego telefon miał czas zadzwonić. Nie zadzwonił. Później, krótko po piątej, podszedł do niego dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku, mocno opalony. Przedstawił się i pokazał wyblakłą legitymację służbową z biura prokuratora okręgu Dade, gdzie przed laty pracował jako śledczy.

- Czym mogę służyć, panie Stranahan?

- Chodźmy coś zjeść.

- Jak pan widzi, jestem dosyć zajęty. To mój ostatni tydzień w pracy.

- Chodzi o człowieka nazwiskiem Charles Perrone.

Rolvaag sięgnął po płaszcz.

- Przy Las Olas otwarli nową knajpę. Dają niezłe hamburgery.
- Nie będzie panu przeszkadzało, jeżeli dołączy do nas znajoma?

Detektyw znalazł ostatni notes w dolnej szufladzie biurka.

- Skądże - odparł.

Zielony suburban stał zaparkowany trzy przecznice dalej. Na jego widok Rolvaag powstrzymał uśmiech. Wsiadł do tyłu i odsunął szybę, żeby wystawić twarz do słońca.

Skończyło się na tym, że zamówili jedzenie na wynos i poszli na plażę.

Pani Perrone okazała się jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach. Mick Stranahan właściwie oddał jej głos. Kiedy skończyła opowiadać, Rolvaag powiedział:

- Proszę mi przypomnieć, co pani zapamiętała jako ostatnie?
- Jak spadałam, przepraszam, nurkowałam do wody.
- A przedtem?
- Że mój mąż wyrzuca mnie za burtę.
- A potem?
- Obudziłam się u Micka i w głowie miałam pustkę. Do wczoraj.
- I wczoraj pamięć wróciła? W całości czy fragmentarycznie?
- Fragmentarycznie - wtrącił Stranahan. - Przez jakiś czas nawet nie pamiętała, jak się nazywa.

Rolvaag odłożył notes i zabrał się za frytki.

- Znalezione na wodzie belę marihuany, na której były odłamane czubki pani paznokci. Byłem ciekaw, jak długo pani się jej trzymała.

Joey spojrzała w zamyśleniu na swoje dłonie i wygięła palce, jakby próbowała wyteńczyć pamięć.

- Całą noc - odparł Mick. - Tak ją znalazłem.

Mimo że Joey wyglądała na osobę wysportowaną i energiczną, Rolvaag nie mógł wyjść z podziwu, że przeżyła taki upadek, a potem jeszcze osiem godzin dryfowała w zimnym oceanie.

- Gdzie jest ta wyspa? - spytał.

Stranahan mu powiedział.

- Ale przecież ma pan łódź? Dlaczego nie zabrał pan pani Perrone do szpitala?

- Bo jej stan na to nie pozwalał. Moja łódka jest niewielka, a przy złej pogodzie droga jest paskudna.

- Nie ma pan tam telefonu albo nadajnika radiowego?

- Tylko komórkę, ale bateria padła.

- A ładowarka?

- Zepsuta. Tak samo nadajnik.

- Czyli przez ostatnie dwa tygodnie...

- Mick się mną opiekował - powiedziała Joey.

Rolvaag zamieszał słomką lód w szklance.

- No to sporo pani przeżyła. - W to akurat wierzył.

Joey Perrone dłubała widelcem w sałatce greckiej.

- Wiem, że to będzie moje słowo przeciwko jego, ale chciałabym oskarżyć Chaza o usiłowanie zabójstwa. Chcę go postawić przed sądem.

- To chyba nie będzie możliwe - poinformował ją Rolvaag. - Pani mąż zginął na terenie Everglades. W jego samochodzie znaleziono list pożegnalny.

Joey Perrone wyglądała na bardziej wstrząśniętą od Micka Stranahana, który od razu zapytał, czy list jest autentyczny.

- Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że pan Perrone zniknął na zawsze.

Joey odłożyła sztuce i odwróciła się w stronę oceanu. Stranahan się przysunął i położył jej dłoń na plecach.

- Cholera - powiedziała cicho.

- Wszystko w porządku? - spytał Rolvaag.

Kiwnęła głową i wstała.

- Muszę się przejść.

Kiedy panowie zostali sami, Stranahan zapytał Rolvaaga, dokąd wyjeżdża.

- Do domu, do Minnesoty. Doszedłem do wniosku, że lepiej się stąd wynieść teraz, póki jeszcze pamiętam, co to znaczy normalne życie.

- Powodzenia - odparł Stranahan.

- Nie dalej jak wczoraj miałem sytuację z gatunku tych, które mogą się zdarzyć tylko na Florydzie. Wezwali mnie, żebym obejrzał jakiegoś nieboszczyka leżącego przy drodze. Kojarzy pan te białe krzyże, które ludzie stawiają w miejscach wypadków? Jemu taki sterczał z trzewi.

Stranahan ugryzł cheeseburgera.

- Turysta? Bo gubernator zaczyna reagować dopiero wtedy, kiedy zaczynają napadać na turystów.

- Nie, właściciel wielkiej plantacji niedaleko jeziora Okeechobee. Tak się składa, że był współnikiem męża pani Perrone. Nazywał się Samuel Hammernut.

Stranahan nie okazał żadnego zainteresowania. Na rogu stołu przysiadła mewa, rzucił jej frytkę.

- W zeszły czwartek odbyło się nabożeństwo żałobne ku czci pani Perrone i przysięgam, w kościele siedział człowiek, który wyglądał zupełnie jak pan.

- Coś podobnego - Stranahan dał mewie plasterek kiszzonego ogórka. Pożarła go zachłannie. - Na wyspie jest ich pełno. Latające szczury.

- Tyle lat pracował pan w policji, czy miał pan kiedyś sprawę, która właściwie sama się rozwiązała, a pan tylko siedział z założonymi rękami i patrzył? Gdzie wszystkie czarne charaktery same się nawzajem polikwidowały, oszczędzając wszystkim kłopotliwego procesu?

- Rzadka przyjemność.

- Mnie się zdarzyło pierwszy raz. - Rolvaag wziął notes do ręki i zamasztyłym ruchem posłał go do kosza na śmieci, przy okazji płosząc ptaka. - To chyba dobry akcent na zakończenie mojego pobytu na Florydzie. Jak pan myśli, panie Stranahan?

- Myślę, że najważniejsze to wybrać odpowiedni moment.

Obaj zamilkli, kiedy zobaczyli powracającą plażą Joey.

Zdjęła buty, założyła przeciwsłoneczne okulary i rozpuściła włosy. W jej kierunku potoczyła się wielka dmuchana piłka. Delikatnie ją kopnęła do małego blondaska, który uciekł ze śmiechem. Co jakiś czas przystawała, aby popatrzeć, jak fala obmywa jej stopy, lub podnieść muszelkę.

* * *

Krzepki mężczyzna o niechlujnym wyglądzie, który się wyłonił z zarośli, nie miał broni. Chaz rzucił w niego kamieniem, ale chybił.

- Odejdź, starcze! - krzyknął.

Intruz wyszczerzył zęby w uśmiechu. Były tak idealne, że aż podejrzanę. Początkowo Chaz wziął go za bezdomnego menela,

ale menele zwykle nie stawiają na pierwszym miejscu higieny jamy ustnej.

- Ani kroku dalej - ostrzegł Chaz.

Chwycił następny kamień i uniósł rękę.

Siwy człowiek nadal się zbliżał. Gdy był już dziesięć metrów od niego, Chaz rzucił kamieniem. Mężczyzna złapał go w powietrzu gołymi rękami i z zaskakującą szybkością odrzucił. Kamień przeleciał nad głową Chaza.

- Ja też trochę grałem w piłkę w college'u - powiedział - milion lat temu.

Chaz oparł się o drzewo, zakrywając rękami pogryzione przez komary przyrodzenie.

Pocieszał się, że mogło być gorzej; to mógłby być Red albo Tool z wielką splotką.

- Słyszałem w nocy strzały, ale byłem daleko - rzekł mężczyzna.

- Czego chcesz? - Chazowi drżał głos.

- Myślałem, że to kłusownik poluje na jelenie. Pięć strzałów ze strzelby oznacza, że ktoś próbuje coś upolować.

- Tak, mnie. - Chaz się odwrócił i pokazał ślady śrutu na plecach.

- O mały włos - stwierdził mężczyzna, bez nadmiaru współczucia w głosie.

Jeżeli to strażnik przyrody, zastanawiał się Chaz, musiał się zabłąkać na tym zadupiu z pół wieku temu. Miał na sobie spraną koszulkę z logo Stonesów, brudne spodnie na szelkach i zbutwiałe buciorzy, które na palcach dawno puściły na szwach. Na głowie miał foliowy czepek pod prysznic, jedno oko zezowało do góry, siwa broda była zapleciona w drobne warkoczyki, a na szyi wisiał naszyjnik zrobiony z zębów.

Ludzkich zębów, zauważył z konsternacją Chaz. Widać było nawet srebrne plombę.

Nieznajomy, widząc jego minę, wyjaśnił:

- Prawdziwe, prawdziwe. Wyjąłem jednemu gościowi, który nie wiadomo dlaczego zabił swoją matkę. Gdzie pańskie ubranie?

- Podarło się.

Chazowi chciało się pić, był głodny i tracił rozum z braku snu, bo całą noc nękały go miłosne serenady aligatorów.

- A gdzie ten, który do pana strzelał?

Chaz pokazał gdzieś w dal na mokradła.

- Kto wie? Było ich dwóch.

Mężczyzna skinął głową.

- Zanim zdecyduję, co z panem zrobić, muszę o parę rzeczy zapytać. Mogę?

- Zrobię wszystko, tylko niech mnie pan wydobędzie z tego cholernego zadupia - powiedział błagalnie Chaz.

- Uprzedzam, że nie jestem teraz w najlepszej formie, przechodzę ciężki okres. Na przykład, podejrzewam, że ani trochę nie jest pan podobny do H. R. Haldemana. „Boba”, jak go nazywali w Białym Domu.

Chaz odparł, że nie wie, kto to taki.

- Arogancki drań i krzywoprzysięzca, który pracował dla trzydziestego siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych - wyjaśnił mężczyzna wzburzonym tonem. - Wyjątkowa kanalia bez zasad. Ale to właśnie jego mam przed oczami, ilekroć na pana spojrzę. Więc proszę to wziąć pod uwagę. Poza tym bez przerwy tłucze mi się po głowie idiotyczny duet: *Hey Jude* w wykonaniu Bobbiego Gentry'ego i Placida Dominga. To cud, że jeszcze sobie flaków nie wyprałem.

- Jak się pan nazywa? - Chaz starał się zachowywać spokój, pokazać, że jest nieszkodliwy i przyjaźnie nastawiony.

- Może pan do mnie mówić „kapitanie”. Ale to ja tu zadaję pytania, jasne?

Chaz grzecznie przytaknął.

- To dobrze. Zacznijmy od podstawowych informacji.

- Nazywam się Charles Perrone, jestem doktorem biologii specjalizującym się w ekologii terenów podmokłych. Pracuję dla Zarządu Gospodarki Wodnej.

- I co pan robi, panie Perrone?

- Doktorze Perrone. - Chaz sądził, że ranga jego tytułu nieco zrównoważy rozpaczliwy wygląd. - Pracuję głównie tutaj, na terenie Everglades, badam wodę pod kątem skażenia fosforanami. To część wielkiego rządowego planu ratunkowego.

Na nieznanym nie zrobiło to oczekiwanego wrażenia. Wyjął swoje sztuczne oko i brudnym scyzorykiem zeszkrobał z niego zaschniętą kępkę alg, po czym z powrotem umieścił je w oczodole.

- Może pan powtórzyć, jak się nazywa?

- Perrone.

- Nie, chodzi mi o imię.

- Charles. Ale wszyscy mówią do mnie Chaz.

Mężczyzna przechylił głowę.

- Chad?

- Nie, Chaz. Przez „z”.

Z niewiadomych przyczyn wywołało to jego rozbawienie.

- Jaki ten świat jest mały.

- Nie rozumiem - powiedział Chaz, choć już się bał odpowiedzi.

- Parę dni temu spotkałem tu pańską znajomą.

Żołądek podskoczył Chazowi do gardła, a język stanął kołkiem.

- Miała na imię Ricca i opowiedziała mi dużo ciekawych rzeczy.

Chaz słabo się uśmiechnął.

- O, ta dziewczyna ma bujną wyobraźnię.

- Czyżby? A dziurę po kuli w nodze też sobie wyobraziła? -
Mężczyzna pogrzebał najpierw w jednej, potem w drugiej kieszeni. Wreszcie znalazł pocisk z trzydziestki ósemki i podsunął Chazowi pod nos, żeby sobie obejrzał w różowym świetle poranka.

- Wydłubałem to, używając haczyka do wędk i szczypiec. Bolało jak diabli, ale była dzielna. - Wyrzucił pogięty pocisk do wody.

Chaz Perrone stał bezradny z opuszczonymi ramionami. Co za niepojęty zbieg okoliczności, pomyślał, że ten sam jednooki hipis uratował i mnie, i Riccę.

- Pozwoli pan, panie Perrone, że się odniosę do kilku kwestii. Po pierwsze, nie jestem jeszcze taki stary, żebym panu nie mógł skrócić karku gołymi rękami. Po drugie, to nie jest żadne zadupie. To mój dom i ja się tu czuję jak w raju. I po trzecie, jeśli pan jest prawdziwym naukowcem, to ja jestem Goldie Hawn.

Chaz jednym tchem wymienił wszystkie posiadane tytuły i dyplomy, ale mężczyzna tylko spojrzał na niego z politowaniem.

- Nie chce pan usłyszeć mojej wersji, kapitanie? - Chaz z trudem rozpoznał własny głos. - Proszę.

Mężczyzna zmrużył oczy i spojrzał na wschodzące słońce.

- Musimy już iść. Spodziewam się, że zaraz zaczną pana szukać.

- Nie wiem, czy chcę, żeby mnie znaleźli.

- To chodźmy. Kiedy indziej się pan poużala nad sobą.

Zrezygnowany Chaz posłusznie ruszył za jednookim eremita w czepku. Opuścili zacieniony pagórek i weszli w oblane słońcem

morze trawy. Ostre źdźbła kłoci kaleczyły ciało Chaza przy każdym kroku, ale tym razem nie czuł bólu. W pewnej odległości dostrzegł dwa kremowe węże grube jak liny holownika. Poruszały się płynnie i z gracją, podekscytowane nowym otoczeniem i nowymi bodźcami. One w przeciwieństwie do Charlesa Perrone'a były w swoim żywiole.

- Zdaję sobie sprawę, że byłem draniem - zawołał Chaz do nieznajomego. - Ale ludzie się zmieniają, gdy im dać szansę.

- Haldeman się nie zmienił - rzucił tamten przez ramię. - Poza tym dla mnie nie jest pan zwykłym draniem. Dla mnie jest pan zerem.

Ricca musiała go przedstawić w naprawdę złym świetle.

Im głębiej się zapuszczali w to nieprzyjazne pustkowie, tym bardziej zaczynała docierać do Chaza powaga jego sytuacji. Jezu, pomyślał ze zgrozą, chyba nie ma szans, żebym wyszedł z tego żywy.

Mniej więcej po godzinie marszu dziwak w kąpielowym czepku stanął i wyciągnął rękę z manierką. Chaz bez skrępowania rzucił się do niej i zaczął łapczywie pić. Nagle go olśniło, że ten człowiek na pewno by wiedział, ile penisów ma aligator.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to kolejne pytanie, na które nie ma pocieszającej odpowiedzi.

Pierwsze brzmiało: Co teraz ze mną będzie? Nawiedzony włóczęga jakby czytał w jego myślach.

- Czytał pan coś Tennysona? Pewnie nie - powiedział. - Pisał o „naturze czerwonej od kłów i pazurów”. To takie słynne zdanie.

Nie brzmiało obiecująco.

- Nie wrócę do Boca Raton, prawda? - spytał Chaz.

- Nie, doktorze Perrone.

KONIEC